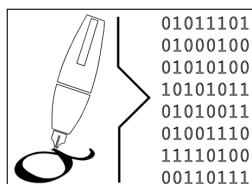


A.J. QUINNELL

# NAJEMNIK

Tłumaczyła: Anna Świętochowska



Tytuł oryginału:

*MEN ON FIRE*

Data wydania polskiego: 1995 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1980 r.

# PROLOG

Zima w Mediolanie. Na podmiejskiej alei stłoczyły się rzędem drogie samochody. W dużym budynku ukrytym za drzewami, rozległ się cichy dźwięk dzwonka i po chwili opatulona przed wiatrem dzieciarnia zbiegła po stopniach i rozpięzchła się ku ciepłu oczekujących wozów.

Ośmiolatek Pepino Machetti naciągnął na siebie kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego i ruszył pośpiesznie do rogu, gdzie szofer jego ojca zawsze parkował niebieskiego Mercedesa. Kierowca dojrzał, że nadchodzi i pochylił się, aby otworzyć drzwi. Pepino z wdzięcznością dał nura w skórzane ciepło, drzwi zatrzasnęły się cicho i samochód ruszył. Chłopak z trudem zdjął pelerynę. Dopiero jak dojechali do następnej przecznicy podniósł wzrok i stwierdził, że za kierownicą nie siedzi Angelo. Kiedy już miał na ustach pytanie, Mercedes ponownie zatrzymał się przy krawężniku i na miejsce obok chłopca usiadł zwalisty mężczyzna. Kierowca cierpliwie poczekał na przerwę w kawalkadzie powracających do domu, po czym gładko odjechał od krawężnika. Był dopiero styczeń, a Pepino Machetti stanowił już trzecią ofiarę porwania w tym roku.

W korsykańskim porcie Bastia było wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku, co skłoniło jednego z właścicieli barów do wystawienia krzeseł i stolika na wykładany kocimi łbami chodnik. Samotny mężczyzna siedział popijając whisky i obserwował przystań, w której prom do Livorno szykował się do wyjścia w morze.

Mężczyzna spędził tam już dwie godziny i tak często prosił o dolewkę kiwnięciem w stronę wnętrza, że w końcu właściciel przyniósł mu butelkę i duży talerz czarnych oliwek.

Mały chłopiec siedział na krawężniku po drugiej stronie ulicy i z uwagą wpatrywał się, jak mężczyzna raz za razem popija oliwkę whisky.

Panował spokój, jako że sezon turystyczny już się skończył i obcy człowiek skupiał na sobie całą uwagę chłopca. Mężczyzna wzbudzał jego ciekawość. Otaczała go dziwna aura milczenia i tajemnicy. Nie wodził wzrokiem za z rzadka przejeżdżającymi samochodami, po prostu patrzył na przystań i prom. Od czasu do czasu rzucał okiem na chłopca, ale w spojrzeniu nie pojawił się nawet cień zainteresowania. Nad jedną z brwi miał pionową bliznę, a druga blizna przecinała

mu podbródek. Jednak uwagę chłopca skupiały przede wszystkim oczy. Szeroko rozstawione, o ciężkich powiekach. Nieco zmrużone, jakby w reakcji na dym papierosowy, chociaż wcale nie palił.

Chłopiec słyszał, jak zamawia whisky płynną francuszczyzną, ale domyślał się, że nie jest Francuzem. Rzeczy, które miał na sobie: ciemnoniebieskie, sztrukturalne spodnie, drelichowa marynarka oraz czarna koszulka polo, wyglądały na drogie, ale i porządnie znoszone, podobnie jak walizka, stojąca u jego stóp. Chłopiec miał spore doświadczenie w oszacowywaniu obcych, a zwłaszcza ich kondycji finansowej. Jednak tym razem nie wiedział, co myśleć.

Mężczyzna spojrział na zegarek i wylał do szklanki resztkę whisky. Wypił ją jednym haustem, podniósł walizkę i przeszedł przez ulicę.

Chłopiec bez ruchu siedział na krawężniku i obserwował, jak się zbliża. Figura przypominała twarz — kwadratowa, dopiero gdy znalazł się całkiem blisko, chłopiec zauważył, że jest wysoki, ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Szedł lekko, co zupełnie nie pasowało do jego ciężkiej budowy. Stopy stawiał na ziemi najpierw zewnętrzną stroną.

Przechodząc obok, spojrział w dół, a chłopiec stwierdził, że pomimo całej wypitej whisky, szedł swobodnie i równo. Chłopiec zerwał się na równe nogi i przebiegł przez ulicę, po czym zgarnął pół tuzina oliwek pozostawionych na talerzu.

Pół godziny później patrzył jak prom opuszcza przystań. Było na nim niewielu pasażerów, więc bez trudu zobaczył nieznajomego. Stał samotnie na rufie, opierając się o reling. Prom nabierał szybkości i pod wpływem impulsu chłopiec pomachał. Było zbyt daleko, aby mógł zobaczyć oczy nieznajomego, ale poczuł je na sobie. Mężczyzna uniósł rękę z barierek i odwzajemnił się krótkim gestem.

W Palermo było jeszcze cieplej. Otwarte okna wpuszczały łagodny, południowy powiew do gabinetu na piętrze otoczonej murem willi, wzniesionej u stóp gór za miastem. Trwało spotkanie w interesach: trzech mężczyzn, jeden za wielkim, polerowanym biurkiem, a dwaj pozostali naprzeciwko niego. Lekki wiaterek pomagał rozwiać dym z papierosów. Omówili już sprawy rutynowe. Człowiek za biurkiem wysłuchał raportu tamtych dwóch na temat przedsiębiorstw działających w całym kraju, od alpejskiej północy aż po południowy kraniec Sycylii. Od czasu do czasu przerywał im na chwilę, prosząc o szersze naświetlenie lub wyjaśnienie któregoś punktu, ale przede wszystkim słuchał. Następnie wydał całą serię szczegółowych instrukcji, a mężczyźni zgodnie kiwali głowami. Nie robiono żadnych notatek.

Uporawszy się ze swoimi problemami, przedyskutowali sytuację w południowej Kalabrii. Parę lat wcześniej rząd postanowił wybudować kompleks stalowni w tym tkniętym biedą rejonie. Człowiek za biurkiem nieoficjalnie współpracował z władzami. Zakupiono tysiące akrów od właścicieli ziemskich. Takie interesy

wymagały długich i pracowitych negocjacji, a w międzyczasie zmienił się skład rządu. Ministrowie przychodzili i odchodzili, a partia komunistyczna kwestionowała sensowność przedsięwzięcia. Człowiek za biurkiem był poirytowany. Biznesmeni nigdy nie lubią chwiejnych rządów. Mimo to, gra toczyła się o mnóstwo pieniędzy. Potrzebna była jednak lepsza kontrola nad inwestycjami.

Dwaj mężczyźni skończyli swoje sprawozdania i czekali, aż szef przemyśli decyzję.

Na fotelu z wysokim oparciem znajdowała się płaska poduszka, ponieważ był niski, miał zaledwie metr pięćdziesiąt. Chociaż przekroczył już sześćdziesiątkę, jego nieco pulchna twarz pozostała gładka, podobnie jak dłonie, które leżały bez ruchu na biurku. Ubrany był w ciemnoniebieski, nienagannie skrojony trzyzęściowy garnitur, ukrywający lekko korpulentną sylwetkę. W zamyśleniu zacisnął usta, które były odrobinę zbyt szerokie w porównaniu z twarzą.

Podjął decyzję. — Wycofamy się. Przewiduję jeszcze więcej problemów. Don Mommo będzie musiał ponieść pełną odpowiedzialność.

Dwaj mężczyźni przytaknęli. Spotkanie było skończone, więc wstali i skierowali się do barku z drinkami. Niski szef nalał trzy szklaneczki Chivas Regal.

— *Salut* — wzniósł toast.

— *Salut*, don Cantarella — odpowiedzieli chórem.

# **KSIEGA PIERWSZA**

# 1

Wyjrzała przez balkonowe okno na jezioro. Światła hotelu „Villa D’Este” leżącego na jego przeciwległym brzegu odbijały się w tafli wody.

Jej klasycznie piękne rysy twarzy wykrzywił grymas rozdrażnienia. Szerokie usta, o pełnych wargach, dominowały na twarzy. Wysokie kości policzkowe, duże, lekko skośne oczy i dołek w brodzie stanowiły doskonałą równowagę dla szerokiego czoła. Gęste, hebanowe włosy opadały prosto i kończyły się pojedynczym skrzyśnięciem na ramionach. Zaokrąglenia ciągnęły się w dół, poprzez wysmukłą szyję do ciała o wąskiej talii, długich nogach oraz pełnych, wysokich piersiach.

Miała na sobie prostą sukienkę, przewiązaną w pasie i głęboko wyciętą w ramionach.

Uroda wywierała wpływ na funkcjonowanie jej umysłu. Od najwcześniejszych lat pozwoliło jej to chadzać innymi ścieżkami niż większości kobiet.

Taka kobieta musi być egocentryczna. Wszyscy ją obserwują i pragną jej słuchać. Jeśli ma wystarczająco silny charakter, aby przetrwać dopóki uroda nie przygaśnie, może zdobyć niezależność. Przygasającej urodzie zwykle towarzyszy smutek, że natura musi odebrać to, czym wcześniej obdarowała.

Za jej plecami ktoś otworzył drzwi. Odwróciła się w momencie, gdy do pokoju weszła dziewczynka.

— Nienawidzę jej, mamó! Nienawidzę jej!

— Dlaczego?

— Odrobiłam algebrę. Staram się, jak mogę, ale jej nie sposób zadowolić. Teraz mówi, że jutro znowu będę musiała się uczyć algebry, i to przez całą godzinę.

Kobieta objęła dziecko. — Pinto, musisz bardziej się wysilić, bo inaczej po powrocie do szkoły pozostaniesz daleko w tyle za innymi.

Dziecko z nadzieją podniosło wzrok. — Kiedy, mamó? Kiedy wrócę do szkoły? Nienawidzę guwernantek.

— Wkrótce, Pinto. Dzisiaj wieczorem wraca ojciec i porozmawiam z nim o tym. Bądź cierpliwa, *cara*, to nie potrwa już długo.

Obróciła się i uśmiechnęła.

— Ale nawet w szkole nie unikniesz nauki algebry.

— Nie szkodzi — zaśmiała się dziewczynka. — W szkole nauczyciele przepy-

tują wiele dziewczyn, a guwernantka nie ma dużego wyboru. Postaraj się, żebym szybko wróciła do szkoły!

Wyciągnęła ręce i uściskała matkę.

— Już niedługo — padła odpowiedź — obiecuję.

Ettore Balletto wracał z Mediolanu do Como z mieszanymi uczuciami. Po tygodniu nieobecności tęsknił za Riką i Pintą, ale w domu zapowiadało się burzliwe powitanie. Trzeba było podjąć pewne decyzje, które nie spodobają się Rice, a to z reguły nie zapowiadało niczego dobrego. Jechał szybko Lancią w wieczornej fali samochodów, prawie nie zwracając uwagi na drogę.

Z początku ich małżeństwo spełniało się raczej w sferze fizycznej niż psychicznej. Zaspokojenie dotykowe i psychiczne oddalenie. Teraz istotne stało się poczucie posiadania. Duma z własności i kontrapunkt — zazdrość innych mężczyzn.

Lancia skręciła w prawo na skrzyżowaniu nad jeziorem, a jego myśli zajęła Pinta. Kochał córkę. Jednak w spektrum jego emocji, te najsilniejsze dotyczyły Riki. Nie widział w dziewczynce niezależnej osobowości, a jedynie dodatek do matki. Dziecko może dokonać rozłamu w uczuciach ojca, nawet konkurować o nie, ale dla Ettore Pinta była córką kochaną nieco przytłumionym uczuciem.

W trójkę zasiedli do kolacji przy mahoniowym stole, Ettore i Rika naprzeciwko siebie, a Pinta między nimi. Służba podała posiłek. Stylowy, formalny i pozbawiony rodzinnego ciepła.

Rika serdecznie powitała męża, zrobiła mu dry martini i z należnym zainteresowaniem wysłuchiwała relacji z podróży do Rzymu. Ale kiedy Pinta wyszła z pokoju, powiedziała mu, że dziewczyna jest nieszczęśliwa i trzeba coś z tym zrobić.

Energicznie pokiwał głową i odparł: — Porozmawiamy o tym po kolacji, jak pójdzie do łóżka. Podjąłem już decyzję w tej sprawie.

Wiedziała, że nie obejdzie się bez kłótni i przesiadła całą kolację, obmyślając posunięcia taktyczne. Pinta wyczuła atmosferę i jej powód, więc milczała. Jak tylko skończyli jeść zerwała się i ucałowała oboje rodziców.

— Cała ta algebra przyprawiła mnie o ból głowy — oświadczyła stanowczo. — Idę do łóżka.

Opuściła pokój wypełniony ciszą, którą w końcu przerwała Rika.

— Nie lubi guwernantki.

Ettore wzruszył ramionami.

— Nie dziwię jej się. Poza tym, czuje się samotna bez koleżanek.

Wstał, podszedł do barku, nalał sobie koniaku i popijał, podczas gdy służąca



zbierała ze stołu. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, powiedział: — Riko, musimy porozmawiać o pewnych sprawach i to rozmawiać racjonalnie. Po pierwsze, Pinta musi wrócić do szkoły, a po drugie, ty musisz ograniczyć swoje ekstrawagancje.

Uśmiechnęła się złowroźnie.

— Moje ekstrawagancje?

— Wiesz, o czym mówię. Jak czegoś chcesz, to nawet nie zastanawiasz się nad kosztem. — Wskazał obraz wiszący na ścianie. — Pod moją nieobecność w zeszłym tygodniu kupiłeś to — dziewięć milionów lirów.

— Ależ to jest Klee — odpowiedziała. — Niesłychana okazja. Nie podoba ci się?

Pokręcił głową z irytacją.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie stać nas na to. Wiesz, że interesy idą nie najlepiej. A właściwie, całkiem źle. Przy takim bałaganie w rządzie i konkurencji z Dalekiego Wschodu, poniesiemy w tym roku duże straty, a ja już jestem poważnie zadłużony w bankach.

— Jak poważnie?

Wymownie wzruszył ramionami. — Czteryście milionów lirów.

Tym razem ona wzruszyła ramionami.

— Jak mawiał mój ojciec, „Wartość człowieka ocenia się po tym co ma lub co jest winny. Liczy się tylko suma”.

Wybuchł gniewem.

— Twój ojciec żył w innym świecie! A gdyby nie umarł w łóżku z tymi dwiema nieletnimi *putas*, zostałby najędźniejszym bankrutem, jakiego ten kraj widział.

Uśmiechnęła się kpiąco.

— Ach, tata, miał takie wycucie czasu i taki styl. Coś, czego tobie wydaje się brakować, nawet przy nienagannym wychowaniu.

Opanował się.

— Musisz stawić czoła faktom, Riko. Nie możesz dalej wydawać pieniędzy bez zastanowienia. Jeżeli w ciągu miesiąca nie dogadam się z bankami, czekają mnie wielkie kłopoty.

Przez chwilę siedziała w milczeniu. — Co masz zamiar w związku z tym zrobić?

Udzielił bardzo ostrożnej odpowiedzi.

— Ten problem ma dwa aspekty. Po pierwsze, tracimy monopol na dziany jedwab. Chińczycy w Hong Kongu już usprawnili technologię, a przy tym kupują przędzę tuż za granicą o dwadzieścia procent taniej niż ja. Tak więc do końca roku stracimy rynek na zwykłą tkaninę jedwabną. Musimy ograniczyć się do sprzedaży modnych i stylowych towarów, a resztę rynku zostawić im.

Słuchała bardzo uważnie i w tym momencie postanowiła się wtrącić. — Więc co cię powstrzymuje?

— Maszyny — odpowiedział. — Nasze maszyny dziewiarskie mają już dwadzieścia lat. Są bardzo wolne i nadają się tylko do podstawowych tkanin. Potrzebujemy sprzętu w rodzaju Moratsa i Lebocesa, a one kosztują trzydzieści milionów sztuka.

— Bank nie pomoże? — zapytała.

Zanim odpowiedział, jeszcze raz odwrócił się do barku i dolał sobie koniaku.

— I tu dochodzimy do drugiego problemu. Zakład ma już obciążoną hipotekę, podobnie jak ten dom i mieszkanie w Rzymie. Potrzebuję więc nowej pożyczki na maszyny i jakichś gwarancji z zewnątrz. Właśnie nad tym pracuję.

— Radziłeś się Vica?

Opanował irytację.

— Oczywiście, że z nim rozmawiałem. W przyszłym tygodniu mamy ponownie spotkać się na lunchu, żeby przedyskutować ten problem. *Cara*, proszę cię jedynie, żebyś wzięła pod uwagę te sprawy. Nie wydawaj bez zastanowienia.

— Powinam zmienić swój styl życia — zapytała — ponieważ ty nie potrafisz konkurować z paroma małymi Chińczykami? — Uśmiech powrócił, ale nie był już ani trochę kpiący. — Ettore, podaj mi, proszę, koniak.

Nalał, podszedł, stanął za nią i sięgnął, aby postawić koniakówkę na stole. Rika nawet nie drgnęła, więc postawił kieliszek, cofnął rękę i położył ją na jej szyi, pod włosami. Uniosła rękę, przykryła jego dłoń, ścisnęła palce i odchyliła głowę. Wstała, odwróciła się, ucałowała go w oczy oraz usta i przemówiła miękko:

— *Caro*, nie martw się. Jestem pewna, że Vico coś wymyśli.

W łóżku ponownie całowała jego oczy, po czym przyjęła go w siebie i ukoiliła ciało, a na chwilę, nawet umysł.

Potem leżał na wysoko ułożonych poduszkach w starym łóżu z baldachimem. Zostawiła go samego, bo nago zeszła na dół, żeby przynieść koniak i papierosy. Pomyślał, że takie nadskakiwanie zdarzało jej się tylko po uprawianiu miłości. Podczas którego zawsze wiodła prym. Prowadziła i decydowała, nie tracąc jednak na kobiecości — jak idealna tancerka, prowadząca partnera. Nie czuł się po tym wyczerpany, ale tylko osłabiony. Jak skrzypce, na których za długo grano i obluźowano struny.

Weszła do sypialni z olbrzymim kielichem koniaku w jednej ręce i papierosami w drugiej. Podała mu kieliszek i stanęła koło łóżka, przypalając dwa papierosy — smukła, jak róża z nietkniętymi kolcami, pachnąca cierpko uprawianą tylko co miłością. Z trudem powrócił myślami do rzeczywistości.

— Pinta — odezwał się ospale. — Musi wrócić do szkoły. Ten układ z guwerkantką nie daje rezultatów. Ma już trzynaście lat, a tymczasem zaległości rosną.

Wróciła do łóżka i wręczyła mu zapalonego papierosa.

— Zgadzam się — powiedziała, ku jego zaskoczeniu. — Wczoraj rozmawiałam o tym z Giną. Wiesz, oni wysyłają Alda i Marielle do Szwajcarii. To bardzo

dobra szkoła — tuż pod Genewą — z włoskim jako językiem wykładowym. Jest tam sporo włoskich dzieci.

Usiadł wyżej.

— Ależ, Riko, to nie ma sensu. Będzie jeszcze bardziej nieszczęśliwa daleko od domu, a wiesz ile taka szkoła kosztuje. Vico odnosi sukcesy jako prawnik i robi majątek, głównie poza krajem. Sporo czasu spędzają w Genewie. Dla nich to prawie drugi dom.

Rika poprawiła sobie poduszki pod plecami i usiadła wygodniej, wiedząc, że czeka ją trudny spór.

— Ettore, wymyśliłam już sposób na to. Sprzedamy mieszkanie w Rzymie, w tej chwili są bardzo dobre ceny, a ostatnio i tak zrobiło się tam nudno. Za te pieniądze kupimy mieszkanie w Genewie. To zaledwie trzydzieści minut lotu z Mediolanu, czyli tyle samo, ile zajmuje ci dojazd tutaj samochodem.

Westchnął, ale ona ciągnęła dalej.

— Poza tym, strasznie się tu nudzę w zimie, a ty tak często wyjeżdżasz albo zostajesz w Mediolanie. Mogłabym spędzać dużo czasu w Genewie, w weekendy byłabym z Pintą, a i ty mógłbyś do nas przylatywać.

Ettore nie zdołał ukryć zniecierpliwienia. — *Cara*, przecież mówiłem ci, że mieszkanie w Rzymie ma obciążoną hipotekę. Jeśli je sprzedam, całe pieniądze trafią do banku. Nie udostępnią mi ich w formie ponownej pożyczki, zwłaszcza na kupno nieruchomości w innym kraju. Poza tym, Genewa jest najdroższym miastem na świecie. Ceny nieruchomości są tam dwa razy wyższe niż w Rzymie. Nawet gdybym zrobił, jak chcesz, moglibyśmy pozwolić sobie na tak bardzo skromne mieszkanie, że za nic nie chciałabyś w nim przebywać, nawet przez weekend.

Zapanowała długa, lodowata cisza podczas gdy Rika usiłowała to przetrwać. W końcu położyła się na łóżku, podciągnęła kołdrę pod samą brodę i powiedziała: — Cóż, będziesz musiał coś wymyślić. Tutaj chodzi o bezpieczeństwo mojego dziecka. Nie pozwolę narażać Pinty na ryzyko. Zobacz, co się stało z dzieckiem Machettich. Zabrano go tuż pod szkołą! — uniosła głos. — Tuż koło szkoły — w biały dzień. W Mediolanie! Nie pomyślałeś o swojej córce? Musisz znaleźć jakiś sposób.

Zachował cierpliwość.

— Riko, już rozmawialiśmy o tym. Machetti to jedna z najbogatszych rodzin w Mediolanie. Nikt nie będzie porwał Pinty. Bóg wie, że nie jesteśmy bogaci — podobnie, jak ludzie, którzy planują takie rzeczy.

Mówił z goryczą. Wiedział, że jego problemy zaczynają być znane w kołach finansowych miasta.

Nie ustępowała.

— Skąd mają to wiedzieć? Żyjemy na takim samym poziomie, jak Machetti, albo i lepiej. To przecież straszni skąpcy.

On również trwał przy swoim.

— Nie rozumiesz, Riko, takie porwania nie są przygotowywane przez amatorów. To ogromny przemysł, którym kierują zawodowcy. Mają swoje źródła informacji i nie będą tracić czasu na zajmowanie się dziećmi, których ojcowie są kompletnymi bankrutami.

— A dziecko Venuccich?

Tu go miała. Ośmioletni Valerio Venucci został porwany sześć miesięcy wcześniej. Venucci działali w budownictwie i przeżywali trudny okres. Chłopca przetrzymywano przez dwa miesiące, w trakcie których porywacze obniżyli żądania z miliarda lirów do dwustu milionów, które rodzina w końcu jakoś zebrała.

— To co innego — powiedział. — Tego dokonali ludzie z zewnątrz, Francuzi z Marsylii. Zbyt mało wiedzieli o Venuccich i byli głupcami. Zostali ujęci dwa tygodnie po tym, jak otrzymali pieniądze.

— Może — przyznała — ale mały Venucci stracił palec i od tej pory jest chory umysłowo. Czy tego chcesz dla Pinty? Tylko tyle cię obchodzi?

Trudno było mu obalić taki argument i znowu poczuł, że traci opanowanie.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Kołdra zsunęła jej się na brzuch i chociaż leżała na plecach, piersi zachowały swój kształt, były wysokie i jędrne.

Zauważyła, że patrzy i odwróciła się na bok, plecami do niego.

— Tak czy inaczej — stwierdziła z naciskiem — nie pozwolę swojej córce wrócić do szkoły w Mediolanie, chyba że będzie miała ochronę.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się. — Jaką ochronę?

— Osobistego ochroniarza.

— Co? — przekreślił ją twarzą do siebie.

— Ochroniarza — na jej nieruchomej twarzy widniała determinacja. — Kogoś, kto będzie przy niej i zapewni jej ochronę — może przed Francuzami — dodała sarkastycznie.

Wyrzucił ramię w górę. Rozmową przybierała fatalny obrót.

— Riko, jesteś nielogiczna! Ochroniarz będzie kosztował majątek! A w dodatku, czy istnieje lepszy sposób na przyciągnięcie uwagi? We Włoszech chodzą do szkoły tysiące uczniów, których rodzice są znacznie zamożniejsi od nas, a nie mają ochroniarzy.

— Nic mnie to nie obchodzi — stwierdziła wprost. — To nie moje dzieci. Czy ciebie obchodzi wyłącznie koszt? Masz jakąś cenę bezpieczeństwa Pinty?

Próbował zebrać myśli i znaleźć jakiś argument, który ją przekona.

Przemówił spokojnie i rozsądnie.

— Riko, wcześniej omówiliśmy sytuację finansową. Sprawy mają się bardzo źle. Jak mam sobie pozwolić na coś, co, w gruncie rzeczy, jest jeszcze jedną, głupią ekstrawagancją?

Spojrzała na niego z wściekłością.

— Dobro Pinty nie jest ekstrawagancją, to nie nowy obraz na ścianie, wieczorne przyjęcie czy jeszcze jedna suknia. Poza tym, Arregio, Carolini — a nawet

Turelli — zatrudnili ochroniarzy dla swoich dzieci.

Więc teraz się wydało. Ani krzty troski o Pintę, tylko ważne posunięcie towarzyskie. Nie potrafiła żyć z myślą, że ktoś może uważać, iż nie są w stanie dorównać swoim rywalom towarzyskim.

Nadal posyłała mu rozgniewane spojrzenia i pojął, że wyczerpali możliwości porozumienia.

— Porozmawiamy o tym później.

Z miejsca się odprężyła.

— Cara, wiem, że martwisz się o pieniądze. Ale wszystko będzie dobrze, a mnie chodzi tylko o Pintę.

Przytaknął. Zamknął oczy.

— Porozmawiasz z Vico? — ciągnęła. — On zna się na tych sprawach, udziela porad wielu ludziom.

Otworzył oczy i zapytał ostro: — Wspominałaś mu o tym?

— Nie, *caro*, ale wczoraj przy lunchu Giną wspomniała, że Vico służy radami Arregio. Ma takie dobre znajomości. Są naszymi najbliższymi przyjaciółmi, Ettore. Poza tym stale powtarzasz mi, że jest świetnym prawnikiem.

Ettore zamyślił się nad tym. Może i było to jakieś wyjście. Jeżeli Vico jej powie, że to zwariowany pomysł, to może jego posłucha.

Wyciągnął rękę i zgasił światło. Skuliła się obok, odwrócona plecami, przytulając do niego ciepłe pośladki.

— Porozmawiasz z Vico, *caro*?

— Tak, porozmawiam z Vico.

Przytuliła się jeszcze bliżej, zadowolona ze zwycięstwa i dumna ze swego sprytu. Zbiła go z tropu rozmową o Genewie i prześliznęła się przez jego fortyfikacje. Kto by chciał mieszkać wśród tych zimnych Szwajcarów?

Obróciła się i wyciągnęła rękę, ale Ettore już spał — zarówno powyżej, jak poniżej pasa.

## 2

Guido Arrelino wolno wszedł na taras „Pensione Splendide”. W świetle poranka ledwo dostrzegał sylwetkę człowieka siedzącego na krześle. Słońce weszło już ponad wzgórze, ale tutaj, nad samą zatoką, upłynie jeszcze parę minut, zanim światło pozwoli wyraźnie dojrzeć mężczyznę. Chciał ujrzeć go wyraźnie.

Pietro zadzwonił do niego do domu matki w Posilano tuż po północy, aby mu powiedzieć, że zjawił się jakiś obcy. Człowiek nazwiskiem Creasy.

Guido przyglądał się, jak rysy mężczyzny nabierają kształtów. Pięć lat, pomyślał, a zaszła taka zmiana. Rok wcześniej jakiś przyjezdny, już nie pamiętał kto, mówił mu, że Creasy się stacza i dużo pije. Światło ukazało teraz pustą butelkę.

Siedział niedbałe na krześle, z ciałem sflaczałym niczym w śpiączce, ale wcale nie spał. Osadzone w kwadratowej twarzy oczy o ciężkich powiekach, spoglądały w dół na stoki wzgórz i opadające tarasami domy. Twarz odwróciła się i Guido wyszedł z cienia.

— *Ca va*, Creasy.

— *Ca va*, Guido.

Creasy ciężko podniósł się, wyciągnął ręce i obaj mężczyźni padli sobie w ramiona.

— Kawy? — zapytał Guido. Creasy przytaknął, ale zanim pozwolił mu odejść, odsunął niższego i młodszego mężczyznę na odległość ramion i przyjrzał się jego twarzy. Potem opuścił ręce i usiadł.

Guido poszedł do kuchni, poważnie zmartwiony. Creasy rzeczywiście strasznie sobie pozwalał, a to oznaczało, że działo się coś bardzo złego, ponieważ normalnie świetnie się trzymał, dbał o organizm i o wygląd. Ostatnio spotkali się zaraz po śmierci Julii.

To wspomnienie jeszcze wzmogło zaniepokojenie Guido. Ale wówczas Creasy miał się doskonale i nie wyglądał na wiele starszego, niż przy ich pierwszym spotkaniu. Czekać aż kawa się podgrzeje Guido zaczął liczyć: to już dwadzieścia trzy lata, przez które po jego przyjacielu nigdy nie było widać wieku — pozostał sprawnym czterdziestolatkiem. Jeszcze raz policzył. Creasy zbliżał się teraz do pięćdziesiątki i wyglądał na nią, a nawet na więcej. Co się stało w ciągu tych minionych pięciu lat?

Poprzednim razem Creasy został na dwa tygodnie, milczał jak zwykle, ale Guido czerpał siłę z jego cichej obecności; kiedy tylko tego potrzebował, niejako przywracała brakujące ogniwo w pękniętym łańcuchu.

Kiedy wrócił na taras, słońce stało już nad okolicznymi wzgórzami. Neapol budził się i dał się słyszeć odległy, ale wyraźny szum ruchu ulicznego. W zatoce kotwiczył okręt wojenny, a za nim ukazał się dziób wielkiego liniowca. Guido postawił tacę na stole, nalał kawę, po czym obaj popijali ją, podziwiając widok.

Creasy przerwał milczenie.

— Czy w czymś przeszkodziłem?

Guido wymusił uśmiech.

— Moja matka właśnie przechodzi jedną ze swoich tajemniczych, okresowych chorób.

— Powinieneś być z nią zostać.

Guido pokręcił głową.

— Elio przyjedzie dzisiaj rano z Mediolanu. Mama dostaje tych ataków, kiedy tylko uzna, że ją zaniedbujemy. Dla mnie to jeszcze pół biedy, czterdzieści minut jazdy samochodem, ale w przypadku Elia stanowi to prawdziwe utrapienie.

— Jak on się ma?

— Dobrze. W zeszłym roku został współnikiem w swojej firmie i urodziło mu się jeszcze jedno dziecko, syn.

Znowu spędzili kilka minut w milczeniu. Pozytywnym milczeniu, jakie możliwe jest tylko między dobrymi, wieloletnimi przyjaciółmi, którzy nie potrzebują słów dla podtrzymania więzi. Liniowiec był już prawie za horyzontem, kiedy Guido przemówił.

— Jesteś zmęczony. Chodź, znajdę ci jakieś łóżko.

Creasy wstał.

— A co z tobą? Nie spałeś całą noc.

— Zdrzemnę się po lunchu. Jak długo możesz zostać?

Creasy wzruszył ramionami. — Nie mam żadnych planów, Guido. Nic się nie dzieje. Po prostu chciałem cię odwiedzić, zobaczyć, jak ci leci.

Guido pokiwał głową. — To dobrze. Minęło już zbyt wiele czasu. Masz zajęcie?

— Od sześciu miesięcy nie mam. Przyjechałem prosto z Korsyki.

Szli do drzwi, ale po ostatnim zdaniu Guido zatrzymał się i spojrzął pytająco.

Creasy znowu wzruszył ramionami.

— Nie pytaj, dlaczego. Nawet z nikim się nie widziałem. Tak się złożyło, że byłem w Marsylii i pod wpływem impulsu wsiadłem na prom.

Guido uśmiechnął się. — Ty zrobiłeś coś pod wpływem impulsu?

Odwzajemnił uśmiech, zmęczony i nikły. — Porozmawiamy o tym dzisiaj

wieczorem. Gdzie to łóżko?

Guido siedział przy stole, czekając aż Pietro wróci z targu. Pensjonat miał tylko sześć pokoi, ale panował w nim ruch, a w porze lunchu i kolacji odwiedzało go wielu okolicznych mieszkańców. Julia to zapoczątkowała, szybko zdobywając dla lokalu reputację restauracji, gdzie podaje się proste, znakomicie przygotowane posiłki. Jej potrawka z zająca po maltańsku stała się znana w całym rejonie, a ona szybko opanowała tajniki miejscowych przepisów. Po jej śmierci Guido przejął kuchnię i ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że nawet jakoś mu idzie. Klientela pozostała wierna, początkowo być może z litości, ale później ze względu na jakość potraw.

Guido był ciekaw, co stało się z Creasym. Zrozumienie tego człowieka nigdy nie było łatwe, ale nikt nie znał go lepiej niż on. Wątpił, aby mogła to być kobieta. Przez wszystkie te lata nigdy nie zauważył, żeby kobieta wywarła na Creasym więcej niż przelotne wrażenie. Nawet przed dwudziestu laty, kiedy Creasy związał się z francuską pielęgniarką w Algierii. Guido myślał wtedy, że to coś poważnego, ale po trzech miesiącach go rzuciła.

— To tak, jakby próbować otworzyć drzwi za pomocą złego klucza — oświadczyła Guido. — Wchodzi w zamek, ale nie da się przekręcić.

Guido powtórzył tę uwagę Creasy'emu, który stwierdził po prostu: — Może zamek zardzewiał.

Guido wątpił również, aby Creasy brał udział w jakimś wydarzeniu, które odcisnęło się na nim tak straszliwym piętnem. Nawet po długim życiu pełnym wydarzeń, jakie bardzo niewielu ludzi pozostawiają nietkniętymi, Creasy zawsze był tym samym Creasym.

Teraz spał w pokoju Guido. Po dziesięciu minutach zajrzał do niego. Leżał na boku z kołdrą zsuniętą do bioder, bo w pokoju było gorąco, więc Guido postanowił przyjrzeć mu się po kryjomu. Ciało pokrywała schodząca opalenizna, a wszystkie blizny były stare. Na plecach miał ledwo widoczne, blade pręgi, które zginały się po obu stronach brzucha. Małe ślady ukłuc pod lewymi żebrami. Zewnętrzne strony dłoni pocętkowane były bliznami po oparzeniach. Wiedział, że na jednej z nóg pod kołdrą widniała pozostałość po fatalnie zszytej ranie nad kolanem, która ciągnęła się prawie do krocza. Twarz też nie uszła cało: cienka blizna biegła pionowo od prawej brwi, aż do linii włosów, a druga mniejsza była widoczna po lewej stronie szczęki.

Guido znał je wszystkie, podobnie jak historię każdej z nich. Nie było niczego nowego. Ciało śpiącego mężczyzny przeszło wiele urazów, ale nigdy nie były to samo-okaleczenia.

Te myśli przerwał Pietro, wchodząc do kuchni z dwoma koszykami pod pachami. Zatrzymał się, zdziwiony widokiem Guido.



— Spodziewałem się ciebie dzisiaj, ale później — powiedział, stawiając kosze na stole.

— Stary przyjaciel — wyjaśnił Guido, zaglądając do koszyków.

Pietro zaczął wyładowywać owoce i warzywa.

— Musi być bliskim przyjacielem, skoro tak szybko odciągnął cię od łóżka chorej matki.

— Owszem, jest — przyznał Guido. — Teraz śpi.

Pietro z trudem zwalczył ciekawość. Pracował dla Guido od czterech lat, od chwili kiedy został przez niego przyłapany na kradzieży kołpaków z jego samochodu. Potem Guido dowiedział się, że jest bezdomny i zabrał go z sobą do *pensione*, nakarmił oraz dał pryczę pod gwiazdami.

Nie wiedział ani wówczas, ani teraz, że Guido widział w nim siebie samego w tym wieku.

Guido traktował chłopaka tak samo, jak tamtego pierwszego dnia — gburowato, zawsze oschle i bez najmniejszego śladu uczucia. Pietro odwzajemniał się swoją zuchwałą, pozbawioną szacunku, postawą. Obaj byli świadomi istnienia pewnego utajonego uczucia. Z upływem lat Pietro praktycznie stał się prawą ręką Guido i z pomocą dwóch podstarzałych kelnerów, którzy przychodzili podać obiad oraz kolację, wspólnie prowadzili *pensione*.

Pomimo iż od dawna razem mieszkali, Pietro niewiele wiedział o przeszłości Guido. Od czasu do czasu jego matka przyjeżdżała do *pensione* i bez przerwy opowiadała o bracie Guido, rodzinie w Mediolanie, a także o Julii, która zmarła przed pięciu laty. Ale dziwnie milczała na temat przeszłości samego Guido. Pietro wiedział, że płynnie mówi po francusku i niezłe włada angielskim, a nawet arabskim, więc zakładał, że kiedyś musiał dużo podróżować. Nigdy nie zadawał żadnych pytań. Udzieliła mu się małowówność Guido.

Przybysz intrygował go. Kiedy tuż przed północą odezwał się dzwonek, myślał, że to Guido wrócił wcześniej. Wysoki mężczyzna, stojący w świetle lampy sprawiał groźne wrażenie.

— Czy jest Guido? — zapytał. Pietro zauważył akcent neapolitański.

Pokręcił głową.

— Kiedy wróci?

Pietro wzruszył ramionami. Mężczyzna nie wydawał się być zaskoczony chłodnym przyjęciem.

— Poczekam — powiedział, przeszedł obok chłopca i udał się na górę, a następnie prosto na taras.

Pietro popadł w kilkuminutowe zamyślenie, a potem udał się za nim. Czuł, że powinien być zły, zażądać wyjaśnień, ale czuł niewytłumaczalny respekt dla przybysza. Mężczyzna siedział w jednym z wiklinowych krzeseł. Patrzył w dół

na światła miasta. Jego maniery i zachowanie przypominały mu Guido.

Zapytał gościa czy może mu czymś służyć.

— Whisky — padła odpowiedź. — Butelkę, jeżeli macie.

Przyniósł butelkę oraz szklaneczkę i po ponownym zastanowieniu, zwyczajnie zapytał go o nazwisko.

— Creasy — odpowiedział. — A twoje?

— Pietro. Pomagam tu Guido.

Mężczyzna nalał whisky, wypił łyk i posłał chłopcu twarde spojrzenie.

— Idź do łóżka. Niczego nie ukradnę.

Pietro zszedł więc na dół i pomimo późnej pory zadzwonił do Guido, który był u matki. Guido powiedział: — Dobrze, kładź się. Wracam jutro.

Przygotowywali lunch, kiedy Guido zaskoczył chłopaka nagłą uwagą: — To Amerykanin.

— Kto?

Guido pokazał na sufit. — Mój przyjaciel, Creasy.

— Świetnie mówi po włosku, z akcentem neapolitańskim.

Guido przytaknął. — Sam go nauczyłem.

Pietro był jeszcze bardziej zaskoczony; Guido się wręcz rozgadał.

— Byliśmy razem w Legii, a także potem, dopóki się nie ożeniłem osiem lat temu.

— W Legii?

— W Legii Cudzoziemskiej — powiedział Guido. — Francuskiej.

Chłopiec poczuł podniecenie. Dla niego, jak dla większości ludzi, słowa te kojarzyły się z piaszczystymi wydmami, odciętymi od świata fortecami, niepożądaną miłością.

— Zaciągnąłem się w 1955 roku w Marsylii. — Guido uśmiechnął się na widok rosnącego zainteresowania w wyrazie twarzy chłopca. — I zostałem na sześć lat. — Przestał kroić warzywa, a wspomnienie nieco zmiękczyło jego zwykle kamienną twarz.

— To nie było tak, jak myślisz. Nigdy nie jest. Spędziłem tam wspaniałe lata... najlepsze.

Pojawienie się Creasy'ego i oczywista ciekawość chłopca przywołały w pamięci Guido rok 1945. Ma jedenaście lat. Ojciec ginie w północnej Afryce. Sześcioletni brat jest stale głodny, on również. Matka, której wiara i fatalizm sprawiają, że jej jedyną reakcją na nieszczęście jest coraz gorliwsza i dłuższa modlitwa w kościele w Posilano.

Guido nie zadowolili się wiarą. Przeszedł pięćdziesiąt kilometrów do Neapolu. Wiedział, że byli tam Amerykanie, czyli musiała być również żywność.

Został jednym z całej armii złodziei i odkrył, że ma dar ku temu. Był inteligentny i jeśli nie mógł czegoś wyżebrać, kradł. Szybko zadomowił się, sypiając w kącie piwnicy, wśród pół tuzina innych uliczników. Szybko rozgryzł Amerykanów, poznał ich słabości i momenty szczodroblewości.

Nauczył się tego, w których restauracjach jadają, w których barach popijają, w których burdelach szukają zaspokojenia i z którymi kobietami. Przekonał się o jakiej porze najlepiej żebrać: kiedy drink podsycił ich hojność; i o jakiej najlepiej kraść: kiedy seks i pożądanie odwracają ich uwagę. Opanował każde zakole czy róg wąskich, brukowanych ulic i przetrwał. Raz w tygodniu ruszał pieszo nadbrzeżną drogą do Posilano, niosąc czekoladę, pieniądze i puszki z mięsem. Elio już nie głodował, a matka modliła się i zapalała świece w kościele — jej wiara zyskała uzasadnienie, a modlitwy zostały wysłuchane.

Głód i konieczność nie są najlepszymi nauczycielami moralności. Społeczeństwo, które nie zaspokaja podstawowych potrzeb życiowych nie może liczyć na przestrzeganie swoich praw. Guido nigdy już nie zamieszkał w Posilano. Neapol stał się dla niego szkołą, jadalnią i horyzontem jego przyszłości. Na początku po prostu jakoś egzystował, żyjąc jak gryzoń na miejskim śmietniku. Zanim skończył piętnaście lat, przewodził już tuzinowi takich jak on i organizował ich w gangi, kradnące wszystko, czego nie dało się zaryglować lub zabetonować. Dzieciństwo po prostu go ominęło. Nie wiedział nic o dziecięcych zabawach czy emocjach. „Dobro” oznaczało najpierw przetrwanie, a potem posiadanie. „Zło” było słabością lub przyłapaniem na gorącym uczynku. Wcześniej nauczył się, że śmiałość jest kluczem do przywództwa.

Amerykanie wyzwolili miasto, a wraz z nimi pojawiła się przestępczość. Za czasów faszystów, najpierw włoskich, a później niemieckich, łupem kryminalistów padały nędzne drobiazgi. Bez ochrony uczciwego, demokratycznego, a więc i podatnego na wpływy wymiaru sprawiedliwości, stracili na sile. Nawet najwięksi *mafioso* byli rozstrzeliwani lub zamykani w więzieniu, ale wraz z nimi trafiało tam wielu niewinnych. Sprawiedliwość i przestępczość powróciły do Włoch jednocześnie.

Na początku lat pięćdziesiątych mafia znowu odzyskała dawną pozycję. Prostytutki znów znalazły się pod kontrolą. Szefowie przydzielali im dzielnice, wyznaczali stręczycieli i pobierali swoje procenty. Usuwano zniszczenia wojenne. Plan Marshalla finansował odbudowę, a szefowie mafii dostawali swoje działki. Restauracje, sklepy, taksówki i właściciele lokali zaczęli mieć dochody, a *mafioso* chronili ich przed przestępcami i naturalnie kazali sobie płacić za te usługi.

Guido świetnie wpasował się w ten układ. Ze swoim dobrze zorganizowanym gangiem podrostków działał niczym instrument w odrodzonej strukturze. Był uznawany i nagradzany jako dorastający młody człowiek. Jego szczególną

wartość stanowiła przemoc — skalkulowana i beznamiętna w realizacji. Wcześniej odebrał lekcję, która nauczyła go, że czyjaś uwagę najłatwiej przyciąga się niespodziewanym bólem. Mawiał swoim podopiecznym:

— Zawsze najpierw odwet.

Przydzielono mu teren za przystanią i jego głównym zadaniem było „tłumaczenie” właścicielom drobnych interesów, że ochrona jest konieczna. Zaczął prosperować i jako dodatkową nagrodę otrzymał pozwolenie działania także na terenie samej przystani. Wraz z gangiem uprawiał złodziejstwo na wielką skalę. Kiedy towary i sprzęt dla powojennej odbudowy przyływały do portu, spora ich część zniknęła i zwykle sprzedawana była pierwotnym adresatom. Za zyski kupił budynek, w którym teraz mieścił się pensjonat.

Był to dobrze zbudowany, przestronny dom zamożnego kupca, miał ładny, duży taras, wychodzący na zatokę. Kupiec zmarł, a jego dwaj synowie, którzy byli faszystami, zginęli w zamieszaniu pod koniec wojny. Dom przeszedł na siostrzeńca, również faszystę — tyle że wcale nie zagubionego. Zdecydował się wyjechać do Ameryki, a za pieniądze uzyskane z domu mógł sobie załatwić potrzebne papiery.

Guido kupił go na nazwisko matki, bo sam był jeszcze nieletni. Następnie podzielił wielkie pokoje i urządził burdel dla oficerów amerykańskich. Działał doskonale i znany był pod swojską nazwą „Splendide”. Matka Guido, nieświadoma niczego, zanosila pieniądze do banku i modliła się w kościele.

Z nadejściem roku 1954 Guido wypracował sobie pozycję, która pozwoliła mu wspiąć się w strukturze i przewidywał, iż czeka go długa, zawrotna kariera. Ale bossowie ponad nim w miarę pomnażania majątku zaczęli się kłócić, a w końcu i walczyć. Struktura w skali całego kraju nie była jednak tak umocniona i zdyscyplinowana jak przed wojną. Starzy *mafioso* z południa nie zdołali jeszcze narzucić swojej władzy. Zaczynało im się to udawać w Rzymie i na przemysłowej północy, ale Neapol zostawili sobie na koniec. Było to tradycyjnie najmniej uległe miasto włoskie, a przestępcy nie stanowili pod tym względem wyjątku.

W Neapolu o władzę walczyły dwie rodziny. Guido musiał dokonać wyboru i popełnił pierwszy błąd w swojej obiecującej karierze. Związał się z szefem o nazwisku Vagnino i było to może naturalne, bo siła Vagnina leżała w prostytucji oraz przystani. Ale Vagnino był stary, spędził zbyt wiele czasu w więzieniu i brakowało mu siły woli. W konsekwencji wojna skończyła się źle dla Guido i jego gangu. Znajdując się nisko na ogólnej drabinie, stale trafiali na przednią linię frontu. W przeciągu miesiąca połowa jego gangu zginęła lub zdezerterowała, a on sam wylądował w szpitalu z plecami i poślądkami podziurawionymi ołowiem z broni palnej. Miał szczęście — mogli go wynieść nogami do przodu.

Podczas gdy leżał na brzuchu, jego szef Vagnino, zmęczony i nieostrożny, wpadł na kolację do niewłaściwej restauracji i został zastrzelony nim skończył *fritto misto*.

W tym czasie policja urządziła spóźniony popis swojej władzy. Gazety i politycy domagali się akcji. Niejaki Floriano Conti zawarł układ z prokuratorem publicznym.

Po dostarczeniu dowodów wybrany tuzin niskich rangą przywódców został osądzony i posłany do więzienia. Guido był wśród nich. Siedząc sztywno i z przygnębieniem w klatce na sali sądowej, wysłuchał jak sędzia skazuje go na dwa lata paki. Miał osiemnaście lat.

Więzienie okazało się straszliwym szokiem. Nie z powodu niewygód i poniżenia — dorastanie przyzwyczało go do tego. Stwierdził, że cierpi na łagodną, ale zdecydowaną klaustrofobię, która objawiała się ostrą depresją. Ówczesny system penitencjarny we Włoszech nie przyjmował takich problemów do wiadomości.

Po zwolnieniu został w Positano na dwa miesiące. Nie w domu matki, lecz na wzgórzach nad miastem, śpiąc pod gołym niebem, wysoko ponad skałami, mając bezkresne morze przed sobą i łańcuch górski za plecami. Powoli doszedł do siebie i postanowił, że nigdy więcej do tego nie dopuści. Doświadczenie to wcale go nie zreformowało, ale przekonało, że przyłapanie na przestępstwie nie stanowi żadnego wyjścia. Przebywając tam na łonie natury, zastanawiał się także nad własną przyszłością. Burdel „Splendide” w Neapolu został zamknięty przez policję; budynek nie był zamieszkały i nie przynosił żadnych zysków. Przez minione dwa lata Conti zacieśnił kontrolę nad miastem oraz scementował sojusze z wpływowymi figurami, zarówno w policji, jak i w lokalnym samorządzie. Guido wiedział, że wznowienie interesu w „Splendide” wymagało milczącej aprobaty Contiego, więc natychmiast po zjawieniu się w Neapolu, poprosił o spotkanie.

Conti był jeszcze młodym człowiekiem, miał dwadzieścia kilka lat i należał do grupy nowych szefów. Przemocą ustaliwszy swój teren, przyjął następnie pozę praktycznego biznesmena. Zdawał sobie sprawę, że realizacja tego wymagała dogadania się z innymi szefami w całym kraju. Chodziło o współpracę i kiedy zjawili się emisariusze z Palermo, przystał na serię spotkań, aby ustalić sfery wpływów oraz hierarchię władzy.

Te spotkania w latach 1953–54 dziwnie przypominały wybór papieża — odbywały się w wielkiej tajemnicy, a ich rezultaty ogłaszano w sposób skromniejszy niż pyknięcie dymu. Przepychankom o pozycje towarzyszyły rozliczne oszustwa. Twardzi tradycjoniści z Kalabrii nie życzyli sobie, aby bardziej bywali szefowie z Mediolanu i Turynu mieli zbyt wiele władzy. Podobnie ci z centrum, Rzymu i Neapolu, chcieli mieć więcej do powiedzenia, niż przed wojną. Wszyscy zgadzali się, że musi być porządek i struktura oraz potrzebny jest arbiter — co w efekcie oznaczało człowieka o największych wpływach.

Bossowie z północy nie akceptowali Kalabryjczyków i vice versa. Morettiego z Rzymu uważano za zbyt słabego, a Conti był za młody.

Jak zwykle w takich okolicznościach, osiągnięto kompromis. Spotkania były inicjowane i organizowane z Palermo. Tamtejszym bossem był Cantarella. Niski

mężczyzna o nienagannych manierach. Miał ambicje, aby z Palermo uczynić centrum. W wyniku kompromisu został tymczasowym arbitrem. Nikt z obecnych nie docenił w pełni jego sprytu oraz politycznego geniuszu i nie zdawał sobie sprawy, że przez ponad dwadzieścia następných lat zalety te pozwolą mu na utrzymanie i umacnianie swojej pozycji.

Guido był bardzo miło zaskoczony ciepłym przyjęciem Contiego, a prosto i praktycznie urządzone biura zrobiły na nim spore wrażenie. Brutalność sprzed dwóch lat naprawdę należała już do przeszłości. Co było to było, zapewnił go Conti. Teraz sprawy miały się inaczej. Oczywiście, że powinien ponownie otworzyć „Splendide”. Będą współpracować. Jakoś się dogadają co do spraw finansowych.

Guido wyszedł z biura pewny siebie. Ale źle ułożył tę ufność. Conti wcale mu nie wybaczył. Guido ze swoim gangiem stanowił dwa lata wcześniej główną broń opozycji i nie wolno było pozwolić mu na odzyskanie znaczenia.

Ale jeden z pierwszych dekretów z Palermo stanowił, iż wewnętrzne bratobójstwo należy ograniczyć do minimum. Conti nie czuł się jeszcze na tyle silny, aby sprzeciwić się arbitrowi. Znalazł oczywiście wyjście. Niech sobie Guido otworzy znowu swój burdel, ale w odpowiednim czasie Conti wycofa wsparcie. Policja wykona robotę za niego, a dzięki znajomościom w sądownictwie upewni się, że Guido pójdzie siedzieć na długi czas. Było to nowoczesne, postępowe rozwiązanie.

\* \* \*

Guido nie wyjaśnił tego wszystkiego Pietro. Zaczął swoją opowieść od chwili, kiedy ostrzeżono go, iż traci ochronę i ma zostać zwinięty przez policję. Nigdy nie dowiedział się, kto zadzwonił do niego owego wieczoru, ale najwyraźniej Conti miał osobistych wrogów. Była to straszliwa chwila. Zdał sobie sprawę, że Conti mu nie wybaczył i zastanowił się nad ewentualnościami. Wyglądały raczej nieciekawie: mógł się ukryć, ale nie na długo. W końcu zostałby znaleziony albo przez policję, albo przez ludzi Contiego. Mógłby walczyć, ale nie miał szans na zwycięstwo. No i ostatecznie istniała możliwość wyjazdu z kraju. Nie ufał wymiarowi sprawiedliwości. Więzienie nie wchodziło w rachubę.

Napisał list do matki, podając jej nazwisko uczciwego prawnika w Neapolu i prosząc ją, aby kazała mu wynająć posiadłość, upewniwszy się, że dochody przeznaczone zostaną na jej utrzymanie oraz dalszą edukację Elia. Zakończył informacją, że wyjeżdża, być może na długo. Następnie udał się na przystań, gdzie stale jeszcze miał przyjaciół, mogących go ukryć, nawet gdyby chodziło tylko

o parę dni.

Matka otrzymała list następnego dnia i poszła do kościoła pomodlić się. Jeszcze tego wieczoru Guido został przeschmuglowany na pokładzie frachtowca, a dwa dni później w podobny sposób opuścił Marsylię. Miał dwadzieścia lat, bardzo mało pieniędzy oraz żadnych widoków. Następnego dnia zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej i w przeciągu tygodnia posłano go do algierskiego obozu dla rekrutów w Sidi-bel-Abbes.

— Bałeś się? — zapytał Pietro. — Wiedziałeś, czego się spodziewać?

Guido pokręcił głową, a wspomnienie wywołało krótki uśmiech.

— Słyszałem o Legii różne rzeczy i myślałem, że będzie to straszne, ale nie miałem wyjścia. Byłem bez dokumentów, nie mówiłem żadnym językiem poza włoskim i miałem bardzo mało pieniędzy. A poza tym, wymyśliłem sobie, że za rok czy dwa zdezerteruję i wrócę do Neapolu.

Ale to wcale nie wyglądało tak, jak mówiono. Oczywiście, że było ciężko, zwłaszcza w pierwszych tygodniach. Dyscyplina była żelazna. Guido był jednak twardy i trening rozwinął śpiące w nim talenty. Z dyscypliną musiał się pogodzić, bo przecież nie miał innego wyjścia. Za nie wykonanie rozkazów groziło odesłanie do batalionu karnego, który był prawdziwym piekłem na ziemi, a za mniejsze wykroczenia, areszt, co w jego przypadku byłoby jeszcze gorsze. Dokładnie wykonywał więc wszystkie rozkazy, stając się przykładem dla innych rekrutów, co zaskoczyłoby wielu ludzi w Neapolu.

Jego również czekały niespodzianki. Pierwszą było wyżywienie — urozmaicone i doskonałe, łącznie z dobrym winem z winnicy będącej własnością Legii. Jego błędne wyobrażenie o Legii jako jakiejś staroświeckiej, romantycznej armii pustynnej zostało szybko rozwiane. Byli nowocześni i dysponowali najnowszym sprzętem. Oficerowie stanowili śmietankę wojska francuskiego. Podoficerowie, awansowani spośród szeregowców, byli weteranami z różnych armii europejskich i wcześniej zahartowani zostali w bojach na całym świecie. Znajdował się tam duży kontyngent niemiecki, którego zbiorowa pamięć sięgała jedynie 1945 roku. Byli też, ludzie z Europy wschodniej, którzy nie chcieli lub nie mogli wrócić za Żelazną Kurtynę. Republikańscy Hiszpanie. Paru Holendrów, Skandynawów, kilku Belgów, grupa mężczyzn, którzy prawdopodobnie byli Francuzami, choć Legia nie przyjmowała obywateli francuskich, z wyjątkiem oficerów. Było zaledwie paru Brytyjczyków i tylko jeden Amerykanin.

Legia zreformowała się po jatce Wietnamu i Dien Bien Phu. Kilka tysięcy żołnierzy dostało się w Wietnamie do niewoli, a ponad półtora tysiąca zginęło. Dzieje Legii wypełniały przegrane, ostateczne, daremne bitwy.

Takiej armii można było wybaczyć brak celu lub morale, ale dla Guido była to kolejna niespodzianka, ponieważ Legia sama stwarzała sobie cel. Czerpiąc siły ze swojego braku nacjonalizmu, tworzyła własną tożsamość. Legionista był psychicznym sierotą — a sama Legia rodzajem sierocińca. Guido odkrył, że była to

jedyna armia na świecie, która nie przenosiła żołnierzy w stan spoczynku. Kiedy legionista stawał się zbyt stary aby walczyć, jeżeli chciał, mógł zostać w kwaterze Legii, pracować w jej winnicy lub warsztacie rzemieślniczym. Nigdy nie zmuszono go do powrotu do świata, który kiedyś odrzucił.

Francuzi byli dumni z Legii. W tym czasie drobne, niskie ciało Guido nabrało siły i sprężystości. Ciężka praca i dobre wyżywienie sprawiły, że jeszcze nigdy nie był w tak świetnej formie. Pomału zaczął być z tego dumny, bo, jak wielu młodych ludzi, nie zdawał sobie sprawy ze swoich fizycznych możliwości. Legia od dawna słynęła z tego, że była najlepiej maszerującą armią świata. W przeciągu miesiąca Guido miał za sobą przejście pierwszej ponad trzydziestokilometrowej trasy z dwudziestoma pięcioma kilogramami ekwipunku. Dumny był również ze sposobu, w jaki radził sobie z bronią, a zwłaszcza z lekkim karabinem maszynowym. Zadowolony był z jego mocy i pociągła go w nim łatwość przenoszenia. Nie uchodziło to uwadze instruktorów.

Był to okres przystosowania się psychicznego. Zawsze był małomówny i zamknięty w sobie, a teraz te cechy jego charakteru uległy jeszcze pogłębieniu. Nie zaprzyjaźnił się z innymi rekrutami. Był jedynym Włochem w swoim poborze i usiłując opanować francuski, czuł się wśród nich obco. Na samym początku sprawdzono czy da zrobić z siebie popychadło. Zareagował gwałtownie i bezkompromisowo. Wysoki Holender, zaczął go o jeden raz za dużo. Guido złamał mu szczękę. Dyscyplina nie została jednak złamana. Prowadzący ćwiczenia podoficerowie pozwalali, aby tego rodzaju rzeczy miały miejsce. Chcieli wiedzieć, kto ile zniesie.

Po tym zdarzeniu Guido zostawiono w spokoju, a instruktorzy uznali, że Włoch może wyrosnąć na dobrego legionistę. Po ćwiczeniach zgłosił się na ochotnika do Pierwszego Pułku Spadochronowego, który stacjonował w Zeraldzie, niecałe trzydzieści pięć kilometrów na zachód od Algieru. Wojna algierska przekształcała się w poważną konfrontację, a Legia była, oczywiście, na pierwszej linii frontu. Pułk miał się stać zwycięską i budzącą największy lęk jednostką wojsk francuskich. Guido został przydzielony do Kompanii B. Sierżant kompanii właśnie powrócił do aktywnej służby po spędzeniu dziewięciu miesięcy w obozie dla jeńców wojennych w Wietnamie. Do niewoli dostał się w Dien Bien Phu. Był to Amerykanin o nazwisku Creasy.

Dopiero po upływie kilku miesięcy poczuli, że coś ich łączy. Na początku dzieliła ich przepaść — Guido, nie wypróbowany legionista i Creasy, odznaczony weteran z Wietnamu. Ale mieli podobne charaktery: obaj małomówni i skryci, unikający normalnych kontaktów, intensywnie pragnący prywatności w warunkach, w których było o nią bardzo trudno.

Pierwszy raz Creasy przemówił do niego — jeśli nie liczyć wydawanych rozkazów — po akcji w pobliżu miasta o nazwie Palestro. Patrol francuskich poborowych wpadł w zasadzkę zastawioną przez Arabów i wielu zginęło. Legię wysłano



z odsieczą. Pułk dotarł na miejsce jako pierwszy. Kompanii B przydzielono zadanie odcięcia trasy ucieczki i Guido po raz pierwszy zobaczył akcję. Czuł się zagubiony w zamieszaniu bitewnym, ale to prędko minęło i zrobił świetny użytek ze swojej broni. Jednostka FLN została rozniesiona.

Tamtej nocy kompania obozowała na wzgórzach nad Palestro i kiedy Guido jadł swoją polową rację, Creasy przyszedł, usiadł koło niego i trochę porozmawiał. Był to tylko gest sierżanta kompanii, który chciał dać do zrozumienia jednemu z nowych ludzi, że dobrze się spisał w swojej pierwszej akcji, ale ten kontakt sprawił Guido w dobre samopoczucie. Miał już głęboki szacunek dla Creasy'ego, ale to było w Legii powszechne. Amerykanin znany był jako doskonały legionista, specjalista od wszelkiego rodzaju broni i urodzony taktyk. Guido wiedział, że przez sześć lat walczył w Wietnamie, a przedtem służył w piechocie morskiej USA, chociaż nie wiadomo było, jak długo. Jego ulubioną bronią były granat oraz karabin maszynowy i zawsze wydawał się mieć przy sobie więcej granatów tudzież zapasowych magazynków, niż ktokolwiek inny.

Wkrótce po Palestro kompanię znowu rzucono przeciwko wycofującej się jednostce FLN. Tym razem FLN udało się uciec, a wieczorem Creasy znowu przyniósł swoją rację i usiadł koło Guido. Rozmawiali o broni strzeleckiej i jej skuteczności. Guido stale chodził z kilkoma zapasowymi magazynkami do broni bocznej. Creasy powiedział mu, że to tylko zbędny ciężar. Pistolet jest skuteczny tylko jako broń, którą można ukryć. Podczas bitwy ukrywanie go staje się niepotrzebne. Natomiast karabin był idealną bronią w bezpośredniej walce. Creasy poradził mu, żeby zapomniał o pistolecie i nosił przy sobie więcej magazynków do karabinu.

Guido był pojętym uczniem, a Creasy stał się jego idolem. Kiedyś powtórzono mu uwagę, jaką pułkownik Bigeard wygłosił obejrzawszy jak Creasy broni pozycji w Dien Bien Phu: „To najbardziej skuteczny żołnierz, jakiego kiedykolwiek widziałem”.

Tak więc Guido wziął sobie radę do serca i postanowił upodobnić się do sierżanta, a nim w styczniu 1957 roku doszło do bitwy o Algier, wyróżnił się i awansowano go do stopnia starszego szeregowego. Rok później został dowodzącym podoficerem i przyjaźń między nimi zmieniła się w coś trwałego. Był to powolny proces. Początkowo byli nieświadomi tego, co się działo. Wymieniali zaledwie kilka słów, a i one przeważnie dotyczyły wyłącznie spraw wojskowych, ale w miarę poszerzania się wiedzy Guido, rozmowy miały w sobie coraz mniej ze stosunku nauczyciel-uczeń, a zaczynały przypominać konwersacje równych partnerów. Obaj zdali sobie również sprawę, że chwile milczenia nie są ani trochę deprymujące czy napięte i wówczas właśnie każdy z nich stwierdził ku własnemu zaskoczeniu, że oto znalazł przyjaciela.

W tym czasie pułkiem dowodził pułkownik Dufour i w miarę narastania działań wojennych zauważył on zarówno zdolności obu mężczyzn, jak i ich przyjaźń. Pułk bezustannie znajdował się w akcji, a jednostki Guido i Creasy'ego wysyłano

razem kiedy tylko było to możliwe. Wkrótce znani byli w całej Legii.

Kiedy stało się jasne, że de Gaulle planował polityczne zakończenie wojny, biali osadnicy, *pieds noir*, zareagowali z furją. Wzniesli barykady w Algierze i stawili opór wojsku. Wielu zawodowych żołnierzy czuło do nich sympatię, zwłaszcza w oddziałach spadochroniarzy.

Żandarmi otrzymali rozkaz usunięcia barykad i dwie jednostki wysłano jako wsparcie, a jednym z nich był pułk Legii. Oba oddziały wcale nie paliły się do strzelania do Francuzów i żandarmi ponieśli duże straty w zabitych i rannych. Pułkownik Dufour został zwolniony ze stanowiska, ale zamiast zastąpić go gaullistą, sztab oddał tymczasowe dowództwo w ręce Elii Denoix de St Marc. St Marc stanowił wzór oficera Legii. Twardy idealista, bezkompromisowo dzielny, był uwielbiany przez swoich ludzi i mógł poprowadzić ich wszędzie. Jego wybór padł jednak na „bunt generałów” przeciwko de Gaullovi w 1961 roku, a Pułk stał się kamieniem węgielnym generalskich planów. Mieli nadzieję, że reszta Legii weźmie z nich przykład, ale przeliczyli się, bo jedynie pułk pod dowództwem St Marca aktywnie wystąpił przeciwko rządowi, a nawet aresztował Gambieza, Naczelnego Dowódcę Armii.

Bunt upadł 27 kwietnia 1961 roku i tysiąc dwustu legionistów dynamitem wysadziło swoje koszary oraz wystrzelało całą amunicję w powietrze. *Pieds noir* stali wzdłuż trasy i szlochali, kiedy oddziały opuszczały Zeraldę, śpiewając *Je ne regrette rien*<sup>1</sup> Edith Piaf.

Pułk został rozwiązany. Walcząc dla Francji stracił trzystu ludzi, ale de Gaulle był w mściwym nastroju. Żołnierzy pułku wchłonęły inne oddziały Legii. Oficerowie uciekali, aby wstąpić do OAS, podziemnej armii ekstremistów lub poddawali się i stawali przed sądem za bunt. Najstarszych podoficerów zdemobilizowano — wśród nich byli Creasy i Guido.

Robili tylko to, czego ich nauczono: słuchali swoich oficerów.

— Wyrzucili cię? — zapytał Pietro z niedowierzaniem. — Chociaż wykonywałeś tylko rozkazy?

Guido wzruszył ramionami. — Był to czas wielkich emocji politycznych. W pewnym momencie mieliśmy nawet zrobić desant spadochronowy na Paryż, żeby aresztować de Gaullea. Francja była przerażona i miała ku temu poważne powody. W owym czasie Legia liczyła sobie ponad trzydzieści tysięcy ludzi, więc nikt by nas nie powstrzymał, gdybyśmy działali jako całość.

Przez chwilę pracował w milczeniu, a potem ciągnął dalej.

— Francuzi po raz pierwszy zdali sobie sprawę, że Legia może stanowić nie lada zagrożenie dla samej Francji. Dlatego, nawet do dzisiaj, główna część Le-

---

<sup>1</sup>(fr.) Niczego nie żałuję — [przyp. red.].

gii ma bazę na Korsyce, a resztę rozmieszczono w innych miejscach, z dala od terytorium Francji.

— Co wtedy zrobiłeś? — zapytał chłopak.

— Trzymaliśmy się z Creasym razem. Całe szkolenie, jakie przeszliśmy związane było z wojskiem. Ja nadal byłem poszukiwany przez włoską policję, Creasy nie miał dokąd się udać. Poszukaliśmy więc wojny i znaleźliśmy ją w Katandze.

— Katandze?

Guido uśmiechnął się. — Stale zapominam, jaki jesteś młody. Katanga była prowincją Konga Belgijskiego. Teraz nazywa się Shaba. Kiedy Belgowie wycofali się w 1961 roku, Katanga spróbowała się oderwać. Zamieszkuje ją inne plemię i tam znajduje się większość bogactw naturalnych. Wielu najemników zgłosiło chęć walki w Katandze.

Spotkali francuskiego pułkownika z byłego oddziału spadochroniarzy o nazwisku Trinquier. Znał ich z Algierii i był zachwycony, mogąc zwerbować tak doświadczonych ludzi. Tak więc zostali najemnikami, co właściwie nie wiązało się z żadnymi zmianami, tyle że tęsknili za Legią. To wspólne poczucie straty zbliżyło ich jeszcze bardziej i nawiązali przyjaźń, jaka rzadko zdarza się osobom tej samej płci. Ich talenty bitewne szybko stały się legendą wśród innych najemników. Byli tak zgrani, że wykonywali ruchy i walczyli niczym jeden człowiek, prawie w ogóle się nie porozumiewając. Okazali się szczególnie sprawni w „czyszczeniu budynków”, czyli prowadzeniu walk w mieście. Posiadali swoje własne techniki, jeden drugiego krył i przeskakiwali z pokoju do pokoju lub z budynku do budynku w tak precyzyjnym rytmie, że inni najemnicy stawali i przypatrywali im się z podziwem. Z zastosowania granatów i karabinu maszynowego uczynili prawdziwą sztukę.

Po nieudanej secesji Katangi dołączyli do najemników w Jemenie, pod dowództwem Denarda, ale znaleźli się znowu w Kongu jak tylko Czombe powrócił z wygnania. Denard dowodził francuskim 6. Komandem, w którym Guido i Creasy walczyli przez całą bezładną, pokreconą wojnę, aż do triumfu Mobutu. Wówczas wraz z setkami innych najemników wycofali się do Bukavu. Wylądowali w obozie dla internowanych, prowadzonym przez Czerwony Krzyż. Musieli złożyć broń i następne pięć miesięcy stanowiły dla Guido męczarnie. Aby czymś zająć jego umysł, Creasy zaczął go uczyć angielskiego, a Guido rewanżował mu się lekcjami włoskiego. Guido miał pewne trudności z angielskim, natomiast Creasy dowiódł, że ma świetny słuch do języków i szybko opanował włoski. Stopniowo zaczęli rozmawiać ze sobą w tym języku coraz częściej, a mniej więcej rok później zupełnie zrezygnowali z francuskiego.

Po pięciu miesiącach w Kigali zostali repatriowani do Paryża. Dwa tygodnie spędzone w barach i burdelach Pigalle wymazały złe wspomnienia i zaczęli szukać pracy. Najemnicy nie byli zbyt mile widziani w czarnej Afryce. Jeśli nie liczyć miesięcy w obozie jenieckim, Creasy’emu podobało się w Indochinach, więc kie-

dy niejaki major Harry Owens, przeniesiony do rezerwy z armii amerykańskiej, wykonał próbę nawiązania kontaktu, wysłuchali go z zainteresowaniem.

Amerykanie byli w tym czasie głęboko zaangażowani w Wietnamie, a szło im bardzo ciężko. Stawało się jasne, że zwykła przewaga w ludziach i sprzęcie może być niewystarczająca.

Centralna Agencja Wywiadowcza naturalnie miała konkretne pomysły na wygranie wojny i, dysponując ogromnym budżetem, pośpiesznie werbowała prywatne armie, zarówno w Wietnamie Południowym, jak i w sąsiednim Laosie. Potrzebowali instruktorów do Laosu, a dwaj byli sierżanci Legii świetnie się na nich nadawali. Doświadczenia Creasy'ego wyniesione z francuskiego Wietnamu były dodatkową zaletą.

Tak więc znaleźli się w Laosie, oficjalnie prowadząc nadzór załadunku dla amerykańskiej firmy transportowej Air America. Było to przedsiębiorstwo charakterowe, które niby to zajmowało się przewozem towarów w całej południowo-wschodniej Azji. W rzeczywistości, głównie dostarczało sprzęt i żywność dla prywatnych armii CIA.

Creasy i Guido spędzili osiemnaście miesięcy, szkoląc członków plemienia Meo na równinie Jars.

Kiedy sprawy zaczęły się układać coraz gorzej dla Amerykanów, CIA zareagowała, organizując „oddziały wkraczające”. Były to grupy najemników, które najeżdżały Wietnam Pomocny i Kambodżę, aby nękać linie zaopatrzeniowe Wietkongu. Creasy i Guido zostali „awansowani” do jednego z takich oddziałów i wprowadzeni do komputera CIA w Langley w Wirginii jako P.U.X.U.S.P.4o. Oznaczało to „oddział penetrujący o nie amerykańskim składzie osobowym w liczbie czterdziestu ludzi”. Komputer uznał, że nie jest to za długie.

Po koniec roku 1971, P.U.X.U.S.P.4o musiał obejść się tylko trzydziestoma spośród swoich pierwotnych członków. Creasy i Guido postanowili urwać się na dłuższy czas, a może i na dobre. Przeprowadzili dwanaście potajemnych akcji, w których odnieśli po kilka ran każdy. Uzbierali także mnóstwo pieniędzy — komputer był bardzo hojny.

W międzyczasie Guido dowiedział się, że neapolitańską policję można by przekonać aby przestała go poszukiwać, a także, że Conti zrobił majątek i przeniósł swoją bazę do Rzymu, pozostawiając Neapol *mafioso*, który niewiele pamiętał z wypadków roku 1953.

Dwaj najemnicy postanowili odbyć podróż do Europy, aby Guido mógł odwiedzić rodzinę i sprawdzić swoją posiadłość. Potem mieli się rozejrzeć i zobaczyć czy znajdą coś ciekawego.

Guido zastał swój dom w Neapolu w trakcie kapitalnego remontu. Wynajęto go kościołowi na przytułek dla samotnych matek — osobliwy związek z przeszłością. Zatrzymali się u jego matki w Posilano. Elio był na ostatnim roku Uniwersytetu Rzymskiego, gdzie studiował ekonomię. Matka, teraz już staruszka, udała się

do kościoła, aby podziękować za bezpieczny powrót syna i zapaliła z tuzin świec. Taka szczodrość, jej zdaniem, musiała zostać wynagrodzona.

— I tak nadszedł kres moich dni w roli najemnika — powiedział Guido zafascynowanemu chłopcu.

— Kres? Po prostu przestałeś?

— Pojechaliśmy na Malte — krótko odpowiedział Guido — ożeniłem się i wróciłem tutaj.

Pietro zrozumiał, że na razie nie dowie się niczego więcej. Dalej pracowali w milczeniu. Za pół godziny mieli przyjść pierwsi goście na lunch.

### 3

Ettore wybrał się na lunch do Granelliego ze swoim adwokatem. Siedzieli przy na pół odosobnionym stoliku w alkwie i jedli *prosciutto* z melonem, a potem *vitello tonnato*, któremu towarzyszyła butelka Borelo z dobrego rocznika. Było ciut ciężkie do cięćciny, ale Vico je lubił, więc zamówili.

Omawiali problemy finansowe Ettore. Vico nie przejął się zbytnio problemami Ettore. Te sprawy były do załatwienia. Osobiście porozmawia z dyrektorami banków. Ettore nie powinien być pesymistą.

On jednak czuł się spięty. Zawsze tak było gdy przebywał z adwokatem. Vico Mansutti był typem mieszczucha, przystojnym, nienagannie ubranym i cynicznym. Miał na sobie jedwabne, samodziałowe ubranie w delikatne paseczki, szyte, jak wiedział Ettore, przez Huntsmana z Savile Row. Jego koszula z przeźroczystej bawełny pochodziła ze Szwajcarii, jedwabny krawat od Como, a buty od Gucciego. W przypadku Vico nic nie było syntetyczne — przynajmniej od zewnątrz. Chodził z modnie długimi włosami, a czarne wąsy dodawały proporcji jego pociągłej, opalonej twarzy. Podczas gdy rozmawiali jego wzrok dostrzegał każdy ruch w restauracji, a od czasu do czasu odpowiadał na jakieś pozdrowienia, błyskając równymi, białymi zębami. Mając trzydzieści sześć lat, o dwa mniej niż Ettore, uważany był za najlepszego prawnika Mediolanu, cieszącego się najlepszymi znajomościami.

Dlatego też jego słowa uspokoiły Ettore, ale ani trochę nie ulżyły jego poczuciu niższości.

Kelner podszedł, dolał im Barolo, a Ettore poruszył kolejny problem — sprawę Riki, Opowiedział o jej obsesji odnośnie bezpieczeństwa Pinty, a ponieważ Vico był przyjacielem, wyjaśnił również aspekty towarzyskie. Vico słuchał z wyrazem rozbawienia na twarzy.

— Ettore — powiedział, uśmiechając się na widok zatroskanej miny przyjaciela — głęboko ci zazdroszczę. Sprawy, do których podchodzisz jak do problemów to tylko głupstwa, a korzyści, jakie uchodzą twojej uwadze są prawdziwe i ogromne.

— Co ty powiesz? Najwyraźniej jakoś mi umknęły.

Vico odłożył widelec i uniół dłoń, rozczapierzając palce. — Numer jeden

— powiedział, palcem wskazującym prawej ręki dotykając lewego kciuka. — Masz taką reputację, że nawet przy twoim zadłużeniu w bankach, nie przestaną cię wspierać dopóki nie nastąpi poprawa.

— Mówisz o reputacji mojej rodziny — przerwał Ettore — zwłaszcza ojca.

Vico wzruszył ramionami. Dla niego było to jedno i to samo. Przeszedł do następnego palca.

— Numer dwa — dom nad jeziorem Como, który osiem lat temu kupiłeś za osiemdziesiąt milionów lirów dzisiaj jest wart dwieście pięćdziesiąt milionów i cena nadal rośnie.

— Tylko że hipoteka w banku jest obciążona na dwieście milionów — powiedział Ettore.

Jeszcze jedno wzruszenie ramion; palec wykonał ruch.

— Numer trzy, masz córkę, której urok i urodę można porównać jedynie do — kolejny ruch palca — do zalet twojej żony, Riki. A tymczasem siedzisz tu, jakby świat zwał ci się na głowę.

Gestem ręki przywołał kelnera, zamówił kawę i ponownie zwrócił się do Ettore.

— Musisz spojrzeć na wszystko pod innym kątem. Stwarzasz sobie te drobne problemy za bardzo ustępując Rice. To całkowicie naturalne. Każdy mężczyzna, który przyszedł na ten świat robiłby to samo będąc mężem Riki — ja na pewno.

Przerwał, żeby wypić łyk wina, po czym kontynuował. — Popełniłeś błąd, jeśli wolno mi zauważyć, pozwalając Rice na zabranie Finty ze szkoły po porwaniu Carnelity.

— Chwileczkę! — zaprotestował Ettore. — Nic o tym nie wiedziałem. Byłem w Nowym Jorku. Jak wróciłem, gubernantka była już zatrudniona. Rika postawiła mnie przed faktem dokonanym.

Vico uśmiechnął się. — Tak, to prawda, że Rika jest impulsywna, ale wtedy zrobiła z tego prawdziwy dramat. Posłanie teraz Pinty do tej samej szkoły oznaczałoby dla niej przyznanie się do błędu. — Podniósł brew. — Kiedy zdarzyło jej się to po raz ostatni?

Ettore przyjął typowo retoryczne pytanie ze smutnym uśmiechem.

— A więc — ciągnął Vico — jak mówią Chińczycy, pozwól Rice zachować twarz.

— Niby jak — zapytał Ettore — mam to osiągnąć?

Vico wzruszył ramionami. — Zatrudniając ochroniarza.

Ettore popadł w irytację. — Vico. Podobno szkolisz swój umysł w logicznym myśleniu. Właśnie spędziliśmy pół godziny omawiając moją pozycję finansową. Jednym z powodów, dla których poprosiłem cię o ten lunch, jako przyjaciela i adwokata, swojego własnego i Riki, było to, że chcę cię prosić, abyś spróbował wyjaśnić jej realia.

Vico wyciągnął rękę i poklepał dłoń Ettore.

— Moja rozmowa z Rika nie uratuje jej twarzy i to stanowi bezpośredni problem. Poza tym, kiedy sugerowałem ci wynajęcie ochroniarza, nie sprecyzowałem o jaki rodzaj ochroniarza chodzi.

Przerwał im kelner, który przyniósł kawę.

— O czym ty mówisz? — zapytał Ettore, kiedy znowu zostali sami. Vico pochylił się i ściszył głos.

— Ettore, na sprawy porwań należy patrzeć z różnych stron i pod różnymi kątami. Wiesz, że są świetnie organizowane, a często przeprowadzane pod auspicjami zorganizowanej przestępczości. Zrobiono z tego wielki interes — osiemnaście miliardów lirów w zeszłym roku. Kontrolują to wielcy tego świata.

Ettore przytaknął. — Mafia.

Vico mrugnął. — To takie melodramatyczne słowo. Przywodzi na myśl garstkę sycylijskich wieśniaków, kradnących oliwę z oliwek.

Znowu złapał spojrzenie kelnera, zamówił dwa koniaki, sięgnął po skórzaną papierośnicę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął dwa cygara. Z kieszonki na zegarek wychynęła mała, złota gilotynka i cygara zostały starannie przycięte. Podał jedno Ettore, a kelner podszedł z koniakami i ogniem. Vico zaszczyił go uśmiechem, pociągnął z zadowoleniem i powrócił do wykładu.

— Wszystkie rodziny, które czują się zagrożone lub wysyłają dzieci za granicę, zwykle do Szwajcarii, albo załatwiają wielce gruntowną ochronę — specjalnie strzeżone szkoły, kuloodporne samochody — i, oczywiście, wysoce kompetentni ochroniarze.

— Kosztowni ochroniarze — powiedział Ettore.

Vico zgodził się. — Około trzydziestu milionów lirów rocznie. Wszystkiego razem.

Ettore wymownie podniósł wzrok, ale prawnik ciągnął dalej, nie przejmując się tym.

— Takich ochroniarzy załatwia się przez wyspecjalizowane agencje. Najlepsze z nich działają na skalę międzynarodową i mają filie w różnych miastach, nie wyłączając Mediolanu i Rzymu. Aczkolwiek, zaczyna ich brakować przy rosnącym terroryzmie w Europie — Czerwone Brygady, Frakcja Czerwonej Armii, nacjonałści baskijscy, fundamentaliści ismalscy i tak dalej. Dlatego naprawdę dobrych ochroniarzy niełatwo znaleźć i kosztują odpowiednio więcej.

— Rozumiem — przerwał mu Ettore — ale to wcale nie rozwiązuje mojego problemu. Wręcz przeciwnie.

Vico uniósł rękę. — Cierpliwości, przyjacielu. Cała ta sprawa ma jeszcze jeden aspekt. Ze względów czysto finansowych wiele zamożnych rodzin dodatkowo wykupuje ubezpieczenie od okupu. Rząd włoski zabrania firmom ubezpieczeniowym wystawiania takich polis. Obawiają się, nie bez racji, że może to zachęcać do porwań. Jednakże, za granicą firmy ubezpieczeniowe nie są tak formalne. Prawdę mówiąc, światowy prym w tego rodzaju ubezpieczeniach wie dzie londyński



Lloyd's. W zeszłym roku zebrali ponad sto milionów funtów ze składek. Specjalizują się w tym ich dwaj wspólnicy ubezpieczeniowi. Jeden z nich ma nawet dział pomocniczy do prowadzenia negocjacji z porywaczami. Wszystko to jest bardzo cywilizowane i brytyjskie. Są dwa warunki. Jeden wymaga, aby składka płacona była poza granicami Włoch, a drugi, żeby klient nigdy nie przyznawał się do posiadania tego ubezpieczenia. Powód jest jasny.

Ettore zaczynał być lekko znudzony. — To bardzo ciekawe, Vico, ale co to ma wspólnego z moim problemem?

Vico skierował cygaro w jego kierunku. — Czy twoja fabryka jest ubezpieczona?

— Oczywiście, że jest, a korzyści z tego czerpie bank.

— Słusznie — powiedział Vico — ale kiedy negocjowałeś składkę, jej wysokość zależała od jakości zabezpieczeń, jakie mogłeś zapewnić — zgadza się? — Ettore przytaknął i Vico ciągnął dalej.

— Oczywiście, że wymagają alarmu przeciw-włamaniowego i tak dalej, ale kiedy masz także służby zabezpieczające — wartowników, a nawet stróżujące psy, poważnie obniża to wysokość składki. To samo dotyczy składek od porwań, a ponieważ są one bardzo wysokie, tworzą ogromne sumy i każda oszczędność ma wielkie znaczenie.

Zaczynał się coraz bardziej rozgrzewać.

— Rozważ typowy przypadek. Przemysłowiec wykupuje ubezpieczenie od porwań za miliard lirów. Wysokość składki może wynieść nawet pięć procent, czyli pięćdziesiąt milionów. Ale z drugiej strony, jeśli zatrudni ochroniarza na pełny etat, składka mogłaby ulec zmniejszeniu do trzech procent, to znaczy, trzydziestu milionów lirów. Czyli oszczędza dwadzieścia milionów.

Ettore pokręcił głową. — Ale sam przed chwilą mówiłeś, że ochroniarz kosztuje trzydzieści milionów rocznie. Więc gdzie tu oszczędność?

Vico uśmiechnął się. — Są tacy ludzie jak „składkowi ochroniarze”. Nie unie możliwają porwania, ale zgadzają się na niższe stawki i są tani. Około siedmiu milionów rocznie.

— Ale Vico — powiedział Ettore — nie chcę się ubezpieczać od porwania, które nie będzie miało miejsca.

Nagle pojął, o co chodzi i Vico zaśmiał się widząc zmianę w wyrazie jego twarzy.

— Wreszcie zrozumiałeś! Zatrudnisz jednego z tych tanich składkowych ochroniarzy na parę miesięcy, a potem wyrzucisz go za niekompetencję czy coś tam. A tymczasem Pinta wróci do szkoły i Rika wyjdzie z tego z twarzą.

Ettore siedział przez parę chwil w milczeniu, po czym zapytał: — Gdzie mogę znaleźć takiego człowieka?

Vico uśmiechnął się z zadowoleniem. — Najpierw zapłać za ten lunch, a potem pójdziemy do mnie do biura, gdzie mam nazwę pewnej agencji, działającej

tutaj, w Mediolanie.

Ettore od początku wiedział, że przyjdzie mu zapłacić rachunek.

Guido zjechał z nadbrzeżnej drogi do Neapolu i znalazł się na wąskiej ścieżce. Prowadziła do gaju oliwnego na niższym zboczu góry Wezuwiusz. Szczyt wzgórza leżał tuż pod gajem i ścieżka kończyła się na trawiastym zboczu z widokiem na Neapol, opadającym ku wielkiej zatoce. Wyłączył silnik i zapanowała kompletna cisza. Było późne popołudnie i krwisto czerwone słońce właśnie kryło się za horyzontem.

Ponownie odwiedził matkę i brata. Guido i Elio rozmawiali o zjawieniu się Creasy'ego trzy dni wcześniej i Elio wymyślił tymczasowe rozwiązanie. Guido musiał to sobie przemyśleć.

Problem polegał na tym, że Creasy nie potrafił znaleźć żadnego powodu, aby dalej żyć. Osiągnął taki moment w życiu, kiedy nie był w stanie wykrzesać z siebie choć odrobiny radości z nowego poranka.

Pierwszego wieczoru po przyjeździe rozmawiał z Guido w swój powściągliwy sposób. Zdania łączyły jedynie momenty milczenia. Długie przerwy na namysł i dobranie następnych słów. Guido się nie odzywał. Siedział, popijał drinka i pozwalał przyjacielowi mozolnie zbierać myśli. Nieuporządkowany monolog w końcu został podsumowany, kiedy Creasy powiedział:

— Po prostu czuję, że żyję już za długo i za mocno — tyle się wydarzyło — jestem żołnierzem i nikim więcej — nigdy nie pragnąłem niczego innego — ani niczego nie znałem — ale mam tego dosyć. I to już od około pięciu lat.

Wówczas poczuł się zażenowany. Wyrażanie takich uczuć, nawet wobec jedynego przyjaciela, było bolesne i nie leżało w jego charakterze. Guido wyciągnął rękę i położył mu ją na ramieniu w geście zrozumienia.

Bo rzeczywiście, Guido rozumiał go doskonale. Przeszedł przez to samo po śmierci Julii. Minęły dwa lata zanim dostosował się do życia bez niej. A jednak istniała między nimi fundamentalna różnica. On znał miłość i szczęście, dzięki którym radykalnie zmienił spojrzenie na życie. Walczył i zabijał, pił i korzystał z dziwek na całym świecie, ale ani przez chwilę nie zastanowił się, jak oddziałuje na innych. Od dawna zakładał, że pozbawiony jest głębokich uczuć w rodzaju miłości, współczucia czy zazdrości. Jedyne ludzkie odczucia budził w nim Creasy, a w nieco bardziej nieokreślony sposób, także matka i brat.

Zaszła w nim dramatyczna przemiana. Po dwóch tygodniach spędzonych u matki, obaj najemnicy udali się na Malte, aby poszukać kontaktów z czasów Konga. Spotkali człowieka, który rekrutował do księstwa jakiegoś szejka nad Zatoką Perską, ale nie podobały im się ani warunki, ani perspektywy. Postanowili zostać tam na parę dni i rozejrzeć się. Wylądowali na siostrzanej wysepce, Gozo, gdzie znaleźli mały hotelik w wiosce rybackiej. Było ciepło i spokojnie, a ludzie

traktowali ich przyjaźnie.

Julia pracowała w hotelu jako recepcjonistka. Guido miał swoje sposoby na dziewczyny, nawet te nieśmiałe, głęboko religijne lub starannie strzeżone, więc po kilku dniach Julia zgodziła spotkać się z nim przy drinku po pracy. Była drobna i piękna, a także niezwykle bezpośrednia, zarówno w rozmowie, jak i w zachowaniu. Odrzuciła jego początkowe zaloty, mówiąc mu, że jest grzeczną dziewczynką i dziewicą. Guido był zaintrygowany. Jeszcze nigdy nie spotkał dziewicy. Creasy przyglądał się temu podrywowi z lekkim rozbawieniem i chętnie zgodził się zostać trochę dłużej na Gozo, podczas gdy Guido zagadywał, czarował i namawiał.

Podbój potrwał trzy tygodnie i wyglądał zupełnie inaczej niż Guido się spodziewał. Późnym wieczorem wybrali się aby popływać w zatoce Ramla, a potem siedzieli na matowym, czerwonym piasku i długo rozmawiali. Opowiedziała mu o swoim życiu, prostym i nieskomplikowanym, bo w jej rodzinie od pokoleń byli rolnicy. W pewnym momencie zaczął mówić o sobie, ale trudno mu było przekazać to w sposób zrozumiały, jako że stale pytała, „dlaczego”, a on nie potrafił odpowiedzieć. Nim skończyli rozmawiać, zaczął się wschód słońca, a on zapomniał, w jakim celu ją tam przyprowadził. Potem powiedziała mu, że rodzice będą się bardzo gniewać. Przebywanie dziewczyny poza domem przez całą noc traktowano na Gozo jako ciężką zbrodnię.

— Ale przecież nic nie zrobiliśmy — zaprotestował Guido, a potem zauważył jej enigmatyczne spojrzenie i pomyślał, że może to wcale nie on dokonuje tu podboju.

W kilka chwil później kochali się; rzeczywiście była dziewicą i Guido zawahał się, ale wciągnęła go w siebie, krzyknęła, a potem przyciągała jeszcze mocniej. Guido nigdy nie zapomni tamtych chwil, a wszystkie kobiety jakie znał nagle przestały być dla niego kobietami.

Robiło się coraz jaśniej i zobaczył krew na jej udach. Tylko ten jeden raz w życiu widział krew będącą rezultatem miłości. Patrzył, jak ściera ją z siebie; następnie podniosła wzrok i uśmiechnęła się, onieśmielona, ale dumna i w tym momencie wiedział, że oto zmieniło się całe jego życie.

Poszli razem na wzgórze, a potem przez Nadur do gospodarstwa jej rodziców. Ojciec, który już pracował w polu, w bezruchu i milczeniu patrzył jak zbliżają się do niego.

— To jest Guido — powiedziała. — Mamy zamiar się pobrać.

Ojciec kiwnął głową i wrócił do pracy. Znał swoją córkę. Noc spędzona poza domem oznaczała zięcia.

Ślub wzięli w kościele Św. Piotra i Pawła w Nadurze. Udzielił im go młody ksiądz. Był wysoki oraz silny i Guido pomyślał, że trochę przypomina mu Creasy'ego. Nie wyglądał na księdza — miał nieco szorstkie i gburowate manieiry, ale mieszkańcy Naduru lubili go. Solidnie pracował i był praktyczny. Rolnicy doceniali to. Mieszkańcy Gozo wszystkim nadają przezwiska, a tego księdza na-

zywano „Kowbojem”.

Guido martwił się o reakcję Creasy’ego na to małżeństwo. Byli przyjaciółmi od ponad piętnastu lat i rzadko kiedy się rozstawali. Ale Creasy okazał zadowolenie i wcale nie był zaskoczony. Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna kocha Guido, widział jej siłę i cieszył się ze szczęścia przyjaciela.

Został świadkiem pana młodego na ślubie, milczącym i gburowatym jak Kowboj, a podczas przyjęcia weselnego wlewał w siebie mnóstwo mocnego wina Gozo. Była to niejako pośrednia emocja, ale zdecydowanie pozytywna.

Julia instynktownie rozumiała tę przyjaźń i nie oburzała się na nią. Patrzyła na Creasy’ego jak na integralną część Guido. Kiedy wyjeżdżali do Neapolu, Creasy odprowadził ich na lotnisko, a gdy pochylił się aby ucałować ją w policzek, objęła go i przytuliła mocno na długą chwilę, a potem widział łzy w jej oczach.

— Nasz dom jest twoim domem — powiedziała po prostu. Pokiwał głową z dziwnie stężoną twarzą, a następnie przemówił: — Jak będzie chrapał w nocy, to zagwiżdż, wtedy natychmiast się zamyka.

Uśmiechnęła się i odeszła, bo nie była w stanie już nic powiedzieć. W samolocie zapytała Guido co Creasy teraz robi, a on odpowiedział, że znajdzie sobie gdzieś jakąś wojnę.

Tak więc Guido powrócił z żoną do Neapolu i zamienił swój dom w pensjonat „Splendide”. Tym razem matka rozświetliła świecami cały kościół w Positano.

Creasy odwiedził ich kilka razy w Neapolu, jadąc na wojnę lub wracając z niej. Nigdy nie pisał ani nie dzwonił, po prostu się zjawiał. Zawsze przywoził prezent dla Julii. Coś oryginalnego. Raz był to piękny batikowy obraz z Indonezji, raz sznur naturalnych pereł akwamarynowych z Japonii. Nie były to prezenty kupowane pod wpływem chwili, lecz przemyślane, wyszukane. Wiedziała o tym i dlatego sprawiały jej więcej przyjemności, niż samo ich piękno czy oczywista wartość.

Zwykle zostawał tylko na parę dni, odprężony i zadowolony, a pewnego wieczoru oświadczał, że wyjeżdża, po czym następnego dnia rano już go nie było. Ale ostatnim razem został ponad miesiąc. Nigdy nie leniuchował, niezmiennie znajdując sobie zajęcie przy drobnych naprawach w budynku. Lubił pracować fizycznie.

Pożegnawszy ostatnich gości po kolacji, zasiadali w trójkę przy dużym kuchennym stole, oglądali telewizję, czytali lub po prostu rozmawiali. Julia uśmiechem kwitowała ich rozmowy, ponieważ niesamowita więź psychiczna pozwalała im zdania zastępować jednym lub dwoma słowami. Guido często zaczynał je pytaniem o starego znajomego.

— Miller?

— Angola.

- Dalej narzeka?
- Jak zwykle.
- Ale ostry?
- Jak igła.
- A *Uzi*?
- Polubił.

Przeważająca część takiej rozmowy była dla niej niezrozumiała, zwłaszcza kiedy dotyczyła broni. Po paru pierwszych wizytach wyjazdu Creasy'ego wywoływały niepokój u Guido, ale nic nie mówiła. Podczas ostatniej zadomowił się na dobre i był szczęśliwy. Kiedy więc oświadczył, że rano wyjeżdża, powiedziała mu wprost, że chętnie przyjmą go do siebie, gdyby chciał zostać i uznać to miejsce za swój dom. Guido nie odzywał się; nie potrzebował. Creasy uśmiechnął się do niej, co miało miejsce bardzo rzadko i powiedział: — Może pewnego dnia tak zrobię, naprawię wam całą instalację hydrauliczną, a co miesiąc będę odmalowywać dom. — Wiedzieli, że mówi poważnie. Przyjedzie i po prostu już nigdy nie oświadczy, że wyjeżdża; będzie to zarówno dobre i słuszne.

Ale któregoś dnia Julia wybrała się na zakupy, miejscowa drużyna piłkarska akurat wygrała, więc jej kibice jechali przez miasto kawalkadą, trąbiąc klaksonami i powiewając flagami; kierowca jednego z samochodów, wiozący ośmiu pijanych, stracił panowanie nad kierownicą i przygniótł ją do muru.

Creasy zjawił się tydzień później, zmęczony po długiej podróży. Guido zapomniał go zapytać, skąd wiedział. Został na parę tygodni i jego obecność pomogła Guido dojść do siebie.

Teraz Guido siedział w samochodzie i przyglądał się światłom nad zatoką. Słońce już zaszło. Próbował sobie wyobrazić swoje życie, gdyby nigdy nie poznał Julii, a kiedy ujrzał ten obraz, jeszcze lepiej zrozumiał obecny stan Creasy'ego.

Musiał zająć się czymś innym, jeśli nawet nie na długo. Czymś, co wypełni mu czas i umysł. Czymś, co zatrzyma upadek.

Creasy pojechał do Rodezji i usiłował tam znaleźć swoje miejsce. Szkolił młodych, białych rekrutów i prowadził ich w busz. Ale był to inny świat i nie potrafił się z nim utożsamić. Uczestnicząc w wojnie nie próbował rozróżniać między dobrem i złem. Sympatyzował z białymi. Nie byli to źli ludzie. Nadszedł jednak ich czas. Mieszkali w złym kraju. Przybyli tam jako pionierzy, mający stworzyć nowy kraj i mieli się za pokrewnych wczesnym osiedleńcom amerykańskim. Ale czasy się zmieniły. Nie mogli wyniszczyć czarnych, jak stało się to z amerykańskimi Indianami czy australijskimi Aborygenami. Większość białych nie chciała tego, a nieliczni pragnący to uczynić przekonali się, że wielu czarnych miało miny

ziemne, granaty, wyrzutnie raketowe i AK 47. To był inny świat. Najstraszniejszą rzeczą był brak nadziei. Creasy napotykał ten symptom na każdym kroku. Inni tego nie dostrzegali. Od Dien Bien Phu do Algierii, do Katangi, z powrotem do Wietnamu, zawsze w niekończących się kręgach beznadziejności. Wojna w Rodezji pozwoliła mu ostrzej spojrzeć na swoją przeszłość. Bezowocne walki toczono dla ludzi, którzy mówili o patriotyzmie, ale nigdy o umieraniu — choć walczono do ostatniego człowieka. Popatrzył w przyszłość i ujrzał dokładnie taki sam porządek rzeczy. Jeśli nie w Rodezji, to gdzieś indziej. Brak nadziei: to epitafium dla jego przeszłości.

Stracił zainteresowanie. Zaczął dużo pić, a jego ciało flaczało i popadało w letarg. W końcu odsunęli go od akcji i uczynili zaledwie doradcą. Niewiele brakowało, żeby w ogóle go wyrzucili, ale pamiętano o dawnych dniach, którymi zasłużył na wdzięczność. Szybko zdał sobie sprawę, że czyniono to z łaski i dumka kazała mu wyjechać. Pojechał do Brukseli, gdzie znał pewną kobietę, ale ona w międzyczasie ułożyła sobie życie, więc wsiadł w pociąg do Marsylii i pod wpływem impulsu złapał prom na Korsykę. Główne siły Legii znajdowały się na Korsyce i tam zaprowadził go instynkt. Od buntu Pierwszego Pułku minęło wiele lat. Legia zdążyła zdobyć się na wybaczenie. Tam był dom. Może sierota mógł wrócić do sierocińca.

Przyjechał do Calvi popołudniu i usiadł z drinkiem na placu. Koszary leżały na wzgórzu i kiedy zastanawiał się czy ma tam pójść, czy nie, posłyszał śpiew. Był to marszowy hymn Legii, „Le Boudin” i po chwili wyszli z za rogu w wolnym, pokazowym marszu — osiemdziesiąt pięć kroków na minutę. Oddział rekrutów w nowych, ładnych mundurach, wyszedł aby po raz pierwszy popisać się swoją sprawnością. Popatrzył na ich młode twarze i poczuł się jakby miał tysiąc lat.

Kiedy przeszli, a ostatnie dźwięki ucichły, dopił drinka i wrócił na stację. Następnego dnia był w Bastii, siedział koło przystani, znowu pił i czekał na prom do Livorno. Zobaczy się z Guido. Może znowu się zjedzą. Może nie będzie to bezowocne.

Patrzył jak nieliczni pasażerowie wchodzą na pokład, po czym przeszedł przez ulicę, żeby do nich dołączyć, po drodze mijając chłopca. Kiedy prom odbijał od brzegu, stanął na rufie i zobaczył, że chłopiec macha do niego. Również pomachał. Do widzenia, Korsyko. Do widzenia, chłopcze.

— Ochroniarz — powiedział Guido.

Creasy spojrział na niego nic nie widzącym wzrokiem.

Siedzieli w kuchni i Guido wyjaśnił mu na czym polega pomysł Elia.

Jego bratu powodziło się świetnie. Otrzymał dobre wykształcenie, został wykwalifikowanym księgowym, a wszystko za pieniądze Guido. Zatrudnił się w firmie rewidentów księgowych i szło mu dobrze. Już wcześniej wyjaśnił

Guido, że wśród jego klientów była agencja ochroniarska, która załatwiała ochroniarzy dla przemysłowców. Było na nich ogromne zapotrzebowanie i brakowało przeszkolonych ludzi. Płacono sownie. Guido miał wątpliwości. Creasy zupełnie się nie nadawał, był alkoholikiem. Wtedy Elio wytłumaczył mu sprawę „składkowych ochroniarzy” i to wzbudziło zainteresowanie Guido. — Ale to marne pieniądze — zauważył Elio. To nic nie szkodzi, pomyślał Guido. Wiedział, że Creasy ma mnóstwo pieniędzy. Zarabiał przez te lata krocie, a wydawał bardzo mało.

— Ochroniarz — powtórzył Guido.

— Oszalałeś — odpowiedział Creasy. — W moim stanie nie mógłbym ochraniać nawet trupa.

Guido powiedział mu o „składkowych ochroniarzach”, ale Creasy nadal nie był przekonany.

— Ktoś zatrudniłby byłego najemnika — a do tego pijaka?

Guido wzruszył ramionami. — Wymyślono to, by obniżyć wysokość składek.

— Ale pijak?

Guido westchnął.

— To jasne, że musiałbyś kontrolować picie. Pij wieczorami. Tutaj tak robisz i w ciągu dnia nie wyglądasz najgorzej.

— A co będzie, jeżeli zdarzy się próba porwania?

— Zrobisz, co w twojej mocy. Nie będą ci płacić za dokonywanie cudów.

Creasy zamyślił się nad tym, ale pozostał sceptyczny. Zawsze pracował z wojskowymi, takiego lub innego pokroju. Wymienił jeszcze jedną wątpliwość.

— Ochroniarz musi być blisko kogoś przez cały czas. Nie jestem w tym dobry — przecież wiesz.

Guido uśmiechnął się.

— No więc, będziesz milczącym typem ochroniarza. Niektórzy ludzie mogą to nawet docenić.

Creasy próbował wymyślić inne problemy, ale Guido naciskał go delikatnie. Elio zaprosił go na parę dni do Mediolanu. — Może jednak pojechałbyś i rozejrzał się?

W końcu Creasy zgodził się sprawdzić, co to za praca. Potem poszedł do łóżka, cały czas kręcąc głową i mruczając pod nosem: — Ochroniarz!

Guido wziął papier oraz pióro i napisał list do brata. Wiedział, że agencja będzie domagała się informacji na temat kwalifikacji Creasy’ego. Zajął mu to sporo czasu, najpierw opisał karierę Creasy’ego w Legii, a następnie podczas różnych wojen w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Azji. Potem sporządził listę znanych Amerykaninowi rodzajów broni. Była długa. W zakończeniu wyliczył odznaczenia Creasy’ego. Medale robią wrażenie na Włochach.

Zakleił list i zostawił na stole z notatką dla Pietra, aby wysłał go z samego rana. Kładł się do łóżka z nadzieją, jakiej nie czuł od przyjazdu przyjaciela.

## 4

— Dali ci broń?

— Tak.

— Pokaż mi, proszę.

Creasy zdjął prawą rękę z kierownicy, sięgnął pod marynarkę i podał mu.

Ettore wziął ją ostrożnie. Nigdy przedtem nie miał w rękę pistoletu i był zafascynowany.

— Co to jest?

— *Beretta*84.

— Używałaś już tego?

— Tak, to dobry pistolet.

— Jest załadowany?

Creasy oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Włocha.

— Jest załadowany — powiedział sucho.

Ettore oddał mu broń i kontynuowali jazdę do Como.

Poprosił Amerykanina aby poprowadził Lancię, bo chciał ocenić jego umiejętności. Z ulgą stwierdził, że Creasy prowadził z łatwością i gładko.

Znalezienie ochroniarza okazało się mniej proste, niż zapowiadał to Vico. A w każdym razie, ochroniarza, który zadowoliliby wymagania Riki.

Była zachwycona rezultatami jego lunchu z Vico i natychmiast zaczęła snuć plany. Zdecydowała, że ochroniarzowi przypadnie duży pokój na samej górze. Obie z Pintą poświęciły na to cały dzień, wstawiając tam dodatkowe meble: mały stolik i wielki fotel, a także kilka prostych dywanów. W pokoju stało już ogromne mosiężne łóżko, komoda z szufladami i szafa na ubrania. Miał jadać w kuchni z Marią, gospodynią oraz Brunem, ogrodnikiem.

Sporządziła listę jego obowiązków. Do najważniejszych należało odwożenie Pinty do szkoły i przyjeżdżanie po nią popołudniu. Podczas lekcji mógłby wozić samą Rikę na zakupy lub na spotkania.

Naturalnie, musi porządnie wyglądać, być miłego usposobienia i okazywać szacunek. Poganiała Ettore, żeby z tym nie zwlekał, bo zbliżało się rozpoczęcie roku szkolnego, a ona chciała mu towarzyszyć w planowanej podróży do Paryża.



Wszystko to stwarzało problemy. Pierwsi dwaj kandydaci z miejsca okazali się nie do przyjęcia, bo byli niewiele lepsi od ulicznych obiboków, których Rika nigdy nie wpuściłaby za drzwi. Trzeci był oczywistym homoseksualistą, a Ettore miał coś przeciwko homoseksualistom. Zadzwoił do agencji i złożył zażalenie na jakość kandydatów, ale powiedziano mu, że jest bardzo mało ochroniarzy. Uprzejmie dali mu również do zrozumienia, że dostaje się to, za co się płaci. Jednak następnego dnia zadzwonili, żeby umówić spotkanie z czwartym kandydatem — Amerykaninem.

Ettore nie był zachwycony. Obcokrajowiec był czymś niespodziewanym, zwłaszcza Amerykanin. Wyobrażał sobie żującego gumę gangstera, ostrzyżonego na jeża.

Był więc mile zaskoczony, kiedy Creasy'ego wprowadzono do gabinetu. Wyglądał wystarczająco twardo, z bliznami na kwadratowej twarzy i groźnie spoglądającymi oczami, ale był elegancko ubrany, w ciemnoniebieski garnitur i beżową koszulę. Stał w drzwiach, trzymając wielką, brązową kopertę zalakowaną czerwonym woskiem i patrzył na Ettore z obojętnym wyrazem twarzy.

Ettore wykonał gest i Creasy zrobił parę kroków, po czym usiadł na krześle przed biurkiem. Następnie wręczył kopertę.

— Agencja kazała mi dać to panu.

Jego włoski był niemal idealny, z odrobiną akcentu neapolitańskiego.

Ettore wziął kopertę i zapytał — Może kawy? — poczuł się znacznie lepiej. Innym nie proponował żadnego poczęstunku.

Creasy pokręcił głową, a Ettore przełamał pieczęć, wyjął papiery i zaczął czytać. Był to raport o kwalifikacjach i przeszłości Creasy'ego, sporządzony przez agencję na podstawie informacji od Guido.

Ettore czytał w milczeniu, a kiedy skończył, przez długą chwilę przyglądał się człowiekowi siedzącemu naprzeciwko, Creasy obojętnie odwzajemnił spojrzenie.

— Gdzie jest haczyk?

— Piję — padła prosta odpowiedź.

Ettore rozmyślał nad tym przez chwilę, potem ponownie spojrzał na dokumenty i zapytał: — W jaki sposób wpływa to na ciebie?

Creasy zwęził oczy w zamyśleniu i Ettore poczuł, że usłyszy absolutną prawdę.

— W odniesieniu do tego rodzaju pracy, wpływa to na moją koordynację i czas reakcji. Moja zdolność do szybkiego strzelania pozostaje bez zarzutu. Gdybym był bogatym człowiekiem, przekonany, że ja sam lub moja rodzina zostanie zaatakowana, nie zatrudniłbym człowieka w moim stanie.

Ettore zapytał: — Czy upijasz się do tego stopnia, że jesteś do niczego niezdolny i uciążliwy dla otoczenia?

Creasy pokręcił głową.

— Nikt nawet nie zauważy. Popijam tylko wieczorami. Rano mogę się czuć źle, ale wyglądam w porządku.

Ettore jeszcze raz przejrzał papiery. Nie powinno być problemu, pod warunkiem, że Rika nie dowie się o piciu.

— Płaca jest raczej marna.

Creasy wzruszył ramionami. — Jeśli najlepsi zawodowcy spróbują porwać pańską córkę, usługa będzie proporcjonalna do zapłaty.

— A jeśli spróbują tego amatorzy?

— Jeżeli będą prawdziwymi amatorami, to przypuszczam, że odstraszę ich lub zabiję. Czy porwanie jest prawdopodobne?

Ettore zaprzeczył ruchem głowy.

— Wątpię. Szczerze mówiąc, właściwie to obawia się tego głównie moja żona. Przesadnie reaguje na niedawne porwania. Tak się składa, że częścią obowiązków będzie dotrzymanie jej towarzystwa. Ma swój własny samochód. — Znowu spuścił wzrok na papiery, na wykazy wojen, bitew i rodzajów broni.

— Będziesz musiał się trochę zadomowić.

— W porządku — powiedział Creasy — ale nie jestem dobry w towarzyskich pogaduszkach. Będę wykonywał swoją robotę, najlepiej jak potrafię, to wszystko.

Ettore po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Dobrze. Czy możesz zacząć od razu? — przyszło mu coś do głowy. — Masz broń?

Creasy przytaknął. — Agencja o to zadbała. Pan musi napisać im pismo, a oni postarają się o zezwolenie z policji. Przyślą panu rachunek — wstał. — Mogę zacząć w każdej chwili.

Ruszyli do drzwi, a Ettore powiedział: — Jutro wieczorem jadę do Como na weekend. Bądź tutaj o szóstej, z rzeczami. Nikomu nie wolno wiedzieć, że masz problem z piciem, nie wyłączając mojej żony.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Ettore dodał: — Nie mogę mieć pewności, jak długo ta praca potrwa. To będzie zależało od okoliczności, ale zawrę z agencją umowę na trzymiesięczny okres próbny. Potem obaj zastanowimy się nad sytuacją.

Kiedy weszli do salonu, Rika stała przy francuskich oknach. Ubrana była w prostą, czarną sukienkę. Miała białą, owalną twarz, obramowaną hebanowymi włosami.

Ettore dokonał prezentacji, a ona zapytała: — Może drinka?

— Dziękuję, whisky z odrobiną wody.

Skierowała się do baru, a mężczyźni podeszli do francuskich okien i wyglądali na jezioro, Creasy wyczuwał, że Ettore jest nieswój i zastanawiał się, dlaczego. Rika przyniosła whisky oraz martini dla męża.

— Nie dosłyszałam nazwiska — powiedziała.

— Creasy.

— Nie jest pan Włochem?

— Amerykaninem.

Spojrzała na Ettore z lekko ściągniętymi brwiami.

— Ale jego włoski jest idealny — zapewnił pośpiesznie.

Była zaniepokojona.

— Często wykonywał pan przedtem tę pracę?

Creasy potrząsnął głową. — Nigdy.

Ściągnęła brwi jeszcze mocniej i Ettore znowu się wtrącił: — Pan Creasy ma mnóstwo doświadczenia w zbliżonej pracy. Ogromnie dużo.

Creasy z zaciekawieniem przyglądał się kobiecie. Potrzebował czasu, aby otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarła na nim jej uroda. Obojętnie potraktował jej reakcję na fakt, iż jest Amerykaninem, ale ciekaw był, jakie stosunki łączyły ją z mężem.

Ettore robił wrażenie stanowczego i pewnego siebie, ale wszystko było jasne: ta kobieta dominowała nad nim dzięki swej urodzie lub osobowości, albo jednemu i drugiemu. Jej zmieszanie było widoczne. Naturalnie, miała z góry wyrobione wyobrażenie o człowieku, którego zatrudni Ettore. To oczywiste, że będzie Włochem, grzecznym, uległym, młodym, atletycznym i doświadczonym w tej pracy.

Tymczasem stał przed nią człowiek, który przede wszystkim był Amerykaninem, a jak wielu członków włoskiej elity, miała skłonność do patrzenia na Amerykanów z góry. Ponadto, chociaż miał okazałą posturę, wcale nie był młody i nie wyglądał zbyt atletycznie.

Zwróciła uwagę na jego strój, niewyszukany, ale drogi: beżowe spodnie, jasną, trykotową koszulkę polo i ciemnobrązową marynarkę. Zauważyła, że zewnętrzna strona dłoni trzymającej kieliszek pokryta jest bliznami, a mały palec nie ma opuszka. Wtedy podniosła wzrok na jego twarz i zdała sobie sprawę, jak był wysoki. Odnotowała blizny na czole i szczęce oraz oczy o ciężkich powiekach, które obojętnie odwzajemniały jej spojrzenie. Wówczas uświadomiła sobie wrażenie, jakie na niej wywiera — budził w niej lęk. To był szok. Jeszcze nigdy przedtem nie czuła strachu na widok mężczyzny.

Ettore przerwał milczenie.

— Gdzie jest Pinta, kochanie?

Wróciła do rzeczywistości. — Na górze. Za chwilę zejdzie.

Ettore stwierdził, że jej irytacja minęła, zastąpiona dezorientacją.

Z lekkim uśmiechem na ustach zwróciła się do Creasy'ego: — Jest podniecona faktem, że będzie miała osobistą ochronę.

— Ja jestem pierwszy? — zapytał Creasy.

— Tak. Mówi pan po włosku jak neapolitańczyk.

— Bo uczył mnie neapolitańczyk.

— Mieszkał pan tutaj?

— Nie, bywałem tylko z wizytami.

Creasy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi i odwrócił się.

Dziewczyna ubrana była w białą podkoszulkę i džinsy. Stała w drzwiach i przyglądała się Creasy'emu z zainteresowaniem.

Jej matka powiedziała: — *Cara*, to jest pan Creasy.

Przeszła przez pokój i bardzo formalnie wyciągnęła rękę. Kiedy ją uścisnął, uśmiechnęła się niezobowiązująco.

Czubkiem głowy sięgała mu do klatki piersiowej. Jej drobna rączka utonęła w jego wielkiej dłoni.

— Może zaprowadzisz pana Creasy'ego do jego pokoju? — zapytała Rika. — Pewnie chciałby się rozpakować.

Creasy dopił drinka i dziewczyna uroczyście go wyprowadziła.

Kiedy drzwi się zamknęły, Ettore czekał na wybuch. Ale Rika w zamyśleniu popijała drinka.

— Ma naprawdę bardzo dobre kwalifikacje — powiedział Ettore. — Znalezienie dobrych ludzi w tej branży jest niezwykle trudne.

Nie odzywała się ani słowem, więc przekonywał ją dalej.

— Oczywiście szkoda, że jest Amerykaninem. Ale, jak słyszałaś, jego włoski jest idealny.

— Czy pracował już przedtem we Włoszech? — zapytała.

— Nie — otworzył aktówkę i wręczył jej raport agencji. — To jego przeszłość.

Usiadła, otworzyła teczkę, a Ettore podszedł do baru i nalał sobie jeszcze jedno martini.

Przeczytała dokumenty w milczeniu, zamknęła teczkę i położyła ją na stoliku do kawy.

Ettore zajął się drinkiem i milczał. Popadła w głębokie zamyślenie. Potem powiedziała: — Budzi we mnie lęk.

— Boisz się go? — Był zdziwiony.

Uśmiechnęła się.

— Myślę, że to miłe iż jest Amerykaninem. Jakaś odmiana.

— Ale dlaczego cię przeraża?

Zastanowiła się nad tym, po czym pokręciła głową. — Nie wiem — spuściła wzrok na teczkę. — Może odpowiedź jest tutaj. Zdajesz sobie sprawę, że przeprowadziłeś do domu zabójcę. Bóg wie, ilu ludzi zabił. Na całym świecie.

Ettore próbował zaprotestować, ale znowu posłała mu uśmiech i powiedziała:

— Ubiera się dobrze... jak Europejczyk.

Ettore przyjął to z ulgą, ale i z zakłopotaniem. Najwyraźniej Creasy zdobył sobie akceptację.

Wstała i pocałowała go w policzek.

— Dziękuję, kochanie. Teraz czuję się lepiej.

Powiedziała to, jakby dziękowała mu za prezent: klejnot, albo nawet bukiet róż.?

Po kolacji Creasy wyczyścił broń. Pracował niczym automat, palce wykonywały ruchy opanowane dzięki długiej praktyce, podczas gdy w głowie miał gonitwę myśli na temat wydarzeń mijającego wieczoru i spotkanych ludzi. W przeszłości, ilekroć podejmował się nowego zadania, zawsze katalogował otaczających go ludzi i określał ich ewentualny wpływ na niego samego lub jego obowiązki. Teraz, chociaż miał do czynienia z totalnie innym zajęciem, zastosował tę samą procedurę.

Ettore, stwierdził, był przygnębiony. Prawdopodobnie kłopoty w interesach. Kiedy powiedział Elio kim będzie jego nowy pracodawca, ten od razu rozpoznał nazwisko. Balletto Mills był jednym z największych producentów dzianych tkanin jedwabnych we Włoszech, a więc i na świecie. Ettore odziedziczył interes po ojcu, który cieszył się dużym szacunkiem mediolańskiej społeczności biznesmenów. Sam Ettore uważany był za dobrego człowieka interesu, ale jak wielu włoskich producentów tekstylnych, musiał stawić czoła ostrej konkurencji z Dalekiego Wschodu. Był także znany dzięki urodzie swojej żony.

Creasy przeniósł myśli na Rikę. Zupełnie beznamiętnie zastanowił się nad wrażeniem, jakie na nim wywarła. Miała takie zalety, jakie szczególnie podziwiał u kobiet: zadbany wygląd, bardzo delikatny makijaż. Jej włosy opadały swobodnie; miała długie, nie pomalowane paznokcie. Nie potrzebowała korzystać z takich pomocy, ale zauważył także brak perfum. Zdecydował, że jest wzorem kobiecości.

Fizycznie przeżył wstrząs, tak go pociągała. Był to czynnik, który należało wziąć pod uwagę w tej sytuacji. Uważnie obserwował, jak zareaguje na jego osobę. Początkowa wrogość oraz irytacja ustąpiły miejsca ciekawości. Doświadczenie mówiło mu, że była typem kobiety, która lubi dominować i sprawdzać granice, do jakich ta dominacja była możliwa, najpierw psychicznie, a potem, być może, fizycznie. Będzie ją traktował z wielką ostrożnością.

Skończył czyścić broń, wziął małą puszkę oliwy i naoliwił mechanizm spustowy oraz zatrask magazynka. Pomyślał o Marii i Brunie. Podczas kolacji w dużej, wygodnej kuchni nie byli rozmowni, a on ich do tego nie zachęcał. Jego wrodzone zamknięcie się w sobie było oczywiste i liczył na to, że po jakimś czasie, kiedy przyzwyczają się do jego obecności, powrócą do swoich cowieczornych rozmów, jakie prowadzili zanim tu przybył.

Domyślał się, że Maria ma trzydzieści kilka lat, była silna, pogodna i niewątpliwie ciekawa, z kim ma do czynienia. Bruno, niski mężczyzna po sześćdziesiątce, miał brązową twarz o ostrych rysach i łagodne usposobienie.

Jedzenie było dobre, domowe. *Gnocchi Verde*, a potem kurczak marynowany w oleju i soku cytrynowym. Choć Creasy nie miał ostatnio najlepszego apetytu, uwielbiał kuchnię włoską i dużo o niej wiedział. Rozpoznał florencki styl gotowania i zapytał Marię czy pochodzi z Toskanii.

Zadowolona była z tego pytania i odgadła jego źródło. Tak, rzeczywiście pochodziła z Toskanii, ale przed pięcioma laty przyjechała do Mediolanu w poszukiwaniu pracy. Poprosił Bruna, żeby go rano oprowadził po posiadłości, bo chciał nauczyć się jej topografii na pamięć, następnie podziękował za kolację i poszedł do swojego pokoju na górze.

Opróżnił magazynek z krótkich, dziewięćmilimetrowych naboju i sprawdził sprężynę donośnika, po czym to samo uczynił z dwiema zapasowymi. Wówczas otworzył pudełko z nabojami i napełnił wszystkie trzy. Skończywszy to wziął nową kaburę podramienną i szmatką zaczął wcierać oliwę w skórę, coraz bardziej ją zmiękczając.

Pinta — ona miała być jego głównym problemem. Dzieci nigdy nie stanowiły części jego życia, były zaledwie obiektami współczucia. Podczas wszystkich wojen, w jakich walczył, dzieci cierpiały najbardziej. Zagubione, często rozdzielone z rodzicami, prawie zawsze głodne. Pamiętał je w Kongo, ze spuchniętymi brzuskami i nic nie rozumiejącymi oczami. Albo w Wietnamie, wyglądały jak laleczki, a zbyt wiele ich trafiało w sam środek wymiany ognia. Ginęły od bomb, min i kul. Słyszał, że w Wietnamie Południowym żyło ponad milion sierot i czasami czuł, że dane mu było zobaczyć je wszystkie. Obrósł skorupą, która pozwalała ignorować ich cierpienia. Albo się to robiło, albo traciło zmysły. Jemu udało się to od razu na początku. Widział je, ale postrzegany obraz ginął gdzieś po drodze do mózgu.

Ze wszystkich efektów wojny, obojętność była najgorsza. A teraz, po raz pierwszy miał się znaleźć w bezpośrednim kontakcie z dzieckiem. Z pewnością dzieckiem, które nie było ani głodne, ani skrzywdzone, ani bezdomne, a w tym właśnie upatrywał swój problem.

Przyprowadziwszy go do pokoju, Pinta została z nim i gawędziła, podczas kiedy on się rozpakowywał. Najwyraźniej jego przybycie było wielkim wydarzeniem w jej życiu. Jako jedynaczka zbyt często zносиła nudę. To naturalne, że Creasy jawił jej się jako coś więcej, niż zwykła ochrona.

Jej pierwsze pytania dotyczyły Ameryki. Wyjaśnił, że nie mieszka tam już od lat, ale to nie przygasiło jej entuzjazmu. Zapytała, skąd pochodził, więc odpowiedział, że z południa, z Tennessee.

Skończył oliwienie futerału i wsunął do niego *Berette*. Przeszedł do łóżka i przewiesił pas przez jego mosiężny stelaż. Kolba zawisała tuż koło poduszki. Wróciwszy do stołu otworzył atlas samochodowy na trasie między Mediolanem a Como, koncentrując się nad technicznymi stronami zadania. Nigdy nie pracował jako ochroniarz, ale spoznał na tę profesję z prostego, wojskowego punktu widze-

nia. Miał chronić „obiekt”. Potencjalny wróg mógł dokonać próby zawładnięcia nim. Zastanowił się nad taktyką i życiowe doświadczenia zmusiły go do spojżenia na sytuację z punktu widzenia strony przeciwnej. Mogła dokonać próby zamachu na „obiekt” w bazie, to znaczy w domu; lub też poza nią, czyli w innych często uczęszczanych miejscach, jak szkoła czy droga.

Rano sprawdzi posiadłość pod względem bezpieczeństwa, a potem, jak zostało uzgodnione, Pinta pokaże mu szkołę i będzie miał możliwość upewnić się co do tamtejszych zabezpieczeń. Zdecydował, że jeżeli już dojdzie do ataku, to najprawdopodobniej dokonany zostanie na drodze, dlatego bardzo ważne może być częste zmienianie trasy i wybieranie jej na zasadzie przypadku. Prześledził drogi na mapie i zrobił notatki na marginesie.

Co uczyniwszy, poszedł do szafy i wyjął walizkę. W środku znajdowało się kilka butelek whisky, zawiniętych w gazety. Otworzył jedną z nich, sięgnął po szklaneczkę i nalał sobie pierwszego drinka. Następnie ponownie wrócił myślami do swojego głównego problemu — dziewczynki. Doszedł do wniosku, że nie bez znaczenia będzie nawiązanie z nią dobrych stosunków, od samego początku opartych na właściwej podstawie. Taką platformą porozumienia będzie uznanie, iż jest tylko funkcjonariuszem, niczym więcej. Nie płatnym towarzyszem, ale ochroną i o tym musi zostać przekonana, nawet jeśli dla osiągnięcia celu przyjdzie mu powiedzieć jej to bez osłonek lub być dla niej przykrym. Jej rodzice też będą musieli to zrozumieć. Sformułuje to bardzo prosto, a jeśli tego nie zaakceptują, niech sobie poszukają kogoś innego.

Nie pomyślał o tym aspekcie przed przyjęciem tej pracy, ale spotkanie z dzieckiem wyraźnie mu to uprzytomniło. Wyczuwał jej entuzjazm oraz oczekiwania — poczuł się nieswojo. Trzeba będzie z miejsca to jej wyjaśnić.

Pił raz po raz, dopóki nie opróżnił butelki, a potem poszedł do łóżka; duży, sterany, małomówny mężczyzna niespokojny o swoją nową pracę.

Guido się nie mylił. Rzeczywiście miał zaprzątnięty umysł.

Na dole, w głównej sypialni, Rika i Ettore właśnie uprawiali miłość. Ona była bardzo wymagająca, łapała powietrze krótkimi oddechami, a palce wpijała mu głęboko w ramiona. Zawsze go poganiała, zwiększając tempo, dopóki nie przywiodła go na szczyt, umiejętnie i pewnie.

Ale tego wieczoru martwiła się tylko o siebie i znajdowała przyjemność w psychicznej izolacji. Próbował jej dorównać, ale czuł, jak ona już zmierza do szczytowego momentu, a potem drży od orgazmu. Nie martwiło go to. Wiedział że później znowu go wprawi w ekstazę i zagra na nim jak na instrumencie, używając swojego pięknego ciała i ust, dopóki nie ujdzie z niego cała namiętność. Dumna była ze swojej wprawy, cieszyła się z kontroli nad jego ciałem. Nigdy nie droczyła się z nim seksualnie, ale miała wyobraźnię i dbała, aby w tej wprawie nie zabrakło

różnorodności i upojenia.

Uspokoiła oddech, przejechała mu ręką od szyi w dół pleców, wzdychając z zadowoleniem. Mógł spodziewać się pieszczot oraz miękkich pocałunków, po których przewróci go na plecy i odpłaci mu się powoli, zręcznie, z niemal konspiracyjnym uśmiechem.

— Przypadł jej do gustu.

Wyrwała go z zamyślenia.

— Kto?

— Creasy, spodobał się Pincie.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Podoba jej się pomysł odprawienia guwernantki. Byłaby nim zachwycona nawet gdyby był księciem Drakulą.

— Nie — powiedziała. — Jak mówiłam jej dobranoc, stwierdziła, że on jest jak miś. Nazywa go „Miś Creasy”.

Ettore zaśmiał się.

— Jej się wydaje, że wszystkie niedźwiedzie są takie, jak ta zabawka, którą tuli przez sen. Ale one mogą być niebezpieczne.

— Jakim cudem zechciał zostać ochroniarzem? — dręczyła ją ciekawość. — To nudne zajęcie w porównaniu z życiem, do jakiego przywykł.

Rozmowa zaczynała przybierać niebezpieczny kierunek.

— Pewnie zmęczyło go to — powiedział. — Poza tym, nie jest już młodzieńszkiem.

— Czterdzieści dziewięć lat — skomentowała, przypomniawszy sobie dokumenty. — Ani rodziny, ani dzieci. Czy on w ogóle ma gdzieś dom?

— Nie wiem, ale wątpię. Tego rodzaju człowiek zwykle nie zapuszcza korzeni.

Zastanowił się nad sprawą alkoholizmu Creasy'ego. Może to było częściowe wyjaśnienie. Całe życie walk i przygód, a teraz, kiedy wiek już mu na to nie pozwala, nie wie, co z sobą począć.

Rika miała podobne myśli.

— A jednak coś tu jest nie tak — powiedziała.

— Nie tak?

— Owszem. Coś w nim jest. Jakby niedawno ciężko chorował. Jest bardzo pewny siebie, ale coś tu nie gra. Może chodziło o kobietę.

Uśmiechnął się. — To typowo kobiecy domysł.

Ale wtedy ona pokręciła głową.

— Nie, myślę, że to nie kobieta. Coś innego. Czegoś tu brakuje. Jakby części jego osobowości. Interesuje mnie ten Creasy — przynajmniej nie jest nudny.

Ettore był zadowolony. Nawet nie przyszłoby mu do głowy, że mogłaby interesować się Creasym jako mężczyzną. Już bardzo dawno temu zamknął swój umysł przed takimi myślami. Ale wiedział, jak ona lubi analizować ludzi. Dzielić



ich na staranne kategorie. Spróbuje zrobić to z Creasym. Chciała go ponumerować, oznaczyć i zasznufladkować zgodnie z własnym widzeniem świata. Uważał, że w przypadku mężczyzny na górze może to być trudne. On znajdował się poza jej światem. Tuż obok, ale poza. Wpływy i emocje, które nią kierowały, były obce Amerykaninowi, Mimo to, Ettore był zadowolony. Zaakceptowała tego człowieka, Pinta w poniedziałek pójdzie do szkoły, a on będzie mógł poświęcić się rozwiązywaniu problemów finansowych. Wówczas przypomniał sobie coś dziwnego.

— Powiedziałaś, że on cię przeraża.

— Tak. Ale może „przeraża” to niewłaściwe słowo. Może należałoby powiedzieć, że budzi grozę. Trochę jak obłąskawione zwierzę, którego nigdy nie można być pewnym. Pamiętasz owczarka alzackiego, którego mieli Arredowie? Po pięciu latach, nagle ugryzł właściciela.

— Przecież to nie pies, Riko!

— To tylko przykład. Mam wrażenie, że zastanawia się nad dalszym życiem. To ciekawe, naprawdę. Chciałabym więcej o nim wiedzieć — o jego przeszłości — to znaczy, poznać jego odczucia co do różnych spraw.

Ziewnęła i osunęła się niżej w łóżko. Jej słowa przypomniały Ettore jak mało wie o Creasym. Może powinien pokopać trochę głębiej. A jednak, przecież został przyjęty do agencji. Musieli go sprawdzić, przynajmniej pod kątem ewentualnej przeszłości kryminalnej. Tak czy inaczej, sprawa była już załatwiona.

Rika przysunęła się bliżej, głęboko oddychając. Spała.

Dopiero rano przypomniał sobie, że nie sprawiła mu satysfakcji.

## 5

Pinta siedziała spokojnie na przednim siedzeniu obok Creasy'ego. Powiedział jej, że musi się skupić na trasie. Zabrzmiało to nieco tajemniczo, bo jechali główną drogą łączącą Mediolan i Como, co było raczej łatwe. Ale Creasy chciał mieć oko na miejsca ewentualnych zagrożeń. Odcinki gdzie musiał zwolnić przed ostrymi zakrętami oraz te, które leżały z dala od zabudowań. Po prostu działał tak, jak przy próbie zasadzki w warunkach wojskowych i jego wyszkolone oko zauważało wszystkie dogodne miejsca.

Pół godziny później Pinta pokazała mu gdzie ma skręcić i po kolejnych paru minutach stanęli przed bramą szkoły. Wyskoczyła i pociągnęła za metalową klamkę w murze. Creasy został w samochodzie, oglądając wysoki mur zwieńczony drutem kolczastym i ciężką bramę.

Otworzyło się okienko, Pinta coś powiedziała i stary dozorca wolno otworzył bramę. Skinęła na Creasyego i weszła, a on wjechał za nią samochodem. Wewnątrz znajdował się wielki, zbudowany na niejednorodnym planie, porośnięty bluszczem, budynek, otoczony przestronnym podwórzem. Creasy zaparkował na podjeździe i dołączył do Pinty, a ona zaczęła go oprowadzać, pokazując podwórko, bieżnię po lewej stronie budynku i mały zagajnik po prawej, które leżały jednak w sporym oddaleniu od otaczających je murów. Przeszli się dookoła, wracając przed fronton szkoły i Creasy doszedł do wniosku, że miejsce to było stosunkowo bezpieczne.

W wejściu pojawiła się starsza, siwa kobieta i Pinta pobiegła do niej, ucałowała ją w oba policzki, po czym przyprowadziła do Creasy'ego.

— To jest *signora* Deluca, dyrektorka.

Zwróciła się do kobiety i powiedziała z nutą dumy: — To jest Creasy, mój osobisty ochroniarz.

— Pan Creasy — skarciła ją kobieta.

— Nie, *signora*, kazał mi zwracać się do siebie po prostu Creasy.

Uścisnęli sobie ręce i wówczas zaprosiła ich do środka na kawę.

Miała niewielkie mieszkanko na samej górze, wygodnie choć przesadnie umeblowane, a wszędzie wisiały oprawione zdjęcia. Zauważyła, że Creasy przygląda im się.

— To moje dzieci — wyjaśniła ze śmiechem. — Są ich setki, wszystkie już dorosłe. Ale dla starej dyrektorki szkoły zawsze będą dziećmi.

Wszystko to było dziwne dla Creasy'ego. Nigdy nie myślało szkołach jako miejscach pełnych ciepła i radości. Jego własne, krótkie doświadczenie było wręcz przeciwne. Teraz zaczynał mieć jakie takie pojęcie, dlaczego Pincie tak zależało na powrocie.

Służąca wniosła srebrną tacę z kawą i podczas gdy ją nalewała, dyrektorka gawędziła z Pintą o szkole. Po chwili, czując, że zaniedbuje Creasy'ego, zwróciła się do niego.

— Czy długo pan pracuje w tym zawodzie, panie Creasy?

— Nie — odpowiedział. — Dopiero zaczynam, ale robiłem podobne rzeczy.

Kobieta westchnęła. — To straszna sprawa. Mnie porwano dwoje dzieci. Nie stąd, oczywiście i nic im się nie stało, ale to okropne przeżycie, minęło mnóstwo czasu nim doszły do siebie.

Położyła rękę na kolanie dziewczynki.

— Proszę się opiekować Pintą. Tak bardzo się cieszymy, że wraca do szkoły.

— Nie tak bardzo, jak ja — dziewczyna zaśmiała się i zaczęła opisywać okropności, jakie spotkały ją ze strony guwernantki.

Minęło jeszcze parę minut, wreszcie Creasy napotkał wzrok Pinty i wstali, szykując się do wyjścia.

— Pan nie jest Włochem? — zapytała kobieta, odprowadzając ich do samochodu.

— Jest Amerykaninem — zaszczębiotała Pinta — z Tennessee.

Entuzjazm dziewczyny wywołał uśmiech na ustach kobiety.

— W takim razie muszę pochwalić pana włoski, panie Creasy. Czy uczył się go pan w Neapolu?

— Od neapolitańczyka.

Pokiwała głową z satysfakcją.

— Rozpoznałam akcent. — Pokazała na drzwi na tyłach budynku. — Tam jest kuchnia. Staramy się wypuszczać dziewczęta punktualnie, ale gdyby musiał pan poczekać, służąca zrobi panu kawę — uśmiechnęła się smutno. — Całkiem sporo dziewcząt ma dzisiaj ochroniarzy. Co za straszne czasy.

Creasy podziękował jej, Pinta pocałowała ją w policzek i odjechali.

Postanowił wracać inną trasą. W dziewczynie wzbudziło to ciekawość, ale powiedział tylko że chce sprawdzić inną trasę i prowadził, ponownie koncentrując się na drodze oraz okolicy.

Pinta jakiś czas jechała w milczeniu, ale wizyta w szkole i rozmowa z *signorą* Delucą naprawdę ją podnieciły. Co raz rzucała spojrzenia na dużego, cichego mężczyznę obok i w końcu zapytała:

— Lubieś szkołę, Creasy?

— Nie.

— Ani trochę?

— Nie.

Jego krótkie odpowiedzi powinny były ją zniechęcić, ale tak się nie stało.

— Ale dlaczego nie?

— To nie była taka szkoła, jak twoja i nie było tam nikogo takiego, jak *signora Deluca*.

Przez chwilę jechali w milczeniu, podczas gdy ona zastanawiała się nad tym, po czym zapytała: — Więc byłeś nieszczęśliwy?

Westchnął z rozdrażnieniem i powiedział: — Bycie szczęśliwym to pewien stan umysłu. Nigdy o tym nie myślałem.

Dziewczyna wyczuwała jego nastrój, ale była za młoda, żeby na to zareagować. Skoro jego przyjazd zbiegł się, a może nawet był przyczyną jej radosnych uczuć, chciała się nimi podzielić. Ale nie rozumiała jego nastroju. Nie wiedziała, że zawsze był milczący i zamknięty w sobie. Chciała poznać go bliżej. Popatrzyła na jego ręce na kierownicy, pokryte zniekształcającymi bliznami, wyciągnęła rękę i dotknęła jednej z nich.

— Co ci się stało w ręce?

Wyszarpnął dłoń i powiedział ostro: — Nie dotykaj mnie, kiedy prowadzę!

Po chwili powiedział stanowczym tonem, jakby podjął decyzję. — I nie zadawaj bez przerwy pytań. Nie jestem tutaj dla pogaduszek. Nie musisz nic o mnie wiedzieć. Mam cię strzec — to wszystko.

Urażona, odsunęła się na brzeg swojego siedzenia.

Creasy spojrzął na nią. Siedziała zapatrzona w drogę przed sobą, z ustami zaciśniętymi w kreskę. Podbródek jej drżał.

— Tylko nie zaczynaj płakać — powiedział z irytacją. — Na tym świecie różnie bywa. Bardzo różnie. To nie jest sprawa bycia szczęśliwym lub nie całkiem szczęśliwym. Zdarzają się także złe rzeczy. Sama się przekonasz, jak przestaniesz być dzieckiem.

— Nie jestem dzieckiem! — zaprotestowała ze złością. — Wiem, że złe rzeczy mogą się zdarzyć. Mam kolegę, który został porwany i obcięto mu palec. Musiałam siedzieć w domu całymi miesiącami, w ogóle nie wychodząc, a teraz mam ciebie cały czas przy sobie, z tymi twoimi skłonnościami do milczenia i kwaśnymi minami... wcale nie płaczę.

Ale miała łzy w oczach, mimo że była wściekła.

Zjechał na pobocze i stanął. Pograżył się w myślach, a ciszę zakłócało tylko jej pociąganie nosem.

— Posłuchaj — powiedział w końcu. — ja już taki jestem. Nie zadaję się z dziećmi. Nie lubię zbyt wielu pytań. Musisz to zrozumieć, albo poprosić ojca, żeby ci znalazł kogoś innego. W porządku?

Przestała pochlipywać i siedziała bez ruchu, patrząc się przed siebie. Nagle otworzyła drzwi, wyszła z samochodu i usiadła na tylnym siedzeniu.

— Teraz możemy jechać do domu, panie Creasy.

Położyła nacisk na „panie”.

Obejrzał się na nią. Nie odwzajemniła spojrzenia. Siedziała z wyprostowanymi plecami, zła.

Ruszył dalej z ambiwalentnymi uczuciami. Nie chciał jej ranić, ale przecież nie zatrudniono go w charakterze niańki. Musiało się tak stać. W każdym razie, pewnie już po wszystkim. Rodzice powinni zdać sobie sprawę, że ona potrzebuje przyjaciela — towarzysza. On był ostatnią osobą jaka nadawałaby się do tej roli.

W niedzielę po kolacji Creasy czytał, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Nie czuł się dobrze. Poprzedniego wieczoru wypił więcej niż zwykle, jeśli nie liczyć posiłków, cały dzień spędził w swoim pokoju. Spodziewał się, że przyjdzie do niego albo Rika, albo Ettore.

Była to Rika.

— Chciałam się upewnić, że masz wszystko, czego potrzebujesz — powiedziała stanąwszy w drzwiach.

Odłożył książkę.

— Mam wszystko.

Przejechała oczami po pokoju.

— Czy jedzenie ci odpowiada? Maria mówi, że przez cały dzień prawie nic nie jadłeś.

— Jedzenie jest dobre. Bardzo dobre. Byłem po prostu niedysponowany. Ale już jest wszystko w porządku.

Weszła w głąb pokoju.

— Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

Wskazał jej krzesło, a sam usiadł na łóżku.

Kiedy szła przez pokój i siadała, podziwiał jej sposób poruszania się. Jak u tancerki — świadomy, gładki, płynny. Założyła jedną nogę na drugą. Ku ogromnemu zaskoczeniu zauważył, że nosi pończochy z podwiązkami. Nie widział takich już od lat. Na niej wyglądały dobrze.

— Jak się dogadujesz z Pintą?

Odpowiedział wprost.

— Zaczniemy się doskonale dogadywać, jak zrozumiemy, że nie jestem nową zabawką.

Uśmiechnęła się.

— To naturalne, że jest podniecona — dostała ochroniarza — wróciła do szkoły. Jest wynudzona — musisz okazać jej trochę cierpliwości, Creasy.

— Płacą mi za strzeżenie jej, a nie zabawianie.

Skinęła głową, przyjmując to do wiadomości, poczym zapytała. — Pokłóciście się? Nie chce mi powiedzieć, ale wczoraj wieczorem była bardzo milczącą

i wyglądała na rozczarowaną.

Wstał, podszedł do okna i wyjrzał przez nie, plecami do niej.

— Proszę posłuchać — powiedział. — Może nic z tego nie będzie. Właściwie przedtem niewiele się nad tym zastanawiałem, ale nie jestem typem człowieka do towarzystwa. Może powinna pani poprosić męża, żeby znalazł kogoś innego — kogoś młodszego.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Potrząsała głową.

— Nie, masz rację. Zostałeś zatrudniony, aby ją chronić. Nic ponadto. Jestem przekonana, że wywiązesz się z tego.

Popatrzyła na łóżko. Jej uwagę przyciągnęła broń. Wisiała w pochwie na ramie.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że masz broń — powiedziała z uśmiechem. — Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale cała ta historia wygląda nagle bardzo poważnie.

Milczał, więc ciągnęła dalej.

— Przypuszczam, że spodziewałam się jakiegoś mistrza karate czy kogoś w tym rodzaju — przypomniała sobie raport. — Walka wręcz, prawda? Czy nie był pan instruktorem?

— Tak — powiedział. — Ale walka z bronią jest skuteczniejsza. Tak czy inaczej, ta broń ma tylko odstraszać. Nie przypuszczam, żebym jej użył.

Zamyśliła się nad tym.

— Ale użyjesz, jeżeli będziesz musiał, gdyby Pinta znalazła się w niebezpieczeństwie?

— Naturalnie.

Teraz wyczuwał jej zainteresowanie i wiedział, czego się spodziewać.

— Musiałeś zabić wielu ludzi.

Wzruszył ramionami, ale ona nie odrywała spojrzenia od jego twarzy.

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić. To znaczy, na wojnie, na odległość, owszem, ale z bliska, stojąc twarz w twarz, to musi być okropne.

— Można się przyzwyczaić. A przyzwyczajanie się do tego nie jest najlepszym przygotowaniem do niańczenia dziecka.

Zaśmiała się. — Chyba nie. Ale my nie zatrudniliśmy niani — nagle zmieniła temat. — Mamy na dole dodatkowe radio. Lubisz muzykę?

Wolno pokiwał głową, zastanawiając się, do czego zmierza.

— Trochę.

— Jaki rodzaj?

— Country, coś w tym rodzaju.

— Ach, tak, Tennessee, Pinta mi wspominała. Cóż, mamy tu radiomagnetofon, ale nie mamy żadnego country.

Poszła do drzwi, obróciła się i dodała: — Ale jestem pewna, że znajdziesz coś w Mediolanie. Jedziemy tam jutro. Mam lunch z przyjaciółmi.

Popatrzyła na niego z zamyśleniem, a potem powiedziała: — Byłoby lepiej, gdybyśmy mieli więcej dzieci. Jest bardzo samotna, ale...

Wzruszyła ramionami, otworzyła drzwi i wyszła.

Wrócił na krzesło i wziął książkę, ale wizyta rozproszyła jego uwagę. Nie mógł się skupić. Poszedł więc do szafy, wyjął walizkę i sięgnął po butelkę.

Trochę muzyki nie zaszkodziłoby. Muzyka country była jedynym śladem, jaki pozostał mu po młodości. Jutro rozejrzy się po Mediolanie i zobaczy, co mają w sklepach muzycznych. Prawdopodobnie tylko nowe piosenki, ale wiedział, że Johnny Cash był popularny we Włoszech, słyszał też w radiu Dr Hooka i podobał mu się, Linda Ronstadt również. Słyszał, jak śpiewa „Blue Bayou”. Stała się jego ulubioną piosenką. Nalał drinka i znowu sięgnął po książkę, ale nic z tego nie wyszło. Jego umysł zaprzętała kobieta.

— Wyjdę około drugiej trzydzieści. — Pokazała na boczną uliczkę w pobliżu restauracji. — Możesz tam zaparkować.

Creasy przytaknął i powiedział: — Jeśli policja każe mi odjechać, zrobię kółko. Proszę czekać na rogu.

Wysiadła z samochodu i przeszła przez ulicę. Creasy wiódł za nią wzrokiem. Ubrana była w wąską, prostą spódniczkę. Niewiele Włosek po trzydziestce może lub powinno pozwolić sobie na noszenie czegoś takiego. Miała figurę, która kojarzyła się z dobrze pojętą lubieżnością, a wysoki wzrost czynił jej sylwetkę wręcz idealną. Zniknęła w środku, więc włączył się do ruchu i popatrzył na zegarek. Dwie godziny.

To był jego pierwszy prawdziwy dzień w nowej pracy. Wyjechali z domu na krótko przed ósmą, przy czym matka i córka siedziały z tyłu. Rika powiedziała mu, że dała radiomagnetofon Marii. Pinta ignorowała go.

Przed bramą szkoły stał umundurowany strażnik. Zajrzał do samochodu i Rika przedstawiła mu Creasy'ego. Strażnik przyjrzał się jego twarzy, żeby ją zapamiętać. Brama była lekko uchylona i Pinta właśnie miała wysiąść, kiedy głos Creasy'ego powstrzymał ją. — Nie ruszaj się z miejsca.

Wysiadł, przeszedł obok strażnika i zajrzał za bramę. Usatysfakcjonowany, podszedł do tylnych drzwi, otworzył je i skinął głową do dziewczynki. Pocałowała matkę, wyskoczyła z samochodu i przeszła obok Creasy'ego, nawet nie rzuciwszy na niego okiem. Strażnik posłał Creasy'emu twarde spojrzenie, a potem stał i obserwował jak odjeżdżają.

— Jesteś ostrożny — stwierdziła Rika.

— Taki zwyczaj — padła odpowiedź.

— Rozmawiałam z Pintą. Wy tłumaczyłam jej, że ma ci nie zawracać głowy i pozwolić wykonywać obowiązki.

— Wygląda na to, że dotarło do niej — powiedział.

— Tak, ale nie wspominałam o naszej wczorajszej rozmowie. Po prostu powiedziałam jej, że nie jesteś przyzwyczajony do dzieci. Nie chcę, żeby w końcu cię znenawidziła.

Pojechał na dworzec kolejowy, pogrzebał w stoisku z książkami i wybrał kilka w miękkiej oprawie. Potem poszedł na pocztę i zamówił połączenie z Guido.

Tak, powiedział mu, nie jest pewny czy to mu się spodoba, ale podejmie próbę. Przynajmniej jedzenie jest dobre. Potem zadzwonił do Elia i podziękował mu za gościnność. Chciałby zjeść kolację z nim i Felicia za parę tygodni, jak będzie miał wolny dzień.

Czuł się naprawdę mile widziany przez parę dni, które spędził u nich. Felicia była wysoką, atrakcyjną rzymianką. Poznała Elia na uniwersytecie. Byli szczęśliwi, a w ich domu panowała atmosfera odprężenia. Traktowała Creasy'ego jak marnotrawnego wuja i delikatnie droczyła się z nim — zdobyła sobie jego sympatię.

Pokręcił się po stacji. Lubił dworce — ruch, hałas i ludzi udających się do różnych miejsc. Lubił także pociągi. To był dobry sposób podróżowania. Widziało się mijane widoki i miało się uczucie zmierzania do celu. Długie podróże dobrymi pociągami sprawiały mu przyjemność. Można było wstać i pochodzić, albo zjeść posiłek.

Zaszedł do sklepiku z kasetami, rozejrzał się po nim i znalazł parę nagrań Johnny'ego Casha i jedno Dr Hooka. Nie wypatrył żadnej kasyty Lindy Ronstadt, ale kiedy przyszło do płacenia, zapytał o nią sprzedawczynię, a ona poszła na zaplecze i wygrzebała mu jedną. Było na niej nagranie „Blue Bayou” i dzień wydawał się na razie całkiem udany.

O 14.30 czekał w uliczce koło restauracji. O 14.45 zjawił się policjant i gestem ręki kazał mu odjechać. Skinął na policjanta, aby podszedł i wylegitymował się jako ochroniarz.

— Dobrze płacą? — zapytał policjant.

— Nieźle. Ale spędza się mnóstwo czasu siedząc na tyłku.

— To lepsze niż łażenie po ulicach dopóki nogi tam nie wejdą.

Osiągnęli porozumienie i policjant odszedł, żeby przycześcić się do jakiegoś obywatela, który miał mniej szczęścia.

Tuż po trzeciej zjawiała się Rika w towarzystwie mężczyzny i kobiety. Wszyscy byli rozluźnieni. Creasy wysiadł z samochodu i został przedstawiony.

— Vico i Gina Mansutti — Creasy.

Stanowili przystojną parę. Mógłby uważać ją za piękną, gdyby nie przyćmiewał jej blask Riki. Mężczyzna był opalony, nienagannie ubrany i zadbany. Człowiek, który ulży sobie tylko w czystą chusteczkę.

Przyjrzeni mu się z zainteresowaniem i mężczyzna powiedział: — Podobno kiedyś służył pan w Legii Cudzoziemskiej.

Creasy skinął głową.



— I został pojmany w Wietnamie.

Znowu skiniecie.

— To musiało być nieprzyjemne.

Jeszcze jedno pochylenie głowy, po którym Gina wyszeptła do Riki: — Czy on się odzywa?

— Oczywiście — ostro odpowiedziała Rika. Odwróciła się do Vico i pocałowała go w policzek.

— Vico, dzięki za przemyły lunch. Obiecuję, że nie pozwolę Ginie wydać zbyt wiele. — Obie kobiety wsiadły do samochodu. Creasy jeszcze raz skinął głową Vico i odjechali. Vico stał na krawężniku i obserwował, jak włączają się do ruchu. Creasy obserwował go w lusterku wstecznym. Wydawał się być czymś zatroskany.

Przez następne półtorej godziny Creasy jeździł od sklepu do sklepu oraz zamykał i otwierał bagażnik dla rozlicznych paczek. Potem przypomniał Rice, że o piątej musi zabrać Pintę. Spojrzała na zegarek z zaskoczeniem. — Już jest tak późno? Nieważne, jedź. Zadzwoń do Ettore, żeby po nas przyjechał.

Kilka samochodów stało na podjeździe przed szkołą, a dziewczęta już wychodziły z budynku. Creasy siedział i czekał.

W końcu Pinta ukazała się zza rogu budynku z dwiema koleżankami. Przez chwilę stały i rozmawiały, często spoglądając w jego kierunku. Potem rozeszły się, dwie z nich do niebieskiego Mercedesa, a Pinta z powrotem za budynek. Mercedes odjechał. Dwadzieścia minut później Pinta pojawiła się ponownie, niosąc książki, związane rzemykiem. Creasy wysiadł i otworzył tylne drzwi. Przechodząc koło niego uniosła książki. Wziął je od niej, trzymając za rzemień.

— Twoja mama wróci z ojcem — powiedział.

Pochyliła głowę, a on zatrzasnął drzwi.

Dojechali do domu w milczeniu.

Tego wieczoru Maria przyrządziła *stracciatella* na rosole z kurczaka podanego poprzedniego dnia, a na drugie *saltimbocca*. Jedli w milczeniu. Danie było pyszne. Potem, przy kawie, Creasy wziął książkę i zaczął czytać. Coś mu się przypomniało.

— Masz talent, Mario, kolacja była znakomite.

Maria rozpromieniła się z radości, a Creasy powrócił do lektury. Maria i Bruno zaczęli rozmawiać o papieżu. Pogodzili się już z Creasym i jego milczeniem. W kuchni panowała atmosfera odpoczynku.

Wróciwszy później do swojego pokoju, Creasy włożył kasetę do magnetofonu i słuchał Dr Hooka, śpiewającego o miłości i dawnych dniach. Wyjął butelkę i nalał sobie drinka. Właściwie nie słyszał słów, ale melodia i muzyka przebiły się przez jego skorupę.

Zastanowił się nad mijającym dniem. Jego pierwszym dniem w roli ochroniarza. Nie najgorzej. Przynajmniej ustanowił zasadę służbowości. Wszyscy wiedzieli kim był, a kim nie. Ujdzie, jak na początek.

Piętro niżej Pinta leżała w łóżku, ale nie spała. Obok niej, z głową na poduszce, leżał bardzo stary, brązowy miś pluszowy z oczami z guzików i licznymi łatami, zapobiegającymi przed wysypaniem się tego, czym był wypchany. Przez otwarte okno docierała do niej cicha muzyka. Po jakimś czasie ucichła i zaczęła się inna taśma. Śpiewała kobieta. Pinta nie знаła tej piosenki, ale kiedy dobiegła końca, nastąpiła krótka pauza, a po niej zabrzmiała ta sama melodia. Zaczęła zapadać w sen. Muzyka była melancholijna, naprzykrzająca się. „Blue Bayou”.

## 6

Obecność Creasy'ego w domu dała Rice swobodę, dzięki której mogła znowu towarzyszyć Ettore w podróżach. Jednym z nieprzewidzianych rezultatów pośpiesznego zabrania Pinty ze szkoły było to, że ona również została zmuszona do siedzenia w domu. Bez sensu byłoby zamykać córkę w domu dla bezpieczeństwa, a potem zostawiać ją tam tylko ze służbą.

Wszystkie wyjazdy Ettore trwały tydzień, do dziesięciu dni i wiązały się z odwiedzaniem różnych miast europejskich, a od czasu do czasu także Nowego Jorku i Toronto. Lubiła te wycieczki, a jednocześnie służyła Ettore pomocą. Przeważnie coś sprzedawała, więc jej czar i uroda bywały wielce przydatne.

Zapomniał uzgodnić z Creasym sprawę czasu wolnego od pracy. Oczywiście, pod nieobecność jego i Riki będzie musiał zostać z dziewczyną. Powiadomienie go o tym zostawił Rice, a ona odczuła ulgę, kiedy Creasy po prostu przyjął to do wiadomości. Czas wolny właściwie wcale nie zaprzętał mu myśli. Raz na jakiś czas, powiedział jej, zechce pójść na kolację do lokalu, ale może to robić, kiedy oni są w domu. Zdała sobie sprawę, że zatrudnianie ochroniarza bez rodziny ma swoje zalety i pojechała z mężem do Paryża ze spokojną głową.

Ettore miał negocjować nabycie nowych maszyn dziewiarskich Leboce. Pełny koszt wynosił ponad czterysta milionów lirów, więc jeśli Francuzi nie zgodzą się na bardzo korzystne warunki kredytowe, nic z tego nie wyjdzie. Ale był przekonującym negocjatorem, a skoro Rika, będąc u jego boku, uatrakcyjni okazje towarzyskie, mógł czuć się optymistą.

Nieobecność rodziców oznaczała, że Pinta jadła posiłki w kuchni. Creasy był zadowolony, że nawiązali coś, co dla niego było sensownymi i satysfakcjonującymi stosunkami — ignorowała go. Nie była niegrzeczna i zrezygnowała ze swej wcześniejszej postawy urażonego oburzenia — po prostu traktowała go jak konieczny, ale nieciekawny sprzęt.

Podczas posiłków rozmawiała więc tylko z Brunem i Marią, przy czym starca traktowała z powagą i szacunkiem, a z kobietą delikatnie droczyła się, zwłaszcza na temat jakiegoś rzekomego adoratora w Como. Creasy widział, że uwielbiali dziewczynę i cieszyli się z jej towarzystwa przy posiłkach.

Ale to była poza. Podobnie jak matka, była aktorką.

Dzieci bywają nieustępliwe. Chciała mieć w nim przyjaciela. Przeszkody tylko wzmogły jej determinację. Kiedy matka instruowała ją, że ma nie zawracać głowy Creasy'emu, grzecznie przytakiwała, a potem długo i wnikliwie myślała, dopóki nie opracowała strategii. Była inteligentną dziewczyną o ciepłym sercu, a jej charakter, w przeciwieństwie do matki, składał się z dwóch elementów. Z jednej strony, styl życia rodziców oraz brak braci i siostr sprawiły, że była dojrzała ponad swój wiek jedenastu lat. Przyzwyczyła się do towarzystwa dorosłych i potrafiła skrupulatnie obserwować ich zachowanie. Z drugiej, miała w sobie żywą, pobudzającą ciekawość i była nieustannie zachwycona nowymi odkryciami. Wchodziła w życie z wielkimi oczekiwaniami i cudownie otwartym umysłem, Zawody i niepowodzenia nie zaćmiewały jej optymizmu. Przypominała małego psiaka, którego rozsadza energia i ciekawość, skaczącego krok w tył przy spotkaniu z czymś nowym, ale po chwili, centymetr po centymetrze, posuwającego się do przodu z drgającym nosem.

Tak więc, odskoczyła od Creasy'ego, kiedy warknął na nią w samochodzie, a teraz zaczynała powolutku ruszać do przodu, mądrze i tuż poza jego polem widzenia.

Oceniła go prawidłowo. Jakikolwiek frontalny atak zostałby natychmiast zauważony i odparty.

Po prostu poczeka i poszuka jakiejś luki w jego obronie. Była pewna, że musi istnieć. Nikt nie mógł być tak nie zainteresowany życiem i światem, jak się wydawał. Czekając więc, prowadziła bez troski pogaduszki z Marią i pozornie ignorowała go.

Wraz z upływem dni Creasy osiągał pewną psychiczną tolerancję dla swojej bieżącej pozycji. Niepotrzebne tu były żadne decyzje, żadne plany, żadne problemy emocjonalne. Sama praca była nie wymagająca, a warunki komfortowe. Nie zastanawiał się, jak długo da radę pozostać. Na razie był raczej zadowolony i czuł, że zatrzymał się, a przynajmniej zwolnił, na ścieżce, która dotąd wprowadzała go w zdenerwowanie i zagubienie. Nie miał żadnych zewnętrznych obowiązków, z nikim nie był związany i nikt niczego od niego nie wymagał. Mógł żyć z dnia na dzień, może i bez wielkich nadziei, ale też nie w kompletnej rezygnacji.

Zaczął trochę mniej pić. Był to nadal szkodliwy czynnik, otepiający i podkopujący siły fizyczne, ale zdarzały się teraz poranki, kiedy w butelce zostawała resztką whisky. Nie było to już rozpaczliwe upijanie się, ale raczej przesadny nawyk. A jednak, zdawał sobie sprawę, że jeżeli chce powstrzymać utratę sił fizycznych, będzie musiał się ostro ograniczać. Warto o tym pomyśleć — ale bez przesadnego wysiłku.

Popadł w rutynę. Rano odwoził Pintę do szkoły i przyjeżdżał po nią o piątej. Przez resztę dnia był wolny. Od czasu do czasu jeździł do Mediolanu, żeby

kupić parę książek lub kaset, ale zwykle wracał do domu. Pomagał Brunowi na ogromnym terenie posiadłości. Lubił pracować, konstruować różne rzeczy. Guido kiedyś żartował, że był to kompleks winy za to, że dawniej wysadzał w powietrze i burzył.

W Legii miał okazje zarówno do destrukcji, jak i konstrukcji, ponieważ oddział zasłynął z budownictwa lądowego, głównie dróg. Na samym początku w Algierii, jak Rzymianie, budowali drogi, aby spacyfikować kraj. Kontynuowali tę tradycję w innych częściach Afryki i w Wietnamie. Legioniści byli szkoleni do tej pracy, a Creasy wykonywał ją z przyjemnością.

Bruno postawił sobie za punkt honoru, by utrzymać porządek w ogromnej posiadłości. Swoją uwagę poświęcał zwłaszcza frontowemu ogrodowi i klombowi, które ciągnęły się aż do drogi. Na tyłach domu teren stromo wznosił się porośniętym sosnami i usianym skałami zboczem. Ta część była właściwie zarośnięta. Całość otaczał drewniany płot, ale był w stanie wymagającym szybkiej naprawy. Bruno poprosił o pieniądze i prostego robotnika, który pomógłby go odnowić, a Ettore obiecał coś zrobić w tej sprawie, ale nawet nie kiwnął palcem. Creasy wziął się do roboty przy tym płocie. Pojechał do Como i za własne pieniądze kupił trochę drzewa. Powie Ettore, że wymagały tego względy bezpieczeństwa, chociaż nawet po naprawie płot nie mógł stanowić przeszkody dla intruza.

Codziennie poświęcał temu zajęciu kilka godzin, ale skończenie roboty musiało zająć dobrych parę tygodni. Praca wypełniała mu to wolny czas, a przy okazji wypacał trochę whisky, chociaż było przedwiośnie i panowały jeszcze chłody.

Wieczorami zjadali wczesną kolację w kuchni, a później Creasy zostawał tam na godzinę czy dwie, czytając lub oglądając telewizję i jednym uchem słuchając rozmów innych.

Właśnie w tym okresie, na kilka dni przed powrotem rodziców, Pinta dojrzała swoją szansę. Kiedy w telewizji nie było niczego interesującego, czytywała dzienniki i magazyny. Dzięki swojej ciekawości często miała pytania do Marii i Bruna.

Żadne z nich nie było zbyt odczytane ani nie podróżowało, więc mieli ograniczone możliwości udzielenia odpowiedzi. Creasy słyszał te rozmowy jedynie w tle, ale tego wieczoru słowo „Wietnam” przyciągnęło jego uwagę.

Pinta przeczytała coś o masowej ucieczce uchodźców z południa — „ludziach z łodzi”. Zapytała Bruna dlaczego tak wielu ludzi ucieka z własnego kraju. Wzruszył ramionami i wygłosił jakąś ogólnikową uwagę o komunizmie.

Pobudziło to zainteresowanie Creasy’ego i po raz pierwszy dał się wciągnąć do rozmowy. Dziewczyna z zaciekawieniem słuchała, jak wyjaśniał, iż większość ludzi w łodziach była z pochodzenia Chińczykami, którzy zawsze żyli jako oddzielna społeczność. Nie byli lubiani przez Wietnamczyków, bo ci tradycyjnie im nie ufali. Po zakończeniu wojny zjednoczony Wietnam postanowił się ich pozbyć. Jako społeczność Chińczycy byli zamożni i mogli sobie pozwolić na zapłacenie usługodawcom, głównie rodakom z Hong Kongu, za przeschumowanie na ło-

dziach. Przy czym miało to niewiele z przemytu, bo władze przymykały na nich oko, a nawet aktywnie zachęcały do wyjazdu. Czyli tak naprawdę to nie efekty komunizmu doprowadziły do tego problemu, ale różnice etniczne.

Pinta dokonała ostrego porównania z emigracją klasy robotniczej w Europie z biednych krajów do bogatych. Niedawno czytała o nie najlepszym przyjęciu, z jakim spotykali się włoscy robotnicy w Szwajcarii i Niemczech.

Nie minęło wiele czasu, a po kolejnym pytaniu Creasy wyjaśniał wpływy mniejszości chińskiej w Malezji i Indonezji, gdzie kontrolowała ona większość gospodarki i również nie była lubiana. Powiedział jej, że po nieudanym komunistycznym zamachu stanu wymordowano tam ponad sto tysięcy Chińczyków.

Chciała wiedzieć, jakim cudem tam trafili, więc opowiedział jej o wielkim imporcie siły roboczej dokonany przez władze wczesnego kolonializmu. Chińczycy nadawali się na robotników na plantacjach, przy wyrębie dżungli i budowie dróg. Miejscowa ludność nie nadawała się do tak ciężkiej pracy. Podobnych przykładów było więcej, zapewnił ją: Hindusi we Wschodniej Afryce, których ściągnięto do budowy kolei, a potem zostali i przejęli sieci handlu detalicznego, Tamilowie w Sri Lance, sprowadzeni z południowych Indii do pracy na plantacjach herbaty. Takie rzeczy zdarzały się na całym świecie i zwykle powodowały powstanie rozłamu, który w późniejszych latach prowadził do nienawiści i rozlewu krwi.

Nagle przestał mówić i wziął książkę. Wygłosił i tak wyjątkowy monolog. Nie nalegała, nie odezwała się już do niego ani słowem. Zamiast tego, podjęła rozmowę z Marią. Parę minut później Creasy wstał, rzucił burkliwe „dobranoc” i poszedł do swojego pokoju.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Pinta uśmiechnęła się w duchu.

— Pierwszy krok, Misiu Creasy — powiedziała do siebie.

Następnego dnia w drodze do szkoły i z powrotem Pinta nie powiedziała ani słowa, a wieczorem oglądała telewizję. Jakby Creasy nie istniał. Sprawilo mu to ulgę. Poprzedniego wieczoru w pokoju na górze czuł się zaniepokojony, co miało miejsce zawsze wtedy, gdy uczynił coś niezgodnego z naturą. Ale gdyby zdawał sobie sprawę ze strategii dziewczynki, byłby jeszcze bardziej niespokojny, choć również zmuszony do podziwu z wojskowego punktu widzenia. Rozpoznaj cel bardzo starannie. Odnotuj jego słabe punkty. Wykonaj pozorowany atak i ściągnij na siebie ogień, a wtedy szybko zakradnij się od tyłu. Z Pinty byłby świetny przywódca powstańców.

Creasy zaprosił Elia i Felicię na kolację do „Zagone” w Mediolanie. Lokal ten poleciła mu Maria. Zaraz po przyjeździe na północ pracowała tam jako kelnerka; właściciel pochodził z Florencji i ręczyła za jakość potraw, chociaż — przyznała przepraszająco — są drogie. Dla Felicji była to okazja. Dwójka dzieci trzymała ją

wieczorami w domu, ale tego dnia została z nimi godna zaufania sąsiadka, więc postanowiła dobrze się bawić.

Maria telefonicznie dokonała rezerwacji i najwyraźniej musiała kiedyś być dobrą oraz lubianą kelnerką, bo właściciel powitał ich osobiście i posadził przy dobrym stoliku. Powiedział, że przez Marię przemawiała skromność, kiedy twierdziła iż była zwykłą kelnerką. Pomagała również w kuchni i okazała się znakomitą kucharką. Balletto często tam jadali i dlatego w końcu ją zatrudnili. Zażartował pod adresem Creasy'ego, że po kuchni Marii, ten posiłek wyda mu się byle jaki.

Najpierw zjedli lekki makaron — *penne alla carrettiera*, potem jagnięcinę duszoną w winie, groszku i rozmarynie. Stanowili odprężone trio. Dla Creasy'ego był to pierwszy wypad od czasu gdy rozpoczął pracę, a oczywiście zadowolenie Felicji było wręcz zaraźliwe.

Elio został zaskoczony nastrojem Creasy'ego. Przez miniony miesiąc zaszła w nim wyraźna zmiana. Nie stał się gadatliwy czy uśmiechnięty od ucha do ucha, po prostu nie byłby Creasym, ale przyjmował dobrotliwe dokuczanie Felicji spokojnie, a nawet sam zdobył się na parę dowcipów opowiedzianych z poważną miną. Felicia chciała wiedzieć wszystko o domostwie Balletto, a zwłaszcza o Rice, która była dobrze znana jako lwica salonowa i gospodyni przyjęć. Czy rzeczywiście była tak piękna, jak mówiono? Creasy potwierdził. Była naprawdę piękna wedle wszelkich standardów, a w dodatku w naturalny sposób.

— Czy uważasz ją za pociągającą? — zapytała Felicia z rozbajającym uśmiechem.

Creasy przytaknął bez wahania. Jak każdy mężczyzna. To był prosty, życiowy fakt. Pokazał na jej talerz, z którego szybko zniknęła jagnięcina. — Tak, jak smakosze przyciągani są przez dobre jadlo czy wyjątkowe wino.

— A dziewczynka? Czy jest podobna do matki?

Creasy przemyślał to dogłębnie i było widać, że pytanie go zainteresowało.

Według niego, wyrosnie na równie piękną kobietę. Już zaczynało to być widoczne. Natomiast uważał, że charakterem może się różnić. Jest ekstrawertyczką. Ogromnie ciekawa wszystkiego. Ale kto wie? Przy pełnym rozkwicie może się zmienić. Wielka uroda często powoduje zahamowania.

Creasy przyłapał się na tym, że myśli o dziewczynce. Od tego wieczoru, kiedy opowiedział jej o uciekinierach i Wietnamu, zadała mu jedno czy dwa inne pytania, w bezpośredni i otwarty sposób. Nawet dzień wcześniej, jadąc do szkoły, zapytała go z tylnego siedzenia o „prawa obywatelskie”.

Myśli te przerwał mu człowiek, który podszedł do ich stolika. Był to Vico Mansutti. Właśnie przyszedł z dwoma innymi mężczyznami.

— Pan Creasy, prawda?

Creasy przedstawił go Elio i Felicji.

— Masz doskonały gust — zwrócił się Vico do Creasy'ego. — To jedna z najlepszych restauracji w Mediolanie. Jak tam kolacja?

Zgodnie zapewnili go, że była wyśmienita, a on raz jeszcze błysnął zębami do Felicji i wrócił do swojego towarzystwa.

Parę minut później przyszedł Zagone i zaproponował im drinki, które stawiał pan Mansutti.

— Jest czarujący — powiedziała Felicia, zamówiwszy koniak. Creasy spojrział na Elia, a ruch ramion, bardzo włoski i wymowny, powiedział mu, że zgadzają się co do Mansuttiego.

— To rekin — stwierdził Elio. — Ale bardzo sprytny. Ma dobre kontakty z rządem i ze środowiskiem interesu. Ale plotka głosi, że ma również kontakty z mafią. Tylko że to nic nadzwyczajnego. W dzisiejszych czasach trudno wyczuć granicę między przestępczością, rządem i światem interesu. Tak się składa, że krążą też plotki, iż ma romans z żoną twojego szefa.

Creasy był zaskoczony. Nie tym, że Rika mogła mieć romans, ale faktem, że wybrała właśnie Mansuttiego. Elio powiedział coś, co trochę naświetliło sprawę.

— On pomaga Balietto uzyskać gwarancje bankowe na unowocześnienie wyposażenia fabryki. Mówi się nawet o osobistym zaangażowaniu Mansuttiego. Jest bardzo bogaty, a Balietto Mills wydaje się mieć poważne kłopoty finansowe.

To mógłby być powód, pomyślał Creasy. Nie wyobrażał sobie, żeby Rika powstrzymała się przed czymkolwiek, gdyby coś zagrażało jej stylowi życia. Słowa Elia kazały zadać jeszcze jedno pytanie.

— Skoro Balletto ma kłopoty z gotówką, mało prawdopodobne, aby jego córka była potencjalną ofiarą porwania — powiedział Creasy.

Elio zgodził się i uważał, że może to być sprawa snobizmu. — Wiele przyjaciółek Riki ma ochroniarzy.

— Chcesz powiedzieć, że ja jestem tylko towarzyskim dodatkiem? — zapytał sucho, a Felicję ten pomysł rozśmieszył. Ale Creasy pamiętał swoją wstępną rozmowę z Ettore i wszystko to zaczynało nabierać sensu. Ettore zapewniał żonie brylującą pozycję za niewygórowaną cenę. Wyjaśniało to również, dlaczego był tak niechętny wydawaniu pieniędzy na udoskonalenie systemów zabezpieczenia domu. Po powrocie z Paryża ucieszył się, że Creasy postanowił naprawić płot i chętnie zwrócił mu niewielką sumę, wydaną na drewno. Aczkolwiek, kiedy Creasy zaproponował nowoczesne ogrodzenie z łańcuchów, był zdecydowanie przeciwny.

— Czy twoja firma kontroluje jego księgowość? — zapytał Creasy.

Elio pokręcił głową. — Nie, ale słyszy się to i owo.

Felicia parsknęła. — To i owo! Księgowi są największymi plotkarzami na świecie. Gorszymi niż tuzin gospodyń domowych razem wziętych — uśmiechnęła się do męża, — Też tworzą małą mafię, tyle że posługują się kalkulatorami kieszonkowymi, nie pistoletami.

Elio przytaknął i zwrócił się do Creasy'ego. — Może ona ma rację. Chyba faktycznie wymieniamy się informacjami bardziej swobodnie niż powinniśmy, ale to



dla naszego własnego dobra. Włoscy biznesmeni są bardzo tajemniczy, zwłaszcza przy takich przepisach podatkowych, jakie mamy. Informacja jest jedyną amunicją księgowego — więc mamy skłonność do wzajemnego drapania się po plecach. A poza tym, wynagradza nam to nudę całodniowego ślęczenia nad kolumnami liczb.

Zagone jeszcze raz postawił wszystkim drinki, tym razem we własnym imieniu, więc kiedy wychodzili, Felicia była lekko wstawiona i szła w środku, podtrzymywana przez nich pod ramionami.

Zatrzymali się przy stoliku Mansuttiego i trzech mężczyzn wymienili prezentacje i uprzejmości. Jednym z gości Vico był Anglik ubrany jak bankier: garnitur w drobne prążki oraz kamizelka. Vico wyraźnie podkreślił, że Creasy jest ochroniarzem dziewczynki Balletto. — Bardzo doświadczonego — dodał z uśmiechem.

Creasy poczuł irytację. Nie lubił kiedy obcy o nim rozmawiali.

Po wyjściu z restauracji Felicia ucałowała go w oba policzki, podziękowała i zmusiła do obietnicy, że niedługo przyjdzie do nich na niedzielny lunch.

— Tak, jest znacznie spokojniejszy — powiedział Elio przez telefon. — Byłem zaskoczony. Wydaje się zadomowiony. Nawet powiedział jeden czy dwa dowcipy.

Guido był również zdziwiony. Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie aż tak dobrze. Co za ulga. Dużo myślał o Creasym.

— Dogaduje się z dziewczynką?

— Twierdzi, że ma dociekliwą naturę — odpowiedział Elio. — Przypuszczam, że ją toleruje.

Guido odłożył słuchawkę nieco zbity z tropu. Dociekliwe dziecko i odprężony Creasy to zdecydowanie dwie sprzeczności.

Może Creasy się starzał. A nawet łagodniał. Albo może whisky otumaniła mu mózg. Tak czy inaczej, na razie wszystko szło dobrze.

Pinta znalazła się w impasie. Wiedziała, że aby wykonać następny krok w zdobywaniu przyjaźni Creasy'ego, będzie potrzebowała jakiegoś wybiegu. Wciąganie do rozmowy pytaniami na tematy, które go interesują już nie wystarczało. Tak naprawdę, nie był to dialog. Chciała wiedzieć więcej o nim samym — o jego życiu osobistym.

Dochodziło już do tego, że prawie codziennie udawało jej się doprowadzić do rozmowy o polityce, miejscach, ludziach. Ale trzymał się nadal na dystans i bała się ryzykować, zadając mu osobiste pytania.

Wypytała matkę na temat jego przeszłości i poznała podstawowe fakty z jego życiorysu. Rika z początku opierała się ze względu na związki z przemocą, ale

Pinta świetnie dawała sobie radę z każdym z rodziców, więc z łatwością wyciągnęła z niej informacje. Poza tym, Rika była dumna z ochroniarza. Zamierzała powiedzieć Ettore, że nikt z ich przyjaciół nie ma nikogo, kto wytrzymałby z nim porównanie. W końcu, Creasy miał Croix de Guerre, a także medale za kampanie i mnóstwo blizn, a przy tym kiedyś był spadochroniarzem. Bez zażenowania opowiadała swoim przyjaciołom o jego przeszłości.

W efekcie, Vico poruszył ten temat w trakcie kolejnego lunchu z Ettore.

— Jakim cudem zdobyłeś go tak tanio?

— Pije. Jest alkoholikiem.

Vico przytaknął ze zrozumieniem.

— Doskonale się z tym kryje.

— To prawda, popija tylko wieczorami, ale sam mi powiedział, że nie pozostaje to bez wpływu na niego. Tymczasem nieźle radzi sobie za kierownicą, a sądząc po wyglądzie zewnętrznym, jest wystarczająco kompetentny — uśmiechnął się błogo. — To była dobra inwestycja. Jest także pomocny w domu. Lubi naprawiać różne rzeczy.

Opowiedział Vico o naprawie płotu i innych drobnych zajęciach, jakie Creasy znajdował sobie na terenie posiadłości i w domu.

Vico wyszczerzył zęby. — Stolarzowi musiałbyś zapłacić więcej niż jemu. Rika jest zadowolona. Spotkałem ją niedawno u Granelliego, naprawdę jest teraz o wiele szczęśliwsza.

— Tak — zgodził się Ettore. — To widać. Mniej wydaje. W jej przypadku brak szczęścia prowadzi do ekstrawagancji — przypuszczam, że to forma rekompensaty. W dalszym ciągu jeździ do Mediolanu na zakupy, ale nie kupuje tak wiele.

Vico przytaknął ze zrozumieniem.

— Prawdopodobnie więcej czasu spędza na oglądaniu wystaw.

Potem rozmawiali już tylko o interesach, przy czym mówił głównie Vico.

Pinta nabrała nawyku wpadania do kuchni po kolacji nawet wtedy, kiedy rodzice byli w domu i pewnego wieczoru zapytała o Legię. W gazecie był artykuł o tym, że została wysłana do Zairu.

Opowiedział jej o Legii, o jej powstaniu i coś niecoś o dziejach. Postanowiła trochę przycisnąć.

— Byłeś kiedyś w Legii?

Popatrzył na nią ostro. — Skąd wiesz?

— Słyszałam, jak mama mówiła przez telefon przyjaciółce, zaraz po twoim przyjeździe.

Bruno odwrócił wzrok od telewizora.

— Byłem kiedyś w wojsku — na wojnie. Montgomery wziął mnie do niewoli w Północnej Afryce.

Powiedziane to zostało z nutką dumy, jakby Montgomery dokonał tego osobiście. Creasy kiwnął głową i wrócił do gazety.

Bruno powiedział: — Skoro byłeś w Legii, to obaj jesteśmy starymi żołnierzami.

Creasy spojrzął na niego, a na ustach pojawił mu się ślad uśmiechu.

— Tak, obaj jesteśmy starymi żołnierzami — potem wstał i poszedł do swojego pokoju.

Leżąc później w łóżku, Pinta zdecydowała, że bezpośrednie podejście, wskrzeszające stare wspomnienia, nie zadziała. Słyszała cichą muzykę z jego pokoju i domyślała się, że jeszcze trochę a usłyszy piosenkę, którą zawsze puszczał. Teraz już wiedziała, co to jest. Któregoś dnia, kiedy pracował przy płocie, wśliznęła się do jego pokoju i obejrzała kasetę w magnetofonie. Każdego wieczoru puszczał ją jako ostatnią. „Blue Bayou” Lindy Rondstadt.

Przełom nastąpił przypadkowo. Rodzice spędzali tydzień w Londynie, a ona była w kuchni, kiedy przyszedł Bruno i obwieścił, że w krzakach za domem znalazł gniazdo słowika z dwoma pisklętami. Było już prawie ciemno, ale błagała go, żeby jej pokazał. Gniazdo leżało wysoko na stromym zboczu, wspinała się niecierpliwie, stanęła na kamień, skręciła kostkę i ciężko spadła na ziemię. Creasy właśnie pakował narzędzia, kiedy usłyszał jej krzyk.

Leżała na plecach i trzymała się za bok z twarzą skrzywioną od bólu. Bruno mozolnie zszedł na dół i podtrzymywał jej głowę.

Creasy obmacał kostkę, a jego grube palce okazały się zaskakująco delikatne. Kostka spuchła, ale stwierdził, że to tylko naciągnięty mięsień. Potem odsunął jej rękę od boku i podciągnął koszulkę. Znalazł otarcie tuż pod żebrami. Ostrożnie dotknął palcami żeber i delikatnie je zbadał. Skrzywiła się z bólu.

— Bardzo boli? — zapytał.

— Nie tak bardzo. Ale im niżej tym gorzej.

Wskazała kiwnięciem brody. — Uderzyłam w te skały.- Głos jej drżał, usiłowała powstrzymać się od płaczu.

— Myślę, że jesteś tylko potłuczona — powiedział. — W każdym razie żebra wyglądają na całe.

Zjawiła się Maria, zasapana od wspinaczki i bardzo zdenerwowana. Creasy przerwał jej lamentsy i uspokoił ją. Postanowił zawieźć Pintę do Como na prześwietlenie, żeby mieć pewność. Maria miała zostać w domu na wypadek gdyby zadzwonili rodzice.

Maria wspominała później, jak bardzo był delikatny i opiekuńczy. To nie ten sam człowiek, pomyślała, który wydawał się być taki zimny. Ale w gruncie rzeczy postawa Creasy'ego była efektem rutyny. Przez całe życie często zajmował

się rannymi, czasami bardzo ciężko. Najważniejszą rzeczą było uspokojenie ich i dodanie otuchy.

Zdjęcia rentgenowskie potwierdziły, że nie było żadnych złamań, a lekarz zbandażował jej kostkę i dał tabletki przeciwbólowe. Zgodził się z Creasym, że to nic poważnego.

Po powrocie do domu zapewnił o tym Marię i Bruna, zaniósł dziewczynkę do jej pokoju i wyszedł, a Maria pomogła jej położyć się do łóżka. Potem zamówił rozmowę z hotelem „Savoy” w Londynie, gdyby przypadkiem Rika lub Ettore dzwoniли pod jego nieobecność w domu. Maria z pewnością przesadnie dramatyzowała.

Rika odebrała i opowiedział jej o upadku Pinty. Nie, nie musi natychmiast wracać. To tylko naciągnięcie i potłuczenie. Dziecko prawdopodobnie będzie mogło pójść rano do szkoły, jak zwykle. Odłożył słuchawkę i poszedł na górę, żeby sprawdzić czy z dziewczynką wszystko jest w porządku.

Siedziała oparta o dwie poduszki. Obok niej leżał brązowy, pluszowy miś, mocno zniszczony. Usiadł w nogach łóżka.

— Dobrze się czujesz?

Przytaknęła nieśmiało.

Popatrzył na misia.

— Zawsze sypiasz z tym?

Znowu pokiwała głową.

— Jak go nazywasz?

— Nie ma imienia — odpowiedziała.

Na białej poduszce jej włosy wydawały się kruczo czarne, a twarz bardzo blada. Duże oczy patrzyły na niego uroczyście. Po długiej chwili milczenia, nagle wstał. — Po tych tabletkach będziesz śpiąca. Gdyby ból obudził cię w nocy, weź jeszcze dwie.

Doszedł do drzwi i odwrócił się.

— Rozmawiałem przez telefon z twoją mamą. Kazali powiedzieć, że cię Kochają.

— Dziękuję. Dobranoc, Creasy.

— Dobranoc, Pinto — odburknął.

Lekarstwa sprawiły, że stała się senna. Zgasiła światło, przytuliła misia i prawie od razu zasnęła. Okłamała go. Miał imię.

Pinta skużykała po frontowych schodach do samochodu, a Creasy otworzył tylne drzwi. Zawahała się, po czym powiedziała: — Myślę, że usiądę z przodu. Tam jest więcej miejsca na stopę.

Kiedy przejeżdżali przez bramę, zapytał: — Dobrze spałaś?

— Tak. Te tabletki rzeczywiście mnie uspiły. Zbudziłam się tylko raz, jak przewróciłam się na drugi bok.

— Czy kostka jeszcze boli? Możesz stawać na niej całym ciężarem?

— Nie jest najgorzej — odpowiedziała. — Czy długo potrwa nim zacznie być lepiej? Za pięć tygodni w szkole ma być dzień sportu i chcę wystartować na sto metrów.

— To dość czasu — powiedział. — Tylko nie oszczędzaj jej za bardzo. Opieraj na niej tyle ciężaru, ile możesz. Za tydzień czy dwa nawet tego nie zauważysz.

Kiedy wyjechali na autostradę do Mediolanu, zapytał: — Szybka jesteś?

Przytaknęła. — Ale nie jestem dobra na starcie. Zanim dogonię, jest już za późno.

— Powinnaś więcej trenować.

Kiwnęła głową. — Będę.

Creasy niewiele wiedział o technice startu w biegu sprinterskim, ale doskonale znał się na koordynacji ruchów i czasie reakcji. Wiedział, że mógłby ja nauczyć, ale wtedy się zreflektował. Co za dużo, to niezdrowo.

— Próbuje chodzić normalnie. Nawet jeśli trochę boli.

Zapadli w milczenie.

Tamtego popołudnia, w drodze powrotnej do domu, zapytała go o odkrycie Ameryki. Uczyli się o tym w szkole i była zafascynowana faktem, że Włoch dokonał tego jako pierwszy.

— Niekoniecznie — powiedział jej. — Są tacy, którzy wierzą, że pierwsi byli Wikingowie, a nawet jakiś irlandzki mnich.

Zapoczątkowało to rozmowę o odkrywca i opowiedział jej o Marco Polo i jego podróżach do Chin. Coś niecoś wiedziała, ale była żarliwie zainteresowana poszerzeniem wiedzy, a to skłoniło Creasy'ego do zrobienia czegoś, co było do niego zupełnie niepodobne. Parę dni później zszedł na kolację z paczką, którą podał jej nad kuchennym stołem. Była to książka opisująca podróżę Marco Polo.

— Wpadła mi w oko w mediolańskim sklepie — powiedział.

Tak naprawdę szukał jej dobrą godzinę.

— Dla mnie? W prezencie? — W jej oczach błyszczało podniecenie.

— No, tak, dla ciebie — czuł się niezręcznie i było to widać. — Robiłaś wrażenie, że cię to interesuje. Jest najslawniejszym włoskim odkrywcą — powinnaś wiedzieć o nim.

— Dziękuję, Creasy — powiedziała miękko. Czują, że wreszcie dokonała przełomu.

Ale pewności miała nabrać dopiero w następną niedzielę.

— Przyprowadził ją na lunch.

— Co takiego?

— Przyprowadził ją na lunch. Do nas do domu — dzisiaj. Dopiero co wyszli. Guido odsunął słuchawkę od ucha, spojrział przez kuchnię na Pietra i wolno pokręcił głową.

— Co się stało? — zapytał chłopak, uśmiechając się na widok zaskoczonej miny szefa.

Guido zignorował go i powiedział do słuchawki: — Tak zwyczajnie, po prostu się zjawił?

Po drugiej stronie zabrzmiał śmiech Elia.

— Nie, był wcześniej umówiony, ale zadzwonił dzisiaj rano i powiedział, że jej rodzice opóźnili powrót z Londynu, więc musi odwołać wizytę. Felicia zaproponowała, żeby wziął ją ze sobą, a on zwyczajnie się zgodził. Felicia o mało nie zemdląła!

— Jaka ona jest? — zapytał Guido.

FJio musiał się zastanowić, więc nastąpiła długa pauza.

— Jest pełna życia — powiedział. — To śliczne dziecko, grzeczne, inteligentne i uważa twój duży, brzydkiego przyjaciela za kogoś w rodzaju Zeusa.

— A on — jak reaguje?

Znowu zapadła cisza, a potem Elio powiedział: — To bardzo dziwne. Jest wobec niej jakiś oschły i burkliwy. Niewiele po sobie pokazuje — wiesz, jaki on jest — ale to coś więcej niż tolerancja. Oczywiście, Felicia, jako kobieta, uważa, że widzi w niej dziecko, którego nigdy nie miał.

— Odzywa się do niej? — pytał przepełniony ciekawością Guido.

Elio zaśmiał się. — Jasne, wyjaśnia jej różne rzeczy, a ona bezustannie wypytuje go o wszystko. Poczekaj chwilę, jest Felicia, kładła dzieci spać.

Felicia rozmawiała z Guido przez długi czas.

Creasy się zmienił, powiedziała mu. Jej zdaniem uwielbia to dziecko.

Guido cieszył się w imieniu przyjaciela. Ciekaw był, do czego to doprowadzi. Czy nadal będzie tak miękki.

## 7

— Creasy, co to jest konkubina?

Odwrócił wzrok od jezdni i spojrzał na nią, ale tego rodzaju pytania już go nie zaskakiwały.

— Coś w rodzaju żony.

Była zdziwiona. — Coś w rodzaju żony! Ale cesarz Chin miał ich ponad tysiąc. Jak to możliwe?

Stwierdził, że nie jest to delikatny temat. Pomimo młodego wieku, była psychicznie dojrzała. Książka o Marco Polo, którą jej podarował, wywołała kilka podobnych pytań. Kiedy wyjaśnił, że istnieje wiele kultur, które nie są monogamiczne, nawet nie chichotała. Opowiedział jej o islamie oraz o mormonach i po cichu był ubawiony, kiedy wyraziła współczucie dla mężczyzny.

— Posiadanie wielu żon musi być trudne — stwierdziła w zamyśleniu. Może chodziło jej o własną matkę.

Creasy zawsze udzielał pełnych odpowiedzi na jej pytania i rozmawiał z nią tak, jakby miał do czynienia z dorosłą osobą.

Nie lubiła oglądać politycznych programów w telewizji, ponieważ politycy za dużo gadali i nie uśmiechali się naturalnie. Religia była w porządku, ale księża zawsze mieli rację i za bardzo ich to cieszyło. Uwielbiała szkołę, ale szło jej dobrze tylko w tych przedmiotach, których uczyli lubiani przez nią nauczyciele. Bardzo lubiła Marię i Bruna, ale drażniło ją, że niczym się nie interesowali.

Krótko mówiąc, cały świat był jednym wielkim, niezbadanym i fascynującym terytorium. Creasy stał się jej przewodnikiem. Matka żyła w swoim własnym, ograniczonym świecie, a ojciec ciągle traktował ją jak dziecko.

Tak więc Creasy stanowił dla niej rewelację i szybko zdała sobie sprawę, jak ważne jest, aby nie tylko wysłuchiwała go, ale także komentowała to, co mówi. I rzeczywiście, zawsze reagowała, a po jakimś czasie wywiązał się dialog obejmujący dwa sprzeczne życiorysy i kilka pokoleń.

Punktem zwrotnym był niedzielny lunch z Elio i Felicią.

Została zaakceptowana, więc była szczęśliwa, ale jednocześnie ostrożna i początkowo bardzo wolno odpowiadała na pytania Elia i Felicji, niezmiennie odwołując się do sądu Creasy'ego. Ale on był odprężony, nie jak rodzic, lecz człowiek,

który przyprowadził przyjaciela, aby poznał innych przyjaciół. Więc ona też się odprężyła, bawiła się z dziećmi, pomagała Felicji w kuchni, a nawet przyłączyła się do niej w żartobliwym dokuczaniu mężczyznom. Spędzili cudowny dzień. Zaczął nawet odpowiadać na pytania na własny temat. Najpierw zapytała go o Guido. Obaj wspominali o nim przy lunchu. Dowiedziała się o ich przyjaźni i latach, które spędzili razem. Zauważyła, że ostre rysy Creasy'ego łagodnieją, kiedy mówi o Guido. Doszła do wniosku, że chce go poznać.

Dla Creasy'ego było to oczyszczające doznanie. Okazało się, że rozmowy z Pintą przychodzą mu z łatwością. Może przyczynę stanowił jej brak wiedzy i doświadczenia. W drodze powrotnej z lunchu do domu wyciągnęła rękę i dotknęła jednej z jego dłoni.

— Creasy, co ci się stało w ręce.

Nie wyrwał się jak uprzednio, ale spuścił wzrok na gmatwaninę blizn i powrócił we wspomnieniach do roku 1954 i końca, który nastąpił w Dien Bien Phu. Poddanie się, upokorzenie, a potem trzy tygodnie forsownego marszu do obozu jenieckiego. Dzień po dniu, noga za nogą. Mało żywności i dużo śmierci. Kiedy człowiek padał i nie mógł się podnieść, strażnicy strzelali do niego. Wielu padło, ale Creasy utrzymał się na nogach, przeżył i w dodatku wyniósł na plecach młodego, rannego oficera. Po przeżyciu, przesłuchanie. Łagodny, kształcony na Sorbonie kapitan Viet Minh wyglądał drobno i nieskazitelnie, siedząc za drewnianym stołem naprzeciwko potężnego, choć wymizerowanego legionisty. Wietnamski kapitan palił jednego papierosa po drugim, a wszystkie niedopałki Galoise'ów gaszone były na przywiązanych dłoniach Creasy'ego.

— Kiedyś pewien człowiek zadawał mi pytania. Dużo palił. Nie było popielniczki.

Z miejsca pojęła i długo milczała. Łzy napłynęły jej do oczu. Spojrzał na nią.

— Na świecie zdarzają się złe rzeczy. Już ci mówiłem.

Uśmiechnęła się przez łzy. — Dobre rzeczy też się zdarzają.

Od tego czasu mogła swobodnie zadawać mu osobiste pytania, ale bardzo niewiele dowiedziała się o jego młodości. Rodzice byli biedni. Dzierżawili małą posiadłość w Tennessee — ledwo było co jeść. Wstąpił do piechoty morskiej w najwcześniejszym dozwolonym wieku. Korea przyniosła błyskawiczny awans. Uderzenie oficera, który był głupi i pozwolił zginąć dobrym ludziom — karne zwolnienie i żadnego miejsca, gdzie mógłby wrócić. A więc, Legia i wszystko, co z tego wynikało.

Nie licząc Guido, to jedenastoletnie dziecko dowiedziało się więcej o Creasym niż ktokolwiek na świecie.

Rika promieniała. Wraz z nadejściem wiosny jej życie pojaśniało. Niewątpliwie przyczynił się do tego Creasy. Opowiadała przyjaciołom o „klejnocie”. Mó-



wiła im o jego uwielbieniu dla Pinty. Duży, powłóczący nogami niedźwiedź ze szczeniackim podskakującym u nogi. Nie dopatrywała się w nim żadnej zmiany. Dla niej nadal był milczący, odległy i tajemniczy. Pinta go ujarzmiła, powiedziała Ettore, a on przytaknął. Nie widział w Creasym niczego poza dodatkiem do życia. Użytecznym, bo uszczęśliwiał Pintę, a co ważniejsze, także Rikę; ale nie zmieniało to faktu, że był tylko pracownikiem — marnie opłacanym i z ukrywaną skłonnością do nadużywania alkoholu.

Ale picie przestało być problemem. Teraz w większość wieczorów Creasy wypijał mniej niż pół butelki. Potrzeba uwolnienia się od myśli zmaląła. Nigdy nie wpadł w alkoholizm w klinicznym tego słowa znaczeniu. Nie był to nałóg i, chociaż wieloletni efekt nie pozostawał bez wpływu na jego kondycję i reakcje, odzyskał jasność umysłu. Ponadto przygotowywał się psychicznie do przywrócenia sprawności swojemu ciału. Początek temu dała Pinta oraz zbliżające się zawody sportowe. Jak tylko jej kostka wyzdrowiała, Creasy sklecił dwa bloki startowe i ustawił je na frontowym trawniku. Pinta wkładała niebiesko-białe dresy i trenowali start. Creasy wyjaśnił jej czas reakcji. — Twoje uszy słyszą wystrzał pistoletu startowego i przekazują sygnał do mózgu; wtedy mózg posyła go dalej, do nerwów w nogach i rękach. A sygnał ten mówi RUSZAJ. Sekret polega na skróceniu czasu przekazywania tych sygnałów.

Uczył ją, jak ma się skoncentrować na samym dźwięku. Że nie powinna świadomie go oczekiwać czy przewidywać. Kiedy rozlega się strzał, jej ruchy muszą być automatyczne.

Kłaśnięciem dłoni naśladował wystrzał pistoletu startowego i po popołudniowym treningu wyskakiwała z bloków niczym przerażona sarenka. Codziennie, oświadczył jej — codziennie będziemy trenować przez godzinę, a gdy nadejdzie wielki dzień, wygra.

Tego wieczoru leżał w łóżku słuchając Johnny'ego Casha i rozmyślał o dziewczynce. Była taka żywa i szybka, miała tak zdrowe i sprawne ciało. To sprawiło, że zaczął myśleć o sobie. Postanowił, że po upływie trzech miesięcy, kiedy dostanie tę pracę na stałe, poszuka jakiejś siłowni w Como lub w Mediolanie i parę wieczorów w tygodniu będzie poświęcał na poprawienie kondycji. Gdyby odkładał to zbyt długo, pewnego dnia mogło się okazać, że jest za późno. Dostrzegał, co w nim zaszło pod wpływem dziewczynki. Próżnia została wypełniona. W pewien sposób zmienił kierunek, w którym zmierzał. Ona miała przed sobą całe życie. Będzie obserwował jak się rozwija. Koniec ze zgonami, destrukcją, okaleczeniami.

Johnny Cash skończył śpiewać, więc zmienił kasetę.

Linda Rondstadt zaczęła swoje „Blue Bayou”; piętro niżej Pinta uśmiechnęła

się na dźwięk muzyki.

Rika wyszła od fryzjera i rozejrzała się w poszukiwaniu samochodu. Był ponury, pochmurny dzień i w Mediolanie panował olbrzymi ruch. Wypatrzyła auto, zaparkowane jakieś trzydzieści metrów dalej, a także stojącego przy nim Creasy'ego. Kiedy szła w jego kierunku, jej wzrok przyciągnął jakiś ruch po drugiej stronie ulicy: dwaj mężczyźni wyskakiwali z bocznych drzwi furgonetki Volkswagena. Pobiegli do człowieka otwierającego drzwi białego Fiata. Zauważyła broń w ich rękach i kiedy rozbrzmiały pierwsze wystrzały, gwałtownie stanęła, zaskoczona. Mężczyzna odwrócił się, sięgając pod marynarkę i w tym momencie Creasy znalazł się przy niej, ręką objął ją w pasie, poderwał z nóg i przeniósł do wejścia do sklepu. Znalazła się na chodniku, przykryta jego ciałem. Znowu zabrzmiały strzały, a ona wrzasnęła na brzęk szkła rozbitego tuż nad nimi. Zobaczyła broń w dłoni Creasy'ego, którą trzymał nisko przy boku. Dźwięki — zatrzaśnięcie drzwi furgonetki, pisk opon, ryk silnika samochodu i w końcu cisza.

— Poczekaj tu, nie ruszaj się — powiedział spokojnym, matowym głosem. Jego ciężar na niej stopniowo zelżał, bo wstał i ostrożnie wycofywał się, uważając, żeby nie spadły na nią kawałki szkła. Leżała bez ruchu i patrzyła, jak idzie z powrotem do samochodu. Broń zniknęła. Stanął przy samochodzie i patrzył przez ulicę. Poszła za jego wzrokiem. Na masce Fiata leżał mężczyzna — czerwona krew ciekła po białym metalu. Instynktownie wyczuła, że nie żyje. Tak jakoś dziwnie leżał. Creasy otworzył tylne drzwi samochodu i wrócił do niej. Wyciągnął w dół rękę i pomógł jej wstać. Objął ją ramieniem, po czym wolniutko poprowadził do samochodu. Ludzie znowu się poruszali. Jakaś zszokowana kobieta szlochała. Usłyszeli narastający odgłos syreny. Posadził Rikę na tylnym siedzeniu.

— Zostań tu. To trochę potrwa. Policja zablokuje ulicę i będzie rozmawiać ze świadkami.

Lekko drżała, a jej twarz wydawała się bardzo biała w otocze czarnych włosów. Wyciągnął rękę przed siebie i zewnętrzną stroną dłoni dotknął jej policzka. Był zimny. Wziął ją pod brodę i unióśł twarz, patrząc prosto w oczy. Były matowe — szkliste.

— Dobrze się czujesz? Riko, spójrz na mnie!

Odzyskała ostrość widzenia i lekko skinęła głową. Pojawił się wóz policyjny z rytmicznie migającymi światłami. Wokół rozbrzmiewały podniecone głosy, a po chwili rozległy się kolejne syreny. Jeszcze raz pokiwała głową, odzyskując jasność umysłu.

— Zostań tutaj — powiedział. — Porozmawiam z policją. Odjedziemy stąd najszybciej jak będzie to możliwe. — Przyjrzał się jej uważnie, a potem, uspokojony, zamknął drzwi i przeszedł przez ulicę.

Zabójstwa dokonały Czerwone Brygady, a ich ofiarą padł prokurator. W Me-

diolanie nie było to nadzwyczajne wydarzenie. Creasy wylegitymował się policjantom jako ochroniarz i powiedział im, co widział, przy czym nie było tego wiele. Podał im opis dwóch mężczyzn z bronią, któremu mogły odpowiadać setki tysięcy młodych mieszkańców miasta. A także numery rejestracyjne Volkswagena, który z pewnością został skradziony.

Pół godziny później wyjeżdżali z przedmieść w kierunku Como, a Rika siedziała z tyłu w milczeniu.

— Zwierzęta! Strzelać do ludzi na ulicy. Zwierzęta!

Zauważyła wzruszenie ramion przed sobą.

— Miałeś w ręku broń — powiedziała. — Widziałam. Czemu ich nie zastrze-  
liłeś?

— To nie miało nic wspólnego ze mną, ani z tobą — odpowiedział krótko. — Poza tym, oprócz tych dwóch był jeszcze trzeci na przednim siedzeniu furgonetki. Miał dubeltówkę z obciętą lufą. Gdybym zaczął strzelać do jego kumpli, rozwalił-  
by nas. I tak mieliśmy szczęście. Denat dostał tylko jedną kulę. Przeleciała jakiś metr od nas.

Usłyszawszy to zamilkła na dziesięć minut. Obserwował ją w lusterku wstecz-  
nym. Dokonano inwazji na jej prywatny świat. Przemoc wyskoczyła z ekranu tele-  
wizora i wymierzyła jej policzek. Wyraźnie widział jak usiłuje panować nad sobą,  
aby móc z powrotem trafić do swojego świata. Pochyliła się do przodu i wyjęła  
maleńki odłamek szkła z jego włosów.

— Byłeś taki szybki, Creasy. Nawet nie zdążyłam zauważyć, że nadchodzisz.  
Dzięki Bogu, że tam byłeś.

Przejechał przez bramę i podjechał pod frontowe wejście.

— Muszę wypić brandy. I to dużą. Chodź ze mną.

— Pinta — powiedział, nie ruszając się z kierownicy.

— Pinta?

— Jest za piętnaście piąta.

— Och, oczywiście. Przez to wszystko zapomniałam. Jedź. Do zobaczenia  
później.

Stała przy schodach i patrzyła, jak wycofuje samochód i odjeżdża. Potem we-  
szła do domu i naląła sobie brandy. Szok minął i odtworzyła scenę w myślach.  
Nagły, gwałtowny ruch — dźwięki — tłukące się szkło i ciężar ciała Creasy'ego,  
leżącego na niej. Jego bezruch. Miedziany smak strachu w ustach. Creasy taki  
pewny — taki spokojny. Później zadzwoni do Ettore do Rzymu i opowie mu  
o tym. A następnie niektórym przyjaciółkom. Cóż za zdarzenie — ochroniarz się  
przydał. Był taki niewzruszony — patrzył na zabitego mężczyznę bez najmniej-  
szej emocji. Widać zbyt często kiedyś to widywał. Przypomniała sobie jego dłoń  
przy swojej twarzy, biorącą ją pod brodę. Dłoń pokrytą bliznami — Pinta jej  
powiedziała skąd się wzięły. Ciężkie oczy przyglądające jej się — podtrzymujące na

duchu. Nalała jeszcze jedną brandy i popijała ją powoli. Nie będzie dzwonić do Ettore dzisiaj wieczorem. Równie dobrze można to zrobić rano.

\* \* \*

Wcale nie był szybki — wręcz przeciwnie. W każdym razie nie wedle własnych kryteriów. Leżał w łóżku i zastanawiał się nad tym. Nie włączył kasety i nie pił. Część jego umysłu oczekiwała, a część analizowała. Doszedł do wniosku, że gdyby Rika była celem, już by nie żyła. Dawniej ustrzeliłby człowieka w furgonetce i dwóch pozostałych zanim zrobiliby pięć kroków. Byli nowicjuszami. Zdeterminowanymi amatorami. Ofiarę trafiła zbłąkana kula; przypadek, ale terroryści mieli szczęście. Powinni byli wykonać zadanie z dubeltówki, bez wysiadania z furgonetki. Amatorzy.

Był wolny. Jego reakcje były przytępione.

Rika już by nie żyła.

To zadecydowało. Przez całe życie własne ciało traktował jak broń. Dbał o nie tak, jak dbał o swoje uzbrojenie. Leczył je po urazach. Ćwiczył wszystkie jego części i pilnował, aby reagowały na sygnały z mózgu. Teraz byłoby to trudne. Nie mógł, jak w przypadku pistoletu, wsunąć do niego czyszczącego wycioru, wypolerować go do połysku i naoliwić części ruchomych. Należało odbudować cały organizm, i to bez pośpiechu. Będzie to długi i bolesny proces. Nie wyglądał na niesprawnego — prawie nie miał nadwagi. Tylko Guido, który znał go w dawnych czasach mógł to zauważyć — opieszałość, napięcie mięśni. Dobry karabin maszynowy, zardzewiały i zaniedbany. To zajmie miesiące. Na początku bardzo ostrożnie, każdego ranka dziesięć minut treningu w pokoju, stopniowo zwiększając tempo. Dziesięć wizyt w siłowni i praca z ciężarami oraz sztangami. Uda się. Jeszcze nie było za późno. Ale to już ostatni dzwonek.

Było po północy, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Nadszedł kres oczekiwania. Miała na sobie długą, białą koszulę nocną, a w ręku, niczym w kolyse, niosła duży kieliszek koniaku. Przeszła przez pokój z szelestem jedwabiu. Podała mu koniak, a on wziął go z lekkim dotykiem palców. Usiadła na łóżku i patrzyła jak popija. Kołdra zsunęła mu się do pasa i przyglądała się jego twarzy i górnej części ciała, a potem wyciągnęła rękę i przeciągnęła palcem po bliźnie na ramieniu. Podniosła jego wolną dłoń i przyłożyła ją sobie do policzka, lekko przyciskając, delikatnie poruszając głową i kołyszając hebanowymi włosami. Odstawił kieliszek na nocną szafkę, wsunął rękę pod jej szyję i przyciągnął ją do siebie.

Pocałunek był długi, badawczy.

Wstała i biały jedwab opadł na podłogę. Pokazała mu się, stojąc tuż poza zasięgiem ręki. Nie wyzywająco, bez pozowania, po prostu pozwalała na siebie popatrzeć. Oto moje ciało, obejrzyj dokładnie; dam ci je. Prezent — dar, który tylko ja mogę ci ofiarować.

Padało na nią pojedyncze, przyćmione światełko. Idealne proporcje, od dzwo-  
nu włosów do czarnych punkcików oczu i szerokich, pełnych ust. Miękki cień  
na brodzie z dołkiem, oraz okrągłej, silnej szyi. Przesunął wzrok niżej, niespiesz-  
nie, oceniając. Znowu cienie pod wysokimi piersiami o sterczących sutkach, talia  
młodej dziewczyny, aż wreszcie, zaciemniony trójkąt ponad długą symetrią nogi.

Stała w kompletnym bezruchu i ani na moment nie odwróciła oczu od jego  
twarzy kiedy brał ją do łóżka.

W tym momencie zrozumiał. Zrozumiał, dlaczego każdy mężczyzna musiał  
zostać porwany i zawładnięty taką urodą.

Ponownie podniósł wzrok do jej oczu, a ona znowu przysunęła się do niego.  
Nadal stała — ale blisko. Wolno przejechał ręką od talii do kolana. Dotknięcie  
wywołało drżenie jej skóry.

Poruszyła się, siadając na łóżku i ściągając kołdrę. Przyszła jej kolej na popa-  
trzenie. Znowu znalazła palcem bliznę — od kolana prawie do pachwiny; wów-  
czas czarne włosy opadły, a jej usta i język podążyły za palcem, a potem wyżej.  
Oddech wydarł mu się z ust i ogarnęło go wilgotne ciepło.

Poczuł chłodne powietrze, kiedy uniosła się i ześliznęła na łóżko obok niego,  
jej usta dołączyły do palców, a język przesunął się tuż przy nich. Teraz pod-  
niosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, a czarne włosy opadły na poduszkę,  
zaciemniając im obojgu twarze. Przybrała pozycję i opadła, przez cały czas nie  
odwracając wzroku. Znowu wilgotne ciepło, jak jej usta: ale inne. Tak wolniutko  
— pierwszy kontakt; zwykle złączenie się i przerwa; następnie ciepło przesunę-  
 się w dół, obejmuje mocno, a potem miękki brzuch na jego brzuchu, jej wydech  
i przyjemność, piersi ocierające się o klatkę piersiową i fale wstrząsów.

Miała zamiar zachować kontrolę. Być górą. Nic z tego. Czuła jego usta na  
twarzy, na zamkniętych oczach, na wargach. Przyśpieszenie ruchów i oddechów.  
Zacieśnił uścisk. Instykt mówił jej, że był coraz bliżej. Chciała, żeby zrobili  
to razem, więc wykonała rzut na taśmę. Spóźniony. Mogła nie zdążyć. Wygięła  
plecy w łuk. Podniosła powieki i tuż nad sobą, dosłownie o centymetry, zobaczyła  
czarną rękojeść pistoletu, wystającą z kabury... i nagle osiągnęła szczyt.

Potem długo leżeli — bez słów.

Wstała z pierwszym brzaskiem i podniosła z podłogi jedwabną koszulę nocną.  
Spojrzała w dół na jego twarz we śnie i poczuła lekkie dreszcze, więc nałożyła  
koszulę. Więcej tu nie przyjdzie. W nocy czuła się jak dziecko, oddając swoją  
wolę wraz ze wszystkimi emocjami. Przestraszyło ją to.

Wiedziała też, że on jej nie wezwie. Nie ma potrzeby. Od kiedy weszła do tego

pokoju, nie zamienili ani słowa.

— Czemu nie użyjemy twojej broni?

— Bo to niewłaściwy rodzaj pistoletu.

Wjeżdżali do Como. Creasy postanowił, że w jej treningu przydałoby się trochę więcej realizmu. Klaskanie w dłonie nie mogło zastąpić prawdziwego wystrzału. Poszukają sklepu sportowego z pistoletami startowymi, a gdyby to się nie udało, zabawkarskiego, z kapiszonami.

— Przecież robi bum, prawda — upierała się.

— Tak — przyznał Creasy — ale jednocześnie wystrzeliwuje nabój.

— Celowałbyś w powietrze.

— Pinto, przedmiot, który wyleci w górę, musi opaść, a pocisk spadający z wysokości prawie dwóch kilometrów może być niebezpieczny.

Dopatrzyła się w tym pewnej logiki i poświęciła uwagę miejscowej gazecie. Szukała ogłoszenia sklepu sportowego. Ale trafiła na horoskopy.

— Spod jakiego znaku jesteś, Creasy?

Zrobił zdziwioną minę.

— Twoje gwiazdy. Kiedy masz urodziny?

— Piętnastego kwietnia.

— Piętnastego kwietnia! Ależ to za parę dni! — dokonała obliczeń. — W niedzielę!

Wzruszył ramionami, bo nic go to nie obchodziło, ale ona była w wieku, kiedy urodziny uważa się za podniecające.

— To akurat dzień po zawodach sportowych. Poproszę Marię, żeby upiekła tort. Ile lat skończysz?

Rzucił jej srogie spojrzenie. — Nie będziesz Marii o nic prosić. Żadnego zamieszania. Jestem już w wieku, kiedy urodziny przestały być powodem do świętowania.

— Ale coś musimy zrobić. Mamusi i tatusia nie będzie w domu. A co powiesz na piknik? Moglibyśmy pojechać wysoko w Alpy.

— Dobrze. Tylko pod warunkiem, że w sobotę wygrasz.

— Creasy, to nie fair.

— W ten sposób będziesz miała dodatkowy bodziec. Nie ma zwycięstwa, nie ma pikniku.

Uśmiechnęła się. — Zgoda. I tak wygram.

— Radzę ci — mruknął Creasy — po tylu wysiłkach!

Rodzice przebywali w Nowym Jorku i Pinta była wielce rozczarowana. Po prawdzie, Rika miała wyrzuty sumienia, ale wiedziała, że Ettore potrzebował jej

podczas tego ważnego wyjazdu. Będą jeszcze inne dni sportu.

Więc kiedy Creasy zaparkował na szkolnym podwórzu, zapytała: — Przyjdiesz zobaczyć, Creasy? Proszę.

Zawahał się. Będzie tam mnóstwo rodziców i poczuje się nie na miejscu, a może nawet niemile widziany. W końcu był tylko ochroniarzem.

— Wszystko będzie dobrze — prosiła.

Spojrzał na jej niespokojną minę, przytaknął i wysiadł z samochodu.

Najwyraźniej była to okazja towarzyska. Ustawiono duży namiot w paski i rodzice spacerowali pod nim z drinkami w rękach.

Pinta pobiegła do szatni, a Creasy stanął na boku, czując się nieswojo. Zobaczył, że *signora* Deluca idzie w jego kierunku i poczuł jeszcze większe zakłopotanie.

— Pan Creasy, prawda? — zapytała z uśmiechem.

Potwierdził i wyjaśnił, że rodzice Pinty wyjechali. Wyraziła żal.

— To naturalne, że dziecko chce mieć rodziców przy sobie w takim dniu. Zwłaszcza ojcowie bywają dumni ze sportowych osiągnięć dzieci.

Wzięła go za ramię. — Nie szkodzi. Dzisiaj pan zastępuje jej ojca. Chodźmy na drinka. Na sto metrów wystartują dopiero za pół godziny.

Zaprowadziła Creasy'ego pod daszek, wręczyła mu zimne piwo i przedstawiła kilkorgu rodzicom. Znowu było mu nieswojo i odczuł ulgę, kiedy wszyscy poszli oglądać pierwsze konkurencje.

Był ciepły, wiosenny dzień i dziewczęta, z których wiele już dojrzywało, stanowiły atrakcyjny widok w króciutkich szortach do biegania. Creasy przyglądał im się z aprobatą. Ale kiedy Pinta stanęła na starcie biegu na sto metrów, ujrzał ją w zupełnie innym świetle.

Nie on jeden zresztą. Była najpiękniejszą i najbardziej tryskającą życiem dziewczyną na boisku, ale Creasy widział w niej tylko dziecko i przyjaciółkę.

Krytycznie przyglądał się przygotowaniom do startu i poczuł ukłucie niepokoju. Tak bardzo chciał, żeby wygrała.

Niepotrzebnie się martwił. Trening zrobił swoje. Wystartowała z bloków dużo szybciej niż reszta i przerwała taśmę z pięciometrową przewagą.

Biegła dalej aż do miejsca, gdzie stał i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Wygrałam, Creasy! Wygrałam!

Uśmiechnął się do niej z dumą. — Doskonale ci poszło. Nikomu nie dałaś szans.

Dla Pinty było to zwieńczenie idealnego dnia — po raz pierwszy zobaczyła u niego uśmiech.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Creasy.

Leżał na pledzie w szkocką kratę rozłożonym na trawie i ze zdziwieniem podniósł wzrok.

Podawała mu małą paczuszkę.

— Co to jest?

— Prezent urodzinowy.

— Mówiłem ci, żadnego świętowania.

Swobodnie opadła na koc.

— To tylko moje podziękowanie za to, że pomogłeś mi wygrać bieg.

Położył paczuszkę i poszedł do samochodu po kosz. Był zbity z tropu — nie przywykł do składania podziękowań. Przypomniawszy sobie, że Pinta na początku tygodnia wybrała się z matką na zakupy do Mediolanu. Wtedy musiała to kupić. Miał nadzieję, że nie było to nic drogiego ani głupiego.

Paczuszką leżała nietknięta, ale Pinta spokojnie otworzyła koszyk. Nauczyła się już rozpoznawać jego nastroje. Maria włożyła sporo trudu w przygotowanie lunchu. Zimny pieczony kurczak, jajka w cielęcynie, szynka po florencku i mała płaska pizza, zwana *gardenera*, chrupki chleb z pieprzonym serem, spory wybór owoców i na koniec dwie butelki białego, wytrawnego wina, tak grubo owinięte gazetami, że ciągle jeszcze zimne.

Wybrali miejsce nad jeziorem Maggiore. Było to wysoko położone letnie państwisko, usiane kępami sosen. W oddali, na północny zachód, coraz wyższe, zaśnieżone szczyty gór biegły w stronę Szwajcarii. Przed nimi, na południu, aż po horyzont rozciągała się dolina Po.

Koc szybko pokryły talerze i folia. Creasy nalał wina do dwóch pucharków.

— *A votre sante.*

— Co to znaczy?

— To po francusku. Oznacza „Na zdrowie”.

— *Yamsing* — odpowiedziała i zaśmiała się na widok jego zaskoczonyj miny.

— To po chińsku.

— Tak, wiem, ale skąd...? — i nagle przypomniał sobie książkę o Marco Polo. Ona chłoneła wszystko.

Rozmawiali o różnych językach i opowiedział jej dowcip.

Mieszkaniec Teksasu po raz pierwszy wybrał się do Europy parowcem o nazwie „France”. Pierwszego wieczoru główny kelner posadził go przy stoliku z pewnym Francuzem, który nie mówił po angielsku. Kiedy podano kolację, Francuz powiedział: — *Bon appetit*, Teksasńczyk przedstawił się, odpowiadając: — Harvey Granger.

Następnego dnia przy śniadaniu Francuz znowu powiedział: — *Bon appetit*. — Zaskoczony Teksasńczyk jeszcze raz podał swoje nazwisko: — Harvey Granger. Powtarzało się to przy każdym posiłku przez pięć kolejnych dni.

Ostatniego wieczoru rejsu Teksasńczyk wpadł do baru na drinka przed kolacją i nawiązał rozmowę z innym Amerykaninem.



— Dziwni są ci Francuzi — stwierdził.

— Dlaczego?

Teksańczyk wyjaśnił, że spotkał Francuza co najmniej tuzin razy, a ten za każdym razem przedstawiał mu się.

— Jak się nazywa?

— Bon Appetit.

Amerikanin roześmiał się i wyjaśnił, że to wcale nie jest nazwisko Francuza. Po prostu życzył mu smacznego.

Teksańczyk poczuł się strasznie głupio i tego wieczoru, kiedy zasiedli do kolacji, uśmiechnął się do Francuza i powiedział: — *Bon appetit*.

Twarz Francuza pojaśniała i odparł: — Harvey Granger.

Dziewczynka roześmiała się i zaklaskała w dłonie, a Creasy wyciągnął rękę, wziął paczkę i rozpakował ją. W środku było pudełeczko i kiedy je otwierał, przestała się śmiać w oczekiwaniu na jego reakcję.

Był to krzyżyk z litego złota na ślicznie cyzelowanym, cienkim łańcuszku i wiedział, dlaczego mu go dała. Kiedyś rozmawiali o religii. Dla niego był to temat niesamowitych sprzeczności. Jego rodzice byli katolikami i został wychowany w tej wierze. Matka, podobnie jak matka Guido, była fatalistką. Bóg nam wszystko zapewni — ale nie zapewnił. Krańcowa bieda ostatecznie stała się przekleństwem matki.

Zachorowała na zapalenie płuc, a ponieważ nie miała pieniędzy na odpowiednią opiekę, zmarła. Rok później ojciec poszedł w jej ślady, przy czym jemu wydatnie pomógł alkohol. W wieku czternastu lat Creasy został przygarnięty przez sąsiadów, którzy wykorzystywali go jako najtańszą siłę roboczą do pracy w polu. Mając szesnaście lat uciekł, a po roku zaciągnął się do piechoty morskiej.

To wczesne doświadczenie, po którym nastąpiło całe życie wojen, nie przybliżyło go do Boga. Nie mógł sobie wyobrazić Istoty Nadprzyrodzonej, która pozwoliłaby na śmierć milionów niewinnych ludzi we wszystkich wojnach, jakich był świadkiem.

Niemowlę upieczone w napalmie nie mogło być ukarane za grzech. Młoda dziewczyna, bez końca gwałcona, mogła sobie wzywać Boga, ale nic nie usłyszała. Sadysta mógł zakatować na śmierć księdza i dożyć sędziwego wieku. Czy czekało go za to piekło? Po spędzeniu życia na tworzeniu piekła innym? Creasy nie mógł się w tym dopatrzeć logiki.

Widział hierarchię tego, otoczkę ceremoniału i dobrobytu. Był na Filipinach podczas wizyty papieża. Najbardziej katolicki ze wszystkich azjatyckich krajów i być może najbiedniejszy. Piękne kościoły otoczone morzem nędzy. Biskupi z tego regionu zbrali się w Manili aby powitać Ojca Świętego. Creasy leciał do Hong Kongu parę dni później i pół tuzina biskupów wracało do domu tym samym samolotem. Siedzieli w pierwszej klasie i pili szampana. Nie było w tym za grosz logiki.

Ale i druga strona medalu była jej pozbawiona. W Kongo i w Wietnamie spotykał misjonarzy, którzy przez całe życie pracowali nie spodziewając się materialnej nagrody i nawet nie spróbowali szampana. Pamiętał jak wraz z Guido wybrał się samochodem do szpitala misyjnego pod Leopoldville. Powiadomili cztery zakonnice, że muszą natychmiast opuścić to miejsce. Simba mieli się zjawić w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Nie mogli zapewnić im obrony. Zakonnice odmówiły. Ich obowiązkiem było pozostanie przy pacjentach. Creasy nalegał jak mógł, w końcu bardzo obrazowo opisał co może im grozić. Zostały. Jedna z nich była młoda i atrakcyjna. Siedząc już w Land Roverze ociągał się z odjazdem i przywołał ją gestem ręki. Ciebie spotka najgorsze, ostrzegł ją. Czeka cię długie cierpienie, a potem śmierć. W głębi jej oczu widział strach, ale także determinację. — Jedź z Bogiem — powiedziała i uśmiechnęła się do niego łagodnie.

Ich oddział został zmuszony do odwrotu, a przegrupowanie i powrót na pozycje zajęło tydzień. Wraz z Guido dotarli do szpitala jako pierwsi. Nawet wieloletnie oglądanie barbarzyństwa nie przygotowało ich na to, co tam ujrzeli.

Chwycili za łopaty, wykopali grób i pochowali w nim znalezione szczątki. Nieco później tego samego dnia dogonili Simba i Creasy pozabijał ich więcej niż zwykle — nie przestawał aż do późnej nocy. Guido prowadził Land Rovera, a Creasy obsługiwał ustawiony na nim karabin maszynowy. Możliwe, że zabił o wielu więcej niż brało udział w gwałceniu i ćwiartowaniu zakonnice. Kto wie? Wola Boska? Zemsta Pana?

Logika. Gdzież ona była? Kiedyś słyszał argument, że wiara musi przejść próbę. Ale kto tę próbę przeprowadzał? Biskupi z szampanem? Dygnitarze w Watykanie?

A jednak byli tacy, którzy wytrzymywali taką próbę. Czy oni wszyscy byli więc głupcami? Spotkał ich wystarczająco wielu aby wiedzieć, że intelekt i wiara mogły iść w parze, chociaż nie rozumiał, jak.

Częściowo spróbował wyjaśnić to Pincie, wytłumaczyć jak on sam widzi te sprzeczności. Zaskoczyła go.

Tego nigdy się nie wie na pewno. Gdyby się wiedziało, wiara byłaby niepotrzebna.

Tak — ostateczna sprzeczność. Wiara w pozostawanie ignorantem.

Było to niezapomniane popołudnie. Dwaj mężczyźni siedzieli prowadząc luźną rozmowę, podczas gdy krowy pały się wokół nich, a Pinta i pies ganiłi pośród stada.

— Masz bardzo ładną dziewczynkę — zauważył pasterz i zaskoczony był zmianą na twarzy Creasy'ego.

O zachodzie słońca spakowali koszyk i z pierwszym zmrokiem wrócili do samochodu.

Świeże powietrze i ruch wyczerpały Pintę, więc kiedy samochód zjeżdżał w dół krętymi drogami, ziewnęła i zsunęła się niżej w siedzeniu. W końcu wy-

ciągnęła nogi do góry i położyła głowę Creasy'emu na kolanach.

Jechał do domu, od czasu do czasu spoglądając na buzię śpiącej dziewczynki.

## 8

Był to dzień lekcji gry na pianinie.

W mediolańskim świątku towarzyskim zapanowała moda, która kazała rodzicom rozwijać talenty muzyczne dzieci — jeśli je w ogóle miały. Rika nie wyobrażała sobie Pinty grającej na skrzypcach czy na flecie. Musiał to być fortepian.

Umówiono się ze znanym nauczycielem i Creasy zawiózł ją na ze wszech miar poważną lekcję. Jeśli tenże wybitny nauczyciel stwierdzi, że Pinta ma choć ślad talentu, kupi się pianino i zacznie regularne lekcje.

Pinta nie była zachwycona. Podobnie jak Creasy. Myśl o słuchaniu jak wystukuje palcami wprawki, wcale nie sprawiała mu przyjemności.

A jednak, była to tylko mała chmurka na horyzoncie. Prawie zupełnie rzucił picie, pozwalając sobie tylko na jeden lub dwa kieliszki wina przy posiłkach. Zaczął gimnastykować się rano i znalazł małą siłownię w Como, która była otwarta do późnych godzin wieczornych. Płot dookoła rezydencji został już naprawiony, więc mógł się skoncentrować na odzyskiwaniu kondycji.

Jego optymistycznego nastroju nie wypełniałaby taka wielka nadzieja, gdyby podsłuchiwał rozmowę między Riką a Ettore na krótko po ich powrocie z Nowego Jorku.

— Musi odejść, Ettore, i to prędko. Nalegam!

— Ale dlaczego, *cara*, przecież byłaś z niego taka zadowolona.

Miała dwa powody, oba autentyczne, ale z nim mogła rozmawiać tylko o jednym.

— Otacza go zbyt wielkim uwielbieniem — choć na razie na tym się kończy.

— Więc według ciebie nie ma w tym niczego złowróżbnego?

Potrząsnęła głową. — Nie w takim rozumieniu. To problem psychiczny. On widzi w niej przyjaciółkę. — Zrobiła pauzę dla większego efektu. — Ona patrzy na niego jak na ojca.

— To śmieszne.

— Wcale nie. To się rozwijało, tylko że ja wcześniej tego nie dostrzegałam. Och, widziałam jej uwielbienie, ale tym razem, po naszym powrocie, stało się to tak jasne.

Ettore zastanowił się nad tym, po czym powiedział: — Przesadzasz. Oczywi-

ście, że go uwielbia. Spędza z nim mnóstwo czasu i być może nas za często nie ma w domu — ale żeby zaraz traktowała go jak ojca?

Rika westchnęła. — Ettore, ty zawsze trzymałeś się na dystans od niej. Zbyt duży dystans. Tak naprawdę nigdy z nią nie rozmawiasz. Ma dla Creasy'ego podziw i szacunek. Żałuje każdej chwili nie spędzonej z nim. Boże! Nie może się doczekać końca kolacji, żeby pobiec do kuchni.

Musiał przyznać, że coś w tym jest.

— Byłem tak bardzo zajęty, Riko, a jak wracam do domu, chcę trochę odpocząć, a nie słuchać dziecięcego paplania.

Znowu westchnęła. Zupełnie nie znał swojej córki.

— Wiem, kochanie, ale będziesz musiał się trochę wysilić, a jak jej wysłuchasz, to sam zobaczysz, że wcale nie jest taka dziecinna. Jest bardzo inteligentna.

Rika zaczęła rozmyślać o tym problemie, kiedy Pinta kupiła krzyżyk na urodziny Creasy'ego. Ciągnęła matkę od sklepu do sklepu, póki nie znalazła dokładnie tego, o co jej chodziło. Rice wydawało się, że to dziwny prezent dla takiego mężczyzny. Pinta wybuchała śmiechem.

— Wiem, mamo, to wręcz przeciwieństwo czegoś, czego może się spodziewać, ale Creasy jest dziwnym człowiekiem. Zrozumie.

Rika nagle ujrzała Creasy'ego jako zagrożenie dla Ettore. Tamta noc z Creasym podpałała lont. Dopiero po kilku dniach przyłapała się na wspomnieniu co czuła, kiedy stała w świetle brzasku i przyglądała się, jak śpi. Nie było to tylko pełne zaspokojenie. Takie przeżycia zdarzały jej się już wcześniej, z Ettore, a także z innymi. Tym razem było inaczej, zatraciła się. Odebrano jej kontrolę. Do tej pory dawała oraz przyjmowała przyjemność. Wręcz ją odmierzała. Tamtej nocy z Creasym oddała coś więcej. Z każdym dniem wspomnienie stawało się coraz ostrzejsze. Jego ciało, jego ręce. Moment, kiedy na chwilę otworzyła oczy i jedyną rzeczą w zasięgu jej wzroku był wiszący nad nią pistolet, a jedynym odczuciem twardy wytrysk w jej wnętrzu.

Chodziło jej to po głowie podczas pobytu w Nowym Jorku, a kiedy wrócili i znowu zobaczyła Creasy'ego, zrozumiała, że jest to realne zagrożenie. Kiedy kochali się tego wieczoru z Ettore, nie mogła uwolnić myśli od człowieka na górze.

Ale o tym nie mogła mówić. Tylko o Pincie. Nigdy nie zastanawiała się nad uczuciami córki dla Ettore. Do tej pory nie było nikogo innego, kto pozwoliłby dokonać takiego porównania. Jednak obserwując dziewczynkę z Creasym, wyraźnie widziała głębię jej dziecięcych uczuć. Jeśli nie zostaną prędko przeniesione z Creasy'ego na Ettore, pewnego dnia może być za późno.

— Tak więc, *caro*, musi odejść — natychmiast.

— Cóż — w zamyśleniu powiedział Ettore — do końca trzymiesięcznego okresu próbnego został jeszcze tylko tydzień. Po prostu nie przedłużę umowy. Taka możliwość była brana pod uwagę od momentu kiedy go zatrudniałem.

Była dziwnie poruszona.

— Nie, Ettore. Nie czekaj. Powiedz mu jutro. Oczywiście, musisz mu zapłacić za pełny okres, a także dać sowingą premię. To nie jego wina.

— Tydzień dłużej nie zrobi żadnej różnicy — stwierdził rozsądnie. — I nie chcę, żeby czuł się urażony.

Zaczęła nalegać, sugerując nawet, że mogliby stworzyć pretekst zabierając Pintę na kilka dni do Rzymu, jego odejście przed upływem całych trzech miesięcy byłoby wówczas uzasadnione.

Ale Ettore okazał się stanowczy. Zaskakująco stanowczy. Kolejna nieobecność w szkole nie wyjdzie jej na dobre.

Niczego nieświadom, Creasy wioził Pintę na pierwszą lekcję gry na pianinie. Rozmawiali o nadchodzącej niedzieli. Creasy znowu wybierał się na lunch do Elia i Pinta chciała z nim pójść.

— Rodzice są w domu. Powinnaś zostać z nimi.

— Ale chciałabym jeszcze raz spotkać Elia i Felicię, a także dzieci.

Delikatnie odwiódł ją od tego. Będzie jeszcze mnóstwo okazji. Rodzice często przebywają poza domem.

Miał trudności ze znalezieniem domu nauczyciela, więc wyjechała plan miasta i mówiła mu, jak ma jechać na Corso Buenos Aires. Była to szeroka, trzypasmowa aleja, przy której dwie przecznice dzielił rząd domów mieszkalnych, stojących z dala od jezdni, za przestrzennym trawnikiem. Zaparkował na ulicy i przeszli po trawie do wejścia. Drzwi były zamknięte, więc Creasy zawiadomił o jej przybyciu przez domofon i wtedy otworzyły się z odgłosem brzęczka.

— To nie potrwa długo, Creasy, najwyżej godzinę.

— Graj źle.

Podniosła uśmiechniętą buzię. — Zgoda.

Przeszedł z powrotem przez trawnik, wsiadł do samochodu i wziął gazetę. Z otwartego okna na górze dobiegało go ciche pobzdąkiwanie.

Minęła godzina i podniósł wzrok w momencie gdy brama na sprężynie zatrzaśkiwała się. Dziewczynka pomachała do niego i ruszyła w kierunku samochodu. Miała do niego jeszcze około czterdziestu metrów, kiedy zza rogu za nim pojawił się czarny samochód, który podskoczył na krawężniku i wjechał na trawę. Zobaczył czterech mężczyzn i momentalnie pojął, co się dzieje. Szybko wysiadł z wozu, sięgając po broń. Pinta zatrzymała się, zaskoczona.

— Biegnij, Pinto, biegnij! — krzyknął.

Samochód zahamował tuż przed nią, blokując jej drogę do Creasy'ego. Tyłne drzwi otworzyły się i wyskoczyło dwóch ludzi. Ale Pinta była szybka. Dała nura pod wyciągnięte ku niej ramię, obiegła auto od tyłu i ruszyła do biegnącego ochroniarza. Dwaj mężczyźni byli tuż za nią. Obaj mieli broń. Creasy spróbował

w nich wycelować, ale dziewczynka była między nimi, więc zawahał się. Wtedy jeden z mężczyzn chwycił ją, otoczył ramieniem, podniósł z ziemi i ruszył z powrotem do samochodu. Drugi stanął twarzą w twarz z Creasym i wystrzelił w górę. Creasy wpakował mu dwa pociski w klatkę piersiową.

Ten, który trzymał Pintę, usiłował wepchnąć ją do wozu, ale ona dziko walczyła, kopiąc i krzycząc. Creasy był już bardzo blisko, kiedy porywacz i odwrócił się, unosząc broń. Creasy wystrzelił, mierząc wysoko, w głowę, bo obawiał się, że pocisk może rykoszetem wpaść do wnętrza samochodu. Pocisk trafił porywacza w policzek pod kątem, który posłał kawałek metalu ku mózgowi i ciało runęło na drzwi — zamykając je. Wówczas oddano trzy strzały z przedniego siedzenia i Creasy upadł na trawnik. Koła zabuksowały, chwyciły przyczepność i samochód szybko ruszył. Kiedy podskakując wjeżdżał z powrotem na drogę, dziewczynka krzyknęła jego imię.

Ledwo mógł się ruszyć, ponieważ pociski uszkodziły mu system nerwowy. Było bardzo cicho. Leżał, czekając na pomoc. Przez ból i szok przebijała się nadzieja, że jednak nie umrze. Słyszał, jak Pinta wykrzyczała jego imię. Nie było to wołanie o pomoc — widziała, jak upadł — to był krzyk rozpaczny.

## 9

Pielęgniarka siedziała przy łóżku i czytała książkę. Creasy leżał w stanie półsnu po otrzymaniu środków znieczulających. Nad nim dwie kroplówki wisały dnem do góry na metalowej ramie. Bezbarwna ciecz rytmicznie kapała z nich do przezroczystych rurek. Jedna z nich wiała się do jego lewego nozdrza. Druga nikła pod bandażami na prawym nadgarstku.

Otwarto drzwi i umundurowany policjant zwrócił się do pielęgniarki.

— Gość. Lekarz mówił, że nie dłużej niż minutę.

Guido wszedł do sali, zbliżył się do łóżka i spojrzał w dół.

— Słyszysz mnie, Creasy?

Przytaknięcie było prawie niedostrzegalne.

— Najgorsze minęło. Wyjdiesz z tego.

Znowu leciutkie kiwnięcie głową.

— Zostaję w Mediolanie. Odwiedzę cię znowu, jak będziesz mógł mówić. —

Guido zwrócił się do pielęgniarki: — Zostanie pani przy nim?

— Stale ktoś przy nim będzie — zapewniła.

Guido podziękował jej i wyszedł z sali.

Na korytarzu czekali Elio i Felicia.

— Nie śpi, ale minie jeszcze dzień lub dwa nim będzie w stanie mówić.

Chodźmy do domu, wrócę tu jutro.

Wcześniej lekarz poinformował ich, że Creasy był bliski śmierci, kiedy go przywieziono. Natychmiast poddali go operacji. Zgodnie z wyjaśnieniami lekarza, był to wstępny zabieg, konieczny bezzwłocznie, jeśli Creasy przeżyje szok pooperacyjny, wzmocnią jego organizm, a potem będą musieli przeprowadzić jeszcze jedną operację. Tymczasem. Lekarz wzruszył ramionami. Życie Creasy'ego wisało na włosku.

Przez dwa dni Creasy znajdował się na krawędzi życia i śmierci, potem w jego stanie nastąpiła poprawa. Musi mieć wolę, zauważył lekarz w rozmowie z Guido. Ogromną wolę życia.

Następnego dnia Creasy mógł już mówić.

Jego pierwsze pytanie brzmiało: — Pinta?



— Negocjują — odpowiedział Guido. — Takie sprawy czasem trochę trwają.  
— Mój stan?

Guido wyjaśnił, skrupulatnie i klinicznie. Obaj mieli doświadczenie w podobnych sytuacjach.

— Zostałeś trafiony dwa razy. W brzuch i w prawe płuco. Na szczęście były to pociski z trzydziestki dwójki. Odrobinę cięższy i byłoby po tobie. Załatali ci płuco i powinno być w porządku. Natomiast rana brzucha stanowi problem. Wymaga jeszcze jednej operacji, ale lekarz jest optymistą, a ponadto ma sporo doświadczenia. W tym szpitalu rany brzucha zdarzają się często.

Creasy słuchał uważnie, po czym zapytał:

— Ci dwaj, do których strzelałem nie żyją?

Guido przytaknął. — Jednego trafiłeś w serce. Dwa razy. Drugiemu pocisk przeszedł przez mózg. To były świetne strzały.

Creasy pokręcił głową.

— Byłem wolny, zbyt wolny, do cholery!

— To byli zawodowcy — kategorycznie powiedział Guido.

— Wiem, a do tego nie spodziewali się większego oporu. Najpierw strzelali w powietrze, żeby mnie odstraszyć. Gdybym był szybszy, dostałbym ich wszystkich. Zachowywali się zbyt nonszalancko.

Zaczynało ogarniać go zmęczenie. — Pojadę do Como i zobaczę się z Balletto — powiedział wstając Guido. — Może będę mógł jakoś pomóc.

Coś przyciągnęło jego wzrok, więc stanął spoglądając w dół z zaciekawieniem. Krzyżyk. Creasy zauważył to spojrzenie i powiedział: — Opowiem ci innym razem.

Wizyta w Como okazała się niepomyślna. Guido zabrał ze sobą Elia. Byli tam już Vico Mansutti i jego żona. Odnosiło się wrażenie, że Vico wziął sprawy w swoje ręce. Ettore był przygnębiony i oszołomiony wydarzeniami. Za to Rika weszła do pokoju kipiąc z wściekłości. Dowiedziała się, że Creasy został zatrudniony za psie pieniądze tylko po to, żeby ją uspokoić.

— Pijak! — krzyczała na Guido. — Mojej córki miał pilnować jakiś wszawy pijak! — Popatrzyła pogardliwie na męża. — Byle harcerzyk spisałby się lepiej!

Elio zaczął protestować, ale Guido go uciszył, po czym zabrali rzeczy Creasy'ego i wyszli.

— Przejdzie jej, jak odzyska córkę — stwierdził Guido.

Nie wspomniał o tym spotkaniu Creasy'emu, a tydzień później lekarze ponownie go operowali — z powodzeniem.

Guido wszedł do sali i przystawił sobie krzesło do łóżka. Creasy wyglądał lepiej, jego twarz nabrała już trochę kolorów. Dostrzegł zakłopotanie w oczach Guido i wzrokiem zadał mu pytanie.

— Ona nie żyje, Creasy.

Ranny mężczyzna odwrócił głowę i pustymi oczami zapatrzył się w sufit, z twarzą pozbawioną wyrazu.

Guido zawahał się, a po chwili mówił dalej.

— To nie było zamierzone. Okup został zapłacony dwa dni temu. Miała być zwolniona tego samego wieczoru. Nie wróciła, a następnego dnia rano policjanci znaleźli ją w bagażniku skradzionego samochodu. Robili obławę na Czerwone Brygady. Gliny uważają, że porywaczom puściły nerwy i postanowili przycząć się na kilka godzin. Na rękach i ustach miała taśmę. Wymiotowała — prawdopodobnie od oparów benzyny. Wiesz do czego może dojść w takich okolicznościach. Zadławiła się na śmierć.

Jego głos ucichł i zapanowało długie milczenie, po którym Creasy zapytał:

— Coś jeszcze?

Guido wstał i podszedł do okna. Stał i wyglądał na ogród na dole. Za jego plecami zabrzmiał ochryply głos.

— No więc?

Odwrócił się powoli i powiedział cicho: — Została zgwałcona. Wielokrotnie.

Kolejna długa chwila milczenia. Z dala dobiegł ich cichy dźwięk dzwonu kościelnego.

Guido przeszedł do nóg łóżka i spojrzał w dół na Creasy'ego.

Jego twarz nadal nic nie wyrażała. Oczy w dalszym ciągu tkwiły w suficie, ale nie były już puste — lśniła w nich nienawiść.

Nocny pociąg z Mediolanu do Neapolu zastukotał na zwrotnicach pod Lati-  
ną. Była połowa czerwca, więc długi pociąg miał dużo wagonów i wiozł licznych  
urlopowiczów na południe, ku słońcu. Na ostatnim, ciemnoniebieskim wagonie  
widniały insygnia Międzynarodowej Kompanii Wagonów Sypialnych. W jego  
trzecim przedziale Creasy siedział na dolnym łóżku i przeglądał notes. Obudził  
się w Rzymie, po czterech godzinach snu. Za chwilę przejdzie korytarzem i weź-  
mie prysznic, a jeśli steward jest na nogach, zamówi kawę. Spało mu się dobrze.  
Jak zwykle w pociągach.

Światło wczesnego poranka ukazało jego twarz, węższą i bladą. Miał na sobie  
parę wypłowiałych dżinsów, a od pasa w górę był goły. Dwie najświeższe blizny  
tworzyły pomarszczone, czerwone pręgi.

Skończył czytać, sięgnął po długopis z małego narożnego stolika i zrobił kilka  
notatek na ostatniej, pustej stronie. W pewnym momencie uśmiechnął się przelot-  
nie. Wywołał jakieś wspomnienie.

Kiedy skończył, było już zupełnie jasno. Wyrwał kartkę i wsunął ją do kieszeni  
marynarki, wiszącej za drzwiami.

Wziął ręcznik oraz przybory do golenia i ruszył korytarzem. Steward nie tylko nie spał, ale był w kuchence, gdzie przygotowywał tace ze śniadaniami. Niski, zadbany mężczyzna z starannie przystrzyżonym wąsikiem oraz, pomimo tak wczesnej pory, pogodnym uśmiechem.

— Dzień dobry — Neapol za godzinę.

Creasy odwzajemnił uśmiech.

— Ta kawa wspaniale pachnie. Czy prysznic jest wolny?

Steward przytaknął.

— Nikt inny jeszcze nie wstał.

Creasy wszedł, wziął prysznic, a potem ogolił się bez pośpiechu. Dlatego właśnie było to lepsze niż podróże samochodem, a nawet samolotem.

Powracał do zdrowia bez przeszkód. Był dobrym pacjentem, uważnie słuchał lekarza i wykonywał wszystkie jego polecenia. Tydzień po drugiej operacji był już w stanie przenieść się z łóżka na fotel inwalidzki. Po kolejnych kilku dniach zaczął chodzić.

Ale niczego nie robił na siłę. Z doświadczenia wiedział, że jego organizm potrzebuje czasu. Zbyt ni pośpiech mógł przynieść efekty przeciwne do zamierzonych.

Pozwolono mu wychodzić do ogrodu i codziennie trochę spacerował bez koszuli, wygrzewając w słońcu kawałki pleców między bandażami.

Cieszył się sympatią pielęgniarek i pozostałego personelu. Nie zawracał im głowy bez potrzeby, a także ze spokojem i bez narzekań znosił wszelkie uchybienia godności, jakie spotykają inwalidę. Ponadto, leczili go od chwili gdy otarł się o śmierć, a to czyniło go wyjątkowym.

Dał jednej z pielęgniarek trochę pieniędzy i przynosiła mu wszystkie gazety, które pisały o porwaniu. Potem udało jej się wypożyczyć egzemplarze datowane wiele miesięcy wcześniej. Poprosił ją o notes i stopniowo zapełnił go zapiskami.

Miał tylko jedne odwiedziny, które go zaskoczyły. Pewnego późnego wieczoru do sali wprowadzono *signorę* Delucę, która przyniosła torbę owoców. Została na pół godziny, mówiła o Pincie i chwilami popłakiwała. Że też ze wszystkich jej dzieci, powiedziała, musiało to spotkać właśnie Pintę. Słyszała, że wcale nie jest zawodowym ochroniarzem i był tam tylko na pokaz. Ale ona знаła jego przywiązanie do dziewczynki. Zapytała go, co teraz będzie robił, a on wzruszył ramionami i wyjaśnił jej, że jeszcze nie ma żadnych planów. Zbiło ją to z tropu. Wydawał się być taki pewny i opanowany. Nie tego się spodziewała. W końcu pocałowała go w policzek i poszła.

Zaczął chodzić do sali fizykoterapii, ostrożnie gimnastykować się i pływać w podgrzewanym basenie. Dali mu przyrządy ze sprężynami do ćwiczenia rąk i chodząc na codziennie dłuższe spacerunki do ogrodu, bezustannie je ścisnął, czując

jak palce odzyskują dawną siłę.

Po miesiącu lekarz powiedział mu, że kuracja przebiega znakomicie — lepiej niż się spodziewano. Uważał, że jeszcze jeden tydzień powinien wystarczyć.

Większość tego tygodnia spędził na oddziale fizykoterapii, robiąc użytek z całego jego wyposażenia w sprzęt.

Opuszczając szpital był jeszcze słaby i daleki od pełni zdrowia, ale organizm funkcjonował pod każdym względem bez zarzutu.

Lekarz, siostra przełożona oraz kilka pielęgniarek pożegnali go, życząc powodzenia i przyjmując jego podziękowania. Stali na schodach i patrzyli jak odchodzi podjazdem, z walizką w rękę.

— Dziwny człowiek — odezwała się siostra przełożona.

Lekarz przyznał jej rację.

— Bywał już w wielu szpitalach.

Pociąg wjechał na dworzec centralny w Neapolu, Creasy wręczył napiwek stewardowi i ruszył wraz z tłumem na Piazza Garibaldi. Szybko złapał taksówkę.

— *Pensione „Splendide”* — powiedział kierowcy, który wyciągnął rękę, aby włączyć licznik.

Taksówkarz zaklął pod nosem. Był już czerwiec, a jemu jeszcze się nie trafił prawdziwy turysta.

Taksówka podjechała w momencie, kiedy Pietro parkował swoją furgonetkę po porannej wizycie na bazarze. Obejrzał Creasy'ego od stóp do głów, a następnie uściśli sobie dłonie.

— Jak się czujesz?

— Dobrze. Daj, pomogę ci z tymi koszykami. Kiedy weszli, Guido siedział przy kuchennym stole i pił kawę.

— *Ca va*, Guido. — Postawił kosz na stole.

— *Ca va*, Creasy. — Guido przyjrzał mu się dokładnie, po czym wstał i padł sobie w ramiona.

— Wcale źle nie wyglądasz. Porządnie cię zreperowali.

— Mają tam dobrych mechaników — powiedział Creasy i obaj uśmiechnęli się, bo były to słowa, które dawniej często wymieniali.

Był ciepły wieczór, więc po kolacji usiedli na tarasie i dopiero wtedy wdali się w długą rozmowę. Creasy odnosił wrażenie, że wieki minęły od kiedy ostatnio tu siedział.

Spokojnie wyjaśnił Guido co zamierzał zrobić. Nie odwoływał się do problemów moralnych. To nie kwestia sprawiedliwości — należało wymierzyć karę za popełnioną zbrodnię.

A zresztą, Guido znał go przecież zbyt dobrze. Zabito kogoś, kto był mu bardzo drogi. Teraz, dla odmiany, on zabije.

— Oko za oko? — cicho zapytał Guido.

Creasy wolno pokręcił głową i powiedział z ogromnym naciskiem: — Więcej.

— Rzeczywiście uwielbiałeś tę dziewczynkę. — Było to pół-pytanie, pół-stwierdzenie.

Creasy głęboko się zamyślił nim odpowiedział. Szukał słów. Tak bardzo zależało mu, aby Guido zrozumiał. Naprawdę zrozumiał.

— Guido, wiesz jaki jestem. Pięć miesięcy temu siedziałem tutaj, nie mając przed sobą żadnych widoków. Przyjąłem tę pracę tylko po to, żeby się nie zapić na śmierć.

Uśmiechnął się kwaśno na widok miny Guido.

— Naprawdę... Dobrze to przemyślałem. Czułem, że wszystko się dla mnie skończyło... że nie ma sensu ciągnąć tego dalej. Pinta to zmieniała. Nie wiem jak. Jakoś mną zawładnęła. Dzień po dniu wkradała się do mojego życia.

Zadrżał na to wspomnienie. Guido nadal milczał, zaintrygowany tą rewelacją.

— Wiesz, jaki jestem — powtórzył zdanie, usiłując wyjaśnić, co z nim zaszło. — Nigdy nie miałem nic wspólnego z dziećmi. To tylko utrapienie. A potem zjawiała się ona. Była taka świeża. Moje życie już się skończyło... miałem je za sobą. I raptem spojrzałem na różne rzeczy jej oczami. Z jej punktu widzenia nie było żadnego kiedyś, jakby cały świat zaistniał nagle pewnego ranka, specjalnie dla niej.

Przerwał monolog i patrzył w dół na światła i ciemne morze. Później powiedział cicho:

— Ona mnie kochała... mnie! — Podniósł wzrok.

Guido nadal się nie odzywał, więc Creasy ciągnął dalej.

— Skończyłem z piciem... nie potrzebowałem tego. Rano przyprowadzałem samochód przed wejście, a ona zbiegała po schodach. Chryste, stary, wydawało się, że nosi słońce na ramionach. Nie miała w sobie ani odrobiny zła. Za grosz złościwości, chciwości czy nienawiści.

Na jego twarzy widać było, ile wysiłku kosztuje go próba wytłumaczenia się. Używał słów, które były mu obce. Nagle zapytał:

— Czy zdarza ci się słuchać muzyki Dr Hooka?

Guido pokręcił głową.

— Śpiewa country. O starszej od siebie kobiecie. Mówi jej, że nie może dotknąć słońca, nie może sięgnąć chmur, nie może jej uczynić na powrót młodą. Ale, Guido, ona właśnie to dla mnie robiła... dotykała słońca.

W ustach tego człowieka podobne słowa powinny były brzmieć niestosownie, wręcz głupio. Ale Guido przyjmował je jako prawdziwe. Bolesne, ale prawdziwe. I rozumiał. Kiedy Julia pojawiła się w jego życiu, przeżywał to samo, choć w zupełnie inny sposób.

Coś mu się przypomniało.

— Krzyżyk?

— Tak, to ona mi go ofiarowała. W prezencie. . . na urodziny.  
Uśmiechnął się. — Powiedziała, że jak spotkani diabła, powinienem go unieść przed sobą.

Uśmiech znikł, a głos mu stwardniał.

— A potem te dranie ją porwały, zgwałciły i pozwoliły, żeby się zadławiła własnymi wymiocinami! Ciągłe mam to przed oczami. Prawdopodobnie zalepili jej oczy taśmą. Przywiązali ją gdzieś do jakiegoś brudnego łóżka. Wykorzystywali, jak tylko się znużili. . . Ohyda!

Gniew i nienawiść wprost emanowały od niego.

— Czy rozumiesz, Guido, dlaczego muszę ich dorwać?

Guido wstał i podszedł do barierki.

— Tak, Creasy, rozumiem. Ja też to przeżyłem. Kochałem Julię. Inaczej, ale co to za różnica. Kiedy zginęła, również pragnąłem zemsty, tylko na kim? Ten samochód prowadził dzieciak. Wypadek wytrącił go z równowagi. — Wzruszył ramionami. — Nic by to nie dało. A przy tym, ona by tego nie chciała. . . ale wiem, co czujesz.

Creasy podszedł do niego.

— Potrzebuję pomocy, Guido.

Guido pokiwał głową i położył mu dłoń na ramieniu.

— Masz ją, Creasy. Wszystko co w mojej mocy. Tyle że już nigdy nie zabiję. Skończyłem z tym. Obiecałem jej. Ale poza tym, wszystko.

— Nigdy bym cię o to nie poprosił. Aczkolwiek, pomagając mi możesz się narazić na pewne niebezpieczeństwo.

Guido uśmiechnął się.

— Możliwe, ale to nie nowina.

Spojrzał na Creasy'ego z zaciekawieniem. — Wiesz kto to zrobił?

Creasy przytaknął.

— Jestem pewny. Miałem okazję przyjrzeć im się i zdążyłem przeprowadzić śledztwo. Człowiek, który do mnie strzelał nazywa się Sandri. Kierowcą samochodu był Rabbia. Pracują dla faceta o nazwisku Fossella.

Uśmiechnął się ponuro.

— Są bardzo pewni siebie, Utrzymują, że w tym czasie byli w Turynie. Mają z tuzin świadków.

— Skąd znasz ich nazwiska?

— Policja pokazała mi swoją kartotekę i bez trudu ich rozpoznałem.

— Nie powiedziałaś im?

Creasy potrząsnął głową. — I co im zrobią? Powiedz mi, Guido.

Było to pytanie retoryczne, ale Guido udzielił na nie odpowiedzi.

— Najwyżej wsadzą do więzienia na parę lat. Wcale nie najgorszych. Nieźle dochody na boku. Szybkie zwolnienie warunkowe. Wiesz jak to jest.

— Właśnie. Ale nic z tego. Nie tym razem.

Guido zastanowił się nad pomysłem i powiedział: — To nie powinno być trudne. Niczego się nie spodziewają. Powinieneś być w stanie wyłapać ich po kolei.

— To nie ma być tak, Giudo — powiedział Creasy spokojnie, ale stanowczo i Guido wyglądał na zdziwionego.

— Więc jak?

— Nie tylko tych dwóch. Chcę dorwać wszystkich, którzy maczali w tym palce lub odnieśli z tego jakieś korzyści. Do samej góry. Całą tę śmierdzącą, wstrętną zgraję.

Guido wyglądał na zdumionego, a po chwili wybuchł śmiechem. W miarę jak docierało do niego pełne znaczenie tych słów, śmiał się coraz głośniejszym, nie z powodu niedowierzania, ale skali zamierzenia. Creasy uśmiechnął się.

— Sam widzisz, dlaczego potrzebuję twojej pomocy.

— Niby jak! Czy ty wiesz co to oznacza? Masz pojęcie jak są zorganizowani?

Creasy przytaknął. — Stosunkowo niezłe. Nie wiem wszystkiego, ale znam podstawy. W Mediolanie jest dwóch głównych donów: Fossella i Abrata. Fossella nagrał to porwanie, więc jest w kolejce tuż za Rabbiją i Sandrim. Conti w Rzymie otrzyma swoją działkę, czyli jego też to dotyczy, podobnie jak grubej ryby z Palermo — Cantarellego. Ma udziały przy każdej okazji, to teraz weźmie udział w akcji zabijania.

Guido znowu się zaśmiał, choć nieco ciszej.

— Znam Contiego. Nie będzie mi go ani trochę żal. Później ci powiem dlaczego. Skąd to wszystko wiesz?

Creasy wzruszył ramionami.

— Sporo tego można znaleźć w starych gazetach. Miałem mnóstwo czasu na ich przeglądanie. Są tak cholernie arogancy, że praktycznie się reklamują.

Guido zastanowił się przez chwilę.

— Tak czy inaczej, mogę ci pomóc. Mam jeszcze trochę starych znajomości. Sprawdzę ich układy.

— Znajomości?

Guido uśmiechnął się.

— Tak. Nigdy ci nie opowiadałem, jak to się stało, że wstąpiłem do Legii. Teraz wygląda to na ironię losu. Ale o tym potem. A co na razie mogę dla ciebie zrobić?

Obaj przeszli do kuchni na kawę, usiedli przy stole i zajęli się omawianiem szczegółów.

Creasy opracował staranną strategię. Rozrysował kolejne etapy działania na mapie i Guido był pod wrażeniem. Robił w notesie uwagi na temat potrzeb w zakresie podróży i zakwaterowania. W końcu odchylił się w krzesło, wypił łyk kawy i spojrzał badawczo na przyjaciela ponad filiżanką.

— To dobre, Creasy — bardzo dobre. Rozumiem, że po Mediolanie będziesz musiał improwizować, chociaż do tego czasu zdobędziesz już sporo informacji.

Ale czy naprawdę wiesz, na co się porywasz?

— Powiedz mi.

Guido uporządkował myśli.

— Wielu ludzi nie docenia ich siły, a może nie chce docenić. Stawiają opór policji, a niekiedy ją kontrolują. Mają pod sobą nawet sądy. Przekupują polityków na wszystkich szczeblach, od wójtów po członków rządu. W niektórych rejonach, zwłaszcza na południu i Sycylii, dosłownie stanowią prawa, karząc i nagradzając wedle własnego widzimisie. Praktycznie rządzą więzieniami od środka. Jedyne Mussolini odniósł pewien sukces w latach trzydziestych, ale to dlatego, że stosował faszystowskie metody. Razem z mafią ucierpiało wtedy wielu niewinnych ludzi. Po Mussolinim powrócili silniejsi, niż kiedykolwiek przedtem. Mają do dyspozycji tysiące informatorów. Łącznie z kontaktami w samej policji.

Dolał kawy i opowiedział Creasy'emu o swoich dawnych powiązaniach w Neapolu, a szczególnie o Contim. Kiedy skończył, usiadł wygodniej i czekał na reakcję Creasy'ego.

— To nie będzie łatwe — przyznał Creasy. — Ale kilka rzeczy działa na moją korzyść. Po pierwsze, tak jak Mussolini, mogę zastosować taktykę niedostępną dla policji. Na przykład terror. Ci ludzie używają go jako broni, ale sami nie zwykli mieć z nim do czynienia. Po drugie, będę zdobywał informacje w miarę posuwania się naprzód — od jednego do drugiego. Informacje, których policja nie jest w stanie zdobyć, bo nie może stosować moich metod.

Guido zrozumiał, o co mu chodzi. Creasy zmusi ich do mówienia.

— Po trzecie — ciągnął Creasy — w przeciwieństwie do policji nie stawiam sobie za cel zebrania dowodów i postawienia ich przed sądem. Mnie chodzi o zabicie ich.

Ściszył głos. — Po czwarte, mam silniejszą motywację niż policja. Motywację, jakiej ani policjant, ani sędzia mieć nie może. Dla nich jest to po prostu praca. Mają żony, rodziny i kariery, o które muszą się martwić. Ja nie mam i dobiore się do nich w sposób, jakiego jeszcze nie doświadczyli.

Guido zastanawiał się nad tym. Rzeczywiście dawało mu to wyraźną przewagę, może nawet rozstrzygającą.

— Broń? — zapytał.

— Czy Leclerc nadal handluje w Marsylii?

— Chyba tak — odpowiedział Guido. — Mogę to sprawdzić telefonicznie.

— Wziął kartkę papieru i przeczytał listę, którą Creasy sporządził w pociągu. Zagwizdał cicho.

— Do diabła, Creasy, ty faktycznie wyruszasz na wojnę! Myślisz, że Leclerc będzie miał to wszystko?

— Może to zdobyć — powiedział Creasy. — Większość z tych rzeczy proponował Rodezyjczykom parę lat temu. Wezwali mnie wtedy z prośbą o radę. Zrobił wtedy dobry interes. Myślisz, że pójdzie na uczciwy układ? Dla niego to pestka.



— Powinien — odpowiedział Guido. — Wyciągnąłeś go z tarapatów pod Bukavu. Zasłużyłeś sobie na trochę wdzięczności.

— Może, ale to cwaniak i zbił mnóstwo forsy od kiedy zaczął handlować bronią, zamiast samemu jej używać. Bogactwo zmienia ludzi. Niewykluczone, że będziesz musiał go przycisnąć.

— Jakies sugestie?

— Opowiedz mu o królewskim pogrzebie.

Guido uśmiechnął się na to wspomnienie. — Może podziałać. — Pomachał papierem. — Kiedy będziesz tego potrzebował?

— Nie wcześniej niż za dwa miesiące. Przynajmniej tyle zajmie mi odzyskanie pełnej formy. Osobiście odbiorę to w Marsylii. Obmyśliłem już sposób na ściągnięcie wszystkiego tutaj.

Przypomniał sobie o jeszcze jednej sprawie. — Muszę się zaszyć w jakimś spokojnym miejscu — powiedział. — Możesz mi coś podsunąć?

Guido zamyślił się tylko na krótki moment. — A może tak Malta? U rodziny Julii, na Gozo. Nadal prowadzą gospodarstwo i jest tam bardzo spokojnie. Będziesz mile widziany. Zadzwoń do nich.

Creasy pomyślał chwilę i przytaknął. — Brzmi nieźle. Jesteś pewny, że nie będę im przeszkadzał?

Guido uśmiechnął się. — Możesz pomóc Paulowi w gospodarstwie. To ciężka praca, która cię wzmocni. Zawsze lubiłeś pracę fizyczną. Będzie z ciebie doskonały rolnik.

Tak więc, to zostało już ustalone. Potem przeszli do rozmowy o pieniądzech. Guido zaproponował, że sfinansuje broń i różne zakupy we Włoszech. W dalszym ciągu dysponował kontem w Brukseli i będzie to o wiele prostsze, niż gdyby Creasy musiał dokonywać nie kończących się przelewów pieniężnych. Może mu zwrócić jak już będzie po wszystkim.

— A jeśli tego nie przeżyję? — poważnie zapytał Creasy.

Guido wyszczerzył zęby. — Nie zapomnij umieścić mnie w testamencie.

Creasy odważemnił uśmiech, ale nic nie powiedział — nie było takiej potrzeby.

Rozmawiali do późna w nocy. Postanowili, że Creasy wyjedzie za dwa dni promem do Palermo. Chciał po cichu przyjrzeć się bazie Cantarellego. Stamtąd pojedzie pociągiem do Reggio di Calabria, a następnie promem uda się na Malte.

Prawie świtało kiedy przyjaciele skończyli, ale oni tego nawet nie zauważyli. Czuli się jak za dawnych czasów. Wstali od stołu, a Guido wziął notes i jeszcze raz przerzucił jego kartki, żeby upewnić się, że o niczym nie zapomnieli. Skończywszy podniósł wzrok i powiedział: — Teraz tylko musisz dojść do formy.

Creasy przeciągnął się, ziewnął i posłał mu smutny uśmiech. — Tak. Będę w formie jak najemnik.

# **KSIEGA DRUGA**

## 10

„Melitaland” nie był pięknym przykładem budownictwa okrętowego. Na wodzie prezentował się niezgrabnie — nic sobie nie robiąc z idealnych linii czy przekrzywionych kominów. Jego zadaniem był przewóz samochodów, ciężarówek i ludzi przez dwie mile morskie dzielące Maltę i Gozo.

Creasy stał na najwyższym pokładzie z walizką u stóp. Włoski prom z Reggio miał dwunastogodzinne opóźnienie i wpłynął do zatoki Grand Harbour na Malcie wcześniej rano. Oszczędziło mu to spędzania nocy na dużej wyspie, więc był zadowolony — chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu i wprowadzić w życie swój plan.

Statek minął maleńką wysepkę Comino, z jej wieżą obserwacyjną wznoszącą się wysoko ponad skałami. W dole, pod jaskrawo-błękitną wodą widoczne było piaszczyste dno. Creasy pamiętał, jak pływał tutaj przed ośmiu laty w towarzystwie Guido i Julii.

Zanieczyszczenie środowiska minimalizowały tu pływy i prądy — woda była nadal czysta, a linia wybrzeża nie oszpecona.

Spojrzał przed siebie, w kierunku Gozo — bardziej stromej i zielonej niż Malta, z wioskami rozrzuconymi na wzgórzach. Była to wyspa rozwiniętego rolnictwa i pola opadały tarasami aż do samej linii wody.

Gozo spodobało mu się podczas poprzedniej wizyty. Według jego doświadczeń, brak podziału na klasy w społeczeństwie było czymś unikalnym. Najbiedniejszy rybak wiedział, że jest równie dobry jak najbogatszy właściciel ziemski. Człowiek, który uważał się za lepszego od innych, powinien unikać Gozo. Pamiętał, że tamtejsi mieszkańcy są hałaśliwi i pogodni, a przy bliższym poznaniu, także przyjacielscy. Teraz rozległ się tumult, bo skręcali do małego portu Mgarr i pasażerowie przepychali się, żeby wysiąść jako pierwsi.

Przeszedł się pod górę, do baru „Gleneagles”. Był to stary, prostokątny budynek z wąskim balkonem wychodzącym na zatokę. Guido kazał mu stąd zadzwonić do rodziców Julii, żeby po niego przyjechali. Wnętrze miało wysoki sufit i panował w nim chłód — coś w rodzaju stodoły, tyle że z obrazami okolicznych krajobrazów na ścianach i grupą miejscowych, podpierających bar.

Creasy zostawił walizkę przy drzwiach. Widok półlitrowych kufla z piwem

przypomniał mu, że jest spragniony i gestem ręki zamówił jedno na spróbowanie. Barman, niski, łysiejący mężczyzna o okrągłej twarzy, zapytał: — Pół litra czy litr?

— Pół, dziękuję — Creasy opadł na stół i położył funta przed sobą. Piwo było chłodne i miało bursztynowy kolor, więc pociągnął spory łyk. Kiedy barman wrócił z resztą, Creasy zapytał: — Może ma pan telefon do Paula Schembriego?

Odpowiedzią było puste spojrzenie.

— Paul Schembri — powtórzył. — Ma gospodarstwo w pobliżu Naduru, musi go pan znać.

Barman wzruszył ramionami i odparł: — Schembri to pospolite nazwisko, a na Gozo jest wielu farmerów. — Odszedł dalej, żeby obsłużyć innych klientów.

Creasy nie był poirytowany. A nawet poczuł aprobatę. Ten człowiek musi znać Paula Schembriego. Przecież to taka mała wysepka. Ale jednocześnie była wyspą, na której broni się prywatności. Nawet skromny najazd turystów nie mógł tego zmienić. Byli przyjacielscy dla obcych, ale nie udzielali im żadnych informacji, dopóki nie dowiedzieli się, kim są i czego chcą. Mieszkaniec Gozo wyparłby się znajomości z rodzonym bratem, gdyby nie wiedział, kto go wypytuje.

Tak więc Creasy popijał piwo i czekał na odpowiedni moment. Potem zamówił drugie, a kiedy je dostał, powiedział: — Przysłał mnie Guido Aurelio. Mam się zatrzymać u Paula Schembriego.

Oblicze barmana pojaśniało.

— Ach, chodziło o tego Paula Schembriego? Rolnik, w pobliżu Naduru?

Creasy przytaknął. — Właśnie.

Barman popatrzył na niego uważnie i uśmiechnął się. Miał jeden z tych rzadkich uśmiechów, które rozświetlają pokój. Wyciągnął rękę.

— Tony. Teraz cię pamiętam. Byłeś tutaj, kiedy Guido żenił się z Julią. — Pokazał na dalszą część baru. — To mój brat, Sam — na pokrytego smarem piwosza — to jest „Piła” — i na dwóch pozostałych — Michele i Victor — kiedy nie piją tutaj, obsługują prom.

Creasy pamiętał, że nadzorowali załadunek samochodów i ciężarówek i pobierali opłaty. Przestał być obcym. Tony podniósł słuchawkę, wykręcił numer i powiedział coś po maltańsku. Znowu powrócił uśmiech. — Joey niedługo przyjedzie tu po ciebie.

Sam postawił przed Creasym jeszcze pół litra piwa i machnął w kierunku Piły. Creasy przypomniał sobie pijackie szaleństwa miejscowych mężczyzn oraz fakt, że jak raz zaczną stawiać sobie nawzajem kolejki, może to potrwać nawet półtora dnia. Czuł się dobrze i był odprężony. Coś go łączyło z tymi ludźmi. Nie grozi mu już grad pytań, nikt nie będzie węszył, próbował przypisać go do jakiejś kategorii lub narzucić fałszywej przyjaźni. Nie będzie żadnego krętactwa. Bądź tym, kim chcesz być. Rób to, na co masz ochotę. Uważaj tylko żeby nie włączyć na odciski, nie bądź złośliwy gdy przyjdzie kolej na ciebie, a nade wszystko nie bądź „dum-

ny”. „Dumne” zachowanie stanowiło najcięższy grzech, jaki można było popełnić na Gozo, Mogło równać się z zarozumiałstwem. Nawet jeśli człowiek okazywał się podpalaczem lub pederastą, mógł zostać zaakceptowany, ale jeżeli był „dumny” — nie było mowy.

Creasy skończył piwo i napotkał wzrok Tony’ego. Należał on do rzadkiego rodzaju barmanów, którzy wszystko widzą, bez względu na to, jak są zajęci.

Poruszał się za barem, dolewając napitków i znowu wziął leżący przed Creasym banknot.

— A sam to co? — zapytał Creasy.

Tony pokręcił głową. — Za wcześnie dla mnie.

Po upływie dziesięciu minut na usta powrócił mu uśmiech, wziął kolejne dziesięć szylingów i powiedział: — Czemu nie — po czym przysunął sobie kufel piwa.

Później Creasy przekonał się, że Tony miał już taki zwyczaj. Odmawiał drinka, po czym przez dziesięć do trzydziestu minut zadawał sobie pytanie, dlaczego. Taka bitwa z myślami zawsze kończyła się uśmiechem i nieuniknionym „Czemu nie!”.

Wszyscy na wyspie mieli swoje przezwiska i wcale się nie zdziwił na wieść, że barman nazywany jest Czemu Nie.

Na zewnątrz podjechał zdezelowany Land Rover i do baru wbiegł młody człowiek o długich nogach, otwartej twarzy i czarnych, kręconych włosach. Wyciągnął stwardniałą od pracy dłoń.

— Cześć, jestem Joey. Witaj na Gozo.

Creasy pamiętał młodszego brata Julii jak przez mgłę, ale miał on wtedy zaledwie dziesięć lat. Joey popatrzył na Tony’ego, westchnął teatralnie i dostał piwo.

— Chyba specjalnie się nie spieszysz, co? — zapytał z uśmiechem. Creasy też się uśmiechnął i potrząsnął głową.

Joey duszkiem wypił połowę piwa. — Tak lepiej. Cały dzień pakowałem cebulę do worków, a od tego zajęcia strasznie chce się pić.

Rozpoczęła się skromna popijawa. Angielski jest drugim językiem na wyspach maltańskich i pijący tylko od czasu do czasu przechodzili na swój dialekt, aby uwypuklić jakiś aspekt opowieści. Ma on sporo słów pochodzenia arabskiego i włoskiego oraz pewien melodyjny rytm. Ze swoją znajomością obu tych języków, Creasy często ich rozumiał. Zaczęli zjawiać się rybacy, spragnieni po długim dniu na otwartych łodziach i w grzejącym słońcu. Następnie Michele i Victor wyszli, żeby zdążyć na ostatni rejs promem.

Większość pijących zamieniła piwo na mocniejsze trunki, a Joey popatrzył na zegarek.

— *Ghal Madonna!* Już szósta, chodźmy, Creasy. Mama będzie odchodzić od zmysłów.

Wjechali pod strome wzgórze przez małą wieś Qala, a potem odbyli ostry zjazd w dół i skręcili z drogi do Naduru.

Wiejski dom zbudowano w starym stylu wokół wewnętrznego podwórza i był przestronnym, kamiennym budynkiem. Jedno narożne skrzydło wyglądało na nowsze niż reszta i prowadziły do niego zewnętrzne schody.

Wysoka, pulchna kobieta wyszła z kuchni. Miała okrągłą, miłą twarz o wyrazistych rysach; kiedy Creasy wysiadł, uśmiechnęła się do niego, uściskała i ucałowała w policzek.

— Witaj, Creasy. Kopę lat — powiedziała posyłając rozgniewane spojrzenie synowi.

— Creasy był spragniony, mamó — wyjaśnieniu towarzyszyło mrugnięcie do Creasy'ego i szelmowski uśmiech.

Zdał sobie sprawę, że przyjdzie mu mieszkać na łonie rodziny i może to być dla niego krępujące, ale Laura krzątała się, przygotowując wielki dzbanek kawy, pytała co słychać u Guido i pilnowała trzech garnków pyrkających na wolnym ogniu na dużej kuchence. Nie mógł długo czuć skrępowania. Jego obecność spotkała się z milczącą akceptacją, a uczucie to przybrało jeszcze na sile, kiedy Paul Schembri wrócił z pola. Był niższy od żony i na pierwszy rzut oka wydawał się chudy; miał jednak muskularne ręce o wyraźnych bicepsach. Kiwnął głową w stronę Creasy'ego i zapytał: — W porządku?

Było to najpowszechniej używane słowo na Malcie, bez względu na język, a szeroki zasięg jego znaczenia rozciągał się od pytania, przez stwierdzenie i powitanie, aż po pożegnanie. Równało się francuskiemu *Ca va*, choć było czymś więcej.

— W porządku — odpowiedział Creasy, a Paul usiadł i przyjął filiżankę kawy od Laury.

Powitał Creasy'ego w taki sposób, jakby wrócił po jednodniowej nieobecności, a nie po ośmiu latach i to pozwoliło Amerykaninowi jeszcze bardziej się odprężyć.

Creasy kupił w Neapolu mały magnetofon i teraz wsunął do niego jedną z kaset odzyskanych przez Guido z domu w Como. Leżał na wznak na łóżku i podczas gdy Dr Hook wyśpiewywał miłosne żale, rozmyślał nad swoją sytuacją i ludźmi, którzy go otaczali. Sugestię Guido, aby skorzystał z Gozo jako bazy uważał za dobrą; wiedział, że spotka tam ciepłe przyjęcie ze strony Schembrich. Wiedział również, że niedawno odkupili od kościoła leżące odłogiem pola i ponowne uformowanie w tarasy oraz przygotowanie tej ziemi będzie wymagało ciężkiej pracy. Pomoc przy tym sprawi Creasy'emu przyjemność i jeszcze na niej skorzysta. Guido przeprowadził długą rozmowę telefoniczną z Paulem, wytłumaczył mu stan Creasy'ego i opowiedział o niedawnych wydarzeniach. Nie mówił nic o przyszło-

ści.

Creasy otrzymał do swojej dyspozycji dwupokojowe mieszkanie. Znajdowało się w tym nowszym skrzydle, które miało osobne wejście. Przy kolacji Paul wyjaśnił, że kiedyś służyło jako pomieszczenia do składowania i strych na siano. Od ślubu z Julią Guido co roku przysyłał im pieniądze i nie zmieniło się to po jej śmierci. Na początku Paul był zły — w końcu nie byli biedakami — i zagroził, że je odeśle. Ale Guido był rozbijający i stwierdził iż robi to ze względu na podatki. — Wiesz, jaki jest Guido — zwrócił się do Creasy'ego Paul.

Część pieniędzy przeznaczali na odremontowanie magazynów, aby Guido miał wygodne miejsce i trochę prywatności podczas corocznych wizyt. Były tam dwa duże pokoje i mała łazienka, wszystkie o tradycyjnych sklepieniach łukowych. Grube kamienie zachowały kolor jasnej ochry. Umeblowanie pokoi było proste. Duże, stare łóżko, komódka z szufladami i drewniane kołki do powieszenia ubrań na ścianach w sypialni. W drugim pokoju było parę niskich, wygodnych krzeseł, stolik do kawy i barek dobrze zaopatrzone w trunki. Miał to być jego dom na przynajmniej dwa miesiące, ale już tego pierwszego wieczoru Creasy czuł się wygodnie i jak u siebie.

Paul Schembri był typowym rolnikiem o wartościach zakorzenionych w życiu, które wypełniały jedynie ciężka praca i cykl produkcyjny. Miał pieniądze w banku i każdemu mógł spojrzeć prosto w oczy. Przypominał nieco kamienny mur otaczający jego ziemię — suchy, lekko przykurzony, ale solidnie wykonany; jeden kamień dopasowany do drugiego bez zaprawy, a mimo to będący w stanie oprzeć się wiatrom *gregale*, które zimą nadciągają z Europy.

Laura była bardziej towarzyska. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że właśnie ona dominowała w małżeństwie, ale było to powierzchowne wrażenie. Wysoka, świadoma swego intelektu, nawet kiedy Paul na to pozwalał, nie wykorzystywała jego pozornej łagodności.

Joey odziedziczył większość cech po matce i jego dociekliwy, otwarty umysł pozostawał w zgodzie z dobrą wolą. Będzie atrakcyjny dla kobiet, doszedł do wniosku Creasy. Ciemny, przystojny wygląd niewątpliwie wzbudzi w nich uczucia macierzyńskie.

Intrygowała go dziewczyna, Nadia. Pracowała jako recepcjonistka w hotelu na Malcie, ale miała wrócić do domu na weekend, aby pomóc rodzinie w gospodarstwie.

Guido mówił mu, że wyszła za angielskiego oficera marynarki i wyjechała do Anglii, ale małżeństwo rozpadło się przed rokiem. Creasy przypominał ją sobie jak przez mgłę ze ślubu Guido. Nastolatka, o takiej samej łagodnej urodzie jak Julia. Miał nadzieję, że jej obecność nie spowoduje żadnych komplikacji. Na razie

wszystko układało się dobrze. Rano rozpocznie ćwiczenia.

Dotarł na długi grzbiet nad zatoką w Marsalforn i zatrzymał się dla złapania oddechu. Dres pociemniał od potu. Słońce było jeszcze nisko — weszło zaledwie przed godziną — i zatoka, osłonięta otaczającymi ją wzgórzami, wciąż po-grażona była w cieniu. Usiadł na niskim kamiennym murku i głęboko zaczerpnął powietrza. Bolało go całe ciało — zaskoczone mięśnie protestowały w ten sposób przeciwko nagłej zmianie aktywności. Przypominał sobie, że nie wolno się prze-ciążać. Gdyby teraz nadwerężył jakiś mięsień, opóźniłoby to cały program o dni albo i tygodnie.

Wstał przed świtem i odbył serię ćwiczeń według dawnej musztry Legii, choć nieco je złagodził, aby nie zaczynać zbyt ostro.

Potem wziął zimny prysznic i zszedł na dół. Zdziwił się zastawszy Laureę w kuchni.

— Chadzam na wczesną mszę o piątej — wyjaśniła z uśmiechem. — Ktoś musi się pomodlić za wszystkich grzeszników w tej rodzinie.

Creasy zareagował uśmiechem. — Pomódl się i za mnie, Lauro — powiedział swobodnie. — Swoje nagrzeszyłem.

Pokiwała głową, ale nagle spoważniała i spojrzała na mały, złoty krzyżyk zwi-sający z jego szyi.

— Jesteś katolikiem? — zapytała, a Creasy wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem.

Zrobiła mu duży kubek czarnej kawy i kiedy ją pił zeszli Paul i Joey, ubrani do pracy w polu.

— Mam zamiar pobiegać — powiedział Creasy — potem trochę popływam. Czy później będę mógł pomóc wam przy tarasach?

Rolnik uśmiechnął się, przytaknął i wyprowadził go na zewnątrz, po czym pokazał w dół na morze.

— Jeśli chcesz popływać, to idź tą ścieżką. Jest tam zatoczka, do której mo-żesz skoczyć ze skał. Ma głęboką wodę i nikt tam nie bywa. Można się do niej dostać tylko przez mój teren lub łodzią.

Laura kazała mu po kąpieli przyjść na śniadanie i myśleć o chłodnej wodzie oraz jedzeniu sprawiła, iż wstał i ruszył wolnym truchtem w drogę powrotną.

Zatoczka leżała na odludziu. Miała głęboką i czystą wodę. Wapienne wybrze-że erodowało od spodu i powstała płaska półka, wystająca nad morzem. Creasy rozebrał się i skoczył. Przeplłynął około stu metrów do północnego kanału w kie-runku Comino. Mała wysepka wyglądała zapraszająco bliska, ale wiedział, że do jej najbliższego punktu jest prawie półtora kilometra. Kiedyś, jak będzie w lep-szej formie, popłynie tam; a jeszcze później, już w naprawdę dobrej kondycji, przepłynie tam i z powrotem.



W domu Laura przygotowała mu solidne śniadanie z szynki, jajek oraz świeżego, ciepłego chleba, smarowanego miejscowym, czystym miodem. Siedziała, piła kawę i z satysfakcją patrzyła jak w milczeniu opróżnia talerz.

Pamiętała go sprzed ośmiu lat — kiedy przyjechał z Guido — równie milczącego jak teraz. Wyglądał na starszego i bezgranicznie znużonego. Guido powiedział im przez telefon, jak blisko otarł się o śmierć.

Z upływem lat pokochała zięcia jak rodzzonego syna, a kiedy Julia zginęła, rozpacziała z tego powodu, ale także ze względu na Guido.

Pamiętała wieczór przed dniem ślubu. Guido przyszedł porozmawiać z nią i z Paulem. Opowiedział im coś niecoś o swojej przeszłości i zapewnił, że przeszłość będzie zupełnie inna. Mówił o tym, jak kocha ich córkę, a także o planach związanych z pensjonatem w Neapolu. Skończył zapewniając, że gdyby jemu się coś stało, a Julia potrzebowałaby pomocy, na pewno otrzyma ją od Creasy'ego.

Następnego dnia obserwowała jak duży, milczący Amerykanin usiłuje dostosować się do ducha i wesołości lokalnego wesela. Wyczuwała przyjemność, jaką sprawiało mu szczęście przyjaciela i instynkt podpowiadał jej, że to co Guido powiedział im poprzedniego wieczoru, było prawdą. Guido podał jej adres następnego miejsca pobytu Creasy'ego w Brukseli i to właśnie ona wysłała telegram zawiadamiający o śmierci Julii, telegram, który ściągnął go z Afryki do Neapolu, bo chciał być z przyjacielem. Teraz podjęła milczące postanowienie, że pomoże mu odzyskać siły.

Po śniadaniu Creasy poszedł na pola, odnalazł Pauia, zdjął koszulę i wziął się do pracy u jego boku. Budowanie na sucho muru z luźnych kamieni wymaga pewnej umiejętności. Kamienie muszą być starannie dobrane i odpowiednio ułożone jeden na drugim. Paul był zdziwiony jak szybko pomocnik opanował tę zręczność, ale Creasy miał wrodzony talent do tego rodzaju konstrukcji.

Mimo to, po godzinie plecy bolały go od bezustannego schylania się, a dłonie były podrapane od kamieni i pokryte pęcherzami. W południe Paul ogłosił przerwę i Creasy poszedł do zatoczki, aby wymoczyć dłonie w morskiej wodzie.

Lunch był prostym posiłkiem z zimnych mięs i sałaty, a po nim wszyscy udali się na sjęstę, żeby przeczekać najgorętszą porę dnia. Grube, kamienne mury i wysokie, łukowate sufity utrzymywały chłód w pokojach, dzięki czemu Creasy spał dobrze pomimo obolałego ciała. Wstał o trzeciej, sztywny i z bolącymi, potłuczonymi rękami. Miło byłoby trochę poleniuchować, prawie dał się skusić, ale pomyślał o wyznaczonym celu i poszedł wraz z Paulem na tarasy. Kiedy nabrał wprawy, obaj czynili duże postępy, pracując obok siebie w milczeniu. Po kilku godzinach Laura przyniosła im zimne piwa i wiaderko lodu.

Zganiła Creasy'ego za spalone słońcem plecy i z ciekawością przyglądała się jego bliznom, zarówno starym, jak i nowym.

— Ty rzeczywiście jesteś posiekany, Creasy — stwierdziła. — Powinieneś na stałe zająć się rolnictwem.

Wówczas zauważyła stan jego rąk i tym razem była autentycznie zła na Paula.  
— Jak możesz pozwalać mu pracować z takimi rękami? Popatrz na nie!  
Paul wzruszył ramionami. — Sama spróbuj mu powiedzieć.  
Wzięła dłonie Creasy’ego w swoje i przyjrzała im się.  
— Nie szkodzi — zapewnił ją. — Później pójde popływać, słona woda to dobra kuracja. Za parę dni stwardnieją. — Odwróciła dłonie, popatrzyła na płataninę blizn i potrząsnęła głową.  
— Rolnictwo — powiedziała stanowczo — jest znacznie bezpieczniejsze.  
Następne trzy dni były najtrudniejsze. Codziennie wieczorem Creasy padał na łóżko kompletnie wykończony.

Ale ustalił sobie rozkład zajęć, pewien schemat: wcześniej rano bieg, potem pływanie, z każdym dniem dłuższe, następnie praca w polu, bez koszuli i w upalnym słońcu, jeszcze jedna kąpiel wieczorem i pójście wcześniej do łóżka, zaraz po kolacji. Przez te pierwsze dni przechodził prawdziwe męczarnie, zwłaszcza rano, kiedy rozluźniał zeszywniałe i nie reagujące mięśnie. Zakładał, że dopiero po dwóch tygodniach rozkręci się na dobre. Ból działał pobudzająco. Niezmienne przypominał mu o celu, przypominał też o dziewczynce oraz o tym, co jej zrobili i wzbierała w nim nienawiść, która nie tylko dorównywała bólowi, ale go przerastała.

Paul i Joey byli świadkami tego pewnego wieczoru, kiedy siedzieli na patio pod gołym niebem, popijali kawę oraz brandy i spoglądali w kierunku bryły Como, poza którą widoczne były światła Malty.

Światła przywiodły na pamięć Creasy’emu jego przybycie do Neapolu przed tak wieloma miesiącami rosnącą przyjaźń z Pintą i tych parę ostatnich tygodni, kiedy był prawdziwie szczęśliwy.

Przeniósł się myślami do ostatniego dnia, a potem do szpitala, w którym Guido powiedział mu o jej śmierci.

Paul odwrócił się, żeby coś powiedzieć, ale na widok wyrazu twarzy Creasy’ego słowa uwięzły mu w gardle. Widział jak nienawiść unosi się nad tym człowiekiem niczym mgła nad zimnym morzem.

Amerikanin raptownie wstał, powiedział im dobranoc i poszedł do łóżka, Joey popatrzył na ojca, a jego zwykle tak pogodna twarz, była zakłopotana i ponura.

— On się spala od środka. Ma w sobie ogień. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś był tak smutny i tak rozgniewany jednocześnie.

Paul tylko skinął głową.

W sobotę przyjechała do domu Nadia. Siedziała przy kuchennym stole gdy trzech mężczyzn weszli na południowy posiłek.

— Creasy, pamiętasz Nadię — powiedziała Laura, gestem ręki wskazując córkę.

— Ledwo, ledwo — odpowiedział, po czym zwrócił się do dziewczyny: — Miałaś wtedy kucyki.

Uśmiechnęła się, zmiękczejac ostre rysy atrakcyjnej buzi, a następnie wstała i pocałowała go w policzek.

Była wysoka i szczupła, ale miała nieco dziwny chód. Długie nogi były jakby sztywnawe — nie mało atrakcyjne, ale inne — natomiast biodra poruszały się bardziej niż normalnie.

Podczas lunchu posyłał jej ukradkowe spojrzenia. Uczyniła pozostałych bardziej rozmownymi, drocząc się z Joey'm na temat jego kaca, a potem stając po jego stronie, kiedy matka zaczęła go ganić za to, że wrócił dopiero o drugiej nad ranem, a o świcie musiano siłą wyciągnąć go z łóżka i zagonić do roboty.

Miała inteligentną twarz. Zbyt ostre rysy nie dodawały jej wielkiej urody, ale wysokie kości policzkowe i pełne usta czyniły ją ciekawą. Popatrzyła na Creasy'ego i zauważyła, że patrzy na nią.

— Jak ma się Guido? — zapytała.

— Dobrze.

— Czy mówił kiedy przyjedzie?

Creasy pokręcił głową i zastanawiał się czy coś jest między Guido a tą dziewczyną. Była bardzo podobna do Julii, trochę wyższa i szczuplejsza, ale takie same poważne oczy stanowiły przeciwieństwo dla szybko przywoływanego uśmiechu. Byłoby całkiem naturalne, gdyby podobała się Guido. Od śmierci Julii minęło już pięć lat. Ale potem przypomniał sobie — od jej powrotu na Maltę nie minął jeszcze rok, a zresztą, Guido byłby mu powiedział. Mieli tego rodzaju układ.

Po lunchu mężczyźni poszli do swoich pokoi na sjęstę, a ona została w kuchni pomóc matce pozmywać naczynia.

Przez chwilę robiły to w milczeniu i nagle powiedziała: — Zapomniałam... to znaczy o tym, jaki on jest — trochę onieśmielający.

Laura zgodziła się — Tak. Niewiele mówi, ale zadomowił się i bardzo pomaga ojcu. — Na moment popadła w zamyślenie, a potem dodała: — Lubię go. Wiem jaki jest, a ojciec uważa, że ma specjalny powód aby odbudowywać formę, bo potem odejdzie i zabije wielu ludzi.

Nadia w milczeniu wycierała naczynia, a po chwili zapytała: — Ile on ma lat?

Laura zamyśliła się nad tym. — Musi dobiegać pięćdziesiątki. Jest parę lat starszy od Guido. Ma szczęście, że w ogóle żyje. Te jego blizny są okropne.

Nadia ustawiła naczynia i schowała je do szafki.

— Ale jest mężczyzną — z zadumą stwierdziła, jakby mówiła sama do siebie, a potem uśmiechnęła się na widok ciekawości na twarzy matki — ciekawości z minimalną domieszką smutku. — Ale przynajmniej jest mężczyzną — powtórzyła. — Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

W ustach Nadii nie był to nadzwyczajny komentarz. Na wszystkich mężczyzn patrzyła w pewien szczególny sposób — momentalna ocena na pierwszy rzut oka,

oparta na ciężkim doświadczeniu.

Jej mąż był przystojny i inteligentny. Zawarła małżeństwo z radością i nadziejami. Bajka, romantyczne zaloty. Tańce, przyjęcia, podniecenie związane z wyjazdem za morze, szerokie horyzonty, a potem stopniowe uświadamianie sobie, że coś jest nie tak i w końcu konieczność pogodzenia się z rozwianym marzeniem.

Miał skłonności homoseksualne — od dawna tłumione. Dla niego małżeństwo było częścią zaprzeczenia. Znał swoje inklinacje i walczył z nimi — robił to od okresu dojrzewania. Ale to była z góry przegrana wojna, a ostatnią jej bitwą było małżeństwo z Nadią.

Koniec nadszedł w nagły i obrzydliwy sposób. Przyjęcie w bazie marynarki w Portsmouth. Wszyscy pili za dużo. Nie widziała go, a potem znalazła nagiego z jakimś kadetem i już nic jej to nie obchodziło — pogodziła się z tym, kim był.

Następnego dnia odleciała na Malte.

Złożyła prośbę o unieważnienie małżeństwa, ale takie sprawy zwykle ciągnęły się bez końca. Kowboj udzielił im ślubu, a teraz wysłał dokumenty do Watykanu i w swój szorstki sposób próbował ją pocieszać oraz tłumaczyć, dlaczego musi to tyle trwać i na czym polegają trudności. Trzeba znaleźć świadków i spisać ich zeznania, a wówczas anonimowi, pozbawieni twarzy sędziowie podejmą decyzję, przy czym mogą im zejść na tym całe lata. Dlaczego? Małżeństwo to rzecz święta. Czyż oni nie widzą bólu i ludzi? Kowboj widział i ogarnął go ogromny smutek, gdy przyszła do jego konfesjonu, żeby poprosić o wybaczenie popełnionych grzechów, po czym wymieniła mężczyzn, z którymi spała. Najpierw młody rybak z Mgarru. — On jest mężczyzną, ojciec, a ja potrzebowałam kontaktu z prawdziwym mężczyzną — a później od czasu do czasu turyści, których spotykała w hotelu, gdzie pracowała. Na swój sposób również pozbawionych twarzy, jak owi sędziowie. Spędzali dwa tygodnie, zdobywając opaleniznę i korzystając z egzotyki miejscowych dziewczyn.

Nie potrafiła się z tym pogodzić. Wiedziała, że ludzie gadają, a nawet jej współczują i tego właśnie nie mogła ścierpieć. Pragnęła normalnego życia. Tak ją wychowano — rodzina, dzieci, szacunek. Nawet jeśli sędziowie w Watykanie przyznają jej unieważnienie, zdecydują, że w oczach Boga małżeństwo nie miało miejsca — co wtedy? Miała dwadzieścia sześć lat. Czy ktoś z miejscowych zechce się z nią ożenić? Po całej tej gadaninie w tak niewielkiej społeczności? Pozostawał wyjazd za granicę. Wcale ją nie pociągał. Potrzebowała rodziny — jej solidności i oparcia. Domu, w którym się urodziła i wychowała. Nawet samej ziemi. Ona nie kłamała, nie ulegała zmianom, nie przebierała się w fałszywe ubrania. Dokładnie z tego powodu wróciła do domu, nawet z Malty. Cokolwiek zrobi, będzie to miało miejsce w tym domu, bo tam jest bezpieczna.

Późnym popołudniem wzięła kostium i poszła ścieżką do zatoczki. Na wystającej skale zobaczyła leżące rzeczy, a w kanale pływającego Creasy'ego. Usiadła

i patrzyła jak pokonuje mniej więcej dwieście metrów, a potem zawraca.

— Myślałam, że płyniesz na Comino — powiedziała, kiedy wyszedł z wody.

— Popłynę, w przyszłym tygodniu — odpowiedział siadając koło niej i dysząc z wysiłku. — Chcesz popływać? — zapytał.

— Tak, odwróć wzrok, muszę się przebrać.

Minutę później, odziana w jednoczęściowy, czarny kostium, wykonała ładny skok do wody.

Była dobrą pływaczką i wypłynęła z zatoczki do kanału. Zastanawiała się czy on rzeczywiście dopłynie do Comino. Mógł tam być silny prąd. Czuła go nawet teraz, blisko brzegu. Początkowo miała zamiar wspomnieć o nim, ale powstrzymała się. Był rodzajem mężczyzny, który mógłby przyjąć radę kobiety jako obelgę.

Potem leżeli obok siebie na skale w zachodzącym słońcu. Zapytała go o Guido i pensjonat. Ani słowem nie wspomniała o porwaniu i strzelaninie. Czytała o nich we włoskich gazetach. Chciałaby wiedzieć więcej — ale poczeka.

# 11

Creasy szybko jechał zdezelowanym Land Roverem w dół wijącej się drogi do Cirkewwa. Widział jak na pokład „Melitalandu” wjeżdżają ostatnie samochody. Jeżeli nie zdąży, przyjdzie mu spędzić noc na Malcie. Kiedy znalazł się na podjeździe, właśnie rzucono cumy i podnoszono pochylnię. Kilkakrotnie uderzył dłonią w klakson i z ulgą zauważył, że Victor macha z niej do niego. Pochylnia została ponownie opuszczona.

— Byłeś o włos — powiedział Victor wyszczerzywszy zęby.

Creasy odwzajemnił uśmiech. — Mówiono mi, że zawsze się spóźniasz — popatrzył na zegarek. — Tymczasem jesteś dwie minuty przed czasem.

— To wyjątkowy dzień — odpowiedział Victor. — Wieczorem jest przyjęcie, więc chcę najpierw wypić parę drinków. Wtedy łatwiej o nastrój.

Creasy wiedział, że „parę drinków” należy rozumieć jako dwugodzinną sesję w „Gleneagles”. Cóż, tym razem miał się do nich przyłączyć. Czuł, że zasłużył na to. Zaczął już trzeci tydzień i najgorsze miał za sobą. Jego mięśnie w końcu pogodziły się z faktem, że długie wakacje dobiegły końca. Do pełnej formy było mu jeszcze daleko, ale stanowiło to tylko kwestię czasu; odzyskiwał dawną wytrzymałość. Koordynacja już była dobra, a należało spodziewać się dalszej poprawy.

Spędził także efektywne popołudnie w St Elmo, starym forcie broniącym dostępu do Wielkiego Portu. Wpadł na to dzięki artykułowi prasowemu, jaki Joey przeczytał parę wieczorów wcześniej. Relacjonował próbę porwania samolotu w Niemczech i opisywał interwencję specjalnego oddziału antyterrorystycznego. Paul wspominał, że taki oddział stacjonował na Malcie. Jego bratanek, George Zammit był oficerem policji i jego dowódcą.

To dało Creasy’emu do myślenia i następnego dnia zapytał Paula czy jego bratanek pozwoliłby mu poćwiczyć z oddziałem. Paul bez słowa podniósł słuchawkę i w kilka chwil załatwił sprawę.

Było to pożyteczne popołudnie. Pluton specjalny korzystał z broni pozostawionej przez Brytyjczyków: pistoletów maszynowych *Sterling* oraz różnorodnej broni ręcznej. W lochach fortu mieli świetną strzelnicę z ruchomymi celami i Creasy z przyjemnością znowu poczuł pistolet w dłoni. Był nieco zeszywniały i we-

dle swoich własnych kryteriów, trochę niezdarny, ale to miało ulec poprawie przez kilka kolejnych tygodni. Po zajęciach na strzelnicy piętnastu ludzi plus Creasy udało się do siłowni na ćwiczenia fizyczne i trening walki wręcz bez broni. Tworzyli dobry oddział; już doświadczony, ale jeszcze pełen entuzjazmu i gotów do ciężkiej pracy. George Zammit, wysoki, przyjacielski policjant, okazał się bardzo serdeczny, a potem z uwagą przyglądał się jak Creasy radzi sobie z bronią.

Teraz, kiedy „Melitaland” sapał, mozolnie pokonując kanał do Gozo, George zadzwonił do wuja.

— Paul, wiesz jakiemu człowiekowi udzielasz gościny w swoim domu?

— Jest przyjacielem Guido — odpowiedział Paul. — Chyba nie sprawił żadnych kłopotów?

— Ani trochę. Ale Paul, on jest zawodowcem — specjalistą. Co on właściwie robi na Malcie?

Paul opowiedział mu o porwaniu, a także o tym, że Creasy był już bliski odzyskania formy.

— Chyba nie zamierza tutaj pracować, co? — zapytał George.

— Na pewno nie. Oczywiście, wiem, że jest najemnikiem. Guido też nim był. Jaką pracę mógłby tu wykonywać tego typu człowiek?

George zaśmiał się. — A więc nie planujecie *coup d'état*?

W odpowiedzi też usłyszał śmiech. — Jest aż tak dobry?

Nastąpiła pauza, po której George powiedział: — Najlepszy, jakiego widziałem, a przechodziłem liczne szkolenia w Anglii i Włoszech. Z bronią obchodzi się tak, jakby nie wypuszczał jej z rąk od łona matki — z ogromnym, ogromnym doświadczeniem.

Znowu chwila ciszy, a potem George zapytał: — Mógłbyś zaprosić mnie na kolację, Paul? Postanowiłem nie zadawać mu żadnych pytań przy pierwszym spotkaniu, byłoby to niegrzeczne. Ale chciałbym dowiedzieć się o nim więcej. Brakuje nam instruktorów, więc może mógłbym z niego skorzystać — nieoficjalnie, rzecz jasna.

Paul zaprosił go na kolację w nadchodzącą sobotę i odłożył słuchawkę z poczuciem zadowolenia.

Creasy zjechał z promu jako ostatni, a Victor usiadł na siedzeniu obok przed krótką jazdą do „Gleneagles”. Bar był zatłoczony i hałaśliwy, ale tłumek rozstał się, robiąc im przejście. Piła właśnie rozdzielał rundkę i podał pół litra piwa Creasy’emu. Była to godzina ciężkiego opilstwa po solidnie przepracowanym dniu. Z przeciwległego końca baru zamachał Joey, a Creasy zauważył Nadię, siedzącą przy jednym z nielicznych stolików z żoną Victora, Uśmiechnęła się do niego i uniosła szklankę, a on poczuł skrępowanie. Coś zaczynało się między nimi rodzić.

Prawie codziennie razem pływali. Nie narzucała się, zwykle była milcząca — pograżona we własnych myślach. Mimo to nieustannie przebywała gdzieś na

peryferiach jego umysłu.

W końcu zaakceptował przemianę, jaka w nim zaszła. Stał się bardziej świadom ludzi i ich osobowości — a także tego, że pociągała go fizycznie ze swoim sztywnym chodem, długą talią i poważną miną.

Znowu popatrzył na nią i zauważył, że przygląda mu się z badawczym wyrazem twarzy. Zdażył już przywyknąć do tego spojrzenia. Najwyraźniej próbowała go ocenić.

Odwrócił się i dał znak Tony'emu, aby ponownie napełnił szklanki przy barze. — Sobie też nalej.

— Dzięki, Creasy, ale jeszcze jest za wcześnie.

Creasy położył pieniądze na barze i cierpliwie czekał. Wokół niego toczono rozmowy i omal nie dał za wygraną, kiedy doczekał się szerokiego uśmiechu Tony'ego. — Czemu nie!

W sobotę tuż po świcie Creasy wyruszył wodnym szlakiem do Comino. Ostrożnie rozkładał siły, kierując się na niebiesko-biały hotel. Był leciutki wiaterek, ledwo fałdujący wodę, ale wiał od zachodu i ciut wzmagął prąd. Creasy nie sprawdził pływów, bo nie uważał tego za konieczne; ale kiedy znalazł się w połowie odległości między wyspami, coraz lepiej widział hotel i zdał sobie sprawę, że znosi go na wschód. Przyśpieszył uderzenia, ale szybko stało się jasne, że nie wygra z prądem. Pomyślał, że może dopłynąć do drugiej zatoczki na wschód od hotelu, ale znowu go zносиło i przeklął własną głupotę. Za tą zatoczką linia brzegowa wznosiła się wysokimi, niegościnnymi skałami, więc zawrócił do Gozo. Zaczynało go ogarniać zmęczenie i świadomość, że może utknąć między wyspami.

Przestał walczyć z prądem, oszczędzając siły na ewentualny krytyczny wysiłek po wyrwaniu się z pułapki przyptywu i wypłynięciu na głęboką wodę. Przed sobą miał południowo-wschodnie wybrzeże Gozo i widział czerwone piaski plaży Ramla. Ale było do niej daleko; dobre dwa kilometry. Znowu zaczął płynąć, wolno, z coraz większym zmęczeniem.

Był już bardzo wycieńczony, kiedy usłyszał pokaszliwanie silnika diesla, podniósł głowę i ujrzał kolorowo oświetloną łódź rybacką. Na dziobie dostrzegł dwie sylwetki, rozglądające się po wodzie — byli to Nadia i Joey. Spróbował krzyknąć, zamachał ręką i poszedł pod wodę, plując przy próbie złapania oddechu. Zobaczyli go, zawrócili i już po chwili podpłynęli obok. Był zbyt słaby, żeby się podciągnąć, więc Joey skoczył za burtę, wsunął pod niego ramię, a dwaj rybacy chwycili go za ręce i wciągnęli na pokład.

Leżał w luce odpływowej, z trudem łapiąc powietrze, a potem zwymiotował morską wodą.

Dopiero po dziesięciu minutach był w stanie usiąść na rufie, głęboko oddy-



chając. Nadia z ukrycia obserwowwała jego zagniewaną twarz. Stała w oknie swojej sypialni, zobaczyła jak wypływa na kanał w świetle poranka i domyśliła się, że spróbuje dotrzeć do Comino. Widziała jak porwał go prąd i jak z wielkim wysiłkiem, bez skutku, próbuje wrócić do Gozo, więc zawołała Joey'ego. Pognali do Mgarr Land Roverem. Większość rybaków była już na pełnym morzu, ale jedna łódź właśnie kończyła przygotowania. Na szczęście rybacy, bracia nazwiskiem Mizzi, pili do późna w „Gleneagles” poprzedniego wieczoru i kaczka nie pozwolił im na zbyt wczesne wyjście w morze. Nadia i Joey wskoczyli do łodzi, pośpiesznie tłumacząc o co chodzi.

— Miałeś szczęście, Creasy — powiedziała. — Z łatwością mogliśmy cię nie zauważyć.

— Wiem — przyznał. — To była cholerna głupota. Powinienem był sprawdzić przypląwy.

Zobaczyła, że spogląda w kierunku Comino, a potem wraca wzrokiem do Gozo, z zaciętym wyrazem twarzy. Nienawidził tego kawałka wody. Domyślała się, że spróbuje znowu, i to wkrótce.

Po powrocie do przystani Creasy poprosił Joey'ego o pięć funtów i usiłował je weisnąć rybakom. Było już za późno, aby mogli wypłynąć. Pokręcili głowami ze śmiechem.

— Jesteś największą sztuką, jaką złowiliśmy tego lata — powiedział jeden z braci.

Drugi zgodził się z nim. — Zastanawiam się czy kazać cię usmażyć, czy upiec na rożnie.

Wszyscy razem poszli do „Gleneagles” i Creasy postawił im drinki, stojąc przy barze w slipkach.

Dało to okazję do ubarwienia powszedniości. Tony przygotował swój własny środek dla niedoszłych topielców — wielki kubek gorącej, słodkiej herbaty, zaprawionej sporym kieliszkiem brandy i rumem, starannie odmierzoną z dozownika. Był z niego tak dumny, że sobie też zrobił to samo. Potem Victor i Michele przyszedli po pierwszym kursie promu, a wysłuchawszy relacji, również postanowili spróbować.

— Trzeba być albo barmanem, albo pół-topielcem — sprzeciwił się Tony.

— Kwalifikujemy się — powiedział Victor. — Wczoraj wieczorem na pół utonęliśmy tutaj — od wewnątrz.

Piła przyszedł na swojego przedśniadaniowego klina i zaczęła się zabawa.

— Są ci wdzięczni, Creasy — powiedziała Nadia z lekceważącą kpina. — Każdy pretekst jest dobry, żeby się upić przed lunchem.

Piła przytaknęła uroczyście. — Szkoda, że nie utonąłeś naprawdę, *Uomo*. Moglibyśmy odbyć bankiet na całego — uśmiechnął się. — To znaczy, wiesz, w ramach kondolencji.

Kiedy jechali do domu, Creasy zapytał: — Co miało znaczyć to *Uomo*?

— To twoje przezwisko — wyjaśnił Joey. — Każdy w Gozo musi mieć jakieś przezwisko.

Creasy przez chwilę rozważał to w milczeniu. *Uomo* znaczyło po włosku tyle co mężczyzna. Był to sympatyczny przydomek. Doszedł do wniosku, że po porannym popisie powinni byli nazwać go „Palant”.

Ale oznaczało to, że został zaakceptowany. Obcy nie zasługują na przydomki.

George i Creasy siedzieli we dwóch na zewnętrznym patio. Z przyjemnością jedli kolację. Laura i Nadia poświęciły jej przygotowaniu większość popołudnia: *minestra*, potem *timpana* po maltańsku, następnie królik *stufato*, a na deser owoce i miejscowy pieprzny ser z koziego mleka. Ledwo uniknąwszy nieszczęścia rano, Creasy spędził spokojny dzień. Po południu pojechał na posterunek policji w Rabacie i poprosił o tabele pływów.

Zauważył, że Paul i Joey celowo gdzieś się wybrali i zostawili ich dwóch samych. Nadia przyniosła tacę z koniakiem i kawą, po czym wróciła do kuchni.

George w zamyśleniu napełnił i nabił fajkę. Creasy nalał kawy i koniaku. Wiedział, co go czeka. George uznał za stosowne pouczyć go. — Wiesz, że odpowiadam za bezpieczeństwo na tych wyspach?

Creasy przytaknął i podał mu filiżankę. — Chcesz wiedzieć czy stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa?

George machnął fajką z dezaprobatą. — Nie, Paul mi wytłumaczył, dlaczego tu jesteś. Dzisiaj rano wysłałem teleks do Paryża.

Creasy był zaskoczony. — Do Paryża?

— Tak — do Interpolu — jego uśmiech zapobiegł ewentualnej urazie. — To nie tak, jak myślisz. Po prostu od paru lat wiele krajów ma oko na wszystkich znanych najemników — nawet po fiasku w Angoli. Wygodniej jest mieć wszystkie dane zebrane w Paryżu. Zrozum, nie ma w tym żadnych implikacji kryminalnych.

Creasy nadal milczał i po chwili George ciągnął dalej.

— Chodzi o to, że pozwoliłem ci w czwartek przyłączyć się do naszego oddziału, bo jesteś przyjacielem mojego wuja; gdybyś jednak miał tu zostać na stałe, muszę nabrać pewności, że nie ma jakichś przeszkód.

— Rozumiem — powiedział Creasy. — Czy są jakieś przeszkody? — George pokręcił głową, sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął złożoną kartkę papieru i podał mu ją.

— Oto teleks, jaki przyszedł w odpowiedzi. Dostałem go dzisiaj po południu — wzruszył ramionami. — Właściwie nie powinienem ci tego pokazywać.

Creasy czytał, podczas gdy George pykał z fajki. Po bardzo długim milczeniu, Creasy powiedział: — Co znaczy ta końcówka?

George pochylił się i przetłumaczył zakodowany przypisek. — Nie ma motywacji politycznej. Nic nie wiadomo o związkach z organizacjami kryminalnymi.

Nie należy do żadnych ugrupowań. Na życzenie służymy dodatkowymi szczegółami.

Creasy złożył kartkę, oddał ją i znowu zapadła ciężka cisza.

— Czy to się zasadniczo zgadza?

Creasy przytaknął i po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech. — Z wyjątkiem tego, że nie jestem już ochroniarzem. O jakich innych szczegółach oni mówią?

— Wysłałem zapytanie drugiego stopnia — wyjaśnił George. — Jest tańsze, a nasz wydział nie należy do bogatych. Więc dostarczyli mi skrócony wykaz informacji. Na zapytanie pierwszego stopnia musieliby przekazać absolutnie wszystko, co o tobie wiedzą.

Creasy był pod wrażeniem. — Jak oni zbierają te informacje?

— Głównie poprzez służby wywiadowcze — odpowiedział George. — Wymieniamy się nimi. Najemnicy bywają dokuczliwi. Na przykład zajęli Komory na Oceanie Indyjskim i niejako wzięli je w osobiste lenno — w twoim zawodzie zdarzają się łajdacy, Creasy.

— Masz rację — przystał Creasy — a ci łajdacy utrudniają życie nam, łajdakom. — Spojrzał na George'a badawczo. — Obawiasz się, że coś takiego mogłoby stać się tutaj?

George potrząsnął głową. — Ani trochę. Ale jesteśmy neutralnym krajem. Nie ma już obcych baz. Możemy sami zadbać o siebie, choć nie wszyscy są co do tego zgodni. Chodzi o to, że Malta znalazła się w samym centrum wydarzeń. Nie chcemy aby ludzie, którzy planują akcje gdzieś indziej w tym regionie, urządzali sobie na Malcie bazy.

— Jestem samotnikiem — powiedział Creasy z lekkim uśmieszkiem. — Jak mówi ten raport, nie mam nic wspólnego z żadnymi ugrupowaniami ani jakichkolwiek planów, które mogłyby ci sprawić kłopoty. Jestem tutaj tylko po to, by odzyskać formę.

— Doskonale — powiedział George. — Możesz korzystać z naszych obiektów — nieoficjalnie, oczywiście.

— Jestem wdzięczny.

George uśmiechnął się. — Jest jeden warunek — nic uciążliwego. — Poklepał się po kieszeni. — Masz ogromne doświadczenie. Chcę je wykorzystać.

— Jak?

George'owi zgasła fajka i zajął się jej ponownym zapaleniem, zbierając przy tym myśli. Potem zaczął dłuższe wyjaśnienia.

— Mój oddział został powołany na wypadek jakichś lokalnych incydentów. Ataków terrorystycznych, prób porwań samolotów i tak dalej. W tych czasach prawie każdy kraj ma taki oddział. Ale brakuje ludzi z autentycznym doświadczeniem. W przeszłości Malta zawsze była okupowana przez obce siły, które zapewniały bezpieczeństwo. Mamy niewielką jednostkę wojskową. Nie jesteśmy boga-

tym państwem, więc nie możemy sobie pozwolić na luksus wojska z prawdziwego zdarzenia, więc nasi żołnierze angażują się także w cywilne przedsięwzięcia — budowę dróg i temu podobne. Ogranicza to koszty, więc ma moje poparcie. Chodzi o to, że nie stać nas na sprowadzenie instruktorów do wszystkich rodzajów walk. Brytyjczycy trochę pomagali przed odejściem, a Libijczycy podarowali nam sprzęt — helikoptery, kutry patrolowe marynarki i tak dalej, a także pomogli przy nauce ich obsługi. Ale jeśli chodzi o specjalistyczne prace, brakuje nam zarówno doświadczenia, jak instruktorów. Mój oddział na przykład. Wyjeżdżałem za granicę na przeszkolenie i przekazuję im wszystko, czego się nauczyłem, ale nigdy nie brałem udziału w walce. Zmuszeni jesteśmy pracować teoretycznie, opierając się na różnych sytuacjach. W dzisiejszym świecie — świecie terroryzmu — może się wydarzyć wiele nieprzewidzianych rzeczy.

Odchylił się w krześle z fajką w zaciśniętych zębach i pytająco spojrzął na Creasy'ego. — Ty tam byłeś, w przeróżnych sytuacjach — po obu stronach.

— Dobrze — zgodził się Creasy. — Zrobię, co będę mógł. Nie licząc tego co widziałem w czwartek, jakim jeszcze sprzętem dysponujecie?

Przeszli do omawiania spraw technicznych, a kiedy skończyli było już po północy. Nawiązali przyjazne stosunki. Obaj byli praktycznymi, raczej zamkniętymi w sobie mężczyznami i ocenili się nawzajem z chłodną życzliwością.

Tym razem skoczył ze skały piętnaście minut przed zmianą przyływu. Tego dnia również wiał lekki wietrzyk od zachodu, ale nurt był leniwy i Creasy równo płynął w kierunku swojego celu. Nadia stała w oknie sypialni i obserwowała go przez lornetkę ojca. Widziała, jak dotarł do małej zatoczki, po czym ruszył do hotelowego mola. Potem zeszła na dół i zadzwoniła do Joey'ego. Przez ostatnie trzy dni każdego ranka wysyłała go do „Gleneagles”, aby czuwał na wszelki wypadek — Creasy nic nie wspominał o kolejnej próbie, ale już go znała. Następnie zadzwoniła do koleżanki, recepcjonistki w hotelu „Comino”.

Creasy doszedł bosy i mokry przed wejście do hotelu, kiedy usłyszał, że ktoś woła go po imieniu. Odwrócił się i dostrzegł schodzącą po schodach dziewczynę, niosącą plastikową torbę i wysoką, oszronioną szklanekę piwa.

— To od Nadii — powiedziała z uśmiechem.

Creasy nie mógł opanować śmiechu. Odwrócił się i spojrzął za siebie przez kanał. Wypatrzył wiejski dom na wzgórzu, a w oknie na piętrze ujrzał błysk słońca odbitego w soczewkach lornetki. Pomachał i uniósł szklanekę w niemym toaście.

W torbie znalazł parę dżinsów, białą podkoszulkę i gumowe sandały — wszystko nowe; a także ręcznik i karteczkę.

— To wielce katolicki kraj — przeczytał na głos. — Nie możesz chodzić na pół nagi!

Dziewczyna pokazała mu ręką.

— Tam z boku jest przebieralnia, a ta ścieżka prowadzi do Błękitnej Laguny — popatrzyła na zegarek. — Prom odpływa za czterdzieści minut.

Podziękował jej i oddał pustą szklanke.

Dzinsy i podkoszulka pasowały idealnie. Spostrzegawcza dziewczyna, pomyślał, nakładając je. Ścieżka wspinała się na szczyt niewielkiego pagórka, a następnie opadała ku przeźroczystej wodzie laguny. Słońce było już wysoko i nad wyschniętą, jałową ziemią unosiło się gorące powietrze. Na lewo od siebie Creasy ujrzał mężczyznę w workowatych spodniach, podtrzymywanych szerokim, skórzanym pasem. Był w szarej koszuli z długimi rękawami i zapiętymi mankietami oraz płaskim kapeluszu — strój rolnika z Gozo; ale jego zachowanie poważnie odbiegało od zwyczajnego. W obu rękach trzymał długie, krzaczaste gałęzie i szedł z boczem wzgórza, uderzając nimi o ziemię, a od czasu do czasu pochylał się, aby coś podnieść i wkładał to do torby. Ogromnie zadziwiony, Creasy dalej szedł w stronę mola. W oddali widział mały, żółty prom, właśnie wypływający z portu Mgarr. Usiadł na kamieniu i patrzył jak staruszek dokładnie przeczesuje ziemię, schodząc ku niemu z boczem.

Dotarł do mola w chwili gdy podpływał do niego prom i skinął głową do Creasy'ego, który z bliska przyglądał się przeźroczystej torbie zwisającej z pasa staruszka. Koniki polne! Żywe koniki polne. Kiedy wsiadali na prom, nadal nie mógł wyjść z podziwu, ale jak tylko z sapaniem opuścili port, starzec sięgnął do przepastnego wora i wyjął z niego wędkę. Przynęta — koniki polne muszą mu służyć jako przynęta. Ale na lince znajdowała się gumowa kałamarnica, która szybko została zarzucona w kilwater.

Ciekawość zwyciężyła. — Po co są te koniki polne?

Starzec odwrócił wzrok od wędki. — Mam słowika. Karmię go nimi.

Zdziwienie Creasy'ego nie ustępowało.

— Ale na Gozo też jest mnóstwo koników polnych. Sam widziałem.

Starszy pan uśmiechnął się. — Ale koniki polne z Comino są smaczniejsze.

To kazało Creasy'emu na chwilę zamilknąć i obaj siedzieli zapatrzeni w zanurzoną gumową kałamarnicę.

— Często łowisz?

Starzec pokręcił głową. — Bardzo rzadko.

Creasy pomyślał, że mogło to mieć coś wspólnego z wiekiem i stanem przynęty, ale wtedy właśnie zdarzyła się rzadkość. Woda była tak czysta, że ujrzał błysk srebra, kiedy ryba pojawiła się z głębin. Wybuchło istne piekło. Prom zatrzymano wśród okrzyków i zamieszania, a trzech młodych członków załogi przybiegło na rufę z niepotrzebnymi radami. Starzec wciągał linę — łagodnie i niespiesznie.

Była to duża ryba i podniecenie rosło w miarę, jak zbliżała się do rufy. Starzec wychylił się, aby ostatnim szarpnięciem wciągnąć ją na pokład, ale kiedy ryba była już w powietrzu, nagle zerwała się z haczyka. Z pluskiem uderzyła o wodę, jeszcze raz błysnęła srebrem i tyle ją widzieli.

Na pokładzie rozległy się lamenty i zawołania *Ghal Madonna*, ale starzec pozostał spokojny i niewzruszony.

— Wszystkim nam bardzo smutno — wyraził współczucie Creasy.

Staruszek potrząsnął głową. — Nic takiego się nie stało — powiedział. — Ryba na pewno nie jest smutna.

— Dlaczego koniki polne z Comino są smaczniejsze od tych z Gozo? — Creasy zapytał Paula przy kolacji. Ujrawszy jego zdziwione spojrzenie, opowiedział mu o wędkarzu-filozofie.

— To stary Salvu — roześmiał się Paul. — Ma niewielkie gospodarstwo w pobliżu Ramli. Wymyślił to sobie jako pretekst, żeby codziennie popływać promem i połowić.

— Ten Salvu do dziwna postać — wtrąciła Laura. — Jego żona zmarła pięć lat temu. Co niedzielę udaje się do kościoła w Nadurze i wyznaje swoje grzechy Kowbojowi — zmyśla najgorsze, niewyobrażalne rzeczy, tylko po to, żeby go wyprowadzić z równowagi.

— Myślałem, że w konfesjonale obowiązuje tajemnica — powiedział Creasy.

— Owszem — wyjaśniła Laura. — Kowboj nie pisnąłby nawet słowa, ale Salvu przechwała się tym — twierdzi, że ma to pomóc Kowbojowi lepiej zrozumieć życie: niech wie, co traci.

— Cóż — powiedział Creasy — zaprosił mnie na kolację jak złapie następną rybę.

Zrobiło to wrażenie na Paulu. — Nadzwyczajne. Zwykle trzyma się na ubożu; ale pójdź. Robi najmocniejsze wino na Gozo i możesz liczyć na smaczny posiłek.

Rozmowę przerwał telefon. Guido dzwonił z Neapolu. Creasy odbył z nim dziwną rozmowę. Dowiedział się z niej, że kontakt z Marsylią został nawiązany i Leclerc jest skłonny do współpracy. Wszystkie inne przygotowania przebiegały gładko. Creasy dał do zrozumienia, że powinien wyruszyć za jakieś cztery do sześciu tygodni i poprosił Guido o list, kiedy wszystko będzie gotowe.

Tego wieczoru Creasy leżał w łóżku słuchając Johnny'ego Casha i zastanawiając się nad swoim stanem — fizycznym i psychicznym. Był zadowolony z postępów. Organizm reagował prawidłowo, rozleniwienie ustępowało. Po upływie kolejnego miesiąca lub dwóch znów będzie sprawny. Spotkanie George'a Zammita i możliwość trenowania z nim okazały się szczęśliwym trafem. Opuszczając Maltę będzie w pełni przygotowany do czekającego go zadania. Również psychicznie. Był świadom fundamentalnej zmiany, jaka w nim zaszła. Spoglądał na życie z większą jasnością. A nawet ze współczuciem. W całym dotychczasowym życiu wszyscy otaczający go ludzie wydawali się przypadkowi. Nie myślał o nich w kategoriach osobistych czy emocjonalnych. Zawsze okazywał im jedynie słabe,

kliniczne zainteresowanie. Pinta zmieniła to. Wszystko, co ujrzała, wywierało na nią jakiś wpływ. Wyobrażał ją sobie tutaj, na Gozo — jakże byłaby zachwycona starym Salvu. Jak zareagowałaby na ludzi, których poznał. Widział teraz jej oczami. Rok temu Salvu byłby tylko nieciekawym starcem, hodującym ptaka i łapiącym dla niego koniki polne, czyli nieco ograniczonym na umyśle. Tymczasem teraz Creasy niecierpliwie czekał na kolację u niego i rozmowę, która pozwoli bliżej go poznać. To Pinta dokonała tego, że oto mógł przyjechać na Gozo i zostać zaakceptowanym przez niezwykle zamkniętą społeczność. A w dodatku odczuwać przyjemność z tej akceptacji. Zamyślił się nad niesprawiedliwym zwrotem losu, który przerwał jej krótkie życie. Nie, nie losu. Nic nie działa się za sprawą losu. Każdy wypadek, każde wydarzenie z udziałem ludzi było skutkiem zachowania ich samych oraz innych. Powodzenie nie było zjawiskiem przypadku. Przeznaczenie zostaje z góry ustalone przez osobę, której dotyczy.

Przeniósł się myślami do Nadii. Wiedział, o co chodzi, wyczuwał tę magnetyczną siłę. Będzie z tym walczył. Po prostu groziło to licznymi komplikacjami, podczas gdy on miał mało czasu i zbyt wielkie plany.

Nadia prowadziła podobne rozmyślenia w swoim pokoju. Doznane przeżycia uczyniły ją cyniczną. Jej przyszłość również podlegała pewnym ograniczeniom. W tutejszej społeczności raz zamężna kobieta pozostawała taką na zawsze, bez względu na okoliczności. Nawet gdyby Watykan kiedyś unieważnił jej małżeństwo, nie mogła liczyć na nowy początek ze świeżymi nadziejami. Matki nie będą sobie życzyły, aby ich synowie wiązali się z tak napiętnowaną dziewczyną, a synowie będą w niej widzieli wyłącznie kobietę. Owszem, godną pożądaną, ale nie żonę.

Było coś, czego pragnęła. Nie pozwoli pozbawić się wszystkiego. Inne mogły mieć swoich mężów, swoje pozycje, swoje reputacje, ale ona przynajmniej będzie miała to coś. Niech sobie ludzie gadają, a nawet krytykują. Nic jej to nie obchodzi. Jej najbliższa rodzina zrozumie ją. Tylko to się liczyło.

Czas uciekał. Cztery do sześciu tygodni, słyszała jak mówił to przez telefon. Musi do tego dojść już wkrótce.

Rano Paul i Joey pracowali w polu, a Creasy pływał. Nadia widziała kropeczkę jego głowy, zbliżającą się do Comino. Matka była na targowisku w Nadurze. Zeszła na dół i zadzwoniła do Guido. Zawsze byli sobie bliscy ze szwagrem. Zapytała go o Creasy'ego i o przyszłość. O to, co przyniesie Creasy'emu. Dokąd się wybierał i dlaczego.

Guido z miejsca pojął, w czym rzecz. Próbował wytłumaczyć, że to nie ma sensu — ani przyszłości. Ale odmówił odpowiedzi na jej pytania. Musi je zadać

Creasy'emu.

W gruncie rzeczy jego ton pełen współczucia i odmowa wystarczyły za odpowiedź. Ale wnioski, jakie wyciągnął, były nie do końca prawdziwe.

Wczesnym wieczorem udała się na pole, gdzie ojciec i Creasy kończyli właśnie ostatnie kilka metrów ściany tarasu. Wiedziała, że Creasy pójdzie chwilę popływać, zanim wróci na górę do domu. Siedziała na murku i obserwowała dwóch mężczyzn, przy czym ojciec, drobny i żylasty, wyglądał niemal jak krasnal obok potężnego Amerykanina. Zauważyła zmianę w Creasym: głęboką, brązową opaleniznę, solidne mięśnie, dłonie pokryte odciskami po wielu tygodniach ciężkiej pracy.

— Nie masz nic do roboty? — gburowatym tonem zapytał ją ojciec, choć w głosie nie potrafił ukryć uczucia.

— Skończyłam — odpowiedziała. — Mam zamiar popływać. Poczekam na ciebie, Creasy.

Creasy podniósł duży kamień na murek.

— Ciągłe się boisz, że utonę? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Nie. Chcę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— Powiem ci po kąpieli w morzu.

— Idź, Creasy — powiedział Paul. — Popływajcie póki jeszcze jest jasno. Skończę resztę za parę minut.

Przełynęli kawałek kanału. W zachodzącym słońcu Comino wyglądało jak skąpane w miedzi. Woda była idealnie spokojna, a gładką taflą od czasu do czasu marszczyły jedynie ryby. Nadia zawróciła, ale on płynął dalej, zdając sobie sprawę z jej napięcia.

Kiedy wrócił do zatoczki, leżała na ręczniku, rozścielonym na płaskiej skale. Położył się obok, schnąc w zachodzącym słońcu. Minęło kilka minut, zanim przemówiła.

— Creasy, zakochałam się w tobie. — Podniosła rękę. — Nie przerywaj, proszę — starannie dobierała słowa. — Wiem, że ty także coś czujesz, ale nie chcesz się wiązać. Wiem, że jesteś co najmniej dwadzieścia lat starszy ode mnie. Wiem, że wyjedziesz mniej więcej za miesiąc i pewnie już nigdy tu nie wrócisz.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na niego i powiedziała bardzo cicho: — Ale z całą pewnością kocham cię i dopóki tu jesteś, będę twoją kobietą.

Bez ruchu wpatrywał się w niebo, po czym pokręcił głową.

— Chyba zwariowałaś, Nadiu. Wszystko, co powiedziałaś jest prawdą, a zwłaszcza to, że już tu nie wrócę. Nie mamy żadnej przyszłości. Jeśli chodzi o to, że zakochałaś się we mnie — jest to słowo, które bywa często nadużywane.

— Wiem — odpowiedziała. — Ale ja do tej pory użyłam go tylko raz w życiu i wyszedł z tego żart — chory żart. — Opowiedziała mu o swoim małżeństwie



i mężu. Wykrzywił twarz, wstał i spojrzał na nią.

— Więc powinnaś być na tyle mądra, żeby nie ładować się w beznadziejne sytuacje.

Leżała z rękami pod głową, w czarnym kostiumie kontrastującym z oliwkowym ciałem i patrzyła na niego beznamiętnie.

— Nie podobam ci się?

— Wiesz, że tak. Ale to nie w porządku. Nie ma żadnej przyszłości. — Schylił się, żeby podnieść ubrania. — Jesteś bardzo młoda. W porównaniu ze mną, jesteś jeszcze dzieckiem. Pomimo wszystkiego, co zaszło, masz przed sobą całe życie. Znajdziesz odpowiedniego człowieka, aby je z nim dzielić.

Starał się przemawiać obojętnym głosem. Odrzucając jej deklarację jako irracjonalny wybuch. Wstała i podniosła ręką.

— Możliwe — powiedziała spokojnie. — Kto wie? Ale na razie chciałabym dzielić je z tobą. — Teraz ona mówiła obojętnym głosem.

Pomału zaczęła wyprowadzać go z równowagi.

— Nadiu, to głupie. Jak możesz mówić o tym tak spokojnie, jakbyś zapraszała mnie do kina? — Coś przyszło mu do głowy. — A poza tym, co na to powiedzą twoi rodzice?

— Zrozumięją — powiedziała. — Porozmawiam z nimi dzisiaj wieczorem.

Popatrzył na nią z zaskoczeniem. — Co takiego?!

Uśmiechnęła się.

— Creasy, być może oni są staromodnymi rolnikami z Gozo, ale jednak to moi rodzice i ja ich rozumiem. Doskonale wiem, jak z nimi rozmawiać i wyjaśnić. Wszystko pójdzie dobrze, jeżeli tylko nie będziemy się z tym obnosić.

Podniosła sukienkę i nałożyła ją, natomiast Creasy stał, jakby mu odebrało mowę. Po chwili ruszyła ścieżką.

— Poczekaj chwilę! — zawołał Creasy.

Odwróciła się i spojrzała na niego, widząc jego zaskoczenie i rosnącą konsternację.

— Co to jest, do cholery? Jakiś pieprzony targ bydła? — machnął w jej kierunku ubraniami, usiłując znaleźć odpowiednie słowa. — Czy ja już nie mam tu nic do powiedzenia? Wybij sobie to wszystko z głowy. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Zrozumiano!

Uśmiechnęła się.

— Powiedzieliś, że mnie lubisz.

— Właśnie — potwierdził, jakby nagle odkrył jakąś prawdę. — Powiedziałem, że cię „lubię,” nie „kocham”. To nie jest to samo.

— Na razie wystarczy — odpowiedziała przez ramię i dalej szła ścieżką, zostawiając Creasy'ego stojącego na skale, złego i zbitego z tropu.

\* \* \*

W drzwiach do jego pokoju nie było zamka. Pomyślał o podstawieniu krzesła pod klamkę, jednak wydawało się to głupie. Ale wcale nie przyszła, a on leżał w łóżku, ciekaw czy rzeczywiście mogłaby rozmawiać z rodzicami o takich rzeczach. Rozważył możliwość wyjazdu i znalezienia innego miejsca na dokończenie przygotowań albo prawdziwie męskiej rozmowy z Paułem. Wyjaśniłby mu swoje stanowisko i poprosił, żeby pogadał z Nadią. Ale jak można komuś powiedzieć, że jest się podrywany przez jego córkę?

Bardzo wczesnie rano rozpoczął bieganie. Kiedy znalazł się poniżej Naduru, spotkał Laure, schodzącą ścieżką w drodze powrotnej z porannej mszy. Pomachała do niego, a on odmachnął i biegł dalej. To prawdopodobnie dobry znak, pomyślał. Przynajmniej nie rzuciła we mnie kamieniem. Cały problem wyblakł w jasnym świetle poranka. Zabawiła się tylko, sprawdzając jego reakcję. Oczywisty brak entuzjazmu z jego strony powinien natychmiast ją z tego wyleczyć. Biegając dalej, musiał jednak przyznać, że było to kuszące. Ładna, godna pożądaniami kobieta, pragnącą tak po prostu oddać mu się. Mógłby być jej ojcem. Pewnie odzyskiwanie formy miało z tym coś wspólnego. Uderzył się po płaskim brzuchu. Tylko jeden mężczyzna na stu mógł w jego wieku cieszyć się taką formą, może nawet jeden na tysiąc. Miał prawo być z siebie dumny.

Kiedy dotarł do zatoki Ramla, rozmyślenia przerwał czyjś głos. — *Uomo!* — Podniósł wzrok i ujrzał Salvu, pracującego na swoim polu, więc zatrzymał się na pogawędkę.

— Od kilku dni nie widuję cię na Comino — powiedział staruszek.

— Jutro — odpowiedział Creasy. — Jutro przyplynę. Nie złapałeś żadnej ryby?

Salvu pokręcił głową.

— Już wkrótce, *Uomo*. Niedługo coś będzie mi się należało — dam ci znać.

Creasy kontynuował bieg.

Kiedy dobiegł do zatoczki, na twarzy lśnił mu pot. Zdjął dres i z przyjemnością skoczył do chłodnej wody.

Później, leżąc na płaskiej skale, znowu powrócił myślami do Nadii. Na jego widok pewnie poczuje się zażenowana. Miał nadzieję, że swobodna atmosfera w domu nie ulegnie zmianie. Byłoby cholernie niedobrze, gdyby musiał się wynieść na tym etapie. Spróbuje potraktować ją gdyby nic się nie stało. Podejdzie do całej tej historii jak do drobnego żartu. Wtedy będzie łatwiej. Wiedział, że była wrażliwa. Kto by nie był, po takim nieudanym małżeństwie? Jeśli spróbuje znowu, będzie delikatny, ale stanowczy. W jego życiu nie było miejsca na takie związki.

Wstał, bo słońce już go wysuszyło, włożył dres i ruszył skalną ścieżką do domu.

Nadii nigdzie nie widział, ale w kuchni była Laura.

Przyjrzał jej się uważnie.

— Śniadanie, Creasy? — zapytała wesoło. — Dzisiaj wstałeś wyjątkowo wcześnie.

Poczuł ulgę. Laura zachowywała się zupełnie normalnie, z pewnością Nadia niczego jej nie powiedziała poprzedniego wieczoru. Usiadł, nagle wygłodniały, a Laura rozbiła cztery jajka na patelnię i z boku położyła plasterk szynki.

— To prawda, że Amerykanie jadają naleśniki na śniadanie? — zapytała przez ramię.

Przytaknął. — Z syropem. Ale ja ich nie jadłem od dziecka.

Postawiła przed nim talerz, a obok drugi, ze stertą ciepłego pieczywa. Następnie naląła mu duży kubek czarnej kawy, do której wsypała trzy czubate łyżeczki cukru. Sobie również naląła kawy i usiadła naprzeciwko, z satysfakcją obserwując, jak pałaszuje to, co przygotowała. Kiedy mężczyzna potrafił dobrze zjeść, gotowanie zaczynało mieć sens.

— Nadia rozmawiała z nami wczoraj wieczorem.

Creasy zakrztusił się.

— Nie powinno cię to krępować — uspokoiła go. — Stanowimy bardzo zżyłą rodzinę, a Nadia niczego nie zrobiłaby za naszymi plecami. To uczciwa dziewczyna.

— To głupia dziewczyna! — wybuchł Creasy. — Cała ta historia to szaleństwo.

Laura uśmiechnęła się.

— Miłość zawsze jest szalona. Tak często dramatyzowana, a przecież to taka naturalna rzecz, nie uważasz?

— Miłość! — parsknął. — Podobno można się nią cieszyć tylko wtedy, gdy jest odwzajemniona. Jak ona może mówić o miłości? Nigdy nie dałem jej ku temu żadnego powodu. Nie wiem, dlaczego o tym mówi.

Laura uroczyście pokiwała głową.

— Wiem, że nie dałeś, Paul również to wie. Dlatego poruszyłam ten temat. Chcę abyś wiedział, że o nic cię nie obwiniamy.

— Posłuchaj, Lauro. Bardzo lubię Nadię. To wszystko. A nawet gdybym czuł dla niej coś więcej, byłoby to bez sensu. Mam wrażenie, że ona nie potrafi właśnie tego pojąć. Za parę tygodni wyjadę. Muszę coś zrobić. Jest znikoma szansa, że kiedykolwiek tu wrócę. Jej nadzieje zostaną znowu rozwiane — w tym nie ma za grosz logiki.

Laura znowu uśmiechnęła się do niego.

— Logiki! Co za słowa. Od kiedy to miłość bywa logiczna? — podniosła rękę. — Poczekaj, posłuchaj. Chce tutaj zostać. Jest zdecydowana. Ale u nas jest inaczej

niż gdzie indziej. Nie może tu żyć tak samo jak inne kobiety. Nie jest w stanie zacząć od nowa. Ale to pełna ciepła dziewczyna. Chce podzielić się nim z tobą, bez ukrywania tego, bez wstydu. Dlatego rozmawiała z nami wczoraj wieczorem.

Potrząsnął głową.

— Lauro, dlaczego ja? Po pierwsze, jestem dużo starszy od niej, po drugie, wyjeżdżam — prawdopodobnie na zawsze.

Popadł w zamyślenie.

— Może myśli, że uda jej się przekonać mnie do zmiany zamiarów. Namówić mnie, żebym nie wyjeżdżał — popatrzył twardo na Laurę, prosto w jej oczy, po czym powiedział z naciskiem: — To niemożliwe. Musisz ją przekonać. Może wtedy wybije sobie z głowy te bzdury.

Laura na chwilę pogrążyła się w myślach.

— Jeśli chodzi o nas, nie ma żadnych problemów — i nie będzie. Cieszymy się, że jesteś z nami. A do tego, okazałeś ogromną pomoc Paulowi. Potrzebował jej tego lata. Ale sam musisz to jakoś załatwić z Nadia. Nic więcej nie powiem. Nie będę próbowała wpływać na nią — ani na ciebie. — Uśmiechnęła się. — Ale nie wyglądasz na człowieka, który ucieka — nawet przed kobietą.

Posłał jej piorunujące spojrzenie, zauważył, że uśmiecha się coraz szerzej i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Przyszła dwie noce później, tuż po dwunastej.

Drzwi otworzyły się cicho i usłyszał stąpanie bosych stóp na kamiennej podłodze. Wpadające przez małe okienko światło księżyca, ukazało ją niewyraźnie, stojącą bez ruchu w drzwiach pokoju — i wpatrzoną w niego. Podeszła do łóżka. Koszula zaszeleściła, ocierając się o jej ciało.

— Wracaj do swojego pokoju — powiedział. Uniosła pojedyncze prześciera-dło i wśliznęła się koło niego do łóżka.

— Nie chcę cię tutaj. Idź do siebie.

Ręka objęła go w talii, a miękkie usta pocałowały w ramię, a potem przesu-wały się ku szyi. Leżał bez najmniejszego ruchu — nie reagował.

— Nadiu, zrozum. Nie chcę cię.

Uniosła się lekko. Drobnymi, miękkimi piersiami dotknęła jego klatki. Jej usta wolno powędrowały od szyi do podbródka, a następnie do warg. Usiłował jeszcze raz poprosić ją aby odeszła; ale stało się to za trudne.

## 12

Był niski, krępy i ubrany w kamuflujący strój. Na pasie oplatającym klatkę piersiową powiesił granaty i mały radioodbiornik, a w ręku trzymał pistolet maszynowy *Sterling*. Oparł się o skalną ścianę, głęboko oddychając, usiłując dojść do siebie po szybkim biegu przez otwartą przestrzeń do dwupiętrowego budynku.

Kiedy był gotów, wolniutko ruszył do narożnika. Wiedział, że za nim znajduje się długi korytarz bez okien, a na jego końcu klatka schodowa, prowadząca na wyższe piętro. Zebrał się w sobie i skoczył naprzód w niskim przysiadzie, z palcem zaciśniętym na spuście. Przerwana seria ze *Sterlinga* wypełniła hukem budynek.

Creasy stał u podnóża schodów i obserwował, jak się zbliża, oczami rejestrując każdy szczegół.

Mężczyzna dotarł do schodów ze skrzypieniem kauczukowych podeszew wysokich butów i ponownie przylgnął do ściany. Pusty magazynek zastukotał na podłodze, a pełny z trzaskiem został wsunięty na miejsce. Sięgnął do radia. — Wchodzę na górę — powiedział i spojrzawszy przelotnie na Creasy'ego, rzucił się ku schodom. Creasy ruszył za nim, słysząc kolejne strzały, po których w głębi budynku rozległ się wybuch granatu.

Cała piętnastka wybiegła rzędem do skalnego ogrodu. Rozmawiali z podnieceniem.

Ćwiczenia trwały zaledwie pięć minut, za to wykład dobrą godzinę. George omawiał z nimi wszystkie fazy ataku, jedne krytykując, a drugie chwając. Stał przed nimi u boku Creasy'ego. W oddziale panował wspaniały duch; były to ich pierwsze ćwiczenia na pełną skalę i hałas strzałów oraz akcja okazały się podniecające.

George skończył i zwrócił się do Creasy'ego. — Chcesz coś dodać?

Creasy zrobił krok do przodu i oddział zamarł w oczekiwaniu.

— Ogólnie rzecz biorąc, było dobrze — powiedział, wywołując tym uśmiechy.

— Ale w prawdziwej walce połowa z was straciłaby życie lub odniosła rany. — Uśmiechy znikły.

Wskazał tego niskiego i krępego.

— Grazio, przeszedłeś korytarz dotykając plecami kamiennej ściany. W ten sposób bardziej narażasz się na rykoszety. Przecież mówiono ci, że powinieneś iść środkiem. Co prawda możesz czuć się bardziej odsłonięty, ale tak jest bezpieczniej. Wyszedłeś zza narożnika pochylony, ale prawie natychmiast się wyprostowałeś i celowałeś na wysokość talii. Zawsze mierz nisko. Wróg może leżeć na podłodze, ale z pewnością nie może fruwać w powietrzu. W kamiennym lub murowanym budynku, jak ten, sam zrób pożytek z rykoszetu.

Grazio pokiwał głową, zakłopotany, ale Creasy jeszcze z nim nie skończył.

— Gdybym był terrorystą, już byś nie żył. I jeszcze jedno — zbyt wolno zmieniłeś magazynek — zdecydowanie zbyt wolno. To jest ten krytyczny moment, w którym jesteś najbardziej narażony. Musisz ćwiczyć aż do bólu palców. Dopóki nie stanie się to odruchem. — Oczami przejechał po rzędzie. — Wszyscy musicie ćwiczyć! Od tego może zależeć czy przeżyjecie, czy zginiecie. Nie ma czasu na grzebanie się.

Wskazał nieco wyższego mężczyznę z gęstymi, czarnymi wąsami.

— Domi, poszedłeś za Charliem do Pokoju Drugiego. Powinieneś być zostać na korytarzu i ochraniać drzwi do Pokoi Trzeciego i Czwartego. Nie byliście obaj tam potrzebni. To była sypialnia. Żadne dziewczyny w niej na was nie czekały!

Oddział wybuchnął śmiechem. Domi znany był jako miejscowy Romeo.

Creasy ciągnął dalej, omawiając zachowanie każdego z nich. George w milczeniu podziwiał precyzję obserwacji Creasy'ego. Kolejny raz zwrócił uwagę na zmianę w manierach Creasy'ego, kiedy tylko zaczynał dawać instrukcje. Nie było tu żadnych niedomówień — padały cięte zdania. Zauważył też jak jego ludzie słuchają, dosłownie chłonąc wszystko. Przemawiał głosem, w którym brzmiało doświadczenie połączone z autorytetem. Widzieli jak Creasy pozbywa się pustego magazynka. Błyskawiczny ruch, prawie bez przerywania ognia. Przyglądali się jak strzela z pistoletu, karabinu maszynowego i *Sterlinga*, jak rozbiera je i składa z powrotem z taką sprawnością, z jaką oni posługują się nożem i widelcem. Ćwiczyli też z nim walkę wręcz i wprawiał ich w zdumienie prędkością i odruchami. Wszyscy byli sprawnymi, twardymi, młodymi mężczyznami po dwudziestce, ale zdawali sobie sprawę, że Creasy, choć o tyle starszy, w walce na poważnie pokonałby każdego z nich. Dlatego słuchali go.

Zakończył mówiąc im, że jak na pierwsze ćwiczenia, poradzili sobie całkiem nieźle. Pochwalił ich za szybkość przy początkowym ataku i brak wahania, kiedy już byli wewnątrz budynku.

— Ale nie zatrzymujcie się — podkreślił. — Zawsze bądźcie w ruchu. W ruchu i czujni. Sami wiecie, jak łatwo trafić w nieruchomy cel. Krótko mówiąc, zawsze trzymajcie się nisko, zawsze bądźcie w ruchu i zawsze czujni.

Zrobił krok w tył, George powiedział jeszcze parę słów i zwolnił oddział.

Creasy celowo nie został wtajemniczony w plany ćwiczeń. George chciał usły-

szeć niezależną opinię. Teraz odciągnął go na bok i zapytał: — Co myślisz o planie taktycznym?

Creasy stał zapatrzony w budynek i zamyślony. Scenariusz polegał na tym, że zlokalizowano czterech terrorystów, bez zakładników, którzy najprawdopodobniej ukryli się na najwyższym piętrze. Namowy, aby wyszli zawiodły, więc wezwano oddział specjalny.

— Brakowało równowagi — powiedział w końcu. — Miałeś pięciu ludzi pilnujących budynku od zewnątrz, a do środka posłałeś dziesięciu. Lepiej byłoby na odwrót. Po pierwsze dlatego, że zbyt wielu ludzi w ataku wchodzi sobie nawzajem w drogę, a po drugie, jak już doszło do ataku, terroryści mogli uciec, i to w różnych kierunkach — pokazał na okna na piętrze. — Mogli wyskoczyć, nie jest specjalnie wysoko.

Złagodził krytyczne uwagi: — Metoda i kierunek wejścia były dobre. Podobał mi się pomysł przejechania ciężarówką pod górnymi, południowymi oknami; a dywersja od frontu była dobrze zaplanowana w czasie i realistyczna.

Położył rękę na ramieniu George'a.

— Było to zaplanowane z wyobraźnią, ale radziłbym mniej polegać na radiodiodobornikach. Przydają się podczas utajnionej obserwacji, natomiast siły atakujące powinny korzystać z nich jedynie w przypadku ugrzęźnięcia. Donoszenie o każdym ruchu prowadzi tylko do spowolnienia akcji. Oni wszyscy wiedzą, co mają robić, są wytrenowani każdy z osobna, daj im swobodę — uśmiechnął się. — Ogólnie rzecz biorąc, George, było dobrze. Zwłaszcza, jak na pierwszą próbę.

George był zadowolony.

— Dzięki — powiedział. — Mam ten budynek na miesiąc. Przećwiczymy to jeszcze dwa razy, a Air Malta w przyszłym miesiącu na kilka godzin udostępni nam jeden ze swoich *Boeingów* dla przeprowadzenia pozorowanego porwania.

Oddział zebrał się za policyjnym Land Roverem i w ruch poszły butelki zimnego piwa. Creasy i George dołączyli do nich. Kiedy tak stali i popijali, George nagle odezwał się z kpiącą ostrością.

— A przy okazji, myślałem, że nie zamierzasz pracować na Malcie.

Na moment zbiło to Creasy'ego z tropu, ale potem zrozumiał. Udał niewinność. — Jezu, George, ja tylko pomagam twojemu wujowi w gospodarstwie.

Piętnastu młodych policjantów słuchało tego z uśmiechem. Podobnie jak George. — Nie o to mi chodzi, Creasy i doskonale o tym wiesz; tak czy inaczej, dobrze się złożyło. Oszczędziło nam to trochę pracy.

Miał na myśli incydent, do którego doszło kilka dni wcześniej.

Zaczął się sezon połowów lampuki, ulubionej ryby Maltańczyków. Któregoś wieczoru Creasy zawiózł Nadię do Mgarru, bo chciała kupić ryby z pierwszego połowu bezpośrednio od rybaków. Widzieli jaskrawo pomalowane łodzie płynące kanałem Comino. Zostawił ją na przystani i poszedł do „Gleneagles” na drinka.

W barze była niewielka grupa ludzi. Michele, Victor, Tony, Sam i Piła. Rozstąpili się pozwalając mu przejść, a Sam nalał mu piwa, po czym wrócili do przerwanej rozmowy. Przeważnie zachowywali powagę, więc Creasy słuchał z zainteresowaniem.

Problem dotyczył pewnego faceta z Gozo, imieniem Benny, zwanego „Tatu-aż” — miał nim pokryte całe potężne ramiona. Benny był bardzo duży, bardzo silny, a z wyglądu przypominał odrzuconą kopię Frankensteina. Chociaż pochodził z Gozo, wiele lat spędził na dużej wyspie. Creasy słyszał niektóre opowieści o nim. Jedna z nich związana była z poprzednimi wyborami. Pewien polityk w zamian za pomoc podczas wyborów obiecał Benny’emu lukratywne stanowisko w nowo utworzonych władzach. Benny, będąc człowiekiem ufnym, ciężko pracował, a kiedy polityk został demokratycznie wybrany, zgłosił się w jego biurze po obiecaną pracę, Kazano mu czekać przez kilka godzin, a potem sekretarka oświadczyła, iż polityk nie przypomina sobie żadnej takiej obietnicy i jest zbyt zajęty aby go przyjąć. Benny, poirytowany, minął sekretarkę i rzucił się do drzwi gabinetu. Polityk to przewidział, bo drzwi były zamknięte na klucz. Benny wpadł w złość i wyważył je. Polityk uciekł przez okno, dziękując Bogu, że urzęduje na parterze. A miał ładny gabinet, świeżo umeblowany i udekorowany. Benny wyładował na nim swoją wściekłość. Wezwani policjanci po przybyciu nadal słyszeli trzask łamanego drewna.

Żaden z policjantów nie palił się do aresztowania go — Benny cieszył się niezłą reputacją. Mieli ze sobą dwa wilczury, więc ostrzegli Benny’ego przez megafon, że jeśli nie wyjdzie dobrowolnie, poszczują go psami. Po krótkiej ciszy znowu dobiegły ich odgłosy dewastacji. Wpuścili więc psy. W przeciągu pół minuty mieli je z powrotem — wyrzucone przez okno ze skreconymi karkami.

Benny’emu dopisywało szczęście. Sędzia nie był ani miłośnikiem zwierząt, ani zwolennikiem polityka. Benny dostał tylko trzy miesiące.

Jego ostatni kontakt z prawem miał miejsce sześć miesięcy wcześniej. Pracował dorywczo jako ochroniarz w barze przy ulicy Strait w La Valletta. Ulica ta, zwana „rynsztokiem,” przez lata stanowiła miejsce spotkań marynarzy, ale po zamknięciu bazy brytyjskiej marynarki wojennej, Strait zaczęła podupadać. Pozostało zaledwie parę otwartych barów, a niektóre z nich stały się ulubionymi miejscami popijawy różnych gangów maltańskich. Benny miał wśród nich sporo wrogów i pewnego wieczoru dwóch z nich wysłał na dłuższy czas do szpitala.

Ten sam sędzia skazał go na rok, z zawieszeniem na sześć miesięcy. Pragnąc uniknąć pokus, Benny przyjechał na Gozo, aby przeczekać te sześć miesięcy na stosunkowym odludziu.

Często wpadał do „Gleneagles” i kilkakrotnie pił z Creasym. Był popularny wśród miejscowych. Zawsze przyjacielski, gotów do podania pomocnej ręki, na przykład przy wyciąganiu łodzi lub malowaniu domu.

Creasy lubił go. Pewnego razu Benny zjawił się z dziewczyną — utlenioną



blondynką, lekko podpitą turystką, która była zachwycona jego potężną sylwetką. Dwukrotnie przewróciła szklankę Creasy'ego, po raz drugi, kiedy Benny był w toalecie. Creasy przemówił do niej ostro.

— To niechący — powiedziała obojętnie. — Nie mów do mnie w ten sposób. Kiedy Benny wrócił, poskarżyła mu się, że Creasy ją obraził.

W lokalu zapadła cisza. Benny badawczo spojrzął na Creasy'ego.

— Próbuje nas wystawić — wyjaśnił Creasy i powiedział mu o rozlanych drinkach.

Benny pokiwał głową, spojrzął na Tony'ego i na barze stanęły dwa świeże drinki.

— Czyżbyś się go bał? — szyderczo zapytała dziewczyna. Benny pokręcił głową. — Nie, a on nie boi się mnie. A teraz zamknij się albo wynocha.

Tak więc, Creasy lubił go i z sympatią słuchał rozmowy o jego problemie.

Okres zawieszenia miał się skończyć Benny'emu za parę dni. Gdyby złamał prawo przed upływem terminu, musiałby odsiedzieć w więzieniu cały rok. Ta myśl stała się kusząca dla niektórych jego wrogów na Malcie. Podczas poprzedniego rejsu promu Victor widział dwóch z nich na molo Cirkewwa. Stali w kolejce samochodów, czekając na przeprawę, więc Victor celowo tak ustalał odległość między pojazdami, żeby zabrakło dla nich miejsca. Ale znaleźli się pierwsi w kolejce do następnego rejsu. Grupka w barze zastanawiała się, co można zrobić. Wiadomo było, że Benny popijał tego popołudnia w Marsalforn, ale prośba aby nie wchodził im w drogę, nic by nie dała. Duma nie pozwoliłaby mu na to. Zawiadomienie policji o nieuniknionym starciu również nie miało sensu. Było jasne, że dwaj wrogowie Benny'ego przybyli aby wywołać bójkę, przy czym mogli sobie wybrać stosowną chwilę, a Benny'ego nietrudno było sprowokować. Padały różne propozycje, a Creasy milczał, bijąc się z myślami. To nie była jego sprawa, a jednak, od sześciu tygodni mieszkał w tej społeczności i został przez nią zaakceptowany. Ci ludzie byli dla niego dobrzy. W jakimś stopniu ich sprawy musiały też być jego problemem. Poza tym lubił Benny'ego.

W rezultacie, kiedy Victor powiedział, że musi już iść, Creasy poprosił Tony'ego o znalezienie kogoś, kto odwiezie Nadję do domu. — Popłynę z Victorem, zaczerpnę świeżego powietrza.

Stał z Victorem na pomoście sternika, kiedy prom „Melitaland” podpłynął do mola Cirkewwa.

— To ich samochód — pokazał Victor. — Na samym początku kolejki.

Był to duży, stary Dodge, pomalowany na biało-czerwono, ozdobiony chromowymi listwami oraz stojącym dęba ogierem.

— Oni wszyscy jeżdżą takimi samochodami — powiedział Victor. — Uważaj, *Uomo*. To nie mięczaki.

Creasy tylko skinął głową.

— Kiedy odpływasz?

— Za pół godziny.

Creasy otworzył drzwi pomostu.

— Jeżeli nie wrócę, to załapię się na następny kurs. Nie czekaj.

Samochody zaczęły zjeżdżać po trapie, a Victor przechylił się przez burtę i patrzył, jak Creasy wybiera moment aby przejść tuż przed nimi, schodząc z promu. Jakby nigdy nic, podszedł do czekających pojazdów. Przechodząc koło Dogde'a, nagle stanął i jednym ruchem otworzył tylne drzwi, wsiadł do środka i zatrzasnął je za sobą.

Dogde zaczął kołysać się na resorach. Ze swojego miejsca na pomoście sternika Victor nie widział jego wnętrza. Pobiegł na skrzydło mostka, ale nic nie zobaczył. Wówczas kołysanie ustało. Victor usłyszał, że silnik Dogde'a został uruchomiony, a następnie samochód bardzo wolno ruszył, wyjechał z kolejki, zawrócił na drogę prowadzącą od mola, przejechał półtora kilometra i znikł za zakretem.

Pół godziny później wszystkie samochody były już na pokładzie. Członek załogi popatrzył na mostek, oczekując znaku aby podnieść trap. — Poczekaj! — Victor krzyknął z góry. Zauważył, że Dogde znowu się pokazał.

Zaparkował wzdłuż mola, a Creasy wysiadł z tylnego siedzenia i wszedł na prom. Dodge ruszył z powrotem w kierunku Valletty.

— Co się stało? — niecierpliwie zapytał Victor, kiedy ujrzał Creasy'ego w drzwiach pomostu.

Creasy wzruszył ramionami. — Postanowili nie odwiedzać Gozo tego lata. — Jego ton wykluczał wszelkie dodatkowe pytania i w milczeniu wrócili do Mgaru.

— Wiadomo ci o każdym, najmniejszym drobiazgu, jaki zdarza się na tej wyspie? — zapytał Creasy.

George pokiwał głową. — Mniej więcej — co z nimi zrobiłeś?

— Odbyliśmy rozmowę. — Creasy spróbował zmienić temat. — Kiedy są następne ćwiczenia?

George uśmiechnął się. — W przyszłym tygodniu, o tej samej porze. Musiała to być diabelnie skuteczna rozmowa. Ci dwaj od trzech dni nie wystawili nosa.

— Przeszli rehabilitację — Creasy chrząknął. Zwrócił się do jednego ze szczerzących zęby mężczyzn. — Grazio, jesteś gotów do drogi?

Land Rover Paula był w warsztacie i Creasy złapał rano okazję do Valletty. Grazio zaproponował mu odwiezienie na molo Cirkewwa.

Kiedy jechali drogą, wijącą się wzdłuż wybrzeża, Grazio próbował nawiązać rozmowę. Szybko zrezygnował. Creasy był najwyraźniej zatopiony w rozmyślnościach. Jeszcze dwa tygodnie, postanowił, i będzie gotowy. Myśl o tym budziła sprzeczne emocje. Teraz, kiedy był już prawie w pełni sił, ogarniało go zniecier-

pliwienie, aby wziąć się do roboty. Przygotowania były długie i trudne, a zniósł je tylko dzięki obranemu celowi. Był niemal gotów i zaczynał mieć gonitwę myśli, usiłując opracować strategię, a także przewidzieć nieuchronne komplikacje.

Była jeszcze Nadia. Nadia i jego życie na Gozo. Będzie to bezpowrotny wyjazd. Przeczuwał to. Kochał ja. Przyznanie się do tego przed samym sobą przypawiło go o niemal fizyczny szok.

Po tamtej pierwszej nocy przyniosła swoje ubrania do jego pokoi. Przyjął ją. Miesiąc, to wszystko. Została ostrzeżona, więc niech tak będzie. Ale zajęło to zaledwie parę dni. Pewnego ranka obudził się wcześniej. Słońce oświetlało jej śpiącą twarz. Kochał ją.

Delikatnie wprowadziła pewną rutynę.

O świcie wstawała, schodziła do kuchni i parzyła dzbanek kawy. Kiedy wracała, już nie spał i wykonywał poranne ćwiczenia. Siadała na łóżku i z namaszczeniem przyglądała się jak poddaje ciało torturom. Następnie wypijał kawę, usiadłszy obok niej na łóżku. Te wczesne poranki zwykle upływały w milczeniu. Rzadko rozmawiali. On wychodził pobiegać, a kiedy kończył, niezmiennie w zatoczce, czekała na niego z zimnym piwem i ręcznikami. Potem płynął do Comino i z powrotem, a pływy już mu nie przeszkadzały. Przez mniej więcej pół godziny leżeli na skale rozkoszując się słońcem, po czym spacerkiem wracali do domu. Na skutek milczącego porozumienia jej matka zrezygnowała z robienia Creasy'emu śniadań. Nadia smażyła mu jajka na szynce. Później szedł na pola i przez cały dzień pracował z Paulem i Joeyem.

Wieczory były dla Nadii czymś wyjątkowym. Ponownie spotykali się nad zatoczką, razem pływali i rozmawiali. Czasami przyłapywała go na uśmiechu, a nawet dowcipie. Odkryła, że ma suche poczucie humoru, zaprawione odrobiną cynizmu. Natomiast on odkrył kobietę, inteligentną i pociągającą. Kobietę, która potrafiła wypełnić mu życie, nie uwiązując go. Po kolacji często gdzieś się wybierali. Początkowo dla zrobienia jej przyjemności. Wyczuwał w niej taką ochotę. Chciała aby ludzie widzieli ich razem. Zależało jej na tym, żeby społeczność nabrała przekonania, iż jest jego kobietą i wcale się tego nie wstydzi. Zwykle najpierw wpadali do „Gleneagles” na wczesnego drinka.

Creasy siadał na narożnym stołku, należąc już do stałych klientów i przeważnie słuchał po prostu wymiany ciętych uwag. Nadia zajmowała stołek obok i obejmowała go w pasie, swoim zachowaniem dając do zrozumienia, że należy do niej. Nikt nie wygłosił żadnej uwagi. Dla Piły, Benny'ego, Tony'ego, Sama i całej reszty było to na swój sposób właściwe — dziewczyna Schembrich i *Uomo*. Tak być powinno.

Co dziwne, jedyną osobą, mającą coś do powiedzenia okazał się Joey. Dzień po tym, jak Nadia wprowadziła się do niego z rzeczami, pomagał Joey'emu ładować worki z cebulą ma przyczepę. Joey był milczący i zamyślony. Ni stąd ni zowąd, powiedział bardzo poważnym tonem. — Jeśli chodzi o Nadię. Jestem jej

bratem... eee, wiem, co się dzieje. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał.

Creasy wyprostował się. — Źle zrozumiał, co? — zapytał miękko.

Joey szukał słów. — Cóż... normalnie, kiedy mężczyzna uwodzi człowieka-wi siostrę pod jego własnym dachem, to należy coś z tym zrobić — wybuchnął zażenowanym tonem.

— Nie uwiodłem twojej siostry — krótko oświadczył Creasy.

— Wiem — Joey wrzucił worek na przyczepę, odwrócił się i dodał: — Po prostu nie chcę, żebyś sobie pomyślał, iż nie jestem w stanie bronić honoru siostry. Gdybyś ją uwiódł czy w jakikolwiek sposób skrzywdził, stawię ci czoła. Pomimo twojej siły.

Creasy uśmiechnął się. — Wiem, że zrobiłbyś to. Nie skrzywdzę jej... w każdym razie nie umyślnie. Nie wtedy, kiedy będę miał na to jakiś wpływ.

Pracowali w milczeniu, a po jakimś czasie Joey uśmiechnął się na myśl o czymś i powiedział: — Tak czy inaczej, gdybym spróbował interweniować, Nadia rozwaliłaby mi głowę patelnią.

Po wizycie w „Gleneagles”, czasami chodzili coś zjeść: do „Il-Katell” w Marsalforn lub do „Ta Cenc”, eleganckiego hotelu, którego właścicielem był Włoch. Jadało się tam drogo, ale dobrze.

Od czasu do czasu kończyli wieczór w „Barbarelli”, dyskoteci, położonej na wzgórzu nad Marsalforn. Creasy lubił to miejsce. Był to stary, przerobiony budynek gospodarski, w którym za parkiet służyło główne podwórze. Na dachu znajdował się bar, chłodny i otwarty na gwiazdy. Tamtejszy barman, Censu, należał do jego ulubieńców, był nieśmiały, uśmiechnięty i pogodny, a przy tym wszystko wiedział. Creasy zasiadał nad koniakiem i z przyjemnością słuchał muzyki, a Nadia gawędziła z przyjaciółkami. Była naprawdę zaskoczona, kiedy przy pierwszej wizycie Creasy zagadnął ją burkliwie: — Zatańczmy. — Po prostu nie wyglądał na typ tancerza. Ale przychodziło mu to naturalnie — jego ciało posiadało dar koordynacji; poruszał się w takt melodii, zamknął ciężkie powieki i dał się ponieść muzyce.

— Powłóczy nogami niczym niedźwiedź — Joey powiedział matce. — A potem nagle wygląda to, jakby coś przekręcił i podłączył się bezpośrednio do głośników.

Zawsze wracali do domu przed północą. Nigdy nie poprosiła go, żeby zostali gdzieś dłużej.

Kończyli dzień, uprawiając miłość w wielkim łożu. I to również było dobre. Kompletne i zadowolające. Bez sztuczności i udawania. Wzajemnie odkrywali swoje ciała i poznawali nowe wrażenia. Był dominującym partnerem, ale jednocześnie delikatnym. Ona była uległa, a zarazem stawiała na wysokości zadania. Krótki czas przed zaśnięciem był dla niej najprzyjemniejszy — wręcz idealny.

Zawsze leżała nieco niżej w łóżku niż on, z głową tuż pod jego klatką piersiową, opartą bezpiecznie o muskularną rękę, tuląc się do niego całym ciałem, ze stopami wsuniętymi między jego nogi. Były to chwile, kiedy traciła pamięć. Wydawały jej się tak idealne, ponieważ wiedziała, że rano to ramię nadal tu będzie; mogła zasnąć, tak spokojnie, jak dziecko.

Laura miała rację. Nadia nigdy nie wspominała o jego nieuniknionym wyjeździe. Dzięki milczącemu porozumieniu w ogóle nie rozmawiali o przyszłości.

Wyrwał się z zamyślenia, kiedy podskakując pokonali zbocze Cirkewwa i wjechali na molo. Wsiadł i zwrócił się do kierowcy.

— Dzięki, Grazio. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu — i poćwicz tę zmianę magazynka.

Grazio odpowiedział uśmiechem. — Wiem. Aż do bólu palców.

Creasy poszedł na pomost sternika. Tym razem zastał tam Michele'a, który powiedział mu, że Salvu wreszcie złowił rybę: dużego, srebrnego leszcza.

— Przez całe popołudnie czeka na ciebie w „Gleneagles”. Jeśli szybko stamtąd nie wyjdzie, to nie będzie w stanie go znaleźć, nie mówiąc o gotowaniu.

Ale Salvu trzymał się całkiem nieźle. Jego szeroki, skórzany pas nieco mu obwisł i nawet rozpiął mankiety koszuli. Ale na nogach stał pewnie. Bar był zatłoczony i panował w nim hałas, a Tony i Sam mieli mnóstwo pracy. Joey siedział w rogu z Nadią i zamachał do Creasy'ego.

— Przyjechaliśmy po ciebie. Land Rover już jest na chodzie.

Creasy przecisnął się przez tłum ludzi, nagle czując, że będzie mu tego wszystkiego brakowało. Piła był pogrążony w rozmowie z Benny'm. Przerwali, żeby wymienić tradycyjne powitanie.

— W porządku, *Uomo!*

— W porządku, Piła?

— W porządku, Benny?

— W porządku!

Salvu przecisnął się do niego i podał mu piwo. — Dzisiaj kolacja, *Uomo*. W końcu go dorwałem.

— Tego samego, Salvu?

Staruszek przywitał go uśmiechem. — Dokładnie tego samego. Ten sam drań, który urwał się w zeszłym miesiącu.

— Skąd wiesz? — poważnie zapytał Creasy.

Teraz wprost wyszczerzył zęby. — Bo jak tylko go wyciągnąłem, spojrzał na mnie mruknął: „Chryste! To znowu ty”.

— To jakiś leszcz heretyk — powiedział Creasy z poważną miną.

Salvu przytaknął. — Nie ma żartowania, wypowiadam się za niego w niedzielę. A on odbędzie dzisiaj przyśpieszoną pokutę — w piekielnym ogniu moje-

go piecyka. — Salvu kiwnął brodą w kierunku Nadii. — Przyjdź z dziewczyną. O ósmej. Będziesz jej potrzebował w drodze do domu.

Był to magiczny wieczór. Siedzieli w sklepionej kolebkowo kuchni starego Salvu, w jego starym wiejskim domu i popijali mocne wino, przyglądając się, jak przygotowuje rybę. Dom zbudowano w szesnastym wieku i czarna, żelazna kuchenka wyglądała na oryginalne urządzenie. Leszcz został pofiletowany z rana i przez cały dzień marynował się w winie i soku cytrynowym. Salvu dodał zioła z rozlicznych, nie podpisanych słoików, wachając każde z nich i mruczając pod nosem niczym czarnoksiężnik. Potem wszystko powędrowało do piecyka, a on dosiadł się do nich przy stole, nalawszy sobie kubek wina. — Pięć minut — powiedział, mrugając do Nadii. — Akurat dość czasu na szybki łycecz.

Na haku pod sufitem wisiła klatka. Słowik był raczej ospały, onieśmielony tak licznym towarzystwem.

— Ten ptak jest utuczony — powiedział Creasy. — Dajesz mu za dużo koników polnych.

— Masz rację — przyznał Salvu. — Potrzebuje ruchu. Jak następnym razem będziesz biegał, weź go ze sobą.

— Albo jak popłyniesz do Comino — zaproponowała Nadia. — Sam sobie nałapie koników polnych.

Salvu ze smutkiem pokręcił głową. — Pomyśli, że jest kaczką i będzie chciał codziennie dostawać rybę.

Pieczona ryba była pyszna. Mięka, o delikatnym smaku, podana z warzywami uprawianymi przez Salvu na własnym poletku oraz kruchym pieczywem podgrzanym w piecyku.

Creasy i Nadia jedli w milczeniu, podczas gdy Salvu, podchmielony winem, wspominał dawne czasy na Gozo. Ku rozbawieniu, a czasem ukrywanemu zszokowaniu Nadii, opowiedział im o kilku zadawnionych skandalach.

— Nie uwierzylibyście, co się dzieje pod powierzchnią — mrugnął okiem do Creasy'ego. — Weźmy na przykład dziadka Nadii — ze strony ojca. Ten to się potrafił zabawić.

— Ty sprośny starcze — powiedziała Nadia. — Ani się waż obgadywać mojego dziadka. On nie żyje od dwudziestu lat!

— To prawda — zgodził się Salvu — a tamtego dnia zostało wylanych wiele niewieścich łez.

Potem zrelacjonował niektóre eskapady jej dziadka. — Uważaj — ostrzegł go Creasy. — W niej płynie ta sama krew — trzeba będzie jej pilnować.

Ostatnim daniem był ostry, pieprzny ser.

— Lepiej się pod niego pije — powiedział Salvu, opróżniając dzbanek wina do szklanki Creasy'ego. Na chwilę wyszedł, a kiedy wrócił, dzbanek był znów pełny po brzegi.

Wyszli dobrze po północy.

— Jest takie chińskie powiedzenie — Creasy rzucił, będąc już w drzwiach. — „Rządź krajem, jakbyś gotował małą rybę”. Powinieneś być premierem, Salvu.

— To prawda, ale wtedy nie miałbym czasu na wędkowanie — powiedział starszek, opierając się o framugę drzwi.

Zważywszy na ilość wypitego wina to, że w ogóle trzymał się na nogach granicyło z cudem.

Creasy też je odczuł i chociaż Nadia nie musiała dosłownie nieść go do domu, od czasu do czasu pomagała mu zachować równowagę, kiedy potykał się na usianej kamieniami ścieżce.

Rano miał kaca, po raz pierwszy od miesiący. — Dzisiaj obejdzie się bez ćwiczeń — oświadczyła, stawiając tacę z kawą na łóżku.

Popatrzył na nią mętym wzrokiem, wstał i poszedł do łazienki. Słyszała jak bierze prysznic, a kilka chwil później wyszedł z ręcznikiem na biodrach i zaczął ćwiczyć.

Siedziała na łóżku i przyglądała mu się. Nic go nie powstrzyma, pomyślała. Gotowałam dla niego, kochałam się z nim, wczoraj nawet musiałam położyć go do łóżka, ale cokolwiek bym zrobiła, nic go nie powstrzyma.

Potwierdził to parę minut później, siedząc koło niej na łóżku i popijając kawę.

— Nadiu, wyjadę mniej więcej za dziesięć dni — przemówił cicho, nie patrząc na nią. — Pojadę do Marsylii. Dzisiaj sprawdzę rejsy statków.

— Ja to zrobię — powiedziała jak gdyby nigdy nic. — Mam koleżankę, która pracuje w biurze podróży w Valletcie. Zadzwoń do niej. Zdaje się, że mają statek, który odpływa w tygodniu — „Toletela”.

Następnego dnia przyszedł list od Guido. Creasy wziął go do swojego pokoju i uważnie obejrzał kopertę. Została otwarta i ponownie zalepiona. Zakładki z tyłu nie przyłożono równo z linią kleju. Creasy długo siedział i myślał — z kopertą w rękę. Potem otworzył ją. Cztery strony wypełnione starannym pismem Guido, podczepione do kwitu z przechowalni bagażu na dworcu kolejowym w Marsylii.

Tego wieczoru napisał dwa listy, pierwszy do Paryża, do pewnego generała armii francuskiej. W Dien Bien Phu generał był zaledwie skromnym porucznikiem i został poważnie ranny. Po kapitulacji Creasy przez trzy tygodnie niósł go do obozu jeńców wojennych, ratując mu w ten sposób życie.

Teraz Creasy potrzebował jego przysługi, szczególnego elementu sprzętu. Poprosił generała o przesłanie go na poste restante w Marsylii.

Drugi list przeznaczony był dla właściciela baru w Brukseli, który stał się nieoficjalną placówką pocztową i przechowalnią. Jego również poprosił o przesłanie paczki do Marsylii.

## 13

Czas biegł coraz szybciej.

Za dwa dni miał wypłynąć do Marsylii, a jutro odbędzie ostatnie ćwiczenia z oddziałem George'a.

Pracował do późna w noc. Przez otwarte drzwi sypialni widział śpiącą Nadię. Długie, czarne włosy, zakrywały białą poduszkę.

Lubił spłacać swoje długi i praca, którą zajął się tego wieczoru miała służyć George'owi. Omawiali sprawę dwójek w oddziale. Creasy był ich zwolennikiem. Pamiętał z dawnych czasów, spędzanych z Guido, że dwaj ludzie, nawzajem znający swój sposób myślenia i zachowania, bywają znacznie bardziej skuteczni w wymianie ognia. Dokonał więc oceny każdego członka oddziału i ustalił kto z kim będzie pracował najlepiej.

Przy każdej parze zrobił notatki dotyczące specjalnego przeszkolenia, ponownie oceniając ich na podstawie doświadczeń z minionych tygodni.

Skończywszy, sporządził listę sprzętu, jaki byłby przydatny dla oddziału.

Na koniec wykonał opis taktyki, wyobrażając sobie sytuacje, z jakimi może mieć do czynienia George.

Pracował od dziewiątej wieczorem, a kiedy skończył było już dobrze po północy — stół pokrywały stosy papierów. Wstał, przeciągnął się, zgiął i wyprostował zeszywniałe palce lewej ręki, po czym poszedł do sypialni.

Wśliznął się do łóżka obok niej, a ona wymamrotała coś przez sen i odruchowo zsunęła się niżej; położyła głowę na jego klatce piersiowej, objęła go ręką w pasie, po czym znowu zaczęła głęboko i spokojnie oddychać. Intymność doskonała. Leżeć nago przy pięknej kobiecie i nie kochać się z nią. Czerpać przyjemność po prostu z kontaktu — spania razem.

Oddział zrobił wyraźne postępy. Były to ich trzecie ćwiczenia, sporo się nauczyli i mieli tego świadomość.

Ponieważ Creasy był z nimi po raz ostatni, nalegali na pożegnalnego drinka. Zaprotestował, mówiąc, że spóźni się na ostatni rejs promu, ale oni wszystko wcześniej zaplanowali. Kuter armii zabierze go ze schodów urzędu celnego do Mgarru.



— Dzwoniłem już do Nadii — powiedział mu George. — Spotka się z tobą w „Gleneagles” o ósmej.

W barze wręczyli mu krawat. Był na nim czarny orzeł na tle biało-czerwonych pasków — kolorów Malty. Krawat ten należał do oddziału i sprezentowanie go oznaczało nieoficjalne członkostwo. George wygłosił krótkie przemówienie, dziękując mu za pomoc i życząc wszystkiego najlepszego w przyszłości, a potem młodzi policjanci przeszli do prawdziwego pijaństwa.

Po jakimś czasie Creasy odciągnął George’a do narożnego stolika i wręczył mu notatki, które sporządził poprzedniego wieczoru. Omówił z nim listę sprzętu, podkreślając niektóre pozycje.

— To robią Rosjanie i Chińczycy — możesz je dostać od Libijczyków.

George wyszczerzył zęby. — Jutro zaproszę ich attache wojskowego na lunch. — Popatrzył na Creasy’ego z zamyśleniem i powiedział: — Ogromnie nam pomogłeś. Czy jest cokolwiek, w czym ja mógłbym pomóc tobie?

Creasy zrobił poważną minę i przemówił matowym głosem: — Tak, George. Powiedz mi czy otwierałeś moje listy.

George był uczciwym człowiekiem i nigdy nie uciekał się do przebiegłości, więc teraz odpowiedź była wyraźnie widoczna na jego przygnębionej twarzy. Creasy odprężył się, usiadł wygodniej i pociągnął duży łyk piwa.

— Wiesz ma czym polega moja praca, Creasy — w głosie George’a brzmiało ogromne zażenowanie. — Nie chciałem być wścibski... ale... cóż, mój zawód wymaga węszenia. A ty raczej nie przypominasz przeciętnego turysty.

— W porządku, George. Nie mam pretensji. Musiałem tylko wiedzieć, że nie działo się to przy nadawaniu. — Coś przyszło mu do głowy. — Ilu twoich ludzi widziało ten list?

George pokręcił głową. — Tylko ja — powiedział z naciskiem — i nie istnieją żadne kopie. Nawet kopertę osobiście otworzyłem i ponownie zakleilem.

Creasy uśmiechnął się. — Musisz poćwiczyć.

George odwzajemnił uśmiech, czując ulgę, że Creasy przyjął to tak lekko, ale po chwili znowu spoważniał. — Guido był bardzo ostrożny, z tego co mówił domyślani się jednak, co planujesz. Najwyraźniej zdajesz sobie sprawę z ryzyka. Chciałbym ci pomóc, ale wiesz, że nie mogę.

Creasy przytaknął. — Przecież kierujesz organizacją wywiadowczą. Czy będziesz czuł się w obowiązku donieść o moich poczynaniach Interpolowi?

George popatrzył na niego pustym wzrokiem i zapytał: — O jakich poczynaniach? — Spojrzał na zegarek. — Dopij, łódź patrolowa czeka, a jeżeli nie dotrzesz do „Gleneagles” na ósmą, Nadia nie będzie ze mnie zadowolona. A ta kobieta potrafi dać w kość.

Obaj mężczyźni wstali, ale zanim dołączyli do reszty, George dodał: — Zdobyłeś sobie tu przyjaciół, Creasy, zwłaszcza na Gozo. Cokolwiek wyniknie z twojej podróży, nie zapominaj o tym.

— Nie zapomnę — zapewnił Creasy. — Dzięki.

Był to wieczór pożegnań. Creasy miał wziąć Nadzię na kolację do „Ta Cenc”, ale kiedy wszedł do „Gleneagles” i spojrzął na tłum, pojął, że najpierw przyjdzie mu spędzić tam co najmniej godzinę.

Nigdy przedtem nie miał przyjaciół, więc poczuł się dziwnie wszedłszy do dużego, wysokiego pomieszczenia, w którym otoczył go hałas i krąg sympatii. Byli tam wszyscy: rybacy, rolnicy, Piła, Benny, bracia Mizzi; Paul, Laura i Joey. Victor podał mu drinka, a Nadia podeszła i wręczyła telegram, który przyszedł rano. Była to wiadomość od generała z Paryża. Jego prośba została spełniona.

Zarówno popijanie drinka, jak rozmowa przychodziły mu łatwo i Creasy’ego wypełniło ciepło oraz poczucie przynależności. Nie był jednak smutny i nie martwił się na myśl o wyjeździe następnego ranka. Chociaż zaznał w tym miejscu szczęścia, długie i ciężkie życie nauczyło go, że rezygnacja z osiągnięcia celu oznaczałaby kres tego szczęścia. Nie mógłby dalej żyć tu z myślami o tym, co utracił.

Poza tym, chęć zemsty nigdy nie osłabła. Przypominała zamkniętą szufladę, która zostanie otwarta rano, a przez nadchodzące tygodnie emocje związane z odwetem zdominują jego umysł — wykluczając wszystko inne.

Ale tego konkretnego wieczoru szuflada był nadal zamknięta. Nie było miejsca na smutek. Nawet Nadia była żywa i roześmiana. Porozmawia z nią później, zdecydował. Spróbuje wyjaśnić. Należało jej się chociaż tyle. Ani razu w ciągu minionych tygodni nie usiłowała przekonać go aby nie wyjeżdżał. Ani razu — żadnych aluzji, żadnych gestów. Trochę go to dziwiło, ale przecież znał jej determinację i opanowanie. Kiedy raz podjęła jakąś decyzję, nigdy jej nie zmieniała.

Benny przyniósł mu kolejnego drinka i powiedział do Nadii: — Zabiorę ci go na minutkę.

Wyszli na balkon i krzepki mieszkaniec Gozo przemówił uroczyście: — *Uomo*. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy i nie dasz znać mnie jako pierwszemu — będę bardzo wściekły.

Creasy znowu pozwolił sobie na uśmiech. — Dowiesz się jako pierwszy — obiecuję.

Benny pokiwał głową, zadowolony. — Po prostu wyślij telegram na „Gleneagles”, Tony zawsze mnie znajdzie — o każdej porze.

Wrócili do środka i tym razem Creasy odciągnął Paula na bok. — Jestem ci winny pieniądze, Paul — powiedział.

Rolnik wyglądał na zaskoczonego. — Za co?

— Doskonale wiesz — odpowiedział Creasy. — Mieszkałem w twoim domu przez ponad dwa miesiące i zjadłem górę jedzenia — to kosztuje pieniądze.

Paul uśmiechnął się. — Dobra. Wyplacę ci piętnaście funtów tygodniowo — jest to stawka jaką płaci się pomocnikom w gospodarstwie — będziemy więc rozliczeni. — Podniósł rękę, żeby zapobiec dalszym argumentom. — Creasy, nigdzie

nie znalazłbym tego lata pomocnika, który zrobiłby tyle, co ty — mówię poważnie. Nie chcę o tym słyszeć.

Odwrócił się do tłumy i Creasy'emu nie pozostało nic innego, jak wzruszyć ramionami i pójść za nim.

Parę minut później pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł wraz z Nadią.

Zachowywali się jak młodzi kochankowie na pierwszej randce. Bez poczucia wyjazdu. Bez smutku. Zajęli stolik na tarasie i zamówili rybę. Zgodnie stwierdzili, że chociaż była pyszna, bardziej smakował im leszcz Salvu. Wypili butelkę lodowatego wina Soave i poprosili o następną. Dla Creasy'ego była to o tyle donioślejsza okazja, że rano jego umysł miał się zająć wyłącznie planowaniem śmierci i zniszczenia; a także dlatego, że Nadia, swoim sposobem bycia dodawała mu otuchy. Martwiło go jednak to, co miał zostawić na Gozo. Nie chciał wspominać smutku, a ona nie dawała mu do niego powodów. Swoim zachowaniem objawiała niezależność i siłę. Była niczym balsam dla jego poruszonego sumienia. Dokładnie o to jej chodziło.

Po kolacji poszli do „Barbarelli”. Creasy chciał powiedzieć do widzenia Censu. Okazało się, że nie może zapłacić za drinki. — Ja stawiam — powiedział Censu ze swoim delikatnym uśmiechem.

Zapytał Nadię czy chce zatańczyć, a ona pokręciła głową. — Księżyc jest prawie w pełni, chodźmy popływać. — Skończyli więc drinki i pojechali z powrotem do domu, po czym zeszli skalistą ścieżką do zatoczki.

Stanęli, objęci, w chłodnej wodzie.

Kochali się na płaskiej skale. Creasy leżał na plecach, żeby uchronić ją przed niewygodami twardego kamienia; ale kiedy opadła na niego, nie czuł niczego poza jej ciepłą delikatnością. Jak zwykle, uprawiali miłość niespiesznie, a zmysły stopniowo pokonywały łagodne zbocze. Podniósł wzrok na jej drobne piersi, lśniące wilgocią w świetle księżyca, a także na owalną twarz i ciemne oczy, zwężone z rozkoszy. Dotarli na szczyt wzgórza i wydała z siebie głęboki, gardłowy jęk, a kolanami objęła go w czułym uścisku.

Potem on mówił, a ona siedziała naga, rękami oplótszy kolana i uważnie patrzyła mu prosto w oczy.

Powiedział jej, co zamierza uczynić i dlaczego. Opisał swój fizyczny i psychiczny stan po przyjeździe do Neapolu. Mówił o tym, jak Guido i Elio znaleźli mu pracę. O pierwszych dniach i o tym, jak świadomie nie pozwalał Pincie zbliżyć się do siebie i jak, stopniowo, ale nieubłagane, zaczęli zżywać się ze sobą.

Mówił płynnie. Jak nigdy w życiu, potrafił prawdziwie opisać swoje uczucia. Może było coś takiego w nocnym powietrzu czy niedawnym stosunku, a może po prostu kochał tę kobietę, która słuchała go tak uważnie. Znalazł odpowiednie słowa, aby wyjaśnić co czuł i co się wydarzyło.

Opowiedział jej o dniu w górach, kiedy Pinta podarowała mu krzyżyk. Nazywał go najszczęśliwszym i najbardziej naturalnym dniem w życiu. Jego słowa na

chwile ożywiły Pintę i Nadia potakiwała ze zrozumieniem, kiedy opisywał dziewczynkę, jej ciekawość i zwykłą radość z życia.

A potem ostatni dzień. Porwanie i to, jak zawołała go po imieniu, ujrawszy, że upadł na trawę. Jak obudził się w szpitalu, nie mając pewności czy przeżyje, ale pragnąc tego każdym centymetrem ciała i stale słysząc ten ostatni okrzyk i niepokój w jej głosie.

Później wiadomość Guido o jej śmierci i o tym, że wcześniej została zgwałcona.

Zamilkł i nad zatoczką zapanowała cisza. Minęło dużo czasu, zanim przemówiła. Opuściła głowę na kolana i jej czarne, mokre włosy opadły prawie do samej skały. Kiedy z powrotem uniosła głowę, zobaczył łzy lśniące w słabym świetle.

— Nie płaczę dlatego, że wyjeżdżasz, Creasy. Obiecałam sobie, że tego nie zrobię — przynajmniej nie przy tobie — jej niski głos zadrżał. — Oplakuje Pintę. Znałam ją. Na powrót tchnąłeś w nią życie, opowiadając o niej i poznałam ją, jakby była moim własnym dzieckiem, a kiedy mówiłeś o jej śmierci, to jakbym to widziała — oplakuje ją.

Jej słowa przyniosły mu ulgę. Rozumiała dlaczego, pomimo uczucia dla niej, musi odejść.

Wyznał jej: — Kocham cię.

Uniosła głowę jeszcze wyżej. — Wiem. Choć nie spodziewałam się, że mi to powiesz. Jakie masz szanse na wyjście z tego cało?

— Bardzo niewielkie — przyznał.

— Ale jeśli przeżyjesz, wrócisz tu do mnie? — odwróciła się twarzą do niego, a on wstał.

— Tak, ale nie czekaj. Nie wyruszam, aby popełnić samobójstwo. Tak długo, jak istnieje choćby jeden procent szans, nie jest to samobójstwo — ale mniej więcej takie właśnie będę miał szansę.

Miał złapać pierwszy prom na Malte. Joey wrzucił jego torbę do Land Rovera i wsiadł na miejsce kierowcy. Laura otoczyła go ramionami, pocałowała w policzek i życzyła szczęścia. Odwzajemnił uścisk i podziękował jej za pomoc w odzyskaniu sił.

Wówczas podał rękę Paulowi.

— W porządku, Paul?

— W porządku, Creasy!

Nadia postanowiła nie odwozić go na prom. Podeszła, pocałowała go w usta, a potem stała z rodzicami, patrząc jak Land Rover odjeżdża ścieżką. Jej twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

Pół godziny później wyszła przed dom i patrzyła, jak „Melitaland” opuszcza port.

Wiedziała, że jest na pomoście sternika z Victorem lub Michele. Kiedy wypływali z portu zobaczyła, jak wyszedł na brzeg mostka, podniósł wzrok ku wzgórzom i ku niej, po czym pomachał. Odmachała, a potem stała, obserwując, jak prom skręca obok Comino i niknie z pola widzenia.

Wieczorem przeszła się ścieżką do Ramli, stanęła na wierzchołku wzgórza i w oddali zobaczyła biały parowiec, wypływający z Wielkiego Portu i kierujący się na północ.

Salvu, pracujący na swoim polu poniżej zobaczył dziewczynę i właśnie miał ją zawołać, kiedy idąc za jej spojrzeniem, dostrzegł statek i w milczeniu powrócił do swego zajęcia.

Statek zniknął za mrocznym horyzontem i dopiero wtedy odwróciła się i ruszyła w dół, z powrotem do domu. Poszła do pokoi, które dzielili, rozebrała się i weszła do łóżka. Wzięła jego poduszkę i przytuliła ją do brzucha.

Dopiero wówczas wybuchnęła płaczem.

# **KSIEGA TRZECIA**

## 14

Dwóch Arabów targowało się do upadłego. Albo wszystko, albo nic. Bez wyrzutni raketowych nie chcieli ani pięćdziesięciu karabinów maszynowych *MAS*, ani pięciuset *M-16*. Postawiło to Leclerca w kłopotliwym położeniu. Jak wielu handlarzy bronią, działał nieoficjalnie jako przedstawiciel rodzimego przemysłu zbrojeniowego. Znajomy z ministerstwa ostrzegł go, że akurat tym Arabom nie wolno sprzedać wyrzutni raketowych. Polityka. Chociaż mieli świadectwo końcowego użytkownika — państwa znad Zatoki Perskiej, wysyłka miała zostać przeładowana w Bejrucie, co mogło oznaczać wszystko — lewica, prawica, falangiści czy OWP.

Westchnął; będzie musiał znowu zadzwonić do swojego znajomego.

— Może dam radę zdobyć dwie sztuki — zwrócił się do starszego z nich, dobrze ubranego mężczyzny o sokolich rysach, który pokręcił głową.

— Co najmniej sześć, *monsieur* Leclerc — powiedział nienaganną francuszczyzną. — Albo złożymy to zamówienie gdzieś indziej, może w Monte Carlo.

Leclerc znowu westchnął i zaklął pod nosem. Ten przekłety Amerykanin z Monte Carlo. Z radością sprzeda im ilość wyrzutni, wystarczającą do wszczęcia trzeciej wojny światowej.

— Zobaczę, co będę mógł zrobić — wstał i obszedł biurko. — Zadzwonie do mnie rano. O jedenastej.

Uściskali sobie ręce i Leclerc wyprowadził ich z gabinetu.

Creasy siedział w poczekalni i przeglądał pismo. — Wejdz — powiedział Leclerc — zaraz przyjdę.

Creasy oglądał zdjęcia broni, dekorujące ściany, kiedy Leclerc wrócił. Francuz wskazał krzesło i usiadł za biurkiem. Obaj mężczyźni przyjrzeni się sobie. Leclerc przemówił pierwszy.

— Świetnie wyglądasz. Ogromna różnica w porównaniu z naszym poprzednim spotkaniem.

— Dużo piłem — krótko wyjaśnił Creasy.

W powietrzu wyczuwało się napięcie. Leclerc odezwał się pierwszy.

— Nie było potrzeby prosić Guido, żeby mi groził.

Creasy milczał, nie spuszczać oczu pod ciężkimi powiekami z Francuza.

Leclerc był wysokim, rumianym mężczyzną ze skłonnością do tycia. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, starannie ostrzyżone włosy i zadbane paznokcie. Wyglądał jak cieszący się wzięciem makler giełdowy, ale Creasy znał go w czasach, kiedy był bardzo twardym i bezwzględny najemnikiem. Leclerc westchnął i wzruszył ramionami.

— Creasy, nigdy nie byliśmy przyjaciółmi. Nie z mojej winy. Ale jestem twoim dłużnikiem. Z dwóch powodów — uratowałeś mi życie w Katandze, i to już wystarczy — uśmiechnął się lekko. — Ale jestem ci też coś winny za Rodezję, pomogłeś mi załatwić świetne zamówienie — bardzo intratne. Więc to naturalne, że ci pomogę — nawet bez Guido, obiecującego mi królewski pogrzeb.

— Nie jesteś mi nic winny za Rodezję — powiedział Creasy. — Płacili mi za udzielanie rad. Tak się złożyło, że oferowałeś to, czego potrzebowali.

— Dobra — ustąpił Leclerc — ale Katanga to co innego. Spróbuj pogodzić się z faktem, że oprócz Guido są jeszcze inni, którzy uważają cię za przyjaciela.

Zapanowała cisza, podczas której Leclerc został przyprawiony o szok — Creasy uśmiechnął się. Szczerym, swobodnym uśmiechem.

— Dobrze. Dzięki — powiedział. — Przyjmuję to do wiadomości.

Leclerc powoli dochodził do siebie, zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem, który naprawdę się zmienił. Nie tylko był zdrowszy — znał go dawno temu, kiedy był tak sprawny, jak to tylko możliwe, Zaszła w nim zmiana psychiczna.

— Czy zgromadziłeś wszystko? — zapytał Creasy.

Leclerc pozbierał myśli i przytaknął.

— Tak. Złożyłeś nietypowe zamówienie, więc mam kilka możliwości. Sam wybierzesz. — Spojrzał na zegarek. — Zjedźmy lunch, a później pójdziemy do magazynu. Tymczasem każę swoim ludziom wszystko przygotować.

Creasy pokiwał głową, ale nie wstał. Robił wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiał. Podjął decyzję.

— Leclerc, masz znajomości, pozwalające zdobyć fałszywe dokumenty — paszport, prawo jazdy i tak dalej?

— Da się zrobić — odparł Francuz. — Jakiego kraju?

— Francuskie, belgijskie, kanadyjskie lub amerykańskie — odpowiedział Creasy. — Właściwie to nieważne — to tylko kwestia języka. Mówię po francusku, a mój angielski ma lekki akcent z Ameryki Północnej. Problem polega na tym, że potrzebne mi są bardzo szybko — za cztery lub pięć dni.

Leclerc złączył opuszki palców i zamyślił się nad tym. — Najłatwiejsze będą francuskie — powiedział w końcu — tylko nie możesz ich używać w tym kraju.

— Nie mam zamiaru.

Leclerc przytaknął. — Masz zdjęcia?

Creasy sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął kopertę i rzucił ją na biurko.



— Tuzin. Potrzebuję dokumentów, z jakimi przeciętny Francuz wybrałby się w podróż za ocean.

Leclerc otworzył szufladę i schował do niej kopertę.

— Dobra, wezmę się za to dzisiaj wieczorem. To będzie kosztowało, Creasy — spojrzał przepraszająco. — Nie ja — nie wezmę żadnej prowizji. Ale sprawa czasu podbija cenę.

Creasy znowu posłał mu uśmiech. — Nie szkodzi. Chodźmy na ten lunch.

Kiedy szli do drzwi, Leclerc pomyślał, że jeżeli Creasy jeszcze raz się do niego uśmiechnie, to chyba zemdleje.

„Toletela” przyплыnęła do Marsylii poprzedniego wieczoru. Creasy wziął taksówkę prosto na dworzec kolejowy i odebrał czarną, skórzaną teczkę z przechowalni. W dworcowej restauracji znalazł spokojny stolik, zamówił kawę i wyjął list od Guido. Znalazł liczby i otworzył zakodowany zamek. W środku znajdowała się duża, brązowa koperta. Zawierała klucz, plan Marsylii i dwa komplety dokumentów. Jeden z nich stanowił paszport i papiery osobiste wystawione na człowieka nazwiskiem Luigi Racca — importera warzyw z Amalfi. Poza tym znalazł dokumenty furgonetki Toyoty. Rozłożył plan miasta i zauważył małe kółeczko oraz instrukcje na marginesie, a następnie schował wszystko z powrotem do aktówki i zatrzasnął zamek. Popijając kawę powędrował wzrokiem po restauracji i przez szklaną ściankę dojrzał dworcowy tłum. Ale myślami był przy Guido. Bez jego pomocy cała operacja byłaby nieskończenie trudniejsza. Creasy wiedział, że Luigi Rocca rzeczywiście jest Bogu ducha winnym importerem warzyw, który nie ma pojęcia, że ktoś pożyczył sobie jego nazwisko. Wiedział, że paszport i pozostałe dokumenty były dziełem najlepszego fałszerza w Neapolu — miasta słusznie dumnego ze swoich fałszerzy.

Zakładał, że to Pietro dostarczył furgonetkę do Marsylii, jadąc łądem. Musi porozmawiać z Guido o jego bezpieczeństwie, kiedy wszystko się zacznie.

Dopił kawę, złapał taksówkę, pojechał na pocztę i odebrał paczki z Paryża i Brukseli. Potem zameldował się w małym hoteliku, korzystając z dokumentów Luigiego Rocci.

Ich kroki odbijały się echem od kamiennej podłogi do wysokich, stalowych dźwigarów. Długie rzędy kartonów stały w stertach na paletach pod płataniną rur i spryskiwaczy przeciwpożarowych. Creasy wciągnął znajomy zapach oksydowanej stali i smaru. Tę część magazynu dzieliło aluminiowe przepierzenie i drzwi z kłódką. Leclerc otworzył je i włączył kontakt. Nad głowami zamigotały rzędy neonowych rur, które oświetliły dwa długie, metalowe stoły, jeden pusty, a drugi założony bronią.

Leclerc zatrzymał się przy drzwiach, a Creasy podszedł do pełnego stołu i sprawdzał różne partie towaru. Potem cofnął się i stanął koło pierwszej z nich — pistoletów i rewolwerów. Leclerc podszedł do niego.

— Chciałeś czterdziestki-piątki oraz coś mniejszego i lżejszego — pokazał ręką. — Wybieraj.

Na stole leżał tuzin pistoletów i rewolwerów z różnych krajów, a także kilka tłumików. Creasy wziął *Colta 1911* oraz rewolwer, brytyjskiego *Webleya* 0,32 cala. Leclerc był nieco zaskoczony tym drugim wyborem.

— Wiem — powiedział Creasy. — Jest staromodny, ale można na nim polegać, jestem do niego przyzwyczajony.

Creasy odwrócił się, położył broń na stole, wybrał dwa tłumiki i dołożył do broni. — Wezmę po pięćset naboju do każdego.

Leclerc wyjął mały notes oraz długopis i zrobił notatki. Przeszli do następnej partii — pistoletów maszynowych. Były tam cztery rodzaje: izraelskie *Uzi*, brytyjskie *Sterlingi*, duńskie *Madseny* i coś, co Creasy wybrał bez wahania — model *Ingram 10*. Dzięki składanej kolbie broń miała zaledwie dwadzieścia siedem centymetrów. Wystrzeliwała tysiąc sto naboju na minutę.

— Używałeś tego? — zapytał Leclerc, a Creasy przytaknął, sprawdzając wagę broni w ręku.

— Tak. W Wietnamie. Jej największą zaletą jest rozmiar. Szybkostrzelność jest wręcz za wysoka, ale dla moich celów będzie idealna. Masz tłumik?

— Mogę go zdobyć w ciągu paru dni.

— Dobrze. — Creasy położył broń na stole za sobą. — Wezmę osiem magazynków i dwa tysiące naboju.

Następnie przeszli do dwóch karabinów snajperskich, zmodyfikowanego *M-14* z celownikiem *Weavera* oraz brytyjskiego *L4A1* ze standardowym celownikiem *Mk-32*. Creasy wybrał *M-14*.

— Wezmę dwa zapasowe magazynki i jedno opakowanie naboju.

Wówczas przeszli do granatników.

— Nie ma się co zastanawiać — powiedział Creasy. — Ze względu na rozmiar i wagę musi to być *RPG-7*.

Leclerc uśmiechnął się i wziął pękatą tubę. — Mógłbym sprzedać ich milion, gdybym tyle miał. — Obejrzał oba końce rury, po czym przekręcił ją. Odkręcała się w środku. Creasy pokiwał głową z satysfakcją. — Granat typu D — powiedział. — Jakie są standardowe opakowania?

— Skrzynki po osiem lub dwanaście — odpowiedział Leclerc, skręcając wyrzutnię i kładąc ją koło *Ingrama*.

— Wezmę osiem — powiedział Creasy, przechodząc do granatów. Wybrał *British Fragmentation 36* oraz *Phosphorous 87*.

— Będę potrzebował opakowań mniejszych od standardowych. Czy twoi ludzie mogą przygotować paczki po piętnaście sztuk?

— Da się zrobić — odpowiedział Leclerc.

Następnie Creasy wziął do ręki obrzyna. Otworzył z trzaśnięciem broń, uniósł ją ku światłu, obejrzał i odłożył koło granatów. Śrutówka z obciętą lufą wyglądała dziwnie przy pozostałych sztukach broni.

— Parę opakowań SSC. — powiedział, a Leclerc zanotował.

Potem wybrał jeszcze noktowizor *Trilux*, nóż komandoski w kaburze oraz kilka rodzajów szelek do uzbrojenia.

Ostatecznie znaleźli się przy drobnych przedmiotach, leżących na płytce, metalowej tacy na końcu stołu. Creasy wziął ich kilka i obejrzał.

— To najnowsze — Leclerc zapewnił go przez ramię. — Pewnie jeszcze ich nie widziałeś?

Creasy trzymał w rękę niewielką, okrągłą tubkę. Z jednego z jej końców wystawała igła o długości piętnastu milimetrów.

— Używałem tego rodzaju detonatora, ale bez mechanizmu zegarowego.

Leclerc wziął inną metalową tubkę. Miała dwa bolce, jak wtyczka elektryczna. Rozkręcił tubę i pokazał Creasy'emu kadmową baterię i dwie nastawne tarcze. Potem włożył mechanizm zegarowy do detonatora. Całość miała mniej niż pięć centymetrów długości i dwa centymetry średnicy.

Leclerc uśmiechnął się. — Elektronika tak upraszcza różne rzeczy. Guido wspomniął o kilogramie plastiku. Jest przygotowany gdzie indziej.

— Dobrze — powiedział Creasy, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na stół. — To chyba wszystko.

Leclerc przyjrzał się wybranemu arsenałowi, a jego ciekawość zabarwiona była satysfakcją. Dla niego zaspokojenie potrzeb Creasy'ego było przeżyciem zawodowej przyjemności. Nie wiedział po co to wszystko Creasy'emu i nie zamierzał pytać, ale w trakcie nadchodzących tygodni będzie czytał włoskie gazety. Znając przeszłość i doświadczenie Amerykanina, potrafił sobie wyobrazić potencjalne zniszczenie, jakim groziła ta broń.

— Czy możesz mi załatwić porządną, lekką podramienną kaburę na *Webleya* oraz kaburę do pasa na *Colta*?

Leclerc przytaknął. — Na *Colta* może być standardowa z płótna.

— Zgoda. — Creasy wziął taśmę pomiarową i notes. — Masz jakąś wagę?

— Jasne — Leclerc wyszedł do głównego magazynu, a Creasy zajął się braniem pomiarów.

— Gdzie mam cię wysadzić?

— Gdziekolwiek w pobliżu portu rybackiego.

Creasy nie wymienił nazwy swojego hotelu. Zdecydował, że może ufać Leclercowi, ale starych zwyczajów trudno się pozbyć.

Francuz zapytał: — Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze w Marsylii? Damskie towarzystwo?

Creasy uśmiechnął się i pokręcił głową. — Myślałem, że handlujesz bronią.

— Wiesz, jak to jest — odpowiedział Leclerc. — Jak dokonuje się sprzedaży, czasem warto towar dodatkowo uatrakcyjnić. To się tyczy zwłaszcza Arabów.

— Interes musi wręcz kwitnąć — skomentował Creasy. — Prowadzą tyle wojen, że wszystkie zakłady zbrojeniowe w Europie powinny pracować po godzinach.

— To fakt — Leclerc odchrząknął — i będzie coraz lepiej, albo gorzej, zależy jak na to patrzeć. Ożywienie islamistów oznacza nowe wojny, to religia posługująca się przemocą. — Spojrzał na Creasy'ego. — Poza handlarzami bronią będzie też sporo pracy dla ludzi z twojej branży.

Creasy wzruszył ramionami. — Możliwe.

Zatrzymali się na nabrzeżu i Creasy otworzył drzwi.

— A więc, o dziesiątej wieczorem w czwartek — powiedział.

Leclerc przytaknął. — Będę czekał.

Creasy sprawdził plan miasta i kazał kierowcy taksówki stanąć na rogu ulicy St Honore. Wcześniej przebrał się w hotelu i teraz miał na sobie proste, robocze ubranie — dżinsy i koszulę. Oczami wędrował po ulicach miasta. Lubił Marsylię. Można było zgubić się w niej i zostać anonimowym. Ludzie zajmowali się tu swoimi sprawami. Było to idealne miasto dla przemytu, handlu bronią lub po prostu zniknięcia.

Taksówka zatrzymała się, Creasy zapłacił kierowcy i szedł piechotą przez dziesięć minut do rogu ulicy Catinat. Stał tam przez kilka minut.

Robotnicze przedmieście. Bloki mieszkalne, drobne warsztaty i zakłady. W połowie drogi stały zamykane na klucz garaże. Odnalazł numer 11 i nie oglądając się, wyjął klucz, otworzył go, a następnie zapalił światło i zamknął drzwi.

Większość miejsca zajmowała furgonetka Toyota Hiace. Pomalowana była na ciemnoszary kolor, a z boku miała ledwo widoczny napis: LUIGI RACCA — HANDEL WARZYWAMI.

Furgonetka wyglądała na starą i odpowiednio podniszczoną, ale Creasy wiedział, że silnik oraz zawieszenie będą w idealnym stanie. Otworzył tylne drzwi. Bezpośrednio przed nim, na podłodze furgonetki, leżał zwój przewodu elektrycznego, zakończonego wtyczką. Uśmiechnął się krótko na myśl o przezorności Guido, wziął wtyczkę, podszedł do ściany i wetknął ją do gniazdka. Żarówka wewnątrz furgonetki oświetliła pozostałą jej zawartość. Były tam: deski, kilka worków, dokładnie wypchanych pakułami, długa bela grubego filcu, drewniana ławka z zamocowanym imadłem oraz wielkie pudło z narzędziami. Creasy wyładował to wszystko na podłogę za furgonetką, następnie przeszedł na przód kabiny

i sprawdził płytę osłaniającą siedzenie kierowcy. Podszedł do pudła z narzędziami, wybrał odpowiedni śrubokręt i, starając się nie uszkodzić farby, wykręcił śruby. Płyta delikatnie opadła do tyłu, odsłaniając przestrzeń głębokości ponad trzydziestu centymetrów i wysokości całej kabiny furgonetki. Chrząknął z zadowoleniem, wyniósł płytę i oparł ją ostrożnie o ścianę garażu. Następnie wyjął taśmę pomiarową oraz notes, i dokładnie obmierzył tajny schowek.

Sprawdzając wcześniej zrobione notatki, naszkicował orientacyjny plan, który powiesił na drzwiach garażu.

Przez kolejne dwie godziny pracował systematycznie, mierząc drewno i tnąc je za pomocą małej piły elektrycznej.

Zajęcie to sprawiało mu przyjemność, ale w pewnym momencie musiał je przerwać, bo w zamkniętym garażu zaczęło brakować powietrza. Na zewnątrz było już ciemno i przez dziesięć minut pospacerował, żeby przewietrzyć się, korzystając z chłodnego wieczoru. Potem znalazł mały bar i zjadł w nim kolację.

O ósmej rano następnego dnia był z powrotem w garażu. Pracował do południa, potem poszedł do tego samego baru na lunch. Jedzenie było proste i dobre, a dzięki robocznemu ubraniu i znajomości potocznego francuskiego, nie wyróżniał się spośród innych gości.

Po południu skończył piłowanie drewna i ułożył je w schowku. Najpierw ciężką ramę, a następnie krzyże, z których każdy dopasowany był dokładnie do swojego miejsca. Zrobił krok w tył i przyjrzał się wykonanemu dziełu. Schowek przypominał teraz wielką, na pół ukończoną, dziecinną układankę. W czwartek uzupełni brakujące elementy.

Wróciwszy do hotelu wziął książkę telefoniczną, zadzwonił do wypożyczalni samochodów i wynajął na dwadzieścia cztery godziny furgonetkę Fiata, podając nazwisko Luigi Racca.

Leclerc czekał ze stróżem. Nikogo więcej nie było na ulicy. Pięc po dziesiątej ciemno-niebieska furgonetka wyjechała zza rogu i zatrzymała się w odległości stu metrów. Reflektory zamrugały dwa razy i zgasły.

— Idź na drugi róg i poczekaj — Leclerc polecił stróżowi. — Nie wracaj, dopóki ta furgonetka nie odjedzie. — Stróż znikł w ciemnościach, a furgonetka znowu ruszyła.

— W porządku? — zapytał Creasy, wyskakując z kabiny.

— W porządku — odpowiedział Leclerc i otworzył drzwi magazynu. Tuż za nimi znajdowały się drewniane skrzynie na widłowym wózku. Oznaczone były literami A, B i C. Leclerc pokazał na nie po kolei. — Amunicja, broń i reszta sprzętu. — W przeciągu paru minut skrzynki zostały załadowane do furgonetki i Creasy wsiadł do kabiny.

Leclerc podniósł wzrok. — Przyjdź do mnie do biura jutro po południu. Będę

miał gotowe dokumenty.

Creasy przytaknął i odjechał.

Jeździł po mieście przez czterdzieści minut z różną szybkością i wykonując niespodziewane zakręty. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, pojechał na ulicę Catinat i zaparkował pięćdziesiąt metrów od garażu. Wyłączył światła oraz silnik, po czym przez pół godziny siedział nasłuchując i rozglądając się. Potem uruchomił silnik i tyłem podjechał pod drzwi garażu. Pośpiesznie przeniósł trzy skrzynie z furgonetki do garażu. Zamknął go na klucz i pojechał do hotelu — ponownie często zerkając w lusterko.

Wcześniej rano zwrócił wynajętą furgonetkę, a o dziewiątej był już znowu w garażu. Pozrywał pokrywy ze wszystkich trzech skrzyń i sztuka po sztuce pokładał broń, pudełka z amunicją oraz granaty na swoje miejsca. Garściami wyjmował pakuły i wciskał je we wszystkie szczeliny między bronią a ramą. Następnie cały schowek przykrył płachtą filcu. Wówczas z powrotem przykręcił płytę, znowu bardzo uważając na farbę. Pięścią uderzył płytę w kilku miejscach. W końcu stanął w rozkroku i rozbijał furgonetkę na amortyzatorach.

Pokiwał głową z zadowoleniem. Pojazd z bronią był załadowany i gotowy.

Leclerc podał kopertę przez biurko, a Creasy wyjął z niej paszport i pozostałe dokumenty, po czym obejrzał je uważnie.

— W porządku — powiedział. — Lepsze niż się spodziewałem. — Ile?

Leclerc smutno wzruszył ramionami. — Jedenaście tysięcy franków.

— Są tego warte — stwierdził Creasy, wyjął plik pieniędzy i odliczył odpowiednią ilość banknotów. — Sprawę zapłaty za resztę rzeczy uzgodniłeś z Guido.

Leclerc przytaknął. — Przeleje pieniądze na moje konto w Brukseli — przeważa, a potem dodał — Dostajesz to po cenach hurtowych — nic sobie nie doliczyłem.

— Dzięki — powiedział Creasy. — Czyli jesteśmy kwita.

Leclerc wstał z uśmiechem. — Czy moje życie jest tak mało warte? Mam nadzieję, że nie.

Creasy wyciągnął rękę. — Wiem, że musisz w swoich interesach współpracować z rządem. Wiem także, że nasza transakcja jest nieoficjalna. Gdybyś miał jakieś kłopoty, powiedz im, że myślałeś, iż nadal pracuję dla Rodezyjczyków. Ale nikomu nie wspominaj o dokumentach — nawet Guido.

Leclerc uśmiechnął się, — Dobrze. Kiedy trzeba, potrafię wyglądać bardzo niewinnie. Powodzenia.

W drzwiach Creasy zawahał się, a zaraz potem podjął decyzję.

— Zadałeś sobie wiele trudu — powiedział cicho. — Doceniam to. Gdybym kiedyś mógł zrobić coś dla ciebie, daj mi znać przez Guido.

Leclerc właśnie siadał, ale w momencie gdy Creasy zamknął za sobą drzwi,

zamarł w pół siedzącej pozycji nad krzesłem, z ustami otwartymi ze zdziwienia.  
Potem powoli opadł i przeżegnał się. Cuda jednak się zdarzają.

## 15

Guido stał na tarasie i przez lornetkę patrzył jak niebiesko-biały prom przybija do nabrzeża. Nie martwił się papierami, ale pojazdy przyjeżdżające z Marsylii często są dokładnie rewidowane.

Spuszczono trap, liczne samochody osobowe zjechały i ustawiły się w trzech rzędach. Za nimi pojawiła się ciężarówka z przyczepą kontenerową. A następnie szara furgonetka. Widział jak Creasy wysiada z kabiny i opiera się o bok samochodu ze znudzoną obojętnością. Ubrany był w wypłowiały kombinezon i trzymał dużą, brązową kopertę, którą leniwie poklepywał się po udzie.

Celnik podszedł do niego dopiero po dwudziestu minutach. W tym czasie na taras wyszedł Pietro.

— Przyjechał?

— Tak — mruknął Guido, nie spuszczać wzroku z przystani.

Urzędnik uważnie sprawdził dokumenty i podszedł do tyłu samochodu. Creasy otworzył drzwi, celnik oddał mu kopertę i wszedł do środka. Guido miał wrażenie, że minęła cała wieczność, nim ponownie ujrzał go, trzymającego coś w rękach. Zesztywniał, pochylił się do przodu, regulując lornetkę, żeby lepiej widzieć. W końcu dojrzał przedmiot, zobaczył, że Creasy kiwa głową i wypuścił wstrzymany oddech.

— Co to jest? — zapytał Pietro.

— Melon! Ten drań zażądał melona.

Pietro roześmiał się. — To raczej niska cena.

Szara furgonetka podjechała do bramki służb imigracyjnych; tym razem przystanęła tylko na krótki moment, a potem włączyła się do ruchu. Guido opuścił lornetkę i spojrzął na zegarek.

— Zadzwoni w przeciągu godziny. To znaczy, że wyjdę na lunch. Dasz sobie radę sam?

— Jasne — odpowiedział Pietro. — Życz mu ode mnie szczęścia.

— Dobrze — poważnie obiecał Guido. — Będzie go potrzebował.

Guido wszedł do restauracji, niosąc płócienną torbę. Zatrzymał się w drzwiach, pozwalając oczom przywyknąć do przyćmionego światła. Docho-



dziło dopiero południe i poza Creasym, siedzącym przy stoliku w rogu oraz znużonym kelnerem, w lokalu nie było nikogo. Creasy wstał i przez chwilę trwali w serdecznym uścisku. Guido zrobił krok w tył i krytycznie przyjrzał się przyjacielowi.

— Gozo dobrze ci zrobiło. Odmłodziłeś o dziesięć lat.

Creasy uśmiechnął się. — Wszyscy cię pozdrawiają.

Usiedli, zamówili lekki lunch: *calzoni* i sałatkę.

— W Marsylii wszystko w porządku? — zapytał Guido, jak tylko kelner odszedł.

— Idealnie — odpowiedział Creasy. — Leclerc był ogromnie pomocny.

Guido wyszczerzył zęby. — Jak ma się Nadia?

— Dobrze. Wiesz?

— Domyśliłem się.

Guido opowiedział mu o telefonie i próbie zniechęcenia jej. — Zakładam, że nie przejęła się tym.

Creasy pokręcił głową — Nie.

— Jak przyjęła twój wyjazd?

Creasy wzruszył ramionami.

— Bardzo spokojnie. Żadnych łez, żadnych emocji — to silna dziewczyna.

Kelner wrócił z jedzeniem i butelką wina, potem zostawił ich samych.

— Wysłałem Pietra do Marsylii — powiedział Guido. — On wykonał większość prac przygotowawczych, nawet w Rzymie i w Mediolanie.

— To dobry chłopak — zauważył Creasy.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Creasy nie miał powodu kwestionować niezawodności Pietra, ale jednak coś musiało zostać powiedziane.

— Może mu grozić niebezpieczeństwo.

Guido przytaknął. — Jak tylko wszystko się zacznie, wyślę go na Gozo. Zostanie tam aż do końca. Tak czy inaczej, już pora, żeby zrobił sobie wakacje.

— Zasłużył na nie — zgodził się Creasy, po czym powtórzył: — To dobry chłopak. Dasz sobie radę bez niego?

Guido uśmiechnął się. — Zamknę pensjonat na ten czas. Ograniczę się do lunchu i kolacji dla stałych gości. Będzie znacznie mniej pracy.

Creasy nie zrobił żadnej głupiej uwagi o utracie dochodów. Wszystko co mogło zostać powiedziane, było zbędne.

Guido rozpiął zamek torby i wyjął z niej pięć pęków kluczy, dwa plany miasta i przewodnik. Podał klucze. Każdy z nich miał przypiętą karteczkę. Powiedział. — Mieszkanie w Mediolanie, domek w Vigentino, tuż za miastem, Alfetta GT, mieszkanie w Rzymie i Renault 20.

Creasy sięgnął po klucze z uśmiechem na ustach. — Czuję się jak właściciel posiadłości!

— Powiedzmy podnajemca — Guido odwzajemnił uśmiech. — Wszystkie umowy najmu zostały zawarte na trzy miesiące i są datowane dziesięć dni temu.

— Nie mogą doprowadzić do ciebie?

— W żadnym wypadku — mieszkania i domek zostały wynajęte przez Remarque'a z Brukseli pod przybranym nazwiskiem — a po drodze ślad się urywa. Wynająłem samochody na nazwisko Luigi Racca. Tak się składa, że to wdowiec, który przebywa z wizytą u córki w Australii — nie wróci przed upływem miesiący.

Rozłożył plan miasta i wskazał zaznaczone kółeczkami miejsca, gdzie przygotował mieszkanie w Mediolanie oraz bungalow poza jego granicami.

— Stoi na uboczu i ma automatycznie zamykany garaż, a w nim Alfettę. — Potem pokazał na mapie mieszkanie w Rzymie i garaż o dwie przecznice od niego, z Renaultem.

— Zarówno mieszkanie, jak bungalow są zaopatrzone w żywność i tak dalej. — Zapukał w folder. — Adresy masz tutaj.

— Dobrze. — Creasy był naprawdę zadowolony. — Pamiętałeś o „ładowaczach”?

Guido uśmiechnął się, sięgnął do torby i podał mu dwa lśniące cylindry. Creasy uważnie obejrzał jeden z nich.

Wykonany był z aluminium — miał około dziewięciu centymetrów długości, dwa centymetry średnicy i skośnie obcięte oba końce. Złapał za nie, przekręcił i cylinder otworzył się. Zajrzał do obu połówek. Powierzchnia wewnątrz była równie gładka, jak zewnętrzna.

— Kazałem je zrobić w tutejszym warsztacie — powiedział Guido, zabierając cylindry i wrzucając je do torby. — Troszkę większe niż normalnie — pewnie raczej niewygodne.

Creasy uśmiechnął się lekko. — Niech sobie narzeka — będę mu bardzo współczuł.

Guido odłożył klucze i mapy, zostawiając przed nim tylko folder. — Pamiętasz Verruę? — zapytał. — Z Legii?

— Tak — odpowiedział Creasy. — Drugi Pułk. Odsłużył dwie tury, po czym odszedł — starzał się.

— Właśnie — potwierdził Guido. — Teraz mieszka tutaj, w Neapolu. Przez dziesięć lat po opuszczeniu Legii pracował dla Cantarelli na Sycylii. Kilka lat temu odesłali go na zieloną trawkę i przyjechał zamieszkać tutaj wraz ze swoją zamężną córką. Często przychodzi zjeść do pensjonatu. Lubi wspominać. Ledwo go pamiętałem — byłem tam zaledwie parę miesięcy, zaraz potem odszedł — ale on pamięta ciebie. Często o tobie mówi — i o początkach wojny w Wietnamie.

Creasy przytaknął. — Już wtedy za dużo gadał. Nic nie wie o tej operacji?

Guido pokręcił głową. — Nic. Chodzi jednak o to, że Cantarella mocno go rozczarował. Uważa, że nie okazano mu należytej troski. Chociaż, szczerze mów-

więc, on z natury jest malkontentem. W każdym razie, nieco zachęcony, rozgadał się o Villa Colacci i tamtejszych obiektach — podał folder. — Wszystko jest tutaj, wraz innymi informacjami, jakie udało mi się zebrać.

Creasy przejrzał go. Był tam naszkicowany plan willi oraz jej otoczenia, a także kilka stron notatek.

Podniósł wzrok i powiedział: — Guido, to naprawdę ogromnie pomocne — jestem ci bardzo wdzięczny.

Guido wzruszył ramionami i zawołał na kelnera, aby przyniósł im kawę.

— Wiem, że zamierzasz zdobywać informacje w miarę realizacji planów — powiedział. — Ale to może oszczędzić ci trochę czasu.

— Oszczędzi — zgodził się Creasy, spuszczać wzrok na mapkę. — Villa Colacci to niełatwa sprawa — a on rzadko się z niej rusza.

Guido wyszczerzył zęby. — W ogóle się nie ruszy, jak tylko usłyszysz, że jest celem. Masz jakieś pomysły dostania się tam?

— Kilka — odpowiedział Creasy.

W rzeczywistości doskonale wiedział już jak się tam dostanie. Zdecydował po wizycie w Palermo przed trzema miesiącami. Omówiłby to z Guido, ale miał powody, aby tego nie robić.

Przyniesiono kawę i Creasy pociągnął łyk, po czym wrócił do tematu. — Po Contim w Rzymie będę już zupełnie sam. Żadnych kontaktów i żadnej stałej bazy. Wcześniej pozbędę się obu samochodów i furgonetki — rozumiesz dlaczego?

Guido przytaknął z uśmiechem. — Jasne. Wtedy zarówno policja, jak i Cantarella mogą się już domyślać, kto załatwia po kolei *mafioso*. Trafienie po twoich śladach do mnie nie zajmie im zbyt wiele czasu i będą mi zadawali pytania — nie mogę im powiedzieć tego, czego nie wiem.

Creasy pokiwał głową.

— A jeśli nie będziesz wiedział, stanie się to jasne. Zawsze tak jest — obaj mamy doświadczenie w zadawaniu tego typu pytań.

— Ale w ten sposób sam sobie utrudniasz sprawę — skomentował Guido. — A Bóg wie, że i tak będzie to wystarczająco trudne.

Amerikanin uśmiechnął się. — Będę improwizował. Nie po raz pierwszy. Jak mogę się z tobą kontaktować? Nie chcę korzystać z telefonu.

Guido pokazał na folder. — Pierwsza strona. Masz tam numer na post restante tutaj, w Neapolu — przetelegrafuj numer telefonu i godzinę, a ja zadzwonię do ciebie z automatu.

Creasy otworzył folder i przeczytał numer.

— Dobra — jeśli będzie mi szło gładko, w ogóle się nie odezwę — dopóki nie będzie po wszystkim.

Zapanowała długa cisza.

— Nadal jesteś taki zdeterminowany?

— Tak — nic się nie zmieniło — tak bardzo chcę ich dostać, że to wręcz boli.

— Myślałem, że może Nadia to zmieniła — częściowo wyleczyła cię z tej nienawiści.

Creasy zwlekał z odpowiedzią — zastanawiał się nad słowami Guido. Potem pokręcił głową i powiedział cicho: — Kocham ją, Guido — a ona kocha mnie. Ale to niczego nie zmieni. Ten dzieciak sprawił, że to się stało możliwe. Ten dzieciak pozwolił — pokazał mi, jak można tego dokonać. Opowiedziałem Nadii wszystko i, o dziwo, znienawidziła ich tak samo jak ja. Właściwie nie rozumiem tego, ale to tak, jakby była ze mną — przynaglała mnie.

Odchylił się w krzesło i głęboko zaczerpnął powietrza, opanowując swoje uczucia.

— Wiem, że to sprzeczność — usiłuję nie myśleć o Nadii — powiedział z bladym uśmiechem. — Uwierzyłybyś w to, Guido? Ja! Mam pięćdziesiąt lat i zakochuję się!

Guido potrząsnął głową. Był bardzo smutny.

— Kiedy zaczynasz?

Creasy znowu pochylił się nad stolikiem. Do jego głosu powrócił rzeczowy ton.

— Dzisiaj pojadę do Mediolanu — jutro wcześniej rano powinienem dotrzeć do domku. Rabbia i Sandri są moimi pierwszymi celami, ale wystarczy jak porozmawiam tylko z jednym z nich — prawdopodobnie Rabbia. Podobno ma tylko mięśnie i wolno myśli — łatwiej będzie go złamać niż Sandriego. — Wzruszył ramionami. — Przez parę dni go poobserwuję, a potem dostanę.

Guido podniósł folder, wrzucił go do torby i zasunął zamek. Obaj mężczyźni wstali.

— Ty pierwszy — powiedział Guido.

— Powiedz Pietro, żeby wypoczął na urlopie — i podziękuj mu.

— Dobrze — zapewnił go Guido. — On też życzy ci powodzenia.

Objęli się, po czym Creasy wziął torbę i wyszedł.

## 16

Giorgio Rabbia przebywał w pracy. Nie wymagała ona zbyt wielkiego wysiłku. Przez ostatnie dwie godziny zwiedził liczne bary we wschodniej części Mediolanu. Był czwartkowy wieczór, a dla jego szefa czwartek był dniem wypłaty.

Rabbia był wielkim, ociężałym mężczyzną o złośliwym charakterze. Kiedy wpadał w gniew przyspieszał nieco ruchy. Lubił bić ludzi. Doskonale nadawał się do tej roboty i wykonywał ją skutecznie, jeśli nawet wolno — zawsze zgodnie z rutynowym postępowaniem.

Do północy uporał się z barami i zaczął obchodzić kluby. Miał na sobie luźno dopasowaną marynarkę, która do przesady podkreślała jego tęgą sylwetkę. Pod lewą pachą ukrywała pistolet *Beretta* w podramiennej kaburze. Pod prawym ramieniem wisiała długa, miękka irchowa torba, zamykana na zamek z rzemykiem. Była w połowie napełniona.

Zatrzymał się Lancią pod zakazem parkowania przed wejściem do klubu nocnego „Papagayo” i wytoczył swoje cielsko na chodnik.

Lancia stanowiła przedmiot jego dumy — pomalowana była na srebrny metalik i wyposażona w sprzęt stereofoniczny Brauna oraz muzyczny klakson. Na półce za tylnymi siedzeniami stał plastikowy jamnik; jego łeb podskakiwał w rytm kołysania samochodu. Prezent od ulubionej dziewczyny.

Pomimo tych kosztownych i sentymentalnych dodatków, Rabbia nie zawracał sobie głowy zamykaniem samochodu czy choćby wyjęciem kluczyków ze stacyjki. Każdy złodziejasek w Mediolanie wiedział, kto jest właścicielem tego samochodu i co grozi za jego tknięcie.

Nonszalancko wszedł do klubu, świadom czekającej go przyjemności, ponieważ zgodnie z narzuconymi sobie zasadami, właśnie tutaj zawsze wypijał pierwszego drinka.

Właściciel dojrzał go w wejściu i pstryknął palcami na barmana. Kiedy Rabbia doszedł do baru, czekała już na niego duża szkocka whisky. Wypił ją z zadowoleniem, rozglądając się po sali.

Kilka par tańczyło. Mężczyźni byli ludźmi interesu w średnim wieku, a kobiety młodymi hostessami. Był to drogi klub, który cieszył się powodzeniem. Spojrzał na kobietę, która właśnie wyszła z toalety i zmierzała do stolika — wysoka

blondyna z biustem przelewającym się przez głęboki dekolt w sukni. Nigdy przedtem jej nie widział, więc musiała być nowa. Starannie odnotował sobie w pamięci, że powinien kazać ją sobie przysłać któregoś popołudnia.

Dopił drinka, a właściciel podszedł do niego i wręczył plik banknotów. Rabbia dokładnie je przeliczył, sięgnął pod marynarkę, obluźował rzemień i wrzucił pieniądze do torby. Kiwnął głową i brodą wskazał dziewczynę.

— Ta nowa — blondyna. Przyślij ją do mnie w poniedziałek po południu, o trzeciej.

— Tak jest, *signore* Rabbia.

Zalazłszy się z powrotem na ulicy, głęboko zaczerpnął świeżego powietrza i ruszył do swojej Lancii. Gdyby miejsce to było lepiej oświetlone i gdyby miał lepszy zmysł postrzegania, może zauważyłby, że głowa jamnika lekko się kołysze.

Wsiadł, chrząkając z wysiłku i właśnie miał sięgnąć do stacyjki, kiedy poczuł dotyk zimnego metalu na szyi i usłyszał równie zimny głos: — Nie waż się nawet drgnąć.

Jego pierwszą reakcją było zaskoczenie. — Wiesz kim jestem?

— Jesteś Giorgio Rabbia — a jeżeli jeszcze raz się odezwiesz, to przemówisz po raz ostatni w życiu.

Ktoś sięgnął mu pod lewe ramię i rozchylił marynarkę. Czuł, jak broń zostaje wyciągnięta, więc zamarł w bezruchu; chwilowo opanowało go przerażenie. Ten człowiek z tyłu znał jego tożsamość, czyli nie chodziło mu o irchową torbę. Motywem nie był rabunek. Może zaczynały się kłopoty z rodziną Abrata.

Głos z tyłu przerwał te nerwowe spekulacje.

— Włącz silnik i słuchaj moich wskazówek. Jedź wolno i staraj się nie zwracać niczyjej uwagi. Spróbuj udawać mądrego, a momentalnie zginiesz.

Rabbia prowadził ostrożnie, bo instynkt mówił mu, że mężczyzna z tyłu nie żartuje.

Wyjechał z miasta drogą na południe i kiedy wyjeżdżali z przedmieść jego umysł zaczął pracować szybciej. Gdyby wybuchła wojna terytorialna, już zostałby zabity — albo przed klubem, albo w dzielnicy starych magazynów, które właśnie minęli. Intrygował go głos. Mówił z lekkim neapolitańskim akcentem, ale było w nim coś jeszcze, czego nie potrafił określić. Doszedł do wniosku, że ten człowiek nie jest Włochem i to kazało mu pomyśleć o czymś jeszcze. Jego szef, Fossella, od jakiegoś czasu spierał się na temat dostaw narkotyków z Unią Korsykańską z Marsylii. Może ich niechęć była silniejsza niż się spodziewano; ale skąd ten neapolitański akcent?

Tuż przed Vigentino otrzymał polecenie zjechania na boczną drogę, a zaraz potem skręcił na bitą ścieżkę. Poszuka swojej szansy jak wysiądą z samochodu — nie może mieć w tym momencie broni przy szyi; nawet przy swoim ciężarze Rabbia potrafił w razie potrzeby szybko się ruszać.

W świetle reflektorów pojawił się niski pawilon. Mały budynek z rodzaju takich, jakie mediolańczycy budują sobie na weekendy. Głos kazał mu pojechać na jego tyły. Pod oponami zachrzęścił żwir.

— Zatrzymaj się tutaj. Zaciągnij hamulec ręczny i wyłącz silnik.

Rabbia pochylił się do przodu, a zimny metal mu towarzyszył. Powoli usiadł z powrotem. Nagle nacisk broni ustąpił i w sekundę później wszystko przed nim eksplodowało.

Wolno dochodził do siebie — zaczynał być świadom pulsującego bólu w tyle głowy. Spróbował przyłożyć tam dłoń, ale nie mógł jej ruszyć. Kiedy odzyskał zdolność widzenia, zauważył, że lewy nadgarstek ma przyklejony taśmą do drewnianego oparcia krzesła. Z bólem przekręcił głowę w prawą stronę. Drugi nadgarstek był tak samo unieruchomiony. Raptownie odzyskał pamięć i jasność umysłu. Wolniutko uniósłszy głowę, najpierw zobaczył drewniany stół. Rozłożone były na nim różne przedmioty: młotek i dwa długie, metalowe szpikulce; obok nich duży, ciężki nóż oraz metalowy pręt mniej więcej półmetrowej długości. Od jednej z końcówek pręta wił się przewód elektryczny, który znikał za brzegiem stołu. Podniósł wzrok jeszcze wyżej i zobaczył mężczyznę, siedzącego po drugiej stronie. Szeroka twarz — blizny, zwężone oczy — gdzieś — gdzieś już go widział.

Na stole przed mężczyzną leżał otwarty notes, długopis i szeroka rolka taśmy samoprzylepnej.

— Słyszysz mnie?

Rabbia przytaknął z bólem. — Zapłacisz za to, kimkolwiek jesteś.

Mężczyzna zignorował te słowa. Wskazał przedmioty leżące na stole. — Przyjrzyj się uważnie temu co masz przed sobą i posłuchaj. Zadam ci pytania, dużo pytań. Jeżeli nie będziesz udzielał pełnych i prawdziwych odpowiedzi, odlepię ci lewą dłoń, położę ją na stole, po czym młotkiem wbiję w nią szpikulce.

Rabbia przesunął wzrok na lśniące, stalowe ostrza. Chłodny, beznamiętny głos ciągnął dalej.

— Potem wezmę ten nóż i odetnę ci palce, jeden po drugim.

Rabbia powędrował oczami do noża.

— Nie wykrwawisz się na śmierć. — Dłonią wskazał metalowy pręt. — To elektryczna lutownica. Użyję jej do przypalenia kikutów.

Błądą twarz Rabbii zlał pot.

— Następnie, jeżeli nie zaczniesz mówić, zajmę się prawą ręką; po niej przyjdzie kolej na stopy.

Rabbia, podobnie jak wielu brutalnych ludzi, był tchórzem. Patrząc prosto w oczy za stołem, nabierał zimnego uczucia pewności, że ten człowiek naprawdę to zrobi. Ale dlaczego? Kto to jest? Gdzie go widział?

Spróbował wzbudzić w sobie gniew — wystarczająco silny, aby stłumił lęk.

— Idź do diabła! — warknął. Dodał do tego szereg nieprzyzwoitości, ale zamilkł w chwili gdy mężczyzna wstał. Wziął rolkę taśmy, odwinął kawałek, urwał i przeszedł dookoła stołu.

Rabbia zaczął coś mówić, ale taśma szybko zalepiła mu usta i zdusiła słowa. Ujrzał niewyraźny ruch w kierunku swojego brzucha i złożył się we dwoje po ciosie. Sekundę później głowa mu podskoczyła po uderzeniu w okolice splotu słonecznego.

Był ledwo przytomny i miał sparaliżowane ciało — skutek porażenia nerwów. Prawie nie zdawał sobie sprawy, że jego lewa ręka została uwolniona i wyciągnięta do przodu. Parę chwil później ciało wygięło się w łuk agonii i stracił przytomność.

Kiedy po raz drugi doszedł do siebie, nie czuł pulsującego bólu w głowie. Lewa ręka wydawała się być w płomieniach. Otworzył oczy i jego wzrok padł prosto na dłoń — leżącą płasko na stole. Z jej środka sterczała; główka szpikulca. Między rozsuniętymi palcami wolno spływała krew.

Mózg próbował nie uwierzyć oczom, ale minimalny ruch znowu spowodował fale agonii w ciele. Z zalepionych ust wyrwał się niski jęk. W oczach widniało przerażenie. Nie samymi torturami, lecz beznamiętnym sposobem, w jaki były dokonywane, zupełnie jakby ten człowiek wziął się za montaż regału.

Ponownie spojrzął w te oczy. Ani mrugnięcia — cała twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. Potem mężczyzna znowu wstał i ruszył wokół stołu, a Rabbia zeszywniał, skulił się na krześle, potrząsnął głową i zajęczał gardłowo. Mężczyzna chwycił garść jego włosów i przytrzymał mu głowę, zrywając taśmę. Wtedy wrócił na miejsce, usiadł i spokojnie przyglądał się jak Rabbia wstrząsają nudności oraz podrygi strachu i bólu.

Rabbia potrzebował wielu minut na opanowanie się. Jego oczy wędrowały tam i z powrotem między przebitą dłonią, a nożem i lutownicą koło niej.

Spazmy powoli ustąpiły, podniósł wzrok i zapytał łamiącym się, ledwo słyszalnym głosem: — Czego chcesz?

Mężczyzna przysunął do siebie notes i zdjął skuwkę z długopisu.

— Zacznijmy od porwania Balletto.

I wtedy Rabbia przypomniał sobie tę twarz.

Pytania ciągnęły się przez ponad godzinę. Tylko raz, kiedy wspomnieli Fossellę, Rabbia zawahał się; ale jak tylko przesłuchujący odłożył długopis i miał zamiar się podnieść, odpowiedzi znowu popłynęły.

Zaczęli od samego porwania. Rabbia prowadził samochód i szybko podkreślił, że to Sandri strzelał do ochroniarza. Dwaj pozostali, którzy zostali zabici, nazywali się Dorigo i Cremasco.



Nic nie wiedział o pieniądzach z okupu. Po prostu otrzymali rozkaz zabrania dziewczynki w określonym miejscu i o określonym czasie, oraz pilnowania jej w budynku niedaleko Niguady.

Cała ta robota od początku została spartaczona. Forsella wyjaśnił, że będzie tam ochroniarz, który nie sprawi większych kłopotów. Kazał Dorigo wystrzelić kilka razy w powietrze, żeby go odstraszyć. Byli nieostrożni.

— Kto zgwałcił dziewczynkę?

— Sandri — padła natychmiastowa odpowiedź. — Wpadł w straszną złość — Dorigo był jego przyjacielem — poza tym lubi młode dziewczęta, a ta walczyła i podrapała mu twarz.

Rabbia nerwowo obliział suche wargi.

— A ty? — Czy ty także ją zgwałciłeś?

Zapadło długie milczenie, po którym Rabbia niemal niezauważalnie przytaknął, a głos mu drżał, kiedy odpowiadał:

— Tak... no, po Sandrim. Myślałem, że to już nie robi żadnej różnicy — spojrzał ponad stołem. Mężczyzna nawet nie drgnął; myślami wydawał się być gdzieś indziej. Padły kolejne pytania.

— Ktoś jeszcze?

Rabbia pokręcił głową. — Tylko my z nią byliśmy. To było bardzo nudne — myśleliśmy, że potrwa tylko parę dni, ale doszło do trudności z okupem i utknęliśmy w tym domu na ponad dwa tygodnie.

— Czyli gwałciliście ją wiele razy?

Podbródek Rabbii opadł na klatkę piersiową. Czoło świeciło mu od potu. Głos, który z siebie wydał przypominał raczej chrapliwy szept.

— Tak... nie bardzo było co robić i... ona była taka piękna...

Głos mu się załamał, a kiedy podniósł wzrok, zza stołu spoglądała na niego śmierć.

— Fossella? Co on o tym myślał?

— Był wściekły. Śmierć dziewczynki była błędem. Był bardzo wściekły — mieliśmy dostać za to po dziesięć milionów lirów każdy, ale Fossella nie dał nam nic.

Głos zapytał go spokojnie: — Więc w ramach kary wstrzymał wam zapłatę... To wszystko?

Rabbia przytaknął, a z czoła kapał mu pot.

— Mieliśmy szczęście — Sandri jest siostrzeńcem Fosselli.

Mężczyzna wziął długopis.

— Tak — przyznał — mieliście szczęście. Porozmawiajmy o Sandrim.

Wyciągnął z Rabbii każdy szczegół: przyjaciele, trasy, zwyczaje — wszystko. Potem przeszli do Fosselli i w takiej samej kolejności omówili jego sprawy.

W którymś momencie Rabbia poskarżył się na ból ręki.

— To nie potrwa już długo — pocieszył go mężczyzna. — Powiedz mi o Contim i Cantarelli.

Ale Rabbia niewiele wiedział o takich eminencjach. Cantarella, wyjaśnił, rzadko kiedy opuszcza Villa Colacci. Rabbia nigdy go nie widział.

— Ale Fossella często tam jeździ — powiedział. — A na spotkanie z Contim w Rzymie — co najmniej raz w miesiącu.

Więcej pytań nie było. Notes został zamknięty, skuwka wsunięta na długopis.

Panika Rabbii narastała. Znowu zaczął mówić, paplając coś o Sandrim i Fosselli, ale mężczyznę po drugiej stronie stołu już to nie interesowało. Powoli wstał i sięgnął pod marynarkę. Rabbia dostrzegł broń i potok słów urwał się. Nawet nie czuł już bólu. Patrzył, zahipnotyzowany, jak mężczyzna przykręca tłumik do lufy i idzie dookoła stołu. Utkwił wzrok w broni, widział, jak się unosi i zbliża; poczuł dotyk metalu na twarzy, tuż pod prawym okiem. Po raz ostatni usłyszał głos:

— Idziesz do piekła, Rabbia — i nie będziesz tam samotny.

„Granelli” był zatłoczony. Panowała atmosfera typowa dla piątkowego popołudnia — odprężeni klienci hałaśliwie oczekiwali weekendu.

W małej alkwie przy stoliku samotnie siedział Mario Satta. Zgadzał się ze starą maksymą, że idealną cyfrą podczas posiłku poza domem jest dwa — on sam i cholernie dobry kierownik sali.

Satta był przystojnym mężczyzną. Nawet teraz, kiedy jadł *cappon margo*, kilka eleganckich kobiet przy innych stolikach rzucało ukradkowe spojrzenia w jego kierunku. W kraju uchodzącym za bastion mody, ubrany był z wyjątkową wytwornością — doskonale skrojony, ciemnoszary garnitur, podkreślony przez koszulę o błękitie nieba i szeroki krawat w kolorze kasztanowatym. Światło odbijało się w małych, płaskich spinkach do mankietów i dobranym do nich zegarku marki Patek Philippe.

Miał pociągłą, opaloną twarz i lekko orli nos.

Wyglądał na odnoszącego sukcesy aktora, projektanta mody lub pasażera Concorde.

W rzeczywistości był policjantem, chociaż jego matka, arystokratyczna dama, zamrugałaby oczami na takie określenie. — Pułkownik *Carabinieri* — poprawiłyby lodowato. Była to prawda, a mając trzydzieści osiem lat, należał do niewielu, którzy w tak młodym wieku osiągnęli tak wysoką rangę. Stało się to możliwe albo dzięki legendarnym znajomościom matki, albo jego własnym zdolnościom, ale nawet wrogowie — a miał ich wielu — przyznaliby, że ta druga ewentualność była bardziej prawdopodobna.

Tak czy owak, był policjantem, a matka nigdy nie przestała się dziwić, dlaczego wybrał taki zawód, podczas gdy ona mogła mu z łatwością otworzyć szerokie drzwi do polityki lub handlu. Starszy syn zaskoczył ją idąc na medycynę i zo-

stając szanowanym chirurgiem — był to zawód, który uważała za intratny, ale nieskończenie nudny. Bardziej jednak do przyjęcia, niż policjant. Satta sam się często zastanawiał, co go przyciągnęło do *Carabinieri*. Mógł to być jego cynizm — dominujący składnik charakteru. Czyż istniała lepsza profesja, by obserwować słabostki, szaleństwa i oszustwa skorumpowanego społeczeństwa?

Pomimo tego cynizmu, a może właśnie dzięki niemu, był dobrym policjantem. Uczciwość i bogata rodzina czyniły go osobą nieprzekupną, a ostry, analityczny umysł w połączeniu z pełną niepokoju energią, przynosił sukcesy.

Praca stanowiła jedną z czterech pasji, jakie wypełniały jego życie. Na pozostałe składały się dobre jedzenie, piękne kobiety i trik-trak. Dla Mario Satty idealny dzień przeważnie zaczynał od ciekawej sprawy policyjnej, po której następował lunch w jednej z najlepszych restauracji Mediolanu; popołudnie w biurze spędzał na przeglądaniu i zestawianiu obszernych akt; potem gotował kolacje w swoim eleganckim mieszkaniu dla równie eleganckiej kobiety, która miała dość inteligencji, by później stawiać jaki taki opór nad planszą trik-traka. A jeszcze później, opór ten powinien stopnieć w wielkim dwuosobowym łóżu.

Minione cztery lata jego kariery przyniosły sporo satysfakcji. Złożył pozytywnie rozpatrzoną prośbę o przeniesienie do wydziału zajmującego się przestępczością zorganizowaną.

Przez trzy lata były to czynności czysto akademickie: zbieranie informacji — porównywanie i ocenianie, przypisywanie twarzom nazwisk. Wykonywanie odsyłaczy dotyczących miast na pomocy i miast na południu; między środowiskiem prostytutek w Mediolanie a grupą podrabiającą wino w Kalabrii czy syndykatem przemycającym narkotyki w Neapolu.

Po trzech latach wiedział o włoskiej mafii więcej niż ktokolwiek na zewnątrz tej tajemniczej koterii, a i wielu wewnątrz. Jego asystent, Bellu, żartował, że gdyby Satta miał kiedyś przejść na tamtą stronę, mógł rozpocząć pracę w organizacji od zaraz.

Przez ostatni rok Satta robił użytek z tej wiedzy. Przeprowadził śledztwo w sprawie wielkiego skandalu w stalowni w Reggio i stał się świadkiem odesłania samego don Mommo za kratki — nawet jeśli tylko na okres dwóch lat. Przez minionych kilka miesięcy koncentrował się na dwu głównych rodzinach Mediolanu, którym przewodzili Abrata oraz Fossella, cierpliwie zbierając dowody zysków z prostytucji, oszustw i handlu narkotykami. Zorganizował skomplikowaną sieć, obejmującą podsłuchy telefoniczne, inwigilację i informatorów. Spodziewał się, że w nadchodzących miesiącach zbierze dość dowodów, aby zamknąć niektóre grube ryby — może nawet samych Abratę i Fossellę.

Po lunchu miał odwiedzić młodą aktorkę. Spotkali się na przyjęciu poprzedniego wieczoru. Była drobna, subtelna, delikatna i bardzo piękna — a do tego grała w trik-traka. Zaprosiła go do siebie na partyjkę. Tak więc tego dnia podczas lunchu na deser zamówił *gelato di tutti frutti*.

Satta uwielbiał słodczyce, a zwłaszcza połączenie kandyzowanych owoców i lodów. Świadom dopasowanego garnituru, na desery pozwalał sobie jedynie w weekendy. Szczerze mówiąc, dopuścił się oszustwa, bo był dopiero piątek. Postanowił sobie jednak popołudniować w związku z czekającym go popołudniem. Podszedł główny kelner, ale zamiast deseru przyniósł mu telefon.

— Dzwonią z biura, panie pułkowniku. — Wetknął wtyczkę do kontaktu w ścianie.

Dzwonił Bellu. Satta słuchał przez parę chwil, a potem powiedział: — Będę tam za pół godziny — i odłożył słuchawkę. Przywołał głównego kelnera i z nieco zmartwioną miną wycofał zamówienie *gelato di tutti frutti*. Potem zadzwonił do aktorki, aby odwołać randkę. Była załamana. Pocieszył ją — w niedzielę wieczorem osobiście ugotuje jej kolację w swoim mieszkaniu.

Płacąc rachunek, powiedział głównemu kelnerowi. — Poinformuj kucharza, że *cappo magro* miał ciut za dużo rozmarynu.

Satta wierzył, że talenty kucharza doskonałą się wraz z liczbą zażaleń.

Zwłoki Rabbii leżały twarzą do ziemi w rowie irygacyjnym przy drodze dojazdowej do autostrady Mediolan — Turyn. Na poboczu stała karetka i kilka pojazdów policyjnych. Na noszach leżał złożony duży, czarny worek z plastiku. Fotograf policyjny kręcił się, błyskając fleszem.

Satta stanął koło swego asystenta, Massimo Bellu i spojrzął na ciało.

— Czyli przyszła kryśka na Matyska — skomentował sucho.

— W trakcie ubiegłej nocy — powiedział Bellu. — Zwłoki znaleziono godzinę temu.

— Jedna kula w głowie?

— Zgadza się — z bardzo bliskiej odległości. — Pokazał na twarz. — Ślady oparzeń wokół rany wlotowej.

— Co mu się stało w rękę?

Bellu pokręcił głową. — Przebita na wylot ostrym narzędziem.

Fotograf skończył i podszedł policjant. — Czy możemy już go zabrać, pułkowniku?

— Tak — odpowiedział Satta. — Jak najszybciej potrzebny mi będzie raport patologa.

Załoga karetki zaczęła naciągać plastikowy worek na zwłoki, a Satta zawrócił do swojego samochodu. Bellu poszedł za nim.

— Myślisz, że to początek wojny? — zapytał.

Satta pochylił się oparty o samochód i uruchomił swój analityczny umysł. Zaczął głośno myśleć.

— Są trzy możliwości: pierwsza, że Abrata i Fossella rozpoczęli wojnę terytorialną. Mało prawdopodobne; starannie podzielili miasto między siebie i współist-

nieją bez większych problemów. Ponadto, Conti, a w końcu i Cantarella musieliby to usankcjonować, a oni z pewnością nie chcą teraz wojny. Druga, że Rabbia podbierał gotówkę i przyłapali go. — Zamilkł w zamyśleniu, a potem pokręcił głową.

— To nie ma sensu. Rabbia zbierał należności od piętnastu lat i był lojalny — głupi, ale lojalny. Możliwość trzecia: robota z zewnątrz.

Bellu przerwał mu: — Ale kto? I dlaczego?

Satta wzruszył ramionami, wszedł do samochodu i powiedział przez otwarte okno: — Chcę mieć akta Rabbii oraz zapisy wszystkich podsłuchanych rozmów z minionych siedemdziesięciu dwu godzin — wszystkich.

Bellu spojrział na zegarek i westchnął.

Satta powiedział: — Możesz sobie wybić z głowy wszelkie plany na ten wieczór. — Na jego twarzy pojawił się ślad irytacji. — Sam też musiałem odwołać ciekawe spotkanie.

Zastanowił się przez moment. — Wzmocnijcie inwigilację wszystkich na czerwonej liście.

Włączył silnik.

— Do zobaczenia w biurze.

Bellu stał i patrzył na odjeżdżający samochód. Od trzech lat pracował jako asystent Satty. Przez cały pierwszy rok pisał w myślach raport o przeniesienie. Nie dlatego, że nie lubił Satty — nienawidził go. Bez żadnego konkretnego powodu. Ani za cynizm, ani za sardoniczne poczucie humoru, ani za nienaganny wygląd; ani nawet za jego arystokratyczne pochodzenie i zwyczajową arogancję. Po prostu, Satta reprezentował wszystko, co Bellu uważał za nieprzystające do oficera *Carabinieri* — a może był zazdrosny.

Zmienił zdanie pod wpływem dwóch rzeczy. Pierwszą był fakt, że po roku docenił dociekliwy i subtelny umysł Satty — i zaczął go trochę rozumieć. Drugą dotyczyła młodszej siostry Bellu. Złożyła podanie na uniwersytet Catanzarro, na wydział medycyny. Dobrze zdała egzaminy, ale rodzina nie miała znajomości, więc została odrzucona. Być może wspomniał o tym w biurze, nie przypominał sobie, ale potem otrzymał pismo uniwersytetu, zmieniające tę decyzję. Dopiero po rozpoczęciu studiów odkryła, że interweniował niejaki profesor Satta, naczelnny chirurg neapolitańskiego szpitala Cardarelli.

Bellu zapytał o to szefa, który wyglądał na zaskoczonego.

— Pracujesz ze mną — wyjaśnił — musiałem coś dla ciebie zrobić.

Bellu przestał myśleć o przeniesieniu. Nie dla tego, co zrobił Satta, ale z powodu sposobu, w jaki to uczynił.

Pracujesz „ze mną”, nie „dla mnie”.

Przez ostatnie dwa lata stworzyli dobry zespół. Satta pozostał cyniczny i arogancki, choć na pewno nie zbrzydł. Ale Bellu go rozumiał, a nawet zaczął przyzwajać niektóre jego cechy: bardziej interesował się tym, co je, więcej płacił za

garnitury, a kobiety traktował z odrobiną arogancji — i one to lubiły. Tyle że nie dał się przekonać do trik-traka.

\* \* \*

Salta głośno czytał raport patologa.

— Czas śmierci: między północą, a szóstą rano trzynastego. — Podniósł wzrok na Bellu. — Wyszedł z „Papagayo” tuż po północy, prawda?

Bellu przytaknął. — Tak nam powiedziano. Przy czym nie dotarł do „Bluente”, który był następnym na jego liście.

Satta powrócił do raportu.

— Przyczyna śmierci, rozległy uraz mózgu, prawdopodobnie spowodowany przejściem pocisku.

Podniósł głowę z obrzydzeniem. — Prawdopodobnie spowodowany przejściem pocisku — prychnął. — Dlaczego ten idiota nie może po prostu napisać, że kula rozwalila mu łeb?

Bellu uśmiechnął się. — Bo wtedy używałby takich samych sformułowań, jak wszyscy inni.

Satta chrząknął i znowu przeszedł do raportu.

— Ślady przypalenia widoczne pod prawym okiem denata wokół rany wlotowej pocisku wskazują, iż wspomniany pocisk wystrzelony został z bardzo bliskiej odległości.

Satta wyrwał oczami, ale ciągnął dalej. — Wielka rana wylotowa w potylicy wskazuje, iż była to kula dużego kalibru, pozbawiona metalowego płaszczka.

— Hura! — popatrzył triumfalnie. — Przynajmniej pocisk stał się kulą.

Ale kiedy kontynuował, w jego głosie zabrzmiało nieco zainteresowania. — Denat ma ranę kłutą na lewej ręce. Kształt rany oraz fragmenty skóry wewnątrz rzeźzonego nakłucia, wskazują iż spowodowano je ostrym przedmiotem, który wbity został od zewnętrznej strony dłoni, a wyszedł od wewnętrznej. Spore drewniane drzazgi znalezione w dłoni sugerują, iż rękę przybito do drewnianej powierzchni (dowód rzeczowy: drzazgi przesłane do analizy w laboratorium). Zasięg skrzepów krwi wskazuje iż rana kłuta została zadana w ciągu dwóch godzin przed śmiercią denata.

Satta odchylił się w krześle z lekkim uśmiechem na ustach. — Wygląda na to, że nasz przyjaciel Rabbia został połowicznie ukrzyżowany.

Bellu również się uśmiechał. — Boję się jednak, że nie zmartwychwstanie za trzy dni.

Jego szef pokręcił głową.

— Nie po przejściu rzeczonych pocisku przez rzeczony mózg. — Powrócił do raportu. — Ślady lepkiej substancji znaleziono na nadgarstkach i kostkach denata oraz w okolicy ust.

Satta zamknął teczkę i odchylił się do tyłu w zamyśleniu.

— Rabbia został zatrzymany kiedy wyszedł z „Papagayo” — powiedział w końcu. — Zabrano go w jakieś spokojne miejsce i taśma przywiązano do krzesła. Wówczas zadawano mu pytania. — Uśmiechnął się lekko. — Rabbia prawdopodobnie zwlekał z odpowiedziami, więc dla zachęty wbito mu nóż w rękę. Wyciągnawszy z niego wszelkie pożądane informacje, strzelono mu w głowę, po czym porzucono.

Pochylił się, wziął akta z biurka i przejrzał je.

— Samochód Rabbii odnaleziono dzisiaj o drugiej po południu w bocznej uliczce koło dworca centralnego, nie było w nim nic ciekawego, z wyjątkiem — znowu sardoniczny uśmieszek — plastikowego jamnika z podskakującym łbem!

Potem Satta studiował zapisy podsłuchanych rozmów telefonicznych. Nie spodziewał się po nich zbyt wiele, bo chociaż zakładanie podsłuchu telefonicznego stanowiło już przemyśl narodowy, podejrzani doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Podczas gdy przerzucał kartki, Bellu powiedział: — Nic szczególnego, tyle że rano wykonano mnóstwo telefonów w poszukiwaniu Rabbii.

Satta rzucił akta z powrotem na biurko.

— Unia Korsykańska — powiedział ze zdecydowaniem. — To jedyne wyjaśnienie — od czasu ostatniej transakcji narkotykowej przestali się lubić. — Popatrzył na Bellu. — Jeśli to oni za tym stoją, możemy się spodziewać kłopotów. Zwykle działają według pewnego schematu. Wybierają sobie jakiegoś pionka grupy, wyciągają z niego wszystko na temat poczynąń innych — a potem planują totalny atak.

— To pasuje — potwierdził Bellu. — Wiemy, że Fossella i jego chłopcy od samego rana stosują dodatkowe środki ostrożności — mają więcej ochroniarzy i starają się nie wyjeżdżać na miasto.

Satta podjął decyzję.

— Połącz mnie z Montpelierem w Marsylii — on może coś wiedzieć.

Główny sztab Unii Korsykańskiej, francuskiego odpowiednika włoskiej mafii, znajdował się w Marsylii, a Montpelier pełnił w południowej Francji taką samą funkcję jak Satta. Mieli dobre robocze stosunki i kilka razy spotkali się na różnych konferencjach.

Ale Francuz nie mógł mu pomóc. Nic nie słyszał. Uważał, że jeżeli rzeczywiście stała za tym Unia Korsykańska, to musiała ściągnąć ludzi do takiej roboty aż z Korsyki. Obiecał mieć uszy otwarte i zawiadomić Sattę, gdyby coś zaszło.

Satta odłożył słuchawkę i stwierdził z pełnym przekonaniem: — To musi być

Unia Korsykańska — przecież to logiczne!

W Palermo Cantarella doszedł do takiego samego wniosku.

— To musi być Unia Korsykańska — powiedział trzem mężczyznom, siedzącym wokół stołu w jego gabinecie.

Jednym z nich był Floriano Conti, który właśnie przybył z wizytą z Rzymu. Dwaj pozostali, Graveli i Dicandia, byli czołowymi doradcami Canatarelli. Conti był nieco poirytowany i zakłopotany — Mediolan podlegał jego bezpośredniej kontroli.

— Fossella ostatnio podejmuje złe decyzje — powiedział. — Mówiłem mu, że wykiwanie Francuza przy tej transakcji było głupotą. Czasami próbuje być za sprytny. Ponieważ była to ostatnia dostawa przed zwróceniem się po następne bezpośrednio do Bangkoku, postanowił zarobić coś ekstra.

Dicandia wyraził swoją opinię: — Zdaje się, że traci poczucie rzeczywistości. Tamto porwanie też zostało fatalnie załatwione — popatrzył wokół. — Pamiętacie tę dziewczynę Balletto. W gazetach to marnie wyglądało. Została zgwałcona i zginęła w samochodzie. Ludziom się to nie podoba.

Graveli zdecydował, że teraz kolej na niego.

— Zwłaszcza ta robota powinna była być wykonana dobrze. A odpowiedzialnych za to ludzi należało surowo ukarać. Jednym z nich był siostrzeniec Fosselli, więc on tylko pozbawił ich obiecanych działek. — Uroczyście pokręcił głową. — Dyscyplina jest ważna w tym interesie — uważam, że Fossella zaczyna chyba mięknąć.

Conti przytaknął. — Rabbia brał udział w porwaniu, a szczerze mówiąc, to głupiec.

Wyraziwszy swoje opinie, zgodnie spojrzeli na Cantarellę, oczekując jego reakcji. Niski mężczyzna siedział na poduszce i przez jakiś czas się zastanawiał. Potem podjął decyzję. Jego głos brzmiał miękko i uprzejmie, kiedy przemówił do Gravellego — zawsze tak było, gdy wydawał rozkazy.

— Cesare, zrobiłbyś mi przyjemność, gdybyś pojechał do Marsylii i porozmawiał z Delorim. Jeżeli oni to zaczęli, masz się z nimi dogadać. Wyjaśnij im, że nie mamy w zwyczaju prowadzić interesów w sposób, w jaki ostatnio zrobił to Fossella. Powiedz mu, że Fossella dopłaci mu do tej transakcji — zaostrzył nieco głos. — Ale nie zachowuj się przepraszająco — daj mu do zrozumienia, że robimy to nie z powodu słabości, lecz dlatego, iż jesteśmy honorowymi ludźmi i prowadzimy uczciwe interesy.

— Wyjadę dzisiaj wieczorem, przez Rzym — powiedział Granelli, ale jego szef pokręcił głową.

— Odczekaj dwa lub trzy dni. Nie chcę, żeby myślał, że wpadamy w panikę przy pierwszej oznace kłopotów.



A następnie, do Dicandii:

— Maurizio, pojedź do Mediolanu i pogadaj z Fossella. Przekaż mu nasze niezadowolenie i życzenie, aby w przyszłości zachowywał większą kontrolę i... że ma wyrównać tę transakcję z Delorim.

Cantarella mówił pojednawczym tonem, kiedy zwrócił się do Contiego.

— Wiem, że jesteś bezpośrednio odpowiedzialny za Fossellę, ale uważam iż lepiej będzie, jeśli tę reprimendę otrzyma ode mnie.

Conti lekko pochylił głowę, przyjmując to do wiadomości, a Cantarella znowu przemówił do Dicandii: — Zrób to na osobności i dyskretnie. Nie chcę, żeby Abrata wiedział, że Fossella poważnie nam podpadł. Mogłoby to podsunąć mu jakieś pomysły, a ogólnie rzecz biorąc, sytuacja w Mediolanie jest całkiem dobra.

Popatrzył na Contiego w oczekiwaniu zgody i otrzymał ją.

— Stanowią świetną przeciwwagę dla siebie — powiedział Conti. — Mądrzej będzie nie zakłócać tego układu.

Cantarella był zadowolony z tego spotkania. Wstał i podszedł do barku — niski, elegancki mężczyzna w ciemnoszarym garniturze.

Inni poszli w jego ślady i nalał wszystkim po szklaneczce Chivas Regal z odrobiną wody sodowej.

Conti wolałby swoje ulubione Sambuco; ale kiedy don Cantarella osobiście nalewa whisky, pije się whisky.

W sobotni poranek w Neapolu Guido siedział na tarasie popijając kawę i odpoczywając przed ruchem w porze lunchu. Usłyszał jak za nim otwierają się drzwi, odwrócił się i ujrzał Pietra, niosącego gazetę. Chłopak położył ją na stole i pokazał na krótki artykuł w środku. Dotyczył on śmierci niejakiego Giorgio Rabbii — podobno mającego powiązania z przestępczością zorganizowaną. Było to zaledwie parę linijek. Mediolan nie jest miastem spokojnym i taka odosobniona śmierć nie wywołuje zbyt wielkiego podniecenia. Guido podniósł wzrok.

— Zaczęło się — powiedział. — Pakuj się — jutro wyjeżdżasz na Gozo.

## 17

Giacomo Sandri wstał z łóżka i wyciągnął się, z przyjemnością rozprostowując zmęczone mięśnie. Wziął zegarek z nocnej szafki i spojrzął na cyferblat — tuż po dziesiątej. Nagi poczłapał do okna, rozsunął zasłony i popatrzył na zaciemnioną ulicę. Jego czarne Alfa Romeo stało zaparkowane pod samym domem, a w oknie kierowcy dojrzał wystający łokieć Violente. Zadowolony, opuścił zasłony i odwrócił się. Dziewczyna patrzyła na niego z łóżka. Powitał ją uśmiechem.

— Jak się masz, malutka? Czy jesteś przy mnie szczęśliwa?

Dziewczyna przytaknęła z oczami utkwionymi w jego ciele.

— Czy musisz już wyjść? — zapytała markotnym głosem. — Nigdy nie zostajesz dłużej niż godzinę, a ja się potem nudzę.

Sandri był jednocześnie zadowolony i poirytowany. Zadowolony z tego, że pomimo swego wieku nadal był w stanie zaspokoić piętnastoletnią dziewczynę; a poirytowany, ponieważ ta panienska zaczynała być zaborcza, a przez to, nieznosna.

Ale wciągając spodnie doszedł do wniosku, że skoro lubi się młode dziewczyny, trzeba znosić ich dziecinne zachowanie. Podszedł do łóżka, usiadł i wyciągnął rękę, żeby chwycić ją za pierś; ale dziewczyna odwróciła się, co zdenerwowało go jeszcze bardziej.

— Tak już jest — powiedział, wstając i sięgając po koszulę. — Masz to ładne mieszkanie i mnóstwo pieniędzy do wydawania — chcesz wrócić do Bettoli?

Nie odpowiedziała, a on ubierał się dalej, z podziwem patrząc na swoje odbicie w długim lustrze. Podjął decyzję, że pora na kolejną zmianę. Miał unikalną możliwość zaspokajania swoich potrzeb odnośnie dziewcząt: jego praca dla wuja obejmowała kontrolę prostytutki. Kiedy młode dziewczęta tłumnie przybywały do miasta w poszukiwaniu pieniędzy, Sandri oraz jego asystenci już na nie czekali i posyłali do barów, klubów i burdeli, prowadzonych przez organizację. Zauważywszy szczególnie ładną i atrakcyjną dziewczynę, Sandri zostawiał ją dla siebie, a jak tylko mu się znudziła, szybko znajdował jej zastępczynię.

Nigdy nie wracały do Bettoli czy innej wioski, trafiały kolejno do szeregu burdeli. Postanowił, że następnego dnia przekaze dziewczynę Pezzutto, który prędko uzależni ją od narkotyków, a co za tym idzie, także od organizacji.

Był zadowolony z siebie. Decyzje zawsze należało podejmować bez emocji. Poszuka sobie innej dziewczyny — może nawet jeszcze młodszej. W miarę jak się starzał, lubił coraz młodsze. Pamiętał dziewczynę, którą porwali — jej ciało dopiero dojrzewało. Wspomnienie to poruszyło go i przez moment pomyślał o powrocie do łóżka, ale odrzucił taką ewentualność. Fossella kazał mu być do dyspozycji od jedenastej. Gravelli przyjechał z Rzymu, prawdopodobnie w sprawie śmierci Rabbii.

Siadł na łóżku i zamyślił się nad tym, wkładając buty. Przez jakiś czas należało być wyjątkowo ostrożnym, co stanowiło dodatkową przykrość — zwłaszcza, jeśli przez cały czas ma się przy sobie dodatkowego człowieka. A jednak, miał szczęście: Violente był raczej dyskretny, a skoro przydzielono go Sandriemu, mógł mieć pewność, że jego znaczenie wzrasta. Popadł w samozadowolenie i doszedł do wniosku, że swoje sukcesy zawdzięcza sprawności umysłu — o wiele większej niż w przypadku Rabbi, który był tępy i głupi. Skrzywił się na wspomnienie faktu, iż wówczas skazany został na przebywanie z nim przez ponad dwa tygodnie, kiedy to dziewczynka stanowiła jedyną możliwość zabicia nudy.

Wstał, nałożył szelki z kaburą, wsunął do niej broń i włożył marynarkę. Dziewczyna usiadła w łóżku i ciągle patrzyła na niego.

— Kiedy cię znowu zobaczę? — zapytała z rozdrażnieniem.

Pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

— Jutro — powiedział z uśmiechem. — Zabiorę cię na lunch, na wyjątkową ucztę — a potem chcę cię przedstawić swojemu przyjacielowi.

Otworzył kluczem drzwi małego mieszkanka i wyszedł na półpiętro. Usłyszał głos wołający: — Sandri! — Obrócił się, sięgając pod marynarkę.

Miał sprawny umysł. Już po sekundzie uświadomił sobie, że patrzy z bardzo bliska w czarne lufy dubeltówki. Potem czerń zastąpiły żółć i biel.

Satta zaczynał się niecierpliwić. Aktorce dopisywało niezwykle szczęście. Niewątpliwie miała pewne zdolności i rozumiała ważniejsze aspekty tej gry, ale żeby wygrać z nim trzy razy na pięć, trzeba dużo szczęścia. Potrząsnął kośćmi i rzucił je na zielone sukno. Dwa i jeden — cholera! Dziewczyna posłała mu uśmiech współczucia — była dobrą aktorką. Następnie sięgnęła po podwójne kości, unosząc kształtną brew w badawczym łuku.

Satta skinął głową i zazgrzytał zębami. Nie było mowy o zabranii jej do sypialni dopóki przynajmniej nie zremisuje. Stawką był tu honor — w końcu to jemu przyznano miano eksperta. Spojrzał na zegarek i zaklął pod nosem. Dochodzi jedenasta.

A wieczór zaczął się tak dobrze. Przyszła w płomiennie czerwonej, luźnej sukni z głębokim dekoltem. Miała delikatną, miękką urodę, którą Satta tak bardzo podziwiał — a także wysokie, jędrne piersi. Właśnie oglądanie tych piersi

przy każdym jej pochyleniu kosztowało go utratę koncentracji i przegranie kilku pierwszych partyjek.

Posiłek stanowił popis jego umiejętności kulinarnych. Zaczęli od pasztetu jego wypieku, który popijali szampanem, potem była przystawka z karczochów, przyprawionych po rzymsku pietruszką i majerankiem. Ona postąpiła przy szampanie, a on wypił wytrawne Colli Albani. Główne danie było jego specjalnością: *abbacchio brodetto* — młode jagnię w sosie z żółtka i cytryn. Do tego pili jasnoczerwone Cecuba. Na koniec zjedli, oczywiście, *gelato di tutti frutti*. Aktorka była pod wrażeniem i Satta z przyjemnością myślał o szybkiej partyjce trik-traka i nieco dłuższej zabawie w sypialni.

Puls zaczął mu bić szybciej. Miała nieudany rzut i musiała cofnąć swój pionek za linię. Jeśli wyrzuci szóstkę, może się z nią zrównać i zmienić losy gry — za dziesięć minut mogą być w łóżku. Oderwał wzrok od jej biustu, potrząsnął kośćmi, wyrzucił dwie szóstki i... zadzwonił telefon.

Bellu stał obok Alfa Romeo. Przed nim parkowała furgonetka policyjna z generatorem, który zapewniał oświetlenie całej sceny. Satta wysiadł ze swego samochodu. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Czyli wyglądał dokładnie tak, jak brzmiał przez telefon piętnaście minut wcześniej.

Powitał Bellu chrząknięciem i zajął do samochodu.

— Violente — powiedział Bellu. — Sandri jest na górze.

— Tak go znalezione? — zapytał Satta.

— Nie. Siedział oparty za kierownicą, z łokciem wystającym przez okno. Pierwszy policjant, który dotarł na miejsce, kazał mu wysiąść, a jak nie zareagował, otworzył drzwi. Ciało wypadło wprost na niego.

Satta jeszcze raz zajął do samochodu. Zwłoki leżały w poprzek siedzeń, z głową opartą o przeciwległe drzwi. Krew była wszędzie — na desce rozdzielczej, na siedzeniach oraz w kałuży na podłodze. Nadal rytmicznie kapła z dużej rany w podbródku Violente.

Satta odwrócił się, pociągając nosem.

— Zmarł równie niechlujnie jak żył — skomentował. — Chodźmy na górę.

Bellu skinął na techników dochodzeniowych, że mogą kontynuować i ruszył za szefem. Sandri leżał na plecach na półpiętrze drugiej kondygnacji. Do niedawna biały ręcznik zakrywał mu twarz i ramiona. Policyjny fotograf pakował swój sprzęt.

Drzwi do mieszkania były otwarte i Satta mógł zajrzeć do sypialni. Na łóżku siedziała dziewczyna, luźno okryta prześcieradłem. Młody policjant usiadł koło niej, robił notatki w notesie i starał się nie zaglądać zbyt ostentacyjnie pod pościel.

Bellu skinął głową w kierunku dziewczyny. — Właśnie wychodził po zabawie ze swoją panią.

Satta przytaknął, spojrzął w dół na zakrwawiony ręcznik i wymamrotał: — Czyli miał więcej szczęścia niż ja. — Wyciągnął rękę i podniósł róg ręcznika. — A może i nie — dodał i pozwolił ręcznikowi opaść z powrotem. Pomimo opalenizny widać było, że zbladł.

— Obrzyn — powiedział Bellu. — Z bardzo bliska.

Satta pokiwał głową, patrząc w dół na poplamiony krwią ręcznik. Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

— Tak, już widzę raport patologa: „rozległe urazy mózgu, prawdopodobnie spowodowane przejściem ogromnej ilości grubego śrutu”.

Znowu spojrzął w kierunku mieszkania. — Powiedz mi, co wiesz.

— To jest gniazdko miłosne Sandriego — odpowiedział Bellu. — Utrzymuje to mieszkanie, natomiast dziewczyny regularnie zmienia. Przychodzi tutaj prawie co wieczór. Ostatnio, od zastrzelenia Rabbii, Violente czekał na niego na zewnątrz. Sprawca poderżnął mu gardło od ucha do ucha i zostawił go opartego o siedzenie. Tam na dole jest ciemno, więc przypadkowy przechodzień nie mógł niczego zauważyć. Tymczasem zabójca przyszedł tutaj i czekał. Prawdopodobnie miał na sobie płaszcz, a pod nim obrzyna. Kiedy Sandri wyszedł, przystawił mu obie lufy do samej twarzy.

— Czy dziewczyna coś widziała? — zapytał Satta.

— Nic — odpowiedział Bellu. — Jest bardzo młoda, ale nie całkiem głupia. Kiedy usłyszała huk, schowała głowę pod poduszkę i tak już pozostała, aż do przybycia policji. — Pokazał kciukiem w górę. — Kobieta w mieszkaniu piętro wyżej usłyszała strzał, zeszła kawałek po schodach i rzuciła okiem. Ujrawszy Sandriego, leżącego tutaj tylko z połową głowy, wpadła w histerię. Przestała wrzeszczeć dopiero parę minut temu. Ktoś jest u niej i próbuje ją uspokoić oraz nakłonić do zeznań.

— To ciekawe — stwierdził Satta.

— Co?

— Wspomniałeś o „sprawcy” w liczbie pojedynczej — dlaczego tylko jeden?

Bellu wzruszył ramionami. — Nie wiem — mam po prostu takie przeczucie. Rabbia i ci dwaj zostali zabici przez jednego mężczyznę.

— Bardzo logiczne. — Satta wszedł do mieszkania. Młody policjant zobaczył go, podszedł i przeczytał z notesu:

— Amelia Zanbon, piętnaście lat, z Bettoli — prawdopodobnie uciekła z domu. Bardzo możliwe, że będziemy mieli zgłoszenie o jej zaginięciu sprzed sześciu tygodni — właśnie od tak dawna jest z Sandrim.

Satta popatrzył obok niego na dziewczynę; siedziała drobna i przestraszona, na łóżku.

— Każ jej się ubrać i spakować swoje rzeczy, a potem zabierz ją na komisariat. Wyciągnij od niej wszystko, co się da o jej powiązaniach z Sandrim i przekaz ją do

Wydziału Zaginionych. Dopóki nie wyjedzie z Mediolanu, musi mieć całodobową ochronę.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni, a drzwi zostały za nim zatrzaśnięte. Zrobił parę kroków, po czym stanął, zawrócił i otworzył drzwi. — Możesz poczekać na nią na zewnątrz — powiedział sucho, a rozczarowany policjant wyszedł za nim z mieszkania.

Podszedł Bellu.

— Wygląda na to, że zaczyna się wojna na pełną skalę — powiedział. — Trzech w ciągu trzech dni.

Satta przytaknął z głębokim zamyśleniem. — To Unia Korsykańska — powiedział stanowczo. — Oni lubią korzystać z noży i dubeltówek.

— Nie podoba mi się to — trochę przesadzają. Jeszcze chwila i niewinni ludzie znajdują się na linii strzału. — Opuścił wzrok na ciało Sandriego. — Rabbia powiedział im, gdzie go szukać — ciekawe, co jeszcze im powiedział.

— Prawdopodobnie wszystko, o co zapytali — stwierdził Bellu.

— Tak — zgodził się Satta. — Ale o co oni pytali?

Stali i patrzyli jak policjanci chowają ciało Sandriego do plastikowego worka. Wówczas Satta odwrócił się, rzucając przez ramię. — Jedź za mną do biura — czeka nas pracowita noc — i pracowity tydzień.

Teraz zainteresowanie gazet wzrosło. Trzy zabójstwa w przeciągu trzech dni, to już było coś, nawet wedle norm Mediolanu. Dziennikarzy zajmujących się przestępstwami wyciągano z barów lub łóżek i kazano pisać artykuły. Nieuchronnie, doszli do takiego samego wniosku jak Satta i Cantarella. Następnego dnia rano nagłówki ogłaszały wojnę mafii z Unią Korsykańską. Materiały redakcyjne rozpisywały się o międzynarodowej przestępczości i naturalnie nawoływały do większej praworządności.

Satta począł odczuwać naciski z góry. Coś musi zostać zrobione, powiedział mu jego szef w stopniu generała. Wygląda to wystarczająco źle, kiedy włoscy przestępcy zabijają się nawzajem, ale kiedy giną z rąk Francuzów, zakrawa na kompletną hańbę.

Na Gozo Piła wszedł do „Gleneagles” i rzucił egzemplarz „Il Tempo” na bar. Stali bywalcy zebrali się wokół niego i dyskutowali o artykule. Czy już było po wszystkim? Czy Creasy wypełnił swoją misję?

Guido w Neapolu i Leclerc w Marsylii też czytali gazety; ale oni wiedzieli, że to dopiero początek.

Dino Fossella był zaniepokojony i zły. Martwił się, ponieważ ginęli jego lu-

dzie, a gniewał z powodu reprimendy Cantarelli. Oburzyła go głęboko. Nigdy nie lubił Cantarelli. Od lat nadęty, drobny „arbiter” przesiadywał w tej swojej willi pod Palermo, rzadko kiedy ją opuszczając, nigdy nie brudząc sobie rąk, ale zgarniając solidną działkę po każdej akcji. Zupełnie jak jakiś pieprzony polityk.

Fossella siedział w samochodzie i zgrzytał zębami na wspomnienie wiadomości, jaką przekazał mu Dicandia: — Jesteśmy z ciebie niezadowoleni.

Napuszony, karłowaty drań! Gdyby nie sojusz Cantarelli z Contim, powiedziałby mu, co ma zrobić ze swoim niezadowolaniem. Ale ten cwaniak był sojusznikiem wszystkich szefów we Włoszech — prawdziwy polityk.

Była środa wieczorem i Fossella jechał do wioski Bianco na kolację u matki. Był dobrym synem i w każdą środę jadał z nią kolację. Ilekroć zdarzało mu się nie pojawić, miał wyrzuty sumienia, matka natomiast wpadała w gniew, a nawet Cantarella okazywał się zbyt słaby wobec gniewu jego matki.

Jechał z wielką ostrożnością, po obu stronach jego samochodu jechały dwa inne, pełne ochroniarzy.

Francuskie gnojki! Tyle zamieszania z powodu dwudziestu milionów lirów. Tak czy owak, jego osobisty wysłannik wkrótce zjawi się w Marsylii z pieniędzmi i wtedy będzie mógł odetchnąć.

Konwój wjechał do Blanco, a potem na wznoszącą się tarasami ulicę, przy której stał dom jego matki. Ochroniarze wyskoczyli z rękami zwieszonymi przy rozpiętych marynarkach. *Melodrama*, pomyślał Fossella; ale nawet te bestie z Unii Korsykańskiej nie wciągają rodzin do interesów.

— Poczekajcie tutaj — rzucił. — Zostanę tu dwie godziny, nie więcej.

Był niski, zaczynał łysieć i miał skłonności do tycia, więc dostał lekkiej zadyszki, wspiąwszy się po kamiennych schodach do małego domu.

Matka posłała mu wściekłe spojrzenie. Nic nie powiedziała, ponieważ na ustach miała pasek białej taśmy. Taka sama taśma dociskała jej nadgarstki i kostki nóg do krzesła. Bardzo silnie zbudowany mężczyzna stał koło niej z obrzynem w ręku. Jego krótkie lufy spoczywały na ramionach kobiety. Ich wyloty dotykały jej lewego ucha.

— Najmniejszy dźwięk — cicho powiedział mężczyzna — a staniesz się sierotą.

Kazał Fosselli stanąć twarzą do ściany, oprzeć o nią ręce i rozkraczyć nogi. Nie słyszał, że mężczyzna podchodzi i właśnie próbował się domyślić kim mógł być, kiedy mocne uderzenie w potylicę przerwało te spekulacje.

Cios był dokładnie wymierzony. Kiedy Fossella doszedł do siebie, kolana i kostki miał mocno zlepione ze sobą taśmą; zalepione miał również nadgarstki i usta. Potem został podniesiony i przeniesiony na tyły domu. Przeklinał swoją głupotę. Jeden człowiek bierze go jak dziecko i niesie.

Szara furgonetka stała zaparkowana na brukowanej ulicy za domem. Fossella został szybko do niej wrzucony, a drzwi cicho zamknięte. Poczuł jej ruch, kiedy

zaczęła się wolno staczać z łagodnego zbocza i pomyślał o swoich ochroniarzach, trzydzieści metrów dalej, na ulicy poniżej. Znowu zaklął, ale gniew powoli ustępował strachowi. Nie zasłonięto mu oczu. Zauważył przyblakły napis na boku furgonetki: luigi racca — handlarz warzyw. Nic mu to nie mówiło, ale fakt iż mógł zobaczyć ten napis świadczył o jeździe w jedną stronę.

Przed upływem dwóch godzin kończyny miał zeszywniałe, obolałe i w końcu omdlałe. Jego umysł nadal aktywnie pracował, ale nie znalazł żadnych odpowiedzi, a furgonetka w końcu stanęła i silnik został wyłączony. Otworzyły się drzwi z boku i znowu podniesiono go bez specjalnego wysiłku. Było ciemno, ale widział zarysy wysokich drzew i małego, bielonego domu. Porywacz zaniósł go do drzwi i otworzył je stopą. Fossella został niezbyt delikatnie rzucony na kamienną podłogę. Zapaliło się światło. Leżał bez ruchu i słyszał, jak mężczyzna chodzi po pokoju. Po kilku minutach kroki zbliżyły się i został przewrócony na plecy. Z tej pozycji i skróconym kącie widzenia mężczyzna zdawał się wyrastać nad nim niczym wieża sięgająca sufitu. Mężczyzna zdjął Fosselli buty. Następnie zerwał mu taśmę z kolan i kostek. Fossella rozluźnił skurczone mięśnie, ale nie próbował niczego. Wiedział, że nie ma żadnych szans. Leżał na plecach, z ciałem wygiętym z powodu związanych rąk, bardzo przestraszony, a nagle równie zaintrygowany, bo poczuł odpinanie paska oraz otwieranie rozporoka. Ręka wsunęła się pod plecy, uniosła go lekko i najpierw zdjęto mu spodnie, a następnie bieliznę. Dopiero kiedy został obrócony na brzuch, a nogi brutalnie rozkraczone, zaintrygowanie zmieniło się w konsternację i rosnącą panikę. Poczul ręce na pośladkach, które zostały rozciągnięte, wydał gardłowy krzyk i rzucił się do dzikiej walki. Porywacz go gwałcił!

Walka była krótka. Ręce puściły pośladki, a cios za uchem sprawił, iż stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, nie czuł szczególnie ostrego bólu, jedynie drobną dolegliwość, ale miał obolałe ciało.

Przed sobą zobaczył prosty, drewniany stół. Niedaleko środka, nieco na lewo, widniała na nim ciemna plama, otaczająca małą dziurkę. Podniósł wzrok na człowieka siedzącego naprzeciwko. Przed nim leżał otwarty notes oraz kilka innych przedmiotów, a wśród nich staromodny budzik. Stał tarczą do niego. Była 9.02.

— Słyszysz mnie?

Fossella przytaknął z bólem. Chociaż nadgarstki i kostki miał przyklepione do krzesła, taśma z ust została zdjęta. Nic nie mówił — był starszy i mądrzejszy niż Rabbia. Mężczyzna sięgnął i wziął jeden z przedmiotów — metalowy cylinder, zaokrąglony na obu końcach. Rozkręcił go po środku i pokazał Fosselli obie puste połówki.

— To jest „ładowacz”. Używają go skazańcy, i nie tylko, do przechowywania



kosztowności: pieniędzy, nawet narkotyków. Ukrywają go w odbycie.

Fossella skulił się w krześle — przypomniał sobie — czuł tę niewygodę. Mężczyzna naprzeciw wziął grudkę czegoś co wyglądało jak szara plastelina. Głos ciągnął dalej:

— To jest *Semtex*.

Wcisnął grudę do jednej z połówek cylindra, ubijając ją starannie kciukiem.

— To jest detonator.

Uniósł niewielki, okrągły, metalowy przedmiot z pojedynczym bolcem, sterującym z jednego z końców. Bolec został wciśnięty do plastiku.

— A to jest zegar.

Jeszcze jeden okrągły, metalowy przedmiot, z dwoma bolecami. Oba zostały wetknięte w gniazdko na odkrytej części detonatora, a dwie połówki cylindra skrócone razem. Mężczyzna uniósł cylinder trzymając go między palcem wskazującym a kciukiem.

— W ten sposób ładowacz staje się bombą. Bardzo małą, ale i bardzo potężną. — W głosie nieznajomego pojawiła się nuta refleksji: — Zdobycze techniki. Dziesięć lat temu bomba o takiej sile ważyłaby ponad kilogram.

Zimnymi oczami świdrował Fossellę. Głos stał się teraz matowy.

— Masz identyczną bombę w tyłku. Jest nastawiona na eksplozję o dziesiątej.

Fossella powędrował wzrokiem do budzika. 9.07.

Sytuacja była klarowna. Fossella odpowie na pewne pytania. Jeśli udzieli pełnych i uczciwych odpowiedzi, i to przed dziesiątą, otrzyma pozwolenie na usunięcie bomby.

Fossella zaprotestował — i tak zostanie zabity.

Usłyszał wyjaśnienie, że — w przeciwieństwie do innych — jest potrzebny żywy. Fossella nie uwierzył. Mężczyzna wzruszył ramionami i zamilkł z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

Mijały minuty, a jedynymi odgłosami, jakie słyszało się w pokoju były tykanie zegarka i krótki, nerwowy oddech Fosselli. Jedynym, co w tej chwili odczuwało jego ciało był ucisk w jelitach. O 9.22 złamał się. Przecież nie miał nic do stracenia.

— Co chcesz wiedzieć?

Mężczyzna wziął długopis i zdjął skuwkę.

— Chcę wiedzieć wszystko o Contim i Cantarelli; ale najpierw chcę wiedzieć, dlaczego człowiek o twojej inteligencji porwał dziewczynkę, której ojciec nie miał pieniędzy.

O 9.53 nastąpił koniec pytań. Mężczyzna nasunął skuwkę na długopis, zamknął notes i wstał. Przez kilka chwil patrzył na Fossellę, a potem ruszył do drzwi i wyszedł. Fossella słyszał warkot silnika furgonetki. Wkrótce ucichł w oddali, pozostawiając jedynie rytmiczne tykanie zegarka. Nie krzyczał i nie walczył.

Siedział sztywno ze wzrokiem utkwionym w tarczę. O 9.58 zabrzmiał przenikliwy dźwięk alarmu i jego umysł rozleciał się na kawałki. Dwie minuty później to samo spotkało jego ciało.

Satta spojrział w dół na aktorkę. Jej rzeźbione, nagie ciało było gładkie i lśniące od potu, a czerwone usta nabrzmiałe pożądaniem.

Czekał, żeby to powiedziała.

Przez pół godziny z ogromną zęczością pracował nad doprowadzeniem jej do takiego stanu oczekiwania. Każdy centymetr jej ciała poczuł jego wargi i pieszczące palce. Teraz czekał tylko, żeby to powiedziała.

Wieczór okazał się absolutnym sukcesem. Raz jeszcze ugotował pyszną kolację, a po niej wygrał trzy szybkie partyjki trik-traka. To prawda, że podejrzewał ją o celowo byle jaką grę; nieważne — to tylko pozwoliło mu popisać się swoimi zdolnościami dotykowymi.

Powiedziała to.

— Proszę, *caro*! Proszę!

Serce mu śpiewało. Wsunął nogę pod śliskie uda, uniósł się lekko, spojrział głęboko w jej błagające oczy i powiedział: — Włóż go.

Szczupła dłoń wśliznęła się między nich, niespokojne palce poszukały i znalazły, po czym przyciągnęły go ku wilgotnym, jedwabistym włosom. Jęknął z rozkoszy i wsunął się na parę centymetrów. Boże, jaka była mała! Opadł niżej, ucałował czubek jej nosa, wygiął się przed pierwszym wieńczącym ruchem i... zadzwonił telefon.

## 18

— To nie Unia Korsykańska.

Satta powiedział to z naciskiem, spoglądając na raport patologa. Bellu siedział naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka.

— Skąd taka pewność?

Satta postukał w raport. — Oni nie mają aż takiej wyobraźni. — Uśmiechnął się. — Noże, tak, dubeltówki, tak, pistolety, tak. Bomby, owszem; ale nie w odbycie.

Pokręcił głową. — To zupełnie inny rodzaj umysłu.

Minęły dwa dni od śmierci Fosselli i od Satty natarczywie domagano się odpowiedzi. Gazety pełne były artykułów na ten temat, ze wszystkimi ohydnyymi szczegółami.

Konsultacje z Montpelierem z Marsylii utwierdziły Sattę w przekonaniu, że jego dedukcja była słuszna. Unia Korsykańska przekonała zarówno marsylską policję, jak Gravellego, że nie ma sobie nic do zarzucenia i jest wręcz pogrążona w smutku.

Pośród donów mafii podejrzenia rozprzestrzeniały się z prędkością ognia na suchym rzysku. Cantarella kipiał i był zaniepokojony. Ktoś niszczył trzy dekady planów godnych męża stanu. Ale kto?

Można było się spodziewać, że Satta, ze swoim analitycznym umysłem, rozpracuje to jako pierwszy. Przez dwa dni prawie nie wychodził z biura. Romans z aktorką i tak dobiegł już kresu.

— Są pewne granice — powiedziała mu. Takie ciągłe przerywanie może przyprowadzić o wysypkę. Nie mogła sobie na to pozwolić ze względu na karierę.

Tak więc teraz Satta mógł się skoncentrować. Bez końca rozmyślał o ewentualnych powiązaniach: Rabbia, Violente, Sandri i Fossella. Dopiero jak wykreślił Violente z tego równania, udało mu się połączyć nazwiska. Przeklął własną głupotę — Violente zginął jedynie przez przypadek. Ochraniał Sandriego.

— Porwanie Balletto!

Bellu uniósł brew. — Porwanie?

— Wspólny mianownik! Rabbia i Sandri razem wykonali tę robotę. Fossella ją organizował.

Przez następną godzinę dwaj policjanci byli bardzo zajęci. Prędko zdecydowali, że sam Balletto nie był w to bezpośrednio zamieszany, chociaż mógł finansować akt zemsty. Zwrócili uwagę na ochroniarza, chociaż początkowo mieli bardzo sceptyczne nastawienie. Wiedzieli, że został zatrudniony jedynie za tak zwaną „premię ubezpieczeniową” oraz że był alkoholikiem; ale telefon do szpitala wzmógł zaniepokojenie Satty. Rozmawiał z naczelnym chirurgiem, który przypadkiem był przyjacielem jego brata i dowiedział się, że ochroniarz przeszedł bardzo skuteczną kurację i podczas rehabilitacji był bardzo pilny. Następny telefon do agencji dostarczył informacji, iż ochroniarz kiedyś był najemnikiem. Pilne zapytanie Stopnia Pierwszego zostało wysłane telexem do Paryża i podczas oczekiwania na odpowiedź udało im się odkryć powiązanie z jakimś Guido Arrello, właścicielem „Pensione Splendide” w Neapolu.

W trakcie wszystkich tych dociekań dzięki swojej randze, reputacji i znajomościom, Satta uzyskiwał szybkie odpowiedzi. Osobiście zadzwonił do dyrektora wydziału imigracji w Rzymie, a komputer tego wydziału bezzwłocznie ustalił, że ochroniarz opuścił Reggio di Calabria promem na Maltę sześć dni po wyjściu ze szpitala. Nie było żadnej informacji o jego powrocie do Włoch.

Następnie Satta zadzwonił do swego kolegi na Malcie. Poznał George’a Zammita przed rokiem na szkoleniu w Rzymie i polubił go. Odłożywszy słuchawkę po krótkiej rozmowie, spojrzął na Bellu z zamyśleniem i powiedział: — Ciekawe, ale dziwne.

— Dlaczego?

— Potwierdził jego przybycie na Maltę, ale powiedział, że trzy tygodnie temu udał się drogą morską do Marsylii.

— To wszystko?

Satta przytaknął. — Tak, to wszystko.

— Więc co w tym dziwnego i ciekawego?

Satta uśmiechnął się. — Maltańska policja jest skuteczna — odziedziczyła to po Brytyjczykach, Ale nie aż tak skuteczna, nie wprowadza danych do komputera. Zammit miał te informacje pod ręką, czyli jest nimi osobiście zainteresowany. Mimo to jak go zapytałem czy wie coś jeszcze o tym człowieku, powiedział, że ma za mało ludzi i jest przepracowany. Coś ukrywa — dlaczego?

Przerwała im odpowiedź z Paryża. Maszyna stukała przez długi czas i papier, który Satta w końcu mógł przeczytać miał ponad pięć metrów długości. Studiował go w milczeniu, podczas gdy Bellu czekał z napięciem. W końcu Satta zrolował papier w dłoniach i odchylił się w krzesło.

— Ten ochroniarz za premię — powiedział cicho — był, a może i jest, śmiertelnie niebezpiecznym człowiekiem.

Zerwał się na równe nogi.

— Jedziemy do Como pogadać z Balletto i jego szacowną żoną.

W domu nad jeziorem, Ballettowie siedzieli naprzeciwko siebie przy politurowanym stole i jedli kolację. Rika schudła, ale zachowała urodę. Po nim nie było widać żadnych zmian.

Na otwarciu drzwi odwrócili się, przekonani, że jest to Maria z deserem. Ale drzwi wypełniła potężna sylwetka Creasy'ego. Stał bez ruchu i wodził wzrokiem od jednego z nich do drugiego. Oni gapili się na niego, sparaliżowani.

Ettore doszedł do siebie pierwszy. — Czego chcesz? — zapytał ostro. Creasy ruszył przed siebie, wziął krzesło, odwrócił je i usiadł z rękami na oparciu. Popatrzył na Ettore. — Mam zamiar porozmawiać z twoją żoną. Jeśli się ruszysz, albo powiesz choć słowo, zabiję cię.

Sięgnął pod marynarkę i położył ciężki pistolet na stole przed sobą.

— Jest nabity — powiedział z odcieniem sarkazmu. Ettore popatrzył na broń, cały sflaczał i bezładnie opadł w krzesło. Creasy zwrócił się do Riki. Twarde rysy jego twarzy zmiękły; głos stał się łagodny.

— Opowiem ci pewną historię.

Powtórzył jej to, czego dowiedział się od Fosselli: porwanie Pinty było spiskiem — chodziło o ubezpieczenie. Ettore wykupił polisę w londyńskim Lloyd's na dwa miliardy lirów. Według umowy Fossella połowę okupu miał zwrócić Ettore. Pośrednikiem był Vico Mansutti. Miał powiązania ze zorganizowaną przestępczością; dostał prowizję. Rika słuchała, nie spuszczać wzroku z twarzy Creasy'ego. Dopiero jak skończył, odwróciła się i popatrzyła na męża. Nad stołem unosiła się niemal namacalna nienawiść. Ettore osunął się jeszcze niżej w krzesło, otworzył usta, potem zamknął je i spuścił wzrok.

— A inni? Ci, którzy to zrobili? Zabiłeś ich?

Creasy przytaknął. — Zamierzam zabić wszystkich, którzy coś na tym zyskali. Łącznie z donami w Rzymie i w Palermo.

W dużym, eleganckim pokoju znowu zapanowała cisza, którą przerwał głos Riki, mówiącej do siebie w zadumie.

— Pocieszał mnie. Mówił, że nadal mamy siebie — życie toczy się dalej.

Podniosła wzrok na Creasy'ego.

— Powiedziałeś, że wszystkich?

Wziął pistolet ze stołu i pokiwał głową.

— Przyszedłem tutaj, żeby zabić jego.

Ettore podniósł wzrok, ale nie na niego, lecz na żonę.

Creasy odłożył pistolet i wstał.

— Może powinienem zostawić go tobie.

— Tak! — jej słowa syczały. — Zostaw go mnie — proszę.

Creasy ruszył do drzwi, ale głos Riki zatrzymał go.

— A co z Mansuttim?  
Creasy odwrócił się i pokręcił głową.  
— Nie martw się o Mansuttiego.  
Zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Satta i Bellu jechali drogą nad jeziorem, minęła ich niebieska Alfetta, zmierzająca w przeciwnym kierunku.

Vico Mansutti odebrał telefon w swoim mieszkaniu na poddaszu. Ettore zachowywał się histerycznie, mówił bez składu i ładu. Vico z trudem rozumiał niektóre słowa.

— Poczekaj — zażądał ostro. — Będę tam w przeciągu godziny. Weź się w garść.

Szybko narzucił marynarkę i poinformował żonę, że nastąpił drobny kryzys. Wróci późno.

W piwnicznym garażu wsiadł do Mercedesa i zapalił silnik — wraz z półkilogramowym ładunkiem plastiku.

Satta był pod niesamowitym wrażeniem. Odchylił się w krześle i powiedział z wielką czcią:

— Nigdy, przenigdy nie jadłem tak pysznego *fritto misto*!

Guido obojętnie wzruszył ramionami. — W Neapolu nie mieszkają sami wieśniacy.

— Najwyraźniej — zgodził się Satta, wycierając usta serwetką. — Ale jak na byłego przestępcę, byłego skazańca, byłego legionistę i byłego najemnika, masz dość egzotyczne talenty. Czy przypadkiem grywasz też w trik-traka?

— Owszem, ale co to ma do rzeczy?

Satta uśmiechnął się. — To prorocstwo. Mój pobyt tutaj będzie niezwykle przyjemny.

— Mówiłem już. Pensjonat jest zamknięty. Jedźcie do hotelu.

Satta wylał resztkę schłodzonego Lacrima Christi i wypił ją z upodobaniem. Kiedy znowu przemówił, w jego głosie nie było już zadziornej nuty.

— Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiesz realia sytuacji. Do tej pory Cantarella na pewno już wie, kto narobił tylu kłopotów jego organizacji. Jego możliwości śledcze są równie dobre jak moje — a może lepsze. Ani się obejrzysz jak trop doprowadzi go do ciebie, a wtedy jego chłopcy przyjadą tu z mnóstwem pytań. Będą znacznie mniej grzeczni ode mnie.

Guido znowu wzruszył ramionami. — Potrafię dawać sobie radę.

Ale rozumiał, o czym mówi Satta. Zaledwie godzinę wcześniej Elio zadzwonił do niego z Mediolanu i ostrzegł, że dwóch mężczyzn odwiedziło jego biuro i pytało o rekomendację, jakiej udzielił Creasy'emu w agencji. Przestrzegając instrukcji Guido, powiedział im po prostu, że robił przysługę bratu. Należało się liczyć z bardzo rychłą wizytą w pensjonacie. Faktem było, że obecność pułkownika *Cambinieri* może utrzymać ich na dystans.

— Przygotuję ci pokój — powiedział krótko. — Ale nie licz na śniadanie w łóżku.

Satta gestem ręki odzegnał się od tego. — Nie sprawię kłopotu. Uwierz mi, tak będzie lepiej — mamy sobie mnóstwo do powiedzenia.

Satta przyjechał tego wieczoru i miał za sobą cały dzień drogi z Mediolanu. Zdecydował się na jazdę samochodem; dało mu to czas na myślenie i ponowne skupienie nad wydarzeniami minionego tygodnia. A także na pogodzenie się z faktem, że najpotężniejsi ludzie w kraju byli likwidowani przez człowieka, działającego w pojedynkę.

Powrócił myślami do rozmowy, jaką wcześniej przeprowadził z małżeństwem Balletto w domu nad jeziorem. Oraz do niezwyklej sceny jaka się tam rozegrała.

Zwykle nienaganny Balletto miał popielatą twarz i był dosłownie roztrzęsiony, a jego żona okazywała lodowate lekceważenie.

Na początku Ettore odmawiał rozmowy, czekając na swojego adwokata; ale usłyszawszy o nagłej śmierci Mansuttiego, załamał się i z rozpaczą zaczął traktować Sattę jak spowiednika. Wyrzucił z siebie wszystko; chaotycznie, miejscami bez związku oraz, zdaniem Satty, z żalosnym błaganiem o zrozumienie. Starał się nie przerywać potoku słów i tylko z rzadka wtrącał uwagi dla bliższego wyjaśnienia jakiegoś problemu, zawsze zachowując współczucie na twarzy i w głosie.

Bellu robił notatki, podczas gdy Rika siedziała, milcząca i zimna, ani na chwilę nie odwróciwszy oczu od męża, a na jej twarzy nie malowało się nic poza obrzydzeniem.

Zdziwienie Satty wywołała zaskakująca informacja, iż Creasy zamierza to kontynuować i dotrzeć aż do Contiego i Cantarelli. Zakładał, że zabicie Fosselli powinno zadowolić jego pragnienie zemsty; a także iż teraz ochroniarz śpieszył już ku granicy i jakiemuś odległemu krajowi.

Pozostawił Bellu wszczęcie postępowania przeciwko Balletto, a sam wrócił do mieszkania, żeby pomyśleć.

Sytuacja była dwuznaczna. Z jednej strony, wyczyny Creasy'ego uderzały w samo serce mafii — w jej dumę. Sam jeden! Jeśli rzeczywiście nie przestanie i dobierze się do Contiego, skutki mogą być katastrofalne dla mafii; jeśli dokona rzeczy niewyobrażalnej i zabije Cantarellę, może tą drogą zadać jej śmiertelną ranę.

Sojusz między Cantarellą i Contim stanowił spoiwo organizacji. Doszłoby do chaosu, a on, Satta, wykorzystałby ten chaos i zamknął wszystkich żyjących jesz-

cze donów, a organizacja cofnęłaby się o dekadę, albo i więcej. Nie miał złudzeń. Jego policyjne obowiązki pozwolą mu jedynie zahamować sprawy. Nie mógł zniszczyć potwora na zawsze, jedynie powstrzymać jego wzrost. Ale cóż za okazja!

Z drugiej strony, jego zadaniem było łapanie zabójców, bez względu na to, kogo zabijali i dlaczego. Nie odczuwał wyrzutów sumienia. Satta dumny był z tego, że sumienie miał starannie zamknięte w wykładanym stałą pudełku. Pewnego dnia, kiedy znudzi mu się cynizm, otworzy je i zrobi sobie niespodziankę.

Był to natomiast kryzys przyzwoitości. Według jego filozofii przepisy mogły i powinny być naginane; ale musiały istnieć, a przywilej ich interpretacji przysługiwał jedynie strażnikom prawa. Tak więc Creasy stanowił dylemat. Stworzył unikalną okazję, ale i naruszył poczucie przyzwoitości Satty. Walczył z tym dylematem do późna w nocy i ostatecznie osiągnął szlachetny kompromis. Następnego dnia z samego rana udał się do swego szefa, generała, opowiedział mu całą historię oraz wyjaśnił zasady kompromisu. Generał miał niego zaufanie. Wspólnie uzgodnili, że Satta będzie w pełni kontrolował tę sprawę. Prasie na razie nic nie powiedzą, choć to nieuniknione, że ktoś wywęszy coś za parę dni.

W rezultacie Bellu został w Mediolanie, aby wszystko tam uporządkować, a potem miał się udać do Rzymu i być w pobliżu Contiego. Satta wyruszył samochodem na południe, do Neapolu. Jego zdaniem kluczową postacią był Guido. Wiedział, że jest najbliższym przyjacielem Creasy'ego i podejrzewał go o udział w przygotowaniach. Wydano polecenie założenia podsłuchu telefonicznego w „Pensione Splendide” i przechwytywania jego poczty. Satta chciał się też dowiedzieć wszystkiego o Creasym: o jego możliwościach, charakterze, poglądach. Raporty mogły zaznaczyć go z faktami. Guido stwarzał jedyną możliwość dotarcia do istoty rzeczy.

Tego samego dnia, kiedy Satta jechał do Neapolu, oficer wydziału archiwalnego mediolańskiej policji włożył między akta kopię ściśle tajnej notatki służbowej; najpierw jednak uważnie ją przeczytał. Tego wieczoru poszedł na kolację z przyjacielem i poważnie podreperował swoje finanse. Podczas gdy Satta rozkoszował się swoim *fritto misto*, w Rzymie Conti z niedowierzaniem słuchał przez telefon Abraty, obecnie niekwestionowanego szefa mafii mediolańskiej.

Informacje Abraty były pełne, nie wyłączając szczegółów z przeszłości Creasy'ego. W jego głosie nie dało się wyczuć zbyt dużego zaangażowania. W końcu jego nazwisko nie widniało na liście przyszłych ofiar.

Conti wydał ściśle polecenia, odłożył słuchawkę i przez kilka minut siedział w głębokim zamyśleniu. Potem wykręcił specjalny numer do Palermo i porozmawiał z Cantarellą. Przedmiotem tej rozmowy była nie tyle tożsamość zabójcy, co zadziwiający fakt, iż policja i *Carabinieri* nie robili nic, albo prawie nic.

Wszystkie czynności śledcze były w rękach niejakiego pułkownika Satty, który tego rana wyjechał z Mediolanu w niewiadomym kierunku. Najwyraźniej miało



to coś wspólnego z polityką.

Po tej rozmowie Conti był jeszcze bardziej zamyślony, bo wyczuł ślad strachu w głosie Cantarelli. Zamiast okazać siłę i zdecydowanie w swoich poleceniach, „arbiter” robił wrażenie niepewnego, a nawet prosił o sugestie. Conti dodał mu otuchy. Nawet bez policji, Creasy wkrótce zostanie wyeliminowany. Teraz, kiedy jego tożsamość została ujawniona, złapanie go pozostało kwestią godzin. Odpowiednie instrukcje wydano już na wszystkich szczeblach organizacji.

Ale Conti zastanawiał się nad reakcją Cantarelli. Z pewnością fachowiec z taką przeszłością i motywacją był niebezpieczny, ale do tej pory na jego korzyść działały utajnienie i anonimowość. Teraz stracił tę przewagę. Zapłaci za swoją zuchwałość.

Dlaczego więc Cantarella czuje się tak nieswojo? Conti doszedł do wniosku, że była to klasyczna reakcja polityka. Conti był żołnierzem i generałem. Cantarella zawsze przyjmował rolę męża stanu. Zastanowiwszy się nad minionymi latami, Conti zdecydował, że „arbiter” nigdy nie był bezpośrednio zagrożony, przynajmniej nie w sensie fizycznym. Może ten brak doświadczenia wywoływał teraz niepokój.

Zaciekawiło to Contiego. Dawało także do myślenia. W końcu, przed pójściem do łóżka, wydał polecenia dotyczące swojego osobistego bezpieczeństwa. Był właścicielem dziesięciopiętrowego budynku, którego penthouse zamieszkiwał. Od piwnicznego garażu w górę miano poczynić zabezpieczenia, przez które nawet mysz nie przecisnę się w żadnym kierunku. To samo dotyczyło budynku, w którym miał biuro, również będącego jego własnością.

O poruszanie się po ulicach raczej się nie martwił. Lata wcześniej zrobił przysługę rodakowi w Nowym Jorku. W rewanżu otrzymał prezent w postaci Cadillaca. Bardzo specjalnego Cadillaca, z ośmiocentymetrowym opancerzeniem i kuloodpornymi szybami. W przeciągu lat dwukrotnie do niego strzelano, raz z pistoletów dużego kalibru i raz z broni maszynowej. W obu przypadkach wyszedł z tego nie drażnięty. Mimo to wydał rozkaz, aby na czas nieokreślony towarzyszył mu drugi samochód, pełen ochroniarzy. Postanowił też, że na razie wszystkie posiłki będzie jadał w domu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że więcej donów zginęło w restauracjach, niż gdziekolwiek indziej, i to wcale nie na skutek zatrucia pokarmowego.

Cantarella rzeczywiście zaczął się bać. Było to nowe uczucie. Myśl o tym, iż jest celem zabójcy o wysokich kwalifikacjach, doprowadzała go do mdłości. Przechodził różne etapy gniewu i oburzenia, ale lęk towarzyszył mu stale.

Conti przez telefon robił wrażenie pewnego siebie — zapewniał, że to tylko kwestia godzin. Ale kiedy Cantarella siadał za biurkiem swojego wykładanego boazerią gabinetu, ogarnęło go lodowate uczucie. Przeżegnał się, przysunął blok

papieru, po czym całą uwagę poświęcił bezpieczeństwu Villa Colacci. Powinna być i będzie niezdołana.

Zanim skończył notatki, zadzwonił telefon. Był to don z Neapolu, który chciał go poinformować, że wypytanie właściciela „Pensione Splendide” jest niemożliwe. Wygląda na to, że on i ten pułkownik Satta z *Carabinieri* doskonale się rozumieją. Niepokój Cantarelli jeszcze wzrósł.

Guido wyrzucił dwie czwórki, zabrał swoje ostatnie trzy pionki i spojrzał na podwójne kości. Potem wziął długopis, dokonał szybkich obliczeń i oznajmił: — Osiemdziesiąt pięć tysięcy lirów.

Satta posłał mu uśmiech. Kosztowało go to sporo wysiłku.

— Powiniennem być posłuchać twojej rady i zatrzymać się w hotelu.

Już trzeci dzień jadł wspaniałe posiłki, czasami nawet pomagał w kuchni, a stali bywalcy nie mieli pojęcia, że sałata została przyrządzona przez pułkownika *Carabinieri*.

Jeśli pominąć fakt, iż przegrał trzysta tysięcy lirów, to uważał ten pobyt za udany. Nawet ta strata miała jednak pewną rekompensatę, bo jeżeli ktoś gra z taką zręcznością i rozmachem, z pewnością zasługuje na ostrożny szacunek Satty.

Ale było to coś więcej, niż szacunek. Nawiązali prawdziwą przyjaźń. Częściami mogła polegać na przyciąganiu się przeciwieństw, bo trudno było o dwóch tak różnych ludzi, przynajmniej od zewnątrz: Guido milczący, krępy, ze złamanym nosem; Satta wysoki, elegancki, rozmowny i wytworny. Ale Satta dopatrywał się u neapolitańczyka wielu cech godnych jego podziwu. Kiedy się odprężył i nabierał ochoty do rozmowy, wykazywał głęboką wiedzę na temat własnego społeczeństwa, a także świata. Miał również wytrawne, spostrzegawcze poczucie humoru, które Satta potrafił docenić. Oczywiście Satta dużo wiedział o przeszłości Guido. Podczas rozmowy zapytał w pewnym momencie czy Guido nie czuje się czasami znudzony swoim obecnym zajęciem. Czy nie było ono nieco przyziemne?

Guido uśmiechnął się, pokręcił głową i uczynił uwagę, iż jak poczuje potrzebę podniety, zawsze może się cofnąć na ścieżkach wspomnień. Nie, uważał, że drobne, prozaiczne rzeczy też mogą uczynić z życia interesującą mozaikę. Prowadzenie pensjonatu sprawiało mu przyjemność, lubił kaprysy i słabostki swoich stałych gości, którzy stołowali się w restauracji. Cieszyły go mecze piłkarskie na ekranie telewizora w niedzielne wieczory oraz okazjonalne wypadki do miasta, podczas których zdarzało mu się znaleźć jakąś dziewczynę. Ale szczególną przyjemność sprawiało mu pokonanie w trik-traka pewnego policjanta.

Ze swej strony, Satta stanowił dla Guido zagadkę. Na początku widział w pułkowniku towarzyskiego motyla, który trafił w niewłaściwe miejsce, a postępy robił dzięki rodzinnym koneksjom. Nie minęło jednak zbyt wiele czasu, nim dostrzegł w nim uczciwego człowieka. Drugiego wieczoru starszy brat Satty wpadł

na kolację i wszyscy trzej siedzieli do późna w nocy na tarasie, rozmawiając i popijając wino.

Między braćmi istniała głęboka więź i wciągali Guido do rodzinnych rozmów z taką łatwością, że czuł ciepło bliskiego towarzystwa, ciepło, które do tej pory odczuwał jedynie w obecności Creasy'ego.

Długo też rozmawiali o Creasym. Chociaż Satta był przekonany, że Guido musiał mieć z nim kontakty, nie naciskał go w tej sprawie. Kilka razy dziennie rozmawiał z Bellu w Rzymie i za każdym razem słyszał, że ani podsłuch telefoniczny, ani przechwycona poczta nie dały niczego, o czym mógłby zameldować.

— Wyłącznie twoje rozmowy ze mną — skomentował któryś razem Bellu. — Są fascynujące!

Ale Satta z przyjemnością gotów był poczekać. Chociaż gazetom niewiele już brakowało do odkrycia całej sprawy, o Creasym nie zamieszczono ani wzmianki. Wypełniał je skandal przemysłowca, który osobiście zaaranżował porwanie swojej córki oraz wybitnego prawnika, którego spotkał marny koniec, a także powiązań pomiędzy nimi; tudzież mafijne zabójstwa, jakie miały miejsce w ostatnich dniach. Ale nie upłynie już wiele czasu nim łamigłówka zostanie złożona i Satta ciekaw był reakcji opinii publicznej, kiedy całe wydarzenie wyjdzie na jaw.

Często rozmyślał o Creasym. Na podstawie opowiadań Guido o przyjacielu, wyrobił sobie jego wizerunek. Doskonale rozumiał jego motywację i czuł namacalne współczucie oraz związek z człowiekiem, który w pojedynkę zaspokajał pragnienie zemsty.

Guido mówił o przeszłości, ale nigdy o teraźniejszości. Popadał przy tym nawet w przesadę. Ostatni raz widział Creasy'ego kiedy wypisano go ze szpitala. Satta nie naciskał, po prostu wzruszył ramionami i czekał. Miał w ręku wszystkie asy. Niech Conti i Cantarella się martwią.

Tylko, że nie grał w karty, lecz w trik-traka i... przegrywał.

— Dosyć — powiedział, kiedy Guido znowu ustawił pionki. — Jestem urzędnikiem państwowym i nie mogę codziennie tracić tygodniówki.

Siedzieli na tarasie, było późne popołudnie i słońce zbliżało się do horyzontu. Guido wkrótce zacznie przygotowania do kolacji; ale teraz była pora odpoczynku i w milczeniu patrzyli jak barwy nieba nad zatoką ulegają zmianom. Kiedy zadzwonił telefon, panował już zmierzch. Mediolan do pułkownika Satty.

Guido poszedł do kuchni i kroił warzywa, kiedy Satta wszedł tam po długiej rozmowie.

— To Balletto — powiedział. — Popęłnił samobójstwo.

— Jesteś pewny, że to było samobójstwo? — zapytał Guido.

Satta przytaknął. — Nie ma wątpliwości. Przesiedział pół godziny na parapacie okna w swoim biurze na ósmym piętrze zanim się zdecydował.

Rękami wykonał wymowny gest.

— Zawsze był chwiejnym człowiekiem.

Guido powrócił do warzyw, a Satta zaczął pomagać w kuchni. Na chwilę przestał i rzucił pytanie: — Poznałeś jego żonę?

— Spotkałem ją tylko raz — odpowiedział Guido. — Nie było to miłe spotkanie.

Wyjaśnił jego okoliczności i Satta pokiwał głową ze współczuciem.

— Wybrałeś sobie złą porę. Niewątpliwie zmieniła opinię. Sama też się zmieniła.

Pracowali w milczeniu, a po chwili Satta powiedział: — Kiedy Balletto siedział na parapecie i podejmował decyzję, policja zadzwoniła do niej i poprosiła, żeby przyjechała i spróbowała odwieść go od tego. Wiesz, co powiedziała?

— Co?

Satta pokręcił głową.

— Nic. Roześmiała się.

Znowu wrócili do pracy, a Satta powiedział z zadumą: — Dziwna kobieta — i bardzo piękna.

Guido popatrzył na niego z zaciekawieniem, chciał coś powiedzieć, ale wzruszył tylko ramionami i wrócił do pracy.

## 19

W każdej europejskiej stolicy jest ambasada australijska, a w bocznej uliczce niedaleko każdej z tych ambasad latem przed zmrokiem można znaleźć zaparkowane przyczepy campingowe i domy na kołach. Są na sprzedaż, choć nikt nie ma pojęcia, dlaczego właśnie w pobliżu ambasad australijskich.

Rzym nie był pod tym względem wyjątkiem, ale ponieważ lato dobiegało końca, pozostał tylko jeden pojazd — Mobex na podwoziu Bedforda.

„Wally” Wightman oraz jego dziewczyna, „Paddy” Collins siedzieli na wysokim krawężniku i bez specjalnej nadziei czekali na klienta.

On miał około trzydziestu lat i był niski, ale o jego wyglądzie decydowały włosy. Spływały mu z głowy na ramiona i z twarzy oraz brody na klatkę piersiową. Spośród nich patrzyły inteligentne oczy. Ubrany był w drelichowy kombinezon, który mógłby zasługiwać na zaświadczenie, jakie przyznaje się antykom. Ona była po trzydziestce, potężnie zbudowana we wszystkich partiach ciała. Nie czyniło jej to nieatrakcyjną, ale stało w sprzeczności z kobiecymi cechami. Miała na sobie wiejską sukienkę i wyglądała nie na miejscu.

Pochodzili z Australii, a ich historia była jednocześnie typowa i wyjątkowa. Typowa w tym, że oboje podróżowali po Europie dla poszerzenia swoich horyzontów, a wyjątkowa, bo udało im się poznać. Wally był wiecznym studentem, który dawno temu znalazł sobie przejściowe zajęcie i uczył Włochów angielskiego w szkole wieczorowej w Turynie. Tam właśnie spotkał Paddy, która przez dwanaście lat pracowała na stanowisku sekretarki dyrektora w Brisbane. Pewnego dnia rzuciła wszystko, żeby „przeżyć” Europę. W końcu też wylądowała jako nauczycielka angielskiego w Turynie. W rezultacie całe pokolenie Włochów mówiło po angielsku z mocno australijskim akcentem; a zamiast „przeżywać” Europę, „przeżywała” Wallego. Ściślej mówiąc, kochała go. Miłością zrodzoną z jego kompletnej obojętności wobec niewieściej urody. Jej wymiary nie przeszkadzały mu. Podobał mu się jej umysł i niewybredne poczucie humoru, a także zdolność do dominowania w ciągu dnia i całkowitej uległości oraz spokoju w nocy. W łóżku on był szefem; poza nim ona dbała o wszystko, łącznie z zaspokajaniem jego zachcianek. Był to nietypowy dla Australijczyków układ, ale działał.

Mieli dobrą zimę oraz wczesne lato i wykorzystali wszystkie zasoby aby kupić

Mobexa, planując odbycie nim podróży tak daleko na wschód, jak się da, a przynajmniej do Bombaju, wysłanie go statkiem do Perth i jazdę przez całe północne Queensland. Władze nadawały tam ziemię i przyznawały dotacje ludziom, którzy mieli zagospodarować odległe pustkowia. Ale nic z tego nie wyszło. Rewolucja w Iranie wykluczyła podróż na wschód, a Paddy akurat wtedy zachorowała na żółtaczkę, otrzymywali sterty rachunków ze szpitala i w końcu nie mieli innego wyjścia, musieli sprzedać Mobex i wrócić do domu możliwie najtańszym sposobem. Siedzieli więc na krawężniku i czekali.

Ale spędzili tam już trzy dni, a jedynym człowiekiem, jaki ich zaczepił był Turek, który nie miał pieniędzy, ale za to opracował genialny plan przemytu pakietańskich emigrantów do Brytanii. Dlatego nie mieli zbyt wielkich nadziei i ledwo raczyli podnieść wzrok, kiedy postawny człowiek z bliznami na twarzy zbliżył się i obszedł Mobexa dookoła.

— Czy jest na sprzedaż? — zapytał, mówiąc po włosku.

Wally pokręcił głową i odpowiedział w tym samym języku.

— Nie, stoimy tutaj dla ładnych widoków.

Mężczyzna nie uśmiechnął się, ale wrócił do oglądania pojazdu. Paddy wstała i strzepnęła kurz z siedzenia.

— Naprawdę jesteś zainteresowany?

Mężczyzna odwrócił się, rzucił jej taksujące spojrzenie i przytaknął. Wally został zignorowany.

— Mogę obejrzeć silnik?

Wally ruszył za nimi, kiedy po wskazaniu jego zalet, klient zasugerował, że powinni wejść do środka na chłodne piwo.

Mobex był zaledwie dwuletnim pojazdem i miał tylko piętnaście tysięcy kilometrów na liczniku, więc Paddy zawzięcie kłóciła się o cenę. Wally siedział cicho, popijał piwo i podziwiał jej determinację.

W końcu umówili się na dziesięć milionów lirów i mężczyzna zapytał: — Macie dowód rejestracyjny?

Paddy pokiwała głową. — Zarejestrowany i podstemplowany na policji.

Wypełnili formularze, w części dotyczącej nabywcy pojawiło się nazwisko: Patrice Duvalier. Narodowość: francuska.

— Ale macie mi go przyprowadzić dopiero za trzy dni — powiedział, popychając papiery przez mały, składany stolik.

Na twarzy Paddy pojawiła się podejrzliwość.

— Zostawisz zaliczkę?

I tu spotkał ich szok. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął ogromny zwój stutysięcznych banknotów. Odliczył ich sto i położył na stole.

— Nie rejestrujcie tych papierów aż do tego czasu. — Zapanowało długie milczenie, które przerwał Wally, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

— Jesteś cholernie ufny, kolego! A jeżeli weźmiemy pieniądze i odjedziemy?

Creasy odezwał się spokojnie: — Nie jestem ufny.

Wally spojrział mu w wąskie oczy. Potem, starając się ukryć zakłopotanie, sięgnął za siebie do lodówki, żeby wyjąć jeszcze parę piw. Napięcie złagodniało i Paddy zapytała: — Odbierzesz go tutaj?

Creasy pokręcił głową i wyjął plan Rzymu. Pokazał krzyżyk zrobiony atramentem tuż pod miastem, niedaleko Wschodniej Autostrady.

— Jest tam camping „Monte Antenne”. Odbiorę go wczesnym popołudniem, jeśli wam to odpowiada.

Paddy przytaknęła. — Po drodze możemy zostawić swoje rzeczy na dworcu kolejowym.

— Gdzie się wybieracie? — zapytał Creasy.

— Do Brindisi — odpowiedziała. — Stamtąd złapiemy prom do Grecji.

Creasy pociągnął duży łyk piwa i rozejrzał się po małym, ale wygodnym pomieszczeniu. Potem w milczeniu popatrzył na parę Australijczyków. — Ja też jadę na południe — powiedział w końcu. — Mogę was podwieźć — będzie szansa na wskazanie wad, jeśli jakieś są.

Omówili ten pomysł i wydawał się mieć sens. Creasy wyjaśnił, że jemu się nie śpieszy; w gruncie rzeczy, postanowił przeznaczyć na tę podróż dwa lub trzy dni. Tak więc osiągnęli porozumienie i Creasy zasugerował, że powinni poczekać do Brindisi z przerejestrowaniem auta.

Aby uczcić umowę, zwłaszcza, że była pora lunchu, Paddy otworzyła kilka puszek i przygotowała posiłek, natomiast Wally sięgnął po kolejne piwa.

Po wyjściu Creasy’ego Paddy wygłosiła komentarz: — On nie jest Francuzem. To Amerykanin.

— Skąd wiesz? — zapytał Wally.

— Po sposobie, w jaki je. Tylko Amerykanie tak jedzą.

Wally wyglądał sceptycznie, ale Paddy nie dawała za wygraną.

— To prawda. Posługują się nożem i widelcem jak wszyscy inni, ale po ukrojeniu kawałka mięsa odkładają nóż, a widelec przekładają do drugiej ręki. To takie niepraktyczne, zwłaszcza jak na Amerykanów; u nich jest to nagminne.

— Więc?

— Więc nic. Ale nie jest Francuzem.

— Uważasz, że jest w porządku? Nie zostawił nawet adresu ani niczego. Po prostu sobie poszedł.

Paddy wzruszyła ramionami. — Tak czy owak, mamy jego pieniądze — przerwała zamyślona. — Nie jest tym, na kogo wygląda, ale któż jest w tych czasach?

— To twardy drań — powiedział Wally i uśmiechnął się. — Chryste, on jest większy nawet od ciebie!

Paddy odpowiedziała uśmiechem, ale zaraz potem znowu popadła w zamyślenie.

— Podoba mi się — powiedziała. — Jest w porządku.

Kowboj usadził pośladki na twardej ławce. Jako młody ksiądz lubił czas spędzany w konfesjonale — nie chwaliłby się tym przed biskupem, ale urozmaicał rutynowe czynności. Teraz, kiedy przybywało mu lat, znajdował to zajęcie ogromnie męczącym. Być może w dużych miastach były ciekawsze grzechy, ale tu, na Gozo, w wiosce Nadur, był w stanie przewidzieć każdy występki swoich parafian. Co prawda Salvu, który właśnie odszedł, miał odkrywczy umysł, ale i on zaczynał być przewidywalny.

Posłyszał szelest zasłonki i za kratką rozległ się głos Laury Schembri.

— Wybacz mi ojczy, bo zgrzeszyłam.

Kowboj pochylił się do przodu.

— Słucham cię córko?

Nastąpiła lista zwykłych pogwałceń norm; udzielił jej rozgrzeszenia, zadał pokutę i odchylił się w oczekiwaniu na następnego parafianina.

Ale nie słyszał, żeby odeszła, zamiast tego dobiegł go krótki, niepewny oddech powątpiewającej kobiety.

— Masz jeszcze coś?

Wątpliwości zostały rozwiane.

— Wybacz mi, ojczy. Moja córka zgrzeszyła.

— Więc to ona musi przystąpić do spowiedzi.

Doszło do przełamania rutyny.

Dziewczyna Schembrich stanowiła zagadkę dla Kowboja. Każdego ranka przychodziła na poranną mszę, czego dawniej nie miała w zwyczaju, ale nawet nie podchodziła do konfesjonału. A jednak modliła się codziennie.

— Nie możesz się spowiadać za kogoś.

Głos odpowiedział wprost.

— Nie chcę. Chcę prosić o radę.

Przez wszystkie te lata, od kiedy był księdzem w parafii, Laura Schembri nigdy nie poprosiła go o radę, chociaż całkiem często oferowała swoją, zwłaszcza na początku; nie należała do kobiet, które onieśmiały widok szaty kapłańskiej. Jego ciekawość została zakłócona odrobiną niepokoju. Rada mająca związek z Nadią mogła okazać się trudna do sformułowania.

— Spodziewa się dziecka.

Uzasadniony niepokój! Kowboj westchnął. Droga życiowa tej dziewczyny rzeczywiście usłana była kamieniami.

— Amerykanin?

— Któżby inny? Przecież nie uprawia ślepego cudzołóstwa!

Wyczuł, że pod wojowniczym tonem kryje się chęć obrony i opanował rosnącą irytację. Zapytał delikatnie: — Jakiej więc rady potrzebujesz?



Czuł, że jej napięcie maleje.

— Nie powiadomiła o tym Creasy'ego i zabroniła tego mnie i swojemu ojcu. To tylko część grzechu. Zrobiła to z rozmysłem. Wykorzystała go tylko jako dostarczyciela nasienia.

— Nie kocha go?

— Nie jestem pewna — nie wiem. — W głosie Laury brzmiało niezdecydowanie.

— Jesteś jej matką i nie wiesz?

— Wiem tylko, że na początku oddała mu się, żeby począć dziecko. Nie jestem pewna, co teraz czuje. Zmieniła się. Powiedziała mi o ciąży, ale to wszystko. Nie jest sobą.

— Więc o jaką radę ci chodzi?

— Mam go zawiadomić czy nie?

Kowboj zebrał myśli. Podobnie jak wszyscy na Gozo, wiedział, że Creasy nie wyjechał na wakacje. Ta mała Schembri zawsze musi sobie wszystko skomplikować.

— Wiesz, co ten Amerykanin robi?

— Tak.

— To bardzo grzeszne.

— Ma swój powód.

— Zemsta należy do Boga.

— Bóg chadza dziwnymi drogami.

Kowboj znowu westchnął. Z tej kobiety byłby niezły kaznodzieja.

— Gdybyś rzeczywiście chciała go zawiadomić, jesteś w stanie to zrobić?

— Jest to wykonalne.

— Rozmawiałaś o tym z mężem?

— Nie. Wiem, jaka będzie jego odpowiedź i nie życzę sobie jej słyszeć.

Kowboj z zakłopotaniem poruszył się na drewnianej ławce. Właśnie groziło mu wciągnięcie w sam nurt wydarzeń. Raczej niewygodna pozycja. Ale w końcu był księdzem i komfort był jednym z jego wyrzeczeń. Rozważył wszelkie aspekty, świadom iż jeśli udzieli rady, nie może ona ograniczać się do komunafu. Pracował w rolniczej parafii, wśród stwardniałych pragmatyków, którym zdecydowanie przewodziła Laura Schembri.

Podjął decyzję: — Ten człowiek powinien wiedzieć.

— Dziękuję, ojcze.

Guido wyszedł na taras i Satta wyczuł, że zaszła w nim jakaś zmiana. Podsunął sobie krzesło i sięgnął po dzbanek z kawą. Na jego twarzy malowało się niezdecydowanie. Telefon zadzwonił przed godziną i minęło czterdzieści minut

od kiedy Guido odłożył słuchawkę. Satta nie okazywał zniecierpliwienia. Przed upływem godziny Beliu da mu znać czy ta rozmowa miała jakieś znaczenie.

Guido wypił kawę, po czym podjął decyzję.

— Co będzie, jeżeli Creasy odda się w ręce policji — tobie osobiście?

Satta poczuł przyspieszony puls. Czyli to był ważny telefon. Wykonał wymowny gest.

— Oczywiście, pójdzie do więzienia. Ale przy wzięciu pod uwagę, jakich ludzi zabił i co nim powodowało, wyrok prawdopodobnie wahałby się w okolicy pięciu lat. Takie sprawy są do wygrania, a warunkowo mógłby wyjść po trzech.

— Czy utrzymanie go przy życiu w więzieniu byłoby możliwe?

Satta skrzywił się. — Wiem, o co ci chodzi i odpowiedź brzmi: tak. Właśnie skończyliśmy pod Rzymem nowe więzienie dla „narażonych” więźniów. Jest obsadzone i kierowane przez *Carabinieri*. Gwarantuję jego bezpieczeństwo. Szczerze mówiąc, dopiero po wyjściu będzie rzeczywiście zagrożony. — Guido popatrzył na pułkownika w zadumie, najwyraźniej ważąc w sobie decyzję. Satta milczał. To nie był czas na pytania.

— Dobrze — Guido podjął decyzję. — Pojedziemy do Rzymu i porozmawiam z nim.

— Ale czemu? Powiesz mi dlaczego?

Guido wstał. — Chodź. Wyjaśnię ci w samochodzie — zostało nam niewiele czasu.

Satta podniósł rękę. — W takim razie, pozwól, że zadzwonię do Bellu. To dobry człowiek i ufam mu. Zatrzyma Creasy’ego w przeciągu dziesięciu minut.

Guido potrząsnął głową. — Ile lat dostanie, jeżeli zabije twojego Bellu i tuzin innych policjantów?

Satta pojął jego punkt widzenia. — Nie możesz do niego zadzwonić?

— Nie ma telefonu. Jedziemy.

Kiedy doszli do samochodu Satty, podjechał policjant na motocyklu i wręczył mu kopertę.

— Telex do pana, panie pułkowniku.

Satta zaproponował, że Guido powinien prowadzić, a kiedy jechali przez miasto w kierunku autostrady, Guido wyjaśnił: — Zostanie ojcem.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Satty był wręcz komiczny. Tym razem, dla odmiany, nie miał gotowej mądrej odpowiedzi, ani komentarza. Guido spojrzął na niego, uśmiechnął się krzywo, a potem opowiedział mu o Gozo i o Nadii. Nie pominął żadnego szczegółu, bo zależało mu na tym, żeby pułkownik naprawdę wszystko zrozumiał.

— Myślisz, że to może stanowić jakąś różnicę? — zapytał Satta.

Guido z zapałem pokiwał głową. — Tak. To absolutnie jedyna rzecz, jaka może go powstrzymać. Trudno dokładnie wyjaśnić, dlaczego.

Satta zamyślił się nad tym, rozważając wszystko, co wiedział o tym człowieku. Skłonny był przyznać, że to może mieć na niego wpływ. Nagle pochylił się i wziął mikrofon radiostacji. Guido rzucił na niego okiem, ale Satta uciszył go gestem ręki. W przeciągu dwóch minut został połączony z Bellu w Rzymie i polecił mu odszukać taśmę z ostatnią podsłuchaną rozmową telefoniczną oraz osobiście ją zniszczyć. To samo zrobić z zapisem. Podkreślił, że nikt inny nie powinien mieć ich w rękach. Na pytania zdziwionego Bellu odpowiedział tylko, że ma czekać w biurze. Dotrą do Rzymu w porze lunchu.

Guido zaczął mu dziękować, a Satta tylko wzruszył ramionami.

— Wiesz jak to jest. Ci ludzie wszędzie mają swoich informatorów, ale Bellu ufam bezgranicznie — nagle przypomniał sobie o kopercie. Rozerwał ją i w milczeniu przeczytał długi teleks.

— Święta Matko Boska.

Satta powiedział to bardzo cicho.

— Co to jest?

Teleks pochodził z Marsylii i zawierał listę zakupów Creasy'ego.

— Co to jest RPG-7?

— Wyrzutnia rakiet przeciwpancernych — odpowiedział Guido z szerokim uśmiechem. — Najemnicy nazywają to Żydowską Bązooką.

— Czy to jest izraelska broń?

Guido pokręcił głową. — Rosyjska, ale z załadowanym pociskiem wygląda jak obrzezany penis.

Satta się nie uśmiechał. — Creasy umie to obsługiwać? — zapytał.

Guido pozostał przy swojej analogii.

— Obsługuje to z taką wprawą, jak ty swojego ptaszka podczas siusiania. Z tym że efekt końcowy jest zdecydowanie inny.

Tym razem Satta jednak się uśmiechnął; ale jednocześnie był zagubiony.

— Mafia nie ma czołgów.

Guido wyjaśnił. — Pocisk z granatnika ma też inne zastosowania — burzenie budynków lub wysadzanie stalowych bram. Przebija nawet trzydziestocentymetrowy pancerz.

Satta rozważał to w milczeniu. Kiedy w końcu się odezwał, w jego głosie brzmiała zaduma.

— Ma więc nieco większą siłę penetracyjną niż mój ptaszek.

W tym samym momencie *RPG-7* był niesiony wraz z pociskami przez ulice Rzymu w Inianej torbie. Niezbyt zresztą dużej. Granatnik był prostą tubą o długości niecałego metra, która rozkręcała się na dwie części dla ułatwienia obsługi.

Ważyla około siedmiu kilogramów. Pociski miały masę po dwa i pół kilo każdy.

Giuseppe i Theresa Benetti właśnie skończyli lunch, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi. Oboje dobiegali siedemdziesiątki, a ona miała trudności z chodzeniem, więc Giuseppe poszedł otworzyć. Jego oczom najpierw ukazał się tłumik pistoletu, potem podniósł wzrok na twarz mężczyzny i przerażenie jeszcze się wzmogło. Mężczyzna przemówił uspokajająco:

— Nic ci nie grozi. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Nie jestem też złodziejem. Wszedł przez drzwi, lekko odpychając starszka.

Parę minut później Giuseppe i Theresa byli unieruchomieni taśmami na dwóch krzesłach. Mężczyzna traktował ich bardzo delikatnie i przemawiał do nich z lekko neapolitańskim akcentem. Chciał tylko wypożyczyć ich dom na jakiś czas. Nic im się nie stanie.

Twarze im pojaśniały i z zaciekawieniem patrzyli jak otwiera torbę, i wyjmując dwie grube tuby. Skręcił je razem, po czym całość połączył z podłużnym urządzeniem. Giuseppe w młodości służył w wojsku i domyślił się, że tuba musi być nowoczesną bronią, natomiast urządzenie przyrządem celowniczym. Domysły te zostały potwierdzone, kiedy mężczyzna wyjął pękaty i stożkowaty pocisk. Przycisnął brzechwy i tyłem wsunął go do tuby. Czubek pocisku wystawał na zewnątrz, stożkową końcówką do przodu.

Mężczyzna wyjął drugi pocisk i okulary ochronne, po czym cicho wyszedł na podwórze za domem. Giuseppe widział, że ostrożnie wygląda przez niski murek, dzielący podwórko od alei.

W mieszkaniu na poddaszu budynku naprzeciwko, Conti też właśnie wstał od lunchu.

Punktualnie o 14.30 winda w piwnicy otworzyła się i wyszedł z niej w towarzystwie osobistego ochroniarza. Cadillac już czekał z włączonym silnikiem. Czarna Lancia z czterema ochroniarzami też była gotowa. Conti wsiadł na tylne siedzenie, a ochroniarz zamknął za nim drzwi i usiadł obok kierowcy. Oba samochody ruszyły rampą pod górę. Na poziomie ulicy światło słoneczne zmusiło wszystkich trzech do zmrużenia oczu. Mimo to zauważyli po drugiej stronie szerokiej alei sylwetkę, wyłaniającą się zza niskiego murku. Twarz ukrywały gogle, a na prawym ramieniu spoczywała gruba rura. Nim zdążyli zareagować, warkocz płomieni wyleciał z tylnej części tuby, a od niej oderwał się czarny obiekt, który rósł w miarę jak był coraz bliżej celu. Conti wrzasnął, a kierowca stanął na pedale hamulca. Ciężki samochód zanurkował do przodu i odskoczył z powrotem na wzmocnionych resorach. Jeszcze się unosił, kiedy pocisk uderzył w środek chłodnicy, zdemolował silnik, po czym wypalił wszystko wewnątrz na popiół. Cadillac

przez chwilę tańczył na tylnym zderzaku, ale wtedy dosięgnął go drugi pocisk, trafiając tuż pod przednią osią i przewracając pięcotonowy pojazd do tyłu na jadącą za nim Lancię.

Tylko jeden z ludzi ochrony uniknął śmierci. Kiedy samochód ulegał zgnieceniu, otworzyły się tylne drzwi i jeden z ochroniarzy wyskoczył z niego na czworakach. Odpełził od syczącej, poskręcanej masy metalu, podniósł się i instynktownie wyjął broń. Ruszył rampą, ale potem zatrzymał się i obejrzał za siebie. Instynkt poradził mu, żeby pozostał na miejscu. Cokolwiek tam było, spowodowało tę masakrę.

Wpadł w szok i szedł krok po kroku, dopóki nie dotknął ściany garażu. W końcu osunął się w dół, a broń wypadła mu z ręki i z głuchym stukotem uderzyła o beton. Kiedy przyjechał pierwszy wóz policyjny, nadal siedział w kucki.

Satta został w samochodzie i czekał w napięciu; ale kiedy Guido powrócił sam, jego rozczarowanie zabarwione było odrobiną ulgi.

— Nie ma go tam?

Guido pokręcił głową. — Chyba poczekamy.

Oczekiwanie było raczej krótkie. Minęły zaledwie trzy minuty i odezwało się radio. Kapitan Bellu do pułkownika Satty — w pilnej sprawie.

Satta i Bellu stali na szczycie rampy i patrzyli w dół. Obaj milczeli. To, co zobaczyli przekraczało ich wszelkie doświadczenia. W końcu Satta odwrócił się, żeby poszukać Guido. Stał plecami do nich i patrzył na drugą stronę alei. Satta poszedł za jego wzrokiem i dostrzegł okrągły, wypalony ślad na bocznej ścianie bielonego domu.

— *RPG-7?*

Guido obrócił się i potwierdził.

— Mówiłem ci — ma też inne zastosowania.

Satta z zamyśleniem spojrział w dół rampy. Nie mógł powstrzymać się od sardonicznego uśmiechu, kiedy przemówił do Bellu. — Conti stracił swoją dobrowolną premię.

# **KSIEGA CZWARTA**

## 20

— Władza wyrasta z lufy broni.

Cantarella znał ten cytat i często bywał świadkiem jak sprawdza się ta teza. Ale broń musi mieć cel. Czuł się jak sztangista nie mający co podnieść: Michał Anioł bez sklepienia.

Frustracja stanowiła pożywkę dla strachu. Conti był prawa ręką, fizycznym instrumentem dyplomacji. Jego śmierć uderzyła w sam rdzeń lęku Cantarelli. Usiłował to ukrywać, ale Dicandia i Gravelli nie dali się zwieść. Siedzieli po drugiej stronie biurka i wprost chłonęli to z atmosfery.

Był ich szefem. Wszystko co posiadali: pozycje, majątki oraz ambicje, wiązało się z władzą Cantarelli. Innych dróg nie mieli.

Wysłuchali rozkazów dotyczących wzmocnienia ochrony Villa Colacci. Jeszcze przed dwoma dniami byliby zdumieni i doradzaliby umiar. Ale śmierć Contiego i sposób, w jaki ją poniósł, wycisnęły piętno na ich umysłach. Podobnie zresztą, jak gruba teczka akt, leżąca na biurku. Zawierała szczegółowy opis cech i zdolności człowieka, który potrafił w praktyce stosować przemoc na niespotykaną skalę — nawet dla nich.

Słuchali więc w milczeniu, jak Cantarella mówi o oświetleniu reflektorami zewnętrznych murów oraz dwustu metrów za nimi. A także o wykupieniu i wyburzeniu wszystkich budynków w promieniu jednego kilometra. O całodobowym patrolowaniu terenu oraz sprowadzeniu psów obronnych. W sumie w samej willi miało zamieszkać osiemnastu ochroniarzy. Będą czuwać na trzy zmiany. Pół kilometra od bram willi należało ustawić blokadę drogową. Żaden samochód nie ma prawa jej przejechać bez szczegółowej rewizji. Żaden z donów ani ich wysłanników nie wejdzie do willi, chyba że będzie sam i podda się przeszukaniu. Stan umysłu Cantarelli poznali w pełni, kiedy polecił ściąć ponad piętnaście drzewek owocowych, rosnących wzdłuż murów od strony willi.

Dwadzieścia lat wcześniej, po kupieniu tej willi Cantarella osobiście doglądał zakładania sadu, który z czasem stał się przedmiotem jego prawdziwej dumy. Ludzie z jego otoczenia nawet żartowali z tego; ale tylko między sobą i bardzo cicho. Żona Cantarelli zmarła przed trzydziestu laty nie mając dzieci, a on nigdy nie ożenił się ponownie. Kiedyś nazywali te drzewa jego dziećmi. Rozkaz uświadomił im

rozmiary jego lęku.

Cantarella przeszedł do sytuacji ogólnej. Każde miejsce wjazdu na Sycylię miało być obserwowane. Podobnie, jak wszystkie porty, aż do najmniejszej wioski rybackiej; każde lotnisko, każdy pas startowy, każdy pociąg czy samochód, który przypląwał promem z Reggio. Zapytał z ustami wykręconymi w grymasie irytacji.

— Policja? *Carabinieri*? Nadal nic nie robią?

— Bardzo niewiele — odpowiedział Dicandia. — Niby postawili byle jakie zapory drogowe wokół Rzymu po śmierci Contiego, ale dopiero po kilku godzinach; wysłali też list gończy za Amerykaninem, wraz z rysopisem. Ale nie wymienili go z nazwiska ani nie dołączyli zdjęcia.

— Dranie! — warknął Cantarella. — Jakby tego było mało, jeszcze ten Satta. To wszystko musi mu sprawiać nie lada przyjemność!

— Przyjechał do Palermo dzisiaj rano — powiedział Gravelli.

— Razem ze swoim asystentem Bellu i neapolitańczykiem. — Gniew Cantarelli rósł coraz bardziej. — Dranie! Oni myślą, że to jedno wielkie widowisko. Jesteś pewny, że nie można się jakoś dobrać do tego neapolitańczyka? — popukał w akta. — On musi być w kontakcie z tym maniakom.

Gravelli potrząsnął głową. — Zatrzymali się w dwupokojowym apartamencie w Grandzie, nie zostawiają go samego ani na chwilę. Nie ma szans, chyba że pozbedziemy się Satty i Bellu.

Dicandia wtrącił się szybko. — To spowodowałoby jeszcze więcej kłopotów niż już mamy.

Cantarella niechętnie się zgodził. — I Satta wie o tym. Pewnego dnia rozprawię się z tym przekarmionym sępem.

Gravelli wzruszył ramionami. — Sprawia kłopoty. Nawet kiedy siedzi w Palermo, jego ludzie panoszą się wszędzie. Ośmielili się wezwać na przesłuchanie Abratę. Czuje się narażony i bardzo nerwowy.

— Satta korzysta z sytuacji — powiedział Dicandia. — Na północy i w Rzymie panuje chaos.

Cantarella pochylił się nad biurkiem i otworzył teczkę. Powiększone zdjęcie paszportowe Creasy'ego było przypięte do wewnętrznej strony okładki. Cantarella przez kilka minut studiował jego twarz. Zwilżył językiem zaschnięte, grube wargi i postukał w fotografię.

— Tak długo jak on żyje, będziemy mieli same kłopoty. — Podniósł wzrok. — Człowiekowi, który go zabije nie zabraknie niczego — niczego! Zrozumiano?

Dicandia i Gravelli przytaknęli w milczeniu, ale czekał ich kolejny szok. Cantarella odpiął zdjęcie i rzucił nim przez biurko.

— Chcę aby to zdjęcie znalazło się na pierwszej stronie każdej gazety w tym kraju jutro rano.

Dicandia doszedł do siebie pierwszy:

— Don Cantarella! Musieliby dowiedzieć się o wszystkim — czy to mądre?



— I tak się dowiedzą — odpowiedział szef. — Większość faktów już znają. Sprawę opóźnił jedynie fakt, że Satta na początku narzucił milczenie swojemu wydziałowi.

Wyjaśnił tok swojego rozumowania: — Taka twarz zwraca na siebie uwagę — popatrzcie na te blizny i oczy. Mamy tysiące ludzi, którzy go szukają. Rozprawienie zdjęcia zajmie parę dni. Gazety wyręcą nas w tym.

— Zrobisz z niego bohatera — ostrzegł Gravelli.

— Będzie martwym bohaterem — odparował Cantarella. — A o zmarłych szybko się zapomina.

Paddy wyszła z Mobexu i rozprostowała swoje cielsko. Wysoki wzrost miał swoje minusy, a kurcze podczas podróży były jednym z nich. Wally wyszedł za nią na chodnik, odwrócił się i zapytał: — Chcesz coś?

Creasy pokręcił głową. — Życzę miłego lunchu. Na pewno wolicie, żebym po was nie przyjeżdżał?

— Nie, spacer dobrze nam robi — powiedziała Paddy. — Połazimy sobie trochę. Nie martw się, znajdziemy to miejsce.

Przejechali wschodnie wybrzeże od Pescary do Bari. Paddy myślała, że po trzech dniach Creasy będzie miał ochotę na coś innego niż jej niewątpliwie elementarna kuchnia. Ona sama pragnęła takiej odmiany, a także chciała kupić parę swetrów — jesień zaczynała powoli przechodzić w zimę.

Ale Creasy odmówił, wolał pojechać na pole campingowe na południe od miasta. Zauważyła, że niemal nie opuszcza Mobexu, nawet kiedy są na campingu. To jeszcze wzmogło jej ciekawość. Znała trochę francuski, więc pierwszego wieczoru postanowiła go sprawdzić. Uśmiechnął się i odpowiedział jej płynnie. Potem zagadnęła go po angielsku, więc zapytał ją w tym języku, czy przypadkiem go nie sprawdza. Pewnie lekko amerykański akcent nie uszedł jej uwadze.

— Nie — odpowiedziała. — Po prostu nie wyglądasz na Francuza.

Wally przerwał im i kazał jej przestać być tak cholernie wścibską, ale wcale nie zaspokoilo to ciekawości dziewczyny.

Creasy przyszedł piechotą na pole campingowe w Rzymie, niosąc dwie duże, skórzane walizki i torbę z płótna. Wally pomógł mu wnieść je przez wąskie drzwi.

Był raczej mało rozmowny, pokazał tylko miejsce na mapie pod Avezzano i zasugerował, że powinni tam przenocować. Zostali tam na dwie noce. Pole, położone władnej, zalesionej dolinie, było prawie puste. Wyjaśnił, że jest zmęczony i nie śpieszy mu się.

— Tam jest butik. — Wally pokazał przez ruchliwą ulicę.

— A tam dalej restauracja — powiedziała Paddy. — Chodźmy najpierw zjeść.

Umieram z głodu — wyszczerzyła zęby. — Poza tym, jak sobie pojem, to moge potrzebować większego numeru.

— Większych już nie szyją — stwierdził Wally po czym dał nura, bo wiedział, że po żartobliwym machnięciu jej ramienia może się znaleźć na chodniku.

Ale nie zareagowała. Podeszli do kiosku z gazetami i stanęła jak sparaliżowana. Poszedł za jej wzrokiem.

Z pierwszej strony tuzina różnych gazet spoglądała na nich twarz Creasy'ego. Godzinę później kłócili się zaciekle. Wally był uparty.

— Masz pieniądze i paszporty w torebce. Jedziemy prosto na cholerną stację i łapiemy cholerny pociąg. Potrzebne rzeczy kupimy w Brindisi. Jutro rano jesteście na cholernym statku do Grecji.

Pokręciła głową. — Nie pojedę.

Wally westchnął i odsunął talerz z na pół zjedzonym posiłkiem.

— Paddy, zachowujesz się sentymentalnie. To do ciebie nie pasuje. On jest zabójcą. Nie jesteśmy mu nic winni — ma Mobexa. Wykorzystywał nas dla zmylenia śladów.

Znowu pokręciła głową, więc wziął gazetę i pomachał jej nią przed nosem.

— Jest poszukiwany. Przez setki, a może nawet tysiące ludzi — nie będzie nas przy tym, jak go znajdą.

— Więc spieprzaj, Wally Wightmanie.

Restauracja była pełna i powiedziała to cicho, ale aż odrzuciło go w krześle. Pochyliła się do przodu, z rozgniewaną twarzą blisko niego.

— Tak, wykorzystywał nas. Czemu nie! Jest sam. Robi to wszystko sam jeden. Setki, mówisz? Tysiące? A także policja. On potrzebuje pomocy. I ja mu pomogę. A ty możesz sobie robić co ci się żywnie podoba, do cholery.

— Ale dlaczego? — zapytał rozpaczliwie. — Przecież to nie twoja sprawa. Po co się mieszać?

Parsknęła. — Od kiedy to kangur musi mieć powód, żeby się wdać w walkę? — Postukała w gazetę. — Oni zabili tę dziewczynkę. Ci ludzie zgwałcili ją i zabili. Miała jedenaście lat! Teraz płacą za to. Jeśli potrzebuje trochę pomocy, otrzyma ją od Paddy Collins. Nie zostawię go samemu sobie.

Wally nagle wyszczerzył zęby.

— Dobra, głupia krowo, uspokój się.

Na moment zaniemówiła, ale tylko na moment.

— Zgadzasz się?

— Tak, zgadzam się.

— Skąd ta nagła zmiana?

Wzruszył ramionami. — Wcale nie nagła. Instynkt mi podpowiada, żeby pomóc, ale to niebezpieczne. Nawet dla faceta, a co dopiero dla dziewczyny.

Paddy uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła rękę, żeby zmierzić mu włosy.

— Lubię kiedy jesteś taki kawalerski — chodźmy.

Kiedy znaleźli się na chodniku, coś przyszło mu do głowy.

— Jak, według ciebie, zareaguje, wiedząc, że znamy prawdę? Może stać się gwałtowny, z obawy iż go wydamy czy coś w tym rodzaju. Paddy, to diabelnie twardy drań.

Potrząsnęła głową i wzięła go pod rękę.

— Wątpię. Z powodu tego zdjęcia w gazecie potrzebna mu będzie każda możliwa pomoc. Zrozumie to.

— Naprawdę?

Uśmiechała się do niego.

— Pod twoją opieką nic mi nie grozi, Wally.

Satta odłożył słuchawkę i odwrócił się do Guido i Bellu.

— To Cantarella — powiedział. — Informacja dotarła mniej więcej w tym samym czasie do wszystkich gazet.

— Ale dlaczego? — zapytał Guido.

Bellu pośpieszył z odpowiedzią. — To tylko jeszcze jeden dowód stanu jego umysłu. Najszybszy sposób na rozpowszechnienie tożsamości Creasy'ego. — Popatrzył pytająco na Sattę.

— Co teraz, pułkowniku?

Satta odwzajemnił mu się enigmatycznym uśmiechem, a Guido poczuł narastające napięcie.

Bellu znowu przemówił. — Może powinniśmy porozmawiać na osobności, pułkowniku.

Satta westchnął, spojrzął na Guido i pokręcił głową.

— Nie ma potrzeby.

Wrócił do telefonu i zadzwonił do sztabu *Carabinieri* w Rzymie. Przez dłuższy czas wydawał precyzyjne instrukcje, a potem odwrócił się do Guido.

— Ty cyniczny draniu! — warknął neapolitańczyk.

Satta rozłożył ręce w geście rezygnacji. — To nie sprawiłoby żadnej różnicy. Jeśli Cantarella nie znalazł go do tej pory, to naszym ludziom też się nie uda.

Opuścił wzrok na gazety rozłożone na niskim stoliku do kawy.

— Teraz ma bardzo niewielkie szansę. Taką twarz łatwo rozpoznać. Miejmy nadzieję, że znajdziemy go przed nimi.

Guido wstał, podszedł do okna i utkwiał wzrok w ruchliwej ulicy. Padał przelotny deszczyk. Przechodnie chronili się pod parasolami.

— Guido, uwierz mi: szansę były znikome. Zrobimy teraz, co w naszej mocy. Słyszałeś mnie w rozmowie telefonicznej — głos Satty brzmiał przeproszająco. Bellu jeszcze nigdy nie słyszał, żeby tak przemawiał.

Guido zapytał gorzko, nie racząc się nawet odwrócić. — Swoje już zrobił? Mianują cię teraz generałem?

Satta przestał zachowywać się przepraszająco. — Ja go nie wysłałem! Nie uzbroiłem go ani nie zorganizowałem mu kryjówek, transportu i fałszywych dokumentów; i nie ja go zachęcałem. Czy przypadkiem nie popadasz w hipokryzję?

Guido odwrócił się, a jego twarz tym razem wyjątkowo wyrażała emocję.

— Dobra! — wyrzucił z siebie. — Pomogłem mu i nie wstydzę się tego. Ale teraz to co innego. Zwierzyłem ci się. Myślałem, że jednak jesteś człowiekiem honoru. Byłem w błędzie.

Teraz przemówił Bellu. — Mylisz się, Guido, bardzo się mylisz. Pułkownik nie ponosi żadnej osobistej odpowiedzialności za Creasy'ego. Ale wiem, że czuje do niego sympatię. Zrobi teraz wszystko, co będzie mógł. Wszystko.

Gniew Guido złagodniał. Zapytał ze smutkiem: — No więc, przydał się?

Satta przytaknął. — Tak — bardzo. Nigdy nie przyznałbym tego nikomu innemu. Prawdziwym kluczem było zabicie Contiego. Nie przypuszczałem, że Cantarella zareaguje z taką paniką. Nawet jeśli Creasy go nie dorwie, jego władza będzie skończona. W organizacji na stałym lądzie już wrze. Nigdy nie odzyska kontroli. Zachowa panowanie tylko tu, na Sycylii, a i ono będzie mu się wymykać z każdym dniem. Teraz chodzi jedynie o odnalezienie Creasy'ego. Tylko ty znasz jego umysł. Musisz się postarać go odczytać. Jak zaatakujecie? Jak do tego podejście?

Guido wzruszył ramionami i podszedł do nich.

— Pozwól mi jeszcze raz spojrzeć na plan.

Bellu zebrał gazety i rozłożył plan Villa Colacci i jej otoczenia. Trzej mężczyźni pochylili się nad nim. Satta pokazał palcem.

— Dowiedzieliśmy się dzisiaj rano, że Cantarella wyciął kilka drzew między sadem a garażem. Ponadto, zainstalowano oświetlenie reflektorów. Zewnętrzne mury oraz teren w promieniu paruset metrów od nich są tak jasne, jak za dnia.

— A po drugiej stronie murów? — zapytał Guido. Satta zaprzeczył ruchem głowy. — Nie. To zrozumiałe, że Cantarella woli nie oświetlać samej willi. W nocy cały jej teren jest zaciemniony — co nie znaczy, że nie strzeżony. Wczoraj dostarczono dwa psy obronne — rasy doberman pinczer.

Bellu też miał coś do dodania. — Wygląda na to, że w pojedynkę nie da się tam wdrzeć. Strażnicy przy bramie, a także ci przed murem, są uzbrojeni w pistolety maszynowe, a w samej willi stacjonuje mała armia. Żaden samochód ani inny pojazd nie zostanie dopuszczony w pobliże murów.

Guido uśmiechnął się smutno. — On to wszystko przewidział. Doskonale zna rozkład willi i jej okolic. Jest żołnierzem, a Cantarella to zwykły głupiec. Będzie bezpieczniejszy krążąc wokół niż podchodząc blisko. Najsilniej obwarowana forteca staje się pułapką, kiedy wróg dokona wyłomu w jej wałach. Jeżeli Creasy dostanie się do środka, Cantarelli nie pomoże nawet jego mała armia.

— Ale jak się tam dostanie? — zapytał Satta

— Nie wiem — odpowiedział Guido. — Ale z pewnością ma plan i z pewnością nie będzie on konwencjonalny.

— Do tej pory mieliśmy do czynienia z eskalacją — przypomniał Bellu. — Eskalacją w metodzie: Rabbia zginął od pistoletu, Sandri od obrzyna, Fossella od bomby, a Conti od pocisku przeciwczołgowego. Rozłożył ręce. — Czego użyje przeciwko Cantarelli?

Zapadli w milczącą zadumę, a potem Satta uśmiechnął się.

— Nie wiem, ale nie byłbym zaskoczony gdyby nasz *capo di tutti capi* akurat teraz kopął sobie schron przeciwatomowy.

— Jeszcze jeden!

Paddy pokazała na Alfa Romeo, które właśnie ich wyprzedziło. Na tylnej szybie miał dużą nalepkę, na której widniały tylko dwa słowa: BRAWO — CREASY!

Był to już piąty samochód z takim hasłem, od kiedy wyjechali z przedmieść Brindisi. Wally pokręcił głową z zadziwieniem. — Cholera, wieziemy prawdziwą osobistość.

Minęły trzy dni od chwili gdy weszli do Mobexa i rzucili gazetę na stolik przed Creasym. Popatrzył na duże zdjęcie i wolno podniósł wzrok.

— Jest we wszystkich gazetach — powiedział Wally. — Wraz z obszernym artykułem — jak tylko pokażesz się gdziekolwiek we Włoszech, zostaniesz natychmiast rozpoznany. Na pewno jest pokazywane także w telewizji.

Mówił swobodnie, usiłując nie zdradzić napięcia w głosie.

Creasy nie odzywał się ani słowem. Wodził tylko oczami między nimi.

Paddy przerwała napiętą atmosferę.

— Cholerny Francuz! Wiedziałam, że jesteś Jankesem.

— Skąd?

— Po sposobie jedzenia.

Usłyszawszy to Creasy uśmiechnął się, a Wally głośno wypuścił wstrzymane powietrze.

Zaoferowali swoją pomoc, na co Creasy potrząsnął głową. To była zupełnie nowa sytuacja. Groziła poważnym niebezpieczeństwem. Radził im wsiąść w pociąg do Brindisi i ruszyć w swoją stronę. Nie mieli z tym nic wspólnego.

Ale zwyciężyła logika. Logika i upór. Sprzeczali się przez godzinę. Nie ma mowy, żeby nie został zauważony samodzielnie prowadząc Mobexa. Jeśli oni zasiądą za kierownicą, a on się ukryje, będą mogli zawieźć go w dowolne miejsce we Włoszech. Miało to sporo sensu, ale długo próbował wybić im ten pomysł z głowy. W końcu wyraził zgodę. Musiał tylko dostać się do Reggio, ale nie przed upływem trzech dni. Potem mogą sobie zatrzymać Mobexa — nie będzie mu już potrzebny.

Paddy próbowała zmusić go do przyjęcia zwrotu pieniędzy; ale on też potrafił być uparty. Przydadzą im się na przetransportowanie Mobexa do Grecji, a potem do Australii. Na tym polegał jego warunek.

Na dwa dni zatrzymali się na odosobnionym polu campingowym pod Bari. Creasy nie opuszczał pojazdu, wyjątek robiąc jedynie w nocy dla odbycia ćwiczeń gimnastycznych, a i to pod warunkiem, że oni czuwali. Nie powiedział im, jak zamierza dostać się na Sycylię, ale miał plan. Wyjaśni dopiero w Reggio. Być może Wally będzie mógł mu pomóc przed odjazdem.

— Jak on wygląda bez tego owłosienia? — zapytał Creasy Paddy. Pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia — nigdy go nie widziałam bez niego — chyba bałabym się spojrzeć!

— Jestem cholernie przystojny — stwierdził Wally. — Hoduję tę brodę tylko po to by trzymać na dystans lubieżne kobiety. Ale o co chodzi?

Creasy tylko się uśmiechnął i zapewnił, że powie mu kiedy dotrą do Reggio.

Któs go wieczoru Paddy usiłowała odwieść go od tego. Miał tak niewielkie szanse. Chciała nawet wspomnieć coś o Don Kichocie walczącym z wiatrakami, ale spojrzała mu w twarz, a potem prosto w oczy; i zamilkła.

Przypomniała to sobie teraz, kiedy wjechali na autostradę na wschód od Taranto.

— Czy byś kiedykolwiek zdolny do tego, Wally? Do nagromadzenia w sobie dość nienawiści aby zrobić to co on robi?

— Wielu ludzi byłoby — odpowiedział. — Różnica polega na tym aby mieć i nienawiść, i środki. Czytałaś jego historię w gazetach. Ilu podobnych ludzi kręci się wokół nas?

— Myślisz, że zrobi to? Sforsuje tę twierdzę i zrobi to? Zacisnął usta, zastanawiając się nad odpowiedzią. — Możliwe. Ma za sobą długą drogę, ale będzie potrzebował szczęścia — i to dużo. Ale z drugiej strony, częściowo już mu dopisało — spotkał nas.

Paddy uśmiechnęła się do niego, potem przez chwilę milczała.

— O czym myślisz?

Jeszcze jeden uśmiech. — Zastanawiałam się, jak byś wyglądał bez tej czupryny.

## 21

Ściany stały od wieków, ale nie oparły się buldożerowi. Za ledwie pół godziny zajęło zmienienie małego, wiejskiego domu w stertę gruzu.

Franco Masi stał koło furmanki z całym ich majątkiem. Jego żona już na niej siedziała. Unikając smutnego widoku, patrzyła przed siebie oczami, zaczerwienionymi od ciągłego szlochania.

Ale Franco patrzył na to, a także dalej, w kierunku murów Villa Colacci; twarz wykrzywiła mu nienawiść. Od pokoleń jego rodzina żyła tu i uprawiała parę skalnych akrow zbocza. Mieszkaniec willi od dawna był ich dobroczyńcą. Franco spędził całe życie pod jego opieką. Odplacali się zawsze produktami z gospodarstwa i serami, które warzyła żona.

Początkowo nie chciał wierzyć, kiedy mu powiedziano. Niemożliwe. Dobroczyńca nie mógłby zrobić czegoś takiego. Błagał o audiencję, ale usłyszał, że to wykluczone. Don Cantarella nikogo nie przyjmuje. Franco musi się wyprowadzić w przeciagu dwudziestu czterech godzin. Znalezione mu dom w Palermo. Wręczyli mu papiery do podpisania.

Franco cicho wymówił bogobojne życzenie, płynące z głębi duszy: — Niech ci Bóg sprzyja, Creasy.

Wally stawiał zawzięty opór. Siedem tysięcy lirów za golenie i postrzyżyny to idiotyzm. Ale fryzjer pozostał nieugięty. Wykonał wymowny gest w kierunku popłatanych loków Wally'ego. To będzie sporo pracy, która zajmie z godzinę. Albo się decyduje, albo nie.

Wally zdecydował się. Miał przed sobą pracowity dzień i nie mógł tracić czasu kosztem zakupów. Przynajmniej nie wszystko będzie stracone.

— Krótka, ładna, konserwatywna fryzura — wyjaśnił wcześniej Creasy. — I żadnej brody.

Wally jeszcze się nie otrząsnął z zadziwienia. Przyjechali na pole campingowe poprzedniego wieczoru i przy kolacji Creasy szczegółowo opisał swoje żądania. Nie wyjaśnił czemu mają służyć. Wszystko w swoim czasie, powiedział; tak jest bezpieczniej.

Najpierw Wally miał się ostrzyć i ogolić. Potem powinien kupić walizkę z do-

brej skóry i aktówkę; przyzwoity garnitur, białą koszulę i skromny krawat w jednym kolorze, a także sznurowane buty. Tak ubrany miał się zameldować na trzy noce w najlepszym apartamencie hotelu „Excelsior”. Następnie kazał mu pójść do biura Avis w tym samym budynku i wynająć samochód na trzy dni. Najlepszą markę, jaka będzie akurat dostępna. Pójdzie na kolację do hotelowej restauracji i ostentacyjnie zamówi bardzo drogie wino, a do kawy bardzo drogi koniak. Hennessy Extra, zasugerował Creasy.

— Chcesz żeby wyglądał na bogatego biznesmena? — zapytała Paddy.

— Właśnie — odpowiedział Creasy.

Po kosztownej kolacji Wally miał wrócić do swojego apartamentu, zamówić rozmowę telefoniczną z Australią — ze starym przyjacielem lub kimkolwiek innym — i rozmawiać co najmniej przez dwadzieścia minut. Po nocy spędzonej w apartamencie, z samego rana spotka się z nimi na polu campingowym.

Podczas gdy Wally spożywał faszerowaną *peperoni* w Reggio, Satta, Bellu i Guido jedli lampukę w „Grandzie” w Palermo.

— Co o tym myślisz? — Satta zadał pytanie swojemu asystentowi.

— Przyplynie łodzią — powiedział Bellu. — Prawdopodobnie łodzią rybacką — wynajętą gdzieś w Kalabrii.

Satta niecierpliwie potrząsnął głową, pokazując na swój talerz. — Chodzi mi o rybę.

Bellu uśmiechnął się; od czasu do czasu lubił podrażnić szefa. — Ciut przygotowana.

Satta skinął głową i zwrócił się do Guido. — Jest szansa, jeśli nawet niewielka, że pewnego dnia nasz dobry kapitan zostanie pułkownikiem.

— Warunek wstępny? — zapytał Guido. — Pułkownik musi mieć wykwintny smak?

— Absolutnie — odpowiedział Satta. — Musimy trzymać się standardów, bo inaczej zaczną awansować ludzi za inteligencję i oddanie służbie. Byłaby to katastrofa.

— To znaczy, nadal miałbyś rangę kaprała?

Satta uśmiechnął się i powiedział do Bellu. — Zauważyłeś, że neapolitańczycy mają złośliwe poczucie humoru? Dlaczego uważasz, że łodzią rybacką?

Bellu wzruszył ramionami. — A jak inaczej? Wszystkie samoloty, promy i pociągi są pod obserwacją. Nie należy do ludzi, którzy mogą łatwo ukryć się pod przebraniem.

— Niewykluczone — ustąpił Satta. — Co ty myślisz, Guido?

— Nie wiem — powiedział Guido. — To czysta spekulacja. Dużo o tym myślałem i nie znam odpowiedzi. Ale jedno jest pewne; mając tak znaną twarz nie może się z nią pokazać — nigdzie.



Satta przyznał mu rację. — Dzisiaj jest to prawdopodobnie najbardziej znana twarz we Włoszech. Co za reakcja! Nigdy bym w to nie uwierzył — pokręcił głową ze zdumieniem. — W Rzymie i na północy dziewczęta chodzą w podkoszulkach, na których wydrukowano jego zdjęcie i BRAWO CREASY! Opinia publiczna jest zdecydowanie za nim, a gazety mają pole do popisu. Nie jestem pewny czy to zdrowo.

— To nieuniknione — powiedział Bellu. — Ludzie mają dosyć władzy do-  
nów i ich arogancji. Rządowi nie udaje się nic z nimi zrobić, więc widzą w tym samotnym człowieku bohatera — to naturalne.

— Dla mnie — stwierdził Satta — największą zagadkę stanowi miejsce jego pobytu. Musi być odizolowany, kompletnie poza widokiem, ale jak? — popatrzył twardo na Guido. — Jesteś pewny, że od Rzymu nie miał żadnych kryjówek?

— Przynajmniej ja nic o nich nie wiem — odpowiedział Guido. — Nigdy nie rozmawiał o tym, co planuje po Rzymie — wiesz, dlaczego.

— Wielka szkoda — powiedział Satta. — Nie odezwał się też do ciebie pocztą. Kontrolujemy ją dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Szkoda? — sucho zapytał Guido. — Naprawdę chciałbyś go teraz znaleźć?

Satta skrzywił się. — Guido, uwierz mi. Nie chcę być świadkiem jego śmierci. Dość już zrobił. — Gestem ręki przywołał kelnera i zamówili deser. Kiedy kelner odszedł, Satta położył dłoń na ramieniu Guido i powiedział miękko:

— To prawda. Jestem jego dłużnikiem. Mam uczucie, że się znamy, chciałbym go spotkać. Prawdę mówiąc, jestem nim zafascynowany. Gdyby ktoś mi powiedział, że samotny człowiek może dokonać tak wiele, to bym się roześmiał. Ciągle jeszcze nie mogę tego pojąć, zwłaszcza sposobu, w jaki zabił Contiego.

Guido uśmiechnął się ponuro. — Tak. Królewski pogrzeb.

Dwaj pozostali spojrzeli zdziwieni, więc Guido im wyjaśnił.

— To coś w rodzaju naszego umówionego powiedzonka. Każde zamknięte braterstwo je ma. Najemnicy również. Powstało w Laosie przed wieloma laty. Staliśmy w kilku koło pasa startowego na odludziu i obserwowaliśmy lądowanie amerykańskiego DC-6. Wiózł amunicję, materiały wybuchowe i benzynę. Stracił podwozie i spory kawałek przejechał na brzuchu. Zaczepił końcem skrzydła i skapotował — Guido zamilkł, pod wrażeniem wspomnienia.

— No i? — poganiał go Bellu. — Co się stało?

— Ekspłodował — zaspokoił jego ciekawość Guido. — Powoli, wyobrażacie sobie? Najpierw benzyna, potem materiały wybuchowe i w końcu amunicja. Wszyscy znaleźmy pilotów — dwaj Kanadyjczycy, bardzo fajni ludzie. Kiedy huk ucichł, zapanowała długa cisza, a potem pewien Australijczyk, Frank Miller, podsumował: „Przynajmniej mieli królewski pogrzeb”. — Guido wzruszył ramionami. — I tak już zostało. Kiedy najemnik chciał kogoś postraszyć, mówił o „królewskim pogrzebie”.

— Co skłania człowieka do zostania najemnikiem? — zapytał Bellu.

Guido uśmiechnął się na to pytanie.

— Tysiąc powodów. Przy czym nie ma dwóch jednakowych. Są wśród nich przeróżne typy: nie umiejący dostosować się do otoczenia, zbrojeńcy, obłąkani krzewiciele dobra czy zwyczajni głupcy. — Wzruszył ramionami. — Bardzo często jest to czysty przypadek — nie ma w tym żadnej kalkulacji.

Kelner przyniósł desery — miejscowe *zabaglione*. Jedli je w milczeniu.

Ale Bellu był ciekaw. Dla niego był to inny świat, więc znowu zaczął zadawać pytania.

— Creasy musi być wyjątkowy — skoro udało mu się tak wiele osiągnąć. Dzięki czemu jest taki dobry?

— Widziałeś jego akta — wtrącił Satta. — Ma doświadczenie. Doświadczenie i wyszkolenie; i być może coś jeszcze — popatrzył pytająco na Guido.

— Tak, coś jeszcze — zgodził się Guido. — To jest jak popęd płciowy — nienamacalne. Nawet przy wszystkich innych elementach żołnierzowi może brakować tego czegoś, choćby był nie wiem jak dobry technicznie. Tu i ówdzie, od czasu do czasu, spotyka się takiego, który to ma. Od razu rzuca się w oczy. Być może tajemnica tkwi w połączeniu szczęścia z silną wolą. Pluton wyszkolonych i doświadczonych żołnierzy może nie być w stanie zdobyć jakiejś pozycji. A pojedynczy człowiek z tym czymś specjalnym może tego dokonać.

— Czy ty to miałeś? — zapytał Satta.

— Tak — odpowiedział Guido. — Ale Creasy ma tego o wiele więcej — dlatego zaszedł tak daleko. I najprawdopodobniej pozwoli mu to dostać się do Villa Colacci.

— Wydostać się również? — zapytał Satta.

— Kto wie? — to pytanie dręczyło Guido. Był pewny, że Creasy obmyślił sposób na dostanie się do środka, ale nie miał już takiej pewności co do drogi odwrotu.

Wally zaparkował wynajętą Lancię obok Mobexa. Paddy siedziała na stopniach i patrzyła jak wysiada. Zamknął drzwi Lancii i stanął, patrząc na nią w milczeniu. Przez dłuższą chwilę nawet nie drgnęła. Potem skrzyżowała ramiona i zaczęła się kołysać tam i z powrotem. Dopiero wtedy wybuchła śmiechem.

Creasy stanął za jej plecami i obejrzał Wally'ego. Pokiwał głową z uśmiechem. Paddy zjechała ze stopni i potoczyła się po trawie. Wyludnione pole campingowe wypełniły wybuchy śmiechu.

— Cholerna baba! — powiedział Wally.

Creasy zgodził się z nim. — Ani odrobiny uznania dla piękna.

Paddy powoli opanowała się, usiadła i dłońmi uderzała o kolana.

— Wally Wightman — powiedziała z szerokim uśmiechem — wyglądasz jak pedał.

Wally stał koło czarnej Lancii w ciemno-niebieskim garniturze w jodelkę, z czarną aktówką w ręku. Zignorował ją.

— Dobrze wyglądam? — zapytał Creasy'ego.

— Idealnie — odpowiedział Creasy. Zwrócił się do Paddy. — Brak ci uznania dla urody, a skoro uważasz, że wygląda jak pedał, to czemu płakałaś przez całą noc?

— Gównu prawda! — powiedziała Paddy, wstając. — Nie stęskniłabym się za nim nawet przez cały rok, a co dopiero w jedną cholerną noc!

Ale podeszła i objęła Wally'ego z uczuciem.

— Ostrożnie, dziewczyno — powiedział z uśmiechem — wygnieciesz mi mój nowy garnitur.

Wszyscy razem weszli do Mobexa i wcisnęli się za mały stolik. Wally zdał szczegółową relację z wykonania poleceń Creasy'ego. — Co teraz? — zapytał z nadzieją.

Creasy sięgnął za siebie po mapę i pokazał małe lądowisko.

— Tu jest główna siedziba Aeroklubu Reggio di Calabria. Masz tam teraz pojechać i wynająć samolot, którym polecisz do Trapani na zachodnim wybrzeżu Sycylii.

Wally i Paddy wymienili spojrzenia.

— Więc to tak — powiedziała Paddy. — Masz zamiar tam polecieć.

— Niezupełnie — odpowiedział Creasy. Wyjaśnił, że początkowo planował wynajęcie samolotu na nocny lot przez telefon, a gdyby zaszła taka potrzeba, nawet porwanie go wraz z pilotem. Pomoc zaproponowana przez Wally'ego ułatwiła sprawę.

Farsa odegrana poprzedniego dnia stanowiła tło dla całej sceny. Wally powie, że jest zapracowanym biznesmenem, któremu się śpieszy. Ma szereg spotkań w Reggio, ale jak tylko je skończy, chce wylecieć do Trapani. Gdyby Aeroklub albo ktoś inny chciał sprawdzić, dowie się, że mieszkał w najlepszym apartamencie luksusowego hotelu. Hojną ręką płacił za najdroższe potrawy i drinki, wynajmował najwytworniejszy z dostępnych samochodów i kilkakrotnie dzwonił na drugi koniec świata. Okaze się wiarogodny.

Creasy kazał mu wyjaśnić, że nie jest pewny kiedy dokładnie będzie chciał wystartować. Uprzedzi ich sześć godzin wcześniej. Prawdopodobnie będzie to późnym wieczorem i na pewno przed upływem trzech dni.

— Dlaczego nie możesz ustalić godziny? — zapytał Wally.

— Zależy od pogody.

— A czemu przed upływem trzech dni?

— Bo księżyc jest w nowiu.

Ciekawość Wally'ego wcale nie została zaspokojona, ale powstrzymał się z pytaniami, a Creasy wyjaśnił następnie, że Aeroklub ma cztery samoloty: dwie *Cessny 172*, *Pipera Comanchei Commandera*. Musi koniecznie dostać *Cessnę*.

Gdyby wywołało to jakieś pytania, powinien wytłumaczyć im, że latał już takim samolotem i zna go. Ma z góry zapłacić za czarter pełną sumę, gotówką.

— Dlaczego musi to być koniecznie *Cessna!* — zapytał Wally.

— Ponieważ jest górnopłatem.

— Więc?

— Więc łatwiej się z niej wyskakuje.

Gravelli i Dicandia dokonali obchodu. Odbywszy naradę ze strażnikami przed główną bramą, wracali spacerkiem przez ogrody.

— Jeszcze tydzień i będzie za późno — powiedział Dicandia.

— Już może być za późno — stwierdził Gravelli. — W Turynie trwa wojna. Trzy rzymskie rodziny załatwiają porachunki. Nawet w Kalabrii zaczęły się już kłopoty. Don Mommo obiecano, że podczas jego pobytu w więzieniu zachowany zostanie spokój. Dwa dni temu próbowano go zabić. Cantarella nie robi nic. Mar-notrawi zdobyty szacunek, siedząc tutaj, jak mysz pod miotłą. Abrata przyjeżdża jutro, żeby się z nim naradzić. Nie uwierzy, kiedy zobaczy, w jakim on jest stanie.

Dicandia uważał, że to nieco zbyt mocne słowa. Pracował dla Cantarelli od ponad dwudziestu lat — jego lojalność była głęboko zakorzeniona. Poderwanie jej wymagałoby trochę mocniejszego szarpnięcia.

Nagle Gravelli chwycił go za ramię i obaj mężczyźni zamarli na wysypanej żwirem ścieżce.

Dwa czarne cienie wyłoniły się z mroku bez dźwięku, podeszły bardzo blisko, wężąc, po czym znikły.

— Te pieprzone psy przyprawiają mnie o gęsią skórkę!

— Nie są takie groźne — powiedział Gravelli z krótkim śmiechem. — Przy-najmniej dopóki nie natkną się na nieznaną zapach.

— Lepiej, żeby miały dobrą pamięć — stwierdził Dicandia i ruszył dalej ścieżką.

Weszli do willi kuchennymi drzwiami. Było to obszerne pomieszczenie o kamiennych ścianach, które pełniło rolę kantyny dla dodatkowych ochroniarzy. Sześciu z nich siedziało rozwalonych i oglądało telewizję w rogu. Resztki jedzenia porzucane były po drewnianym stole. Pod ręką mieli pistolety maszynowe i broń krótką.

Z kuchni prowadziło przejście, biegnące przez środek willi. Do pierwszego pokoju przy nim wstawiono drewniane prycze i inni ochroniarze spali tam lub odpoczywali przed objęciem warty o pomocy.

Na końcu przejścia znajdowała się klatka schodowa, która prowadziła na pierwsze piętro, gdzie Cantarella miał swój gabinet oraz sypialnię. Dicandia i Gravelli także mieszkali w pokojach na pierwszym piętrze.

Zamienili parę słów z mężczyznami w kuchni i udali się na górę.

Osobisty ochroniarz Cantarelli siedział na krześle przed jego gabinetem, z pistoletem maszynowym ułożonym na przedramieniu. Kiedy podeszli wstał, zapukał dwa razy w drzwi i otworzył je. Weszli aby zameldować, że wszystko jest w porządku.

Po dwóch dniach porywisty północny wiatr osłabł. Prognoza zapowiadała znośną pogodę na najbliższą dobę. W północnej Sycylii będzie niewielkie zachmurzenie i lekki wiatr ze wschodu. Możliwe są przelotne słabe deszcze.

Creasy przygotowywał się.

Wczesnym wieczorem otworzył dużą, szeroką walizkę i wyjął paczuszkę, którą generał przesłał do Marsylii. Paddy i Wally patrzyli z zewnątrz, jak rozpakowuje ją i rozkłada na trawie liczne warstwy materiału.

— To nie wygląda jak spadochron — skomentował Wally.

— Bo to spadochron-skrzydło — odpowiedział Creasy. — Dawne czasy skakania i polegania na szczęściu już minęły. To jest francuski *Mistral*. Dobrze wyszkolony skoczek może polecieć na nim nawet pod wiatr — i wylądować o parę metrów od celu.

Pomogli mu rozłożyć linki, a potem stanęli z boku i patrzyli jak umiejętnie rozprostowuje je i układa, a następnie ponownie składa czaszę.

— Nie masz zapasowego? — zapytał Wally. Widział zdjęcia spadochroniarzy, którzy mieli mniejsze pakunki przymocowane z przodu, Creasy pokręcił głową. — Nie mogę sobie pozwolić na taki ciężar. — Potem wyjaśnił, że normalnie spadochroniarz skacze z torbą sprzętu podwieszoną na linie pięć metrów pod nim. Ciężka torba uderza o ziemię pierwsza, ułatwiając w ten sposób lądowanie skoczki: ale podnoszenie torby i wyjmowanie broni mogło kosztować cenne sekundy. Creasy będzie skakał z gotową bronią. Zaryzykuje twarde lądowanie.

Skończył składanie spadochronu i oparł go o bok Mobexu. Odwrócił się do Wally'ego i powiedział: — Będę gotów do drogi za pół godziny.

— Pomóc ci w czymś? — zapytał Wally.

— Nie, poradzę sobie sam.

Wróciwszy do Mobexa, Creasy wyjął mniejszy pakunek przesłany z Brukseli. Rozpakował go i poczuł nieco zatęchły odór, typowy dla długo nie używanej odzieży. Był to jego stary mundur polowy. Nadal miał insygnia 1. Pułku Legii Cudzoziemskiej.

Długo trzymał go w rękach, myślami cofając się wstecz — o ponad dwanaście lat. Potem rzucił go na łóżko i zaczął się rozbierać.

Kiedy wyszedł z Mobexu, było już prawie ciemno. Paddy i Wally stali oparci o Lancię. Creasy stanął przy drzwiach, a Paddy zaczęła cichutko popłakiwać.

Wiedzieli, jaki jest i co zamierzał zrobić; ale dopiero teraz, kiedy stanął w pełnej gotowości, tak naprawdę to do nich dotarło.

Przypominał zbyt mocno napompowaną oponę, Ubrany był w cętkowany kombinezon, wsunięty w czarne, wysoko sznurowane buty. Na szwach obu nóg wyczołgały wypchane kieszenie; górną część ciała oplatała uprząż. Dwa rzędy granatów przyczepione były do taśm po obu stronach klatki piersiowej. Między nimi swobodnie zwisała wypchana torba, przyczepiona w pasie. Na prawym boku miał przymocowaną do pasa kaburę, która otwierała się jednym szarpnięciem. Zarówno z przodu, jak i z tyłu obwieszony był także mniejszymi woreczkami z płótna. Z rzemienia na szyi zwisał pistolet maszynowy *Ingram*. Przez prawe przedramię przełożył pętlę z rzemienia i płasko przyciskał ją do boku krótką, grubą broń. W prawej ręce trzymał czarną kominiarkę.

Wziął spadochron i ruszył w kierunku Lancii. — Jesteś gotów? — zapytał cicho.

Wally przytaknął i spróbował coś powiedzieć, ale nic z siebie nie wydusił. W odrętwieniu otworzył drzwi samochodu. Creasy wrzucił do środka spadochron i zwrócił się do Paddy.

— Nie mam słów, Paddy; sama rozumiesz, — Pociągnęła nosem, potrząsnęła swoją dużą głową i powiedziała: — Jesteś pieprzonym głupcem, Creasy!

Uśmiechnął się i wziął ją za ramiona.

— Dam sobie radę. Robiłem to już przedtem — to prawie rutynowa akcja.

Otarła ręką mokry policzek, a potem go uściskała. Po chwili puściła go, poszła do Mobexa i zamknęła drzwi.

Jazda na lotnisko trwała dwadzieścia minut. Creasy leżał na tylnym siedzeniu, niewidoczny. Minęło zaledwie pięć minut, kiedy Wally zapytał: — Jak się wydostaniesz?

— Drzwi *Cessny* można otworzyć podczas lotu.

— Chodzi mi o Villa Colacci. Wiem, że dostaniesz się do środka, ale jak się wydostaniesz?

Padła krótka odpowiedź, wykluczająca dalsze dociekania.

— Jak jest wejście, to musi być i wyjście.

Przez kilka chwil jechali w milczeniu, po czym Creasy zadał pytanie: — Wszystko dobrze rozumiesz, Wally? Ustaloną kolejność?

— Bardzo dobrze — odpowiedział Wally. — Nie będzie żadnych wpadek.

— A potem?

— Jasne; dzisiaj wieczorem ruszamy w drogę.

— Nie odkładajcie tego nawet o minutę — przykazał Creasy. — Dojdzie do sporego zamieszania, ale musicie być na tym promie jutro rano.

Wally przemówił kategorycznie. — Creasy, nie martw się, będziemy na nim. Odwiedź nas w Australii.

Z tylnego siedzenia dobiegł go cichy śmiech. — Dobrze — dbaj o nią — trafiła ci się świetna kobieta.

— Wiem — zapewnił go Wally. — Dojeżdżamy do lotniska — stoją tam tylko dwa samochody. Wygląda to nie najgorzej.

Wally zaparkował za hangarem, sięgnął po swoją walizkę i otworzył drzwi. Nawet nie odwrócił głowy.

— Powodzenia, Creasy.

— Dzięki, Wally. *Ciao!*

Cesare Neri dokonywał przedstartowego przeglądu. Chętnie miałby już ten czarter z głowy. Był sumiennym pilotem, przeszedł szkolenie w lotnictwie wojskowym i przestrzegał reguł. Sześciogodzinna gotowość do startu przez ostatnie dwa dni oznaczała, że nie mógł sobie pozwolić na drinka; a lubił wypić. Zostanie w Trapani i spędzi wieczór na mieście. Miał tam kilku przyjaciół.

Popatrzył na Australijczyka w fotelu po jego prawej stronie. Wydawał się lekko zdenerwowany. Cesare był do tego przyzwyczajony. Ludzie radośnie wsiadali do wielkich odrzutowców; ale wystarczyło posadzić ich w małym samolocie tuż koło pilota, żeby wszystko wydało im się zawodne.

— Jesteśmy gotowi do odlotu.

Pasażer przytaknął. — Świetnie.

Silnik ożył ze stukotem. Cesare obserwował wskaźnik poziomu oleju. Pasażer poklepał go po ramieniu i powiedział głośno, przekrzykując hałas silnika.

— Jak długo do Trapani?

— Niecałą godzinę — odpowiedział Cesare, przenosząc wzrok na tarcze.

— Tutaj nie ma toalety?

Cesare zaprzeczył ruchem głowy, a pasażer powiedział: — Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Powinienem się odlać.

Cesare posłał mu uśmiech. Gość jest rzeczywiście zdenerwowany. Wyciągnął rękę i otworzył zasuwę na drzwiach po prawej stronie.

— Proszę bardzo. Tylko nie włącz pod śmigła. Pasażer odpiął pas i wysiadł. Cesare powrócił do wskaźników.

Minęły dwie minuty, po których w drzwiach pojawiła się postać. Cesare rzucił okiem na boki i zeszywniał. Powoli odwrócił głowę, popatrzył na pistolet, a potem na trzymającego go mężczyznę.

— Rób swoje — powiedział mężczyzna, z trudem wciskając się do ciasnej kabiny. — Nic ci nie grozi. Rób to, co zawsze.

Nie spróbował zapiąć pasa. Pochylił się po prostu do przodu na małym fotelu, prawą rękę położył na górze deski rozdzielczej, a ciało przekręcił nieco, siadając twarzą do pilota; broń trzymał nisko, tuż koło żeber Cesarego.

— Procedura przedstartowa — powiedział. — Wykonaj wszystko zgodnie z zasadami. Wiem, jak się tym lata. Znam się także na korespondencji radiowej; więc nie rób głupstw.

Cesare siedział zupełnie bez ruchu, z rękami na kolanach. Nowy pasażer nie przerwał toku jego myśli, siedział i czekał. W końcu Cesare podjął decyzję. Nie odezwał się ani słowem; po prostu wykonywał wszystkie przedstartowe czynności.

Dziesięć minut później osiągnęli pułap prawie dwóch tysięcy metrów nad Cieśniną Messyńską, a przed sobą mieli światła Sycylii.

— Możesz odłożyć tę broń. Wiem, kim jesteś.

Creasy zawahał się przez chwilę, po czym wsunął *Colta* do płóciennej kabury i zapiał ją. Poruszył się, żeby wygodniej ułożyć spadochron, a potem sięgnął między siedzenia po kartę lotu Cesarego. Trasa do Trapani była zaznaczona ołówkiem. Przelecał pięć kilometrów na południe od Villa Colacci. Rzucił okiem na pilota.

— Jak miniesz wieżę w Termini Imerese, masz dokonać małej zmiany trasy.

Cesare uśmiechnął się ponuro.

— Powiniennem być drożej policzyć sobie za ten czarter.

Creasy odwzajemnił uśmiech.

— Taniej — pasażer nie odbędzie całej trasy.

— Na szczęście zapłacono mi z góry — powiedział Cesare. — Lepiej wyjaśnij mi coś niecoś.

Creasy pochylił się nad mapą i wskazał na niej miejsce.

— Nie do przegapienia. Leży pięć kilometrów na południe od Palermo i trzy kilometry na wschód od Monreale. Została oświetlona niczym świąteczna choinka. — Popatrzył na wysokościomierz. Przekraczali trzy tysiące metrów.

— Na jakiej wysokości normalnie wyrównujesz lot?

— Prawie czterech tysięcy.

— Może być. Zostań na tym pułapie, dopóki nie miniesz wieży. Potem wejdź na cztery i pół.

Cesare spojrział na niego, a Creasy powiedział: — Będę skakał z opóźnieniem.

— Na jakiej wysokości otworzysz?

— Nie większej niż osiemset metrów, zależnie od tego na ile mnie zniesie podczas swobodnego opadania. Jest wschodni wiatr o prędkości dwudziestu kilometrów na godzinę, czyli powinienem spokojnie trafić w cel.

Cesare spojrział na zapakowany spadochron.

— Co to jest?

— Skrzydło. Francuski *Mistral*.

Teraz Cesare przyjrzał się sprzętowi, dekorującemu ciało Creasy'ego.



— Wiem, że jesteś specjalistą — powiedział. Zamyślił się na chwilę, a potem ciągnął dalej: — Znam tę okolicę. Bardzo możliwe, że natrafisz na prąd zstępujący obok zbocza góry. Nie poczujesz go podczas swobodnego spadania. Zacznie się dopiero poniżej dwóch tysięcy. Radzę ci skakać trochę bardziej na południe.

Creasy prawie się nie zawahał.

— Dobrze, tak zrobię. Masz w tym doświadczenie?

Cesare przytaknął.

— Pięć lat służyłem w lotnictwie wojskowym — na samolotach transportowych. Zrzucałem już wielu takich jak ty. A także amatorów — w klubach spadochronowych.

— W porządku — powiedział Creasy. — Wybór momentu skoku zostawiam tobie. Przepraszam. To wszystko może wpędzić cię w pewne tarapaty. Będę musiał rozbić ci radio.

Cesare przez chwilę milczał. Patrzył po prostu przez szybę. Kiedy przemówił, w jego głosie brzmiała nuta emocji.

— Cieszę się, że to na mnie padło. Wielu ludzi — większość ludzi jest po twojej stronie. Moja rodzina przez pokolenia mieszkała w Kalabrii. Znamy władzę tych ludzi. Dotyka nas wszystkich. Podziwiamy cię. Cieszę się, że to ja. Zrzucę cię dokładnie we właściwym miejscu.

Zapanowało milczenie, po którym Creasy zapytał:

— Polecisz dalej do Trapani?

Cesare pokręcił głową. — Zawrócę do Reggio — tak będzie bezpieczniej. Kim był ten Australijczyk?

W matowym, czerwonym świetle kabiny rysy Creasy'ego nieco złagodniały. Powiedział zwyczajnie: — Takim samym człowiekiem, jak ty.

W Palermo było ciepło; w związku z tym pootwierano okna w barze „Grand Hotelu”. Satta, Guido i Bellu stali przy barze i popijali drinki przed kolacją. Satta był w nastroju amerykańskim, więc zamówił burbona z wodą sodową. Nastrój ten wywołały zapewne dwie młode Amerykanki, siedzące przy stoliku w rogu. Spóźnione turystki; jedna z nich była piękną rudowłosą kobietą. Satta miał słabość do rudyh. Druga była blondynką — mogła ujść.

Guido spojrzał w kierunku stolika. Blondynka była całkiem atrakcyjna i w odwiecznym języku spojrzeń, opuszczonych rzęs oraz udawanej obojętności dawała do zrozumienia, że Guido może liczyć na jej względy. Najwyraźniej dziewczyny już podzieliły łupy między sobą. Ale Guido nie był w nastroju. Napięcie narastało w nim od wielu dni. Nie mógł przestać myśleć o Creasym.

Proste radio, wymyślone przez ludzki umysł potrafi wysyłać sygnały po całym świecie, a także na miliony kilometrów do wszechświata. Nietrudno chyba pojąć, że sam mózg, przecież nieskończenie bardziej wyrafinowany, też powinien być

zdolny do wysyłania sygnałów na odległość, do komunikowania się.

Guido nie pomyślał o tym. Ale coś mu mówiło, że przyjaciel jest w drodze. I to blisko. Tego wieczoru żadna dziewczyna go nie pociągała. Dlatego wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odpowiedział Sattie. — Chylę czoła przed *Carabinieri*, wszyscy tak ciężko pracujecie — rozejrzał się po wykwintnym barze — i życie w tak ciężkich warunkach, że my, wdzięczna ludność, powinniśmy pozwolić wam od czasu do czasu na premię.

— Czy zauważyłeś — Satta zwrócił się do Bellu — że neapolitańczycy są niepoprawnie sarkastyczni?

Uniesieniem brwi zamówił u barmana kolejne drinki.

— Niech mu będzie — powiedział. — Kapitanie Bellu, w ramach dalszego szkolenia zawodowego, którego celem jest awans, powierzam panu misję podboju. Niewątpliwie na początek musimy je poprosić, aby dotrzymały nam towarzystwa przy kolacji. Jak masz zamiar to załatwić?

Bellu nonszalancko wzruszył ramionami.

— Zaniosę im butelkę szampana i zaproponuję kolację.

— Zaproponujesz? — zapytał Satta, przedrzeźniając go, niby to zaskoczony. — Nie zaprosisz?

— Pułkownik — odpowiedział Bellu — czyż to nie pan mówił, że kobiety należy traktować jak kierownika sali — grzecznie, ale stanowczo?

Rozpromieniony Satta zwrócił się do Guido.

— Zdecydowany kandydat do awansu.

Ale Guido nie zareagował. Wyciągnął rękę i złapał Sattę za ramię.

— Posłuchaj!

Przez otwarte okno dobiegał przytłumiony odgłos samolotu.

— Creasy!

Satta i Bellu popatrzyli na niego pustym wzrokiem.

— Creasy! Jednak dotarł tu.

Guido gwałtownie odstawił drinka i ruszył do drzwi.

— Przecież to spadochroniarz — rzucił przez ramię. — Jakże inaczej mógłby się tu dostać? Chodźcie! — Satta spojrział na Bellu, a potem na rudą.

— Chodź — warknął. — Creasy jak zwykle, zawsze zjawia się nie w porę!

Drzwi *Cessny* otworzyły się. Twarz i ramiona Creasy'ego pojawiły się w otworze. Jego stopy w wysokich butach o gumowych podszewkach stały na płocie podwozia. Naciągnął kominiarkę; wcześniej zamalował dolną część twarzy na czarno. Oczy utkwił w Cesare.

Twarz pilota wyrażała pełną koncentrację. Delikatnie manewrował samolotem, sprawdzając współrzędne i porównując je z kompasem. Lewą stopę oparł

mocniej o pedał orczyka, przygotowując się do skontrowania przechyłu po zmianie obciążenia.

Obejrzał się. W otwartych drzwiach nie było już nikogo.

W Villa Colacci zamknięto wszystkie okna. Cantarella lekko rozsunał zasłony w swoim gabinecie i wyjrzał na ogród. Ciemności, zakłócone jedynie poświatą reflektorów za murami. W ciągu minionych dni jego strach stopniowo zagłuszał frustrację i gniew. Ludzie, którzy od pokoleń okazywali swoją uległość, teraz zaczęli kwestionować jego władzę. Nawet ci z najbliższego otoczenia. Malowało się to na ich twarzach. Zaledwie przed paroma minutami Abrata pozwolił sobie na bezczelność właśnie w tym pokoju. Ten szalenciec wkrótce zginie i wtedy trzeba będzie zająć się innymi i dać im odczuć swoją władzę. Zrozumieją. Jego gładka twarz stwardniała. Grube wargi zacisnął w determinacji. Dokładnie zaciągnął zasłony i wrócił do biurka.

Kilka sekund później Creasy przeleciał nad murami niczym wielki, czarny, ciężarny nietoperz.

Wylądował na trawie, tuż za sadem. Było to udane lądowanie: złożone nogi, swobodny przewrót, szarpnięcie mechanizmu uwalniającego i błyskawiczne wciągnięcie czaszy między drzewka owocowe.

*Colt* znalazł się w jego dłoni, tłumik szybko został wyjęty z torby przy pasku i wkręcony na miejsce. Kucnął, plecami opierając się o drzewo i sięgnął do torebki na piersiach po noktowizor *Trilux*.

Sprawdził cały teren od lewej do prawej. Dwie niskie, czarne sylwetki, jedna obok drugiej, szybko zmierzały w jego kierunku. *Trilux* oraz *Colt* znalazły się w jednej linii. Zaczepnął powietrza i złapał równowagę. Doberman y tresuje się tak, aby cicho atakowały i cicho zabijały.

Cicho zginęły. Pierwszy w odległości dziesięciu metrów, z pociskami w łbie i gardle. Drugi dotarł pięć metrów dalej, nim kula trafiła go w serce. Rozpęd poniósł go dalej i skonał ze skowytem u stóp Creasy'ego.

W kuchni oglądali piłkę nożną. Juventus kontra Neapol. Wszystkie oczy utkwione były w ekranie telewizora. Wszystkie oczy odwróciły się, kiedy okno zostało wybite, a do środka łukiem spadł obronny granat.

Trzej zginęli natychmiast; dwóch odniosło poważne rany od odłamków. Dwaj inni, zasłonięci przed wybuchem, byli tylko oszołomieni, ale nim zdążyli sięgnąć po broń, drzwi zostały kopniakiem wepchnięte do środka.

Stał z pistoletem maszynowym trzymany na wysokości klatki piersiowej. Oczami oceniał sytuację, szukał żywych i znalazł ich. Wylot lufy *Ingmma* rozbłysł i życie uleciało z pokoju.

Wydawał się poruszać bez pośpiechu, ale szybko pokonał kuchnię i stanął w otwartych drzwiach do przejścia. Pusty magazynek zabrzączał na kamiennej podłodze. Szczęk urządzenia zapadkowego, ponowne odciągnięcie zamka *Ingrama*; plecami dotykał ściany tuż koło drzwi i nasłuchiwał.

Pytające okrzyki z drugiego końca przejścia oraz nieco cichsze z najwyższego piętra. Otwieranie drzwi. Creasy opadł i kucając skoczył w otwarte drzwi z nisko trzymany *Ingramem*: trzy serie po trzy pociski.

Trzech mężczyzn w przejściu. Jednemu udało się dać nura z powrotem do pokoju, dwóch pozostałych odrzuciło, jakby dostali się w strumień polewaczki do

tłumienia rozruchów.

Creasy znowu ruszył, po czym płynnie wykonał kolejne czynności ponownego załadowania *Ingrama*. Przeszło to w taniec: rytmiczny, stylizowany — ruchy w idealnym tempie. Muzyka: wrzaski zmieszane z kanonadą *Ingrama* i brzękiem wyrzucanych łusek.

Prześliznął się koło prowizorycznej sypialni, błyskawicznym ruchem prawej ręki odbezpieczył granat i wrzucił go przez drzwi. Na odgłos wybuchu spojrzął za siebie; ujrzał postać wyrzuconą do przejścia, która próbowała podnieść pistolet. Dotknięcie palca, półsekundowa seria i ponowny zwrot, doskok do schodów; znowu pod ścianę, nasłuchiwanie.

Na górze, na półpiętrze, Cantarella stał pod drzwiami swojego gabinetu, trzymając broń w prawej ręce. Lewą chwycił rękaw swego osobistego ochroniarza.

— Zostań tutaj! — krzyknął przerażonym głosem. Dicandia, Gravelli i Abrata stali na szczycie schodów z pistoletami wymierzonymi w dół. Dicandia był bez koszuli, klatkę piersiową i plecy pokrywała mu płatanina czarnych włosów.

— Jazda na dół!

Odwrócili się, żeby spojrzeć na Cantarellę niepewnie. Twarz Cantarelli była wykrzywiona od wściekłości i strachu.

— Na dół! — uniósł pistolet.

Najpierw posłuchał go Dicandia, ostrożnie stając na pierwszym stopniu. Cantarella widział już tylko górną część jego ciała, kiedy zagrzmiała seria strzałów. Zobaczył, że Dicandia unosi się z szarpnięciem, a potem, czarny zarost na klatce piersiowej pokrywają czerwone dziury. Upadł i potoczył się po schodach.

Gravelli i Abrata pobiegli z powrotem przez półpiętro. Nie zamierzali schodzić. Popatrzyli na prawo, gdzie dziesięć metrów od nich w korytarzu stał Cantarella, zasłonięty przez ochroniarza. Kiedy odwrócili się z powrotem, już było za późno. Granat eksplodował dokładnie między nimi. Róg półpiętra ocalił Cantarellę i ochroniarza.

Cantarella pchnął ochroniarza do przodu, a sam zataczając się wrócił do gabinetu. Zatrzasnął za sobą drzwi i skoczył do okna, po czym rozsunał zasłony. Nie bawił się w jego otwieranie, tylko pistoletem zbił szybę i wrzasnął:

— Gdzie jesteście? Chodźcie tutaj! Chodźcie tutaj!

Creasy dotarł na szczyt schodów, rzucił okiem na powalone ciała i przesunął się bliżej końca korytarza. Słyszał histeryczne okrzyki Cantarelli.

Trzymał *Ingrama* w prawej ręce, a lewą odpiął granat z uprząży. Małym palcem prawej ręki ujął zawleczkę. Zwolnił łyżkę; zegar w głowie zatykał dwukrotnie. Creasy, otworzył dłoń i delikatnym kopnięciem rzucił granat za róg.

Usłyszawszy wybuch, Cantarella odwrócił się od okna. Zobaczył jak drzwi wyskakują z zawiasów, a ochroniarz katapultuje tyłem do środka.

*Capo di tutti capi* stanął sztywny, patrząc na poszarpane ciało na dywanie. Otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku. Mózg przestał mu funkcjonować.

Wtedy usłyszał krzyki dobiegające z dołu. Nareszcie! Nie spuszczać drzwi z oczu, kucnął za ciężkim biurkiem z wyciągniętym pistoletem, łapiąc powietrze krótkimi oddechami.

Creasy wykonał skok z przewrotem przez drzwi i ponad martwym ochroniarzem, po czym ukląkł na środku pokoju. Cantarella wystrzelił dwa razy. Były to zerwane strzały, ale drugi okazał się szczęśliwy. Zobaczył, że Creasy'ego rzuciło do tyłu i na boki, więc wstał zza biurka ze stłumionym okrzykiem triumfu i wystrzelił jeszcze dwa razy — na oślep. Ale nie miał doświadczenia. Szczęście to za mało. Prawe ramię Creasy'ego zwisało bezwładnie. Ale *Ingram* nadal wisiał mu u szyi. Chwytał go lewą ręką i posłał krótką serię przez pokój.

Podniósł się wolno; z bólem. Utrzymując *Ingrama* nieruchomo, ostrożnie przeszedł dookoła biurka.

Cantarella leżał na plecach, rękami obejmując korpulentny brzuch. Między palcami ciekła mu krew. Podniósł wzrok na twarz Creasy'ego. W oczach miał mieszaninę strachu, nienawiści i błagania. Creasy stanął nad nim, przyjrzał się ranom i stwierdził, że są śmiertelne. Uniósł prawą stopę, czarnym czubkiem buta odchylił podbródek Cantarelli i postawił mu ciężki but na gardle. Przemówił bardzo cicho.

— Tak jak ona, Cantarella. Tak jak ona, zadusisz się na śmierć. — Przeniósł ciężar ciała do przodu.

Dwóch strażników z bramy poruszało się bardzo ostrożnie. Przeszli przez kuchnię i korytarz, po czym weszli na schody. Nic, co do tej pory dostrzegli, nie wzbudziło w nich entuzjazmu. Na widok ciał Gravellego oraz Abraty jeszcze bardziej zwolnili. Stanęli na korytarzu i przez drzwi zajrzeli do gabinetu. Poszarpane wybuchem ciało ochroniarza. Słyszeli jedynie cichy, sapiący jęk, który szybko ucichł.

Żaden nie miał ochoty wejść do pokoju pierwszy, więc wsunęli się razem, ścisnąc w spoconych dłoniach pistolety maszynowe. Dojrzeli go stojącego za biurkiem ze spuszczonego wzrokiem i jednocześnie otworzyli ogień. Zobaczyli jak ciało mężczyzny uderza o ścianę, zaczyna się osuwać, a potem zamiera w bezruchu. Nagle *Ingram* zasypał pokój wszerej i wzdłuż pociskami.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon przed bramą. Była zaryglowana od środka. Małe drzwi po prawej stronie również były zamknięte na klucz. Podczas

gdy Satta kopnął je ze zniecierpliwieniem, Belki pociągnął za uchwyt ozdobnego dzwonka.

Raptem za nimi zatrąbił klakson i usłyszeli silnik pracujący na wysokich obrotach. Odskoczyli na bok, bo ciężki policyjny wóz pędził przed siebie.

Guido wycelował w bok, w pobliże dużych zawiasów. Uderzenie było głośne i skuteczne. Chociaż brama nadal stała, górny zawias został wyrwany z muru, tworząc otwór wystarczająco szeroki, aby się przez niego przecisnąć.

W przeciągu chwili Guido pokonał go i biegł żuźlowym podjazdem.

Satta ze zdziwieniem spojrzął na rozbity samochód, ale Bellu już był w otworze, więc wzruszył ramionami i ruszył za nim.

Zobaczyli, że Guido zatrzymuje się przed głównym wejściem do willi, a następnie biegnie przez trawnik do rogu budynku.

Kiedy dotarli do kuchni, on już zniknął. Stanęli w drzwiach, zaglądając do środka. Bellu zareagował pierwszy. Odwrócił się i zwymiotował. Satta w milczeniu poczekał aż dojdzie do siebie i wówczas obaj ruszyli ostrożnie po zalanej krwią kamiennej podłodze. Nie powiedzieli ani słowa, omijając ciała na korytarzu, a następnie sprawdzając pobliski pokój. U stóp schodów Satta przyjrzał się martwemu człowiekowi, leżącemu z rozrzuconymi kończynami na najniższych stopniach.

— Dicandia — powiedział do Bellu. — Prawa ręka.

Na szczycie schodów znowu stanęli.

— Niewiele z nich zostało, ale myślę, że to Gravelli i Abrata.

Ruszyli dalej, przestępując nad ciałami i weszli do gabinetu. Guido siedział w kucki za biurkiem. Odwrócił się, usłyszawszy, że wchodzi.

— Prędeż! — zawołał. — Pomóżcie mi!

Podeszli szybko, a Satta pochylił się i popatrzył na twarz Creasy'ego. Miał otwarte oczy. Spokojnie spojrzały na Sattę. Z bólu mocno zaciskał zęby. Guido wsunął mu rękę pod pachę i podtrzymywał ramię.

— Daj prawą rękę! — pośpiesznie powiedział Guido. — Przyłóż ją tutaj, koło mojej.

Satta ukląkł i wyciągnął dłoń.

— To arteria. Naciskaj kciukiem.

Satta wykonał polecenie i spojrzął niżej, na zdruzgotany nadgarstek i tryskającą krew.

— Mocniej! — zażądał Guido.

Satta przycisnął mocniej, wbijając palce w umięśnione ramię. Krew przestała tryskać, teraz już tylko kapała.

— Co mogę zrobić? — zapytał za nimi Bellu.

Satta odwrócił głowę i podbródkiem wskazał na biurko.

— Idź do telefonu. I tak przyjadą, ale chcę, żeby byli odpowiednio wyposażeni. Ściągnij tu helikopter — i to już!

Bellu zaczął szybko mówić do telefonu, a Satta patrzył jak Guido przykłada materiał do ran i hamuje krew, która spływała na dywan i wsiąkała. Spojrzał w lewo. Na zwłoki Cantarelli. Dostrzegł wybałuszone oczy i wystający język o purpurowym odcieniem. Wrócił spojrzeniem do Creasy'ego. Błysk złota przyciągnął jego wzrok. We krwi leżał krzyżyk. Popatrzył znowu na twarz. Oczy były teraz zamknięte.

Satta czuł zmęczenie palców, ale nie zwalniał ucisku. Życie, które miał przed sobą, znalazło się dosłownie w jego rękach.



## 23

Na pogrzeb przyszło dużo ludzi. Był to zimny dzień, panowała już zima i na wzgórzu ponad Neapolem wiał kęsający chłodem wiatr. Mimo to zjawili się liczni dziennikarze.

Walka Creasyego o życie miała wzloty i upadki. Początkowo, kiedy leżał na oddziale intensywnej terapii w Palermo, powiedziano im, że ma małe szanse, albo i żadnych; ale trwał przy życiu, zaskakując lekarzy. Po dwóch tygodniach specjalny samolot *Carabinieri* przewiózł go do Neapolu. Stało się to z inicjatywy Satty. Szpital Cardarelli w Neapolu był lepiej wyposażony — a także bezpieczniejszy.

Brat Satty przewodził zespołowi lekarzy, walczących o życie Creasy'ego.

Walczyli z determinacją i na początku mieli nawet nadzieję. Ale urazy były zbyt poważne, nawet dla człowieka tak silnego.

Tak więc teraz, dziennikarze stali się świadkami ostatniego aktu. Z ciekawością przyglądali się niewielkiej grupie zgromadzonych wokół otwartego grobu. Niektórych znali, innych nie. Guido stał między matką a Elio. Ona była stara, zgarbiona i ubrana na czarno, a w palcach bezustannie przesuwała różaniec. Obok nich stali Felicia i Pietro. Po drugiej stronie grobu byli Satta oraz Bellu, a między nimi, Rika. Płakała. Nie spuszczała teraz oczu z trumny, zawieszanej na pasach nad pustym dołem. Obok Satty stał wysoki, starszy mężczyzna. Był w galowym mundurze francuskiego generała. Klatkę piersiową pokrywał mu rząd baretek.

Ksiądz skończył i zrobił krok do tyłu. Guido kiwnął głową w kierunku grabarzy i trumnę wolno spuszczone. Ksiądz wykonał znak krzyża, a Guido schylił się, wziął grudkę ziemi i wrzucił ją do grobu. Generał stanął na baczność i zasalutował; potem grupka rozeszła się.

Przy samochodach wszyscy zamienili ze sobą parę słów i odjechali. Beliu i Guido opuszczali cmentarz jako ostatni. Patrzyli jak Satta troskliwie pomaga Rice wsiąść do swojego samochodu, żegna ich skinieniem głowy i odjeżdża.

— Co za cyniczny drań — wymamrotał Guido ze śladem uśmiechu.

# EPILOG

Zimny wiatr *gregale* wiał od Europy, przez morze i ponad ponurymi wzgórzami Gozo.

Wioska Mgarr była ciemna i cicha, ale nie spała. Na balkonie „Gleneagles” cień poruszył się i oparł pokrytą tatuażami rękę na balustradzie. Benny przejechał wzrokiem po zatoce i stromych zboczach otaczających ją wzgórz. Drzwi za nim otworzyły się i Tony wyszedł, podał mu brandy i stanął obok; patrzyli i czekali.

„Melitaland” obijał się o nabrzeże i opierał porywistym powiewom wiatru. Ma skrzydło mostka stali Victor i Micheie.

Wysoko na wzgórzu bracia Mizzi siedzieli na swoim patio z Piłą, Patrzyli aż za mury portu i oni pierwsi zauważyli podskakujący, wąski, szary obiekt, zbliżający się do wejścia.

George Zamrnit dawał z siebie wszystko w maleńkiej sterówce policyjnego kutra, który przestał skakać na fali dopiero jak wpłynęli na spokojne wody portu. Wydał rozkaz i dwóch marynarzy z bosakami wyszło na mokry pokład.

W ciemnościach na tyłach „Gleneagies” czyjaś dłoń zwolniła hamulec ręczny i Land Rover swobodnie potoczył się w dół krótką drogą do końca nabrzeża. Panowały ciemności. Jedyna latarnia nie paliła się.

Łódź szybko się zatrzymała i George wyszedł na wąski pokład. Land Rover zaparkował w odległości dziesięciu metrów. We wnętrzu z trudnością można było dostrzec dwie sylwetki. Ta bliżej niego otworzyła drzwi, wyszła i stanęła w oczekiwaniu. Nawet w półmroku widać było, że to kobieta w zaawansowanej ciąży.

George dwa razy stuknął w drewno sterówki i odszedł na bok. Z wnętrza wyszedł mężczyzna, przeszedł obok niego i zszedł na nabrzeże. Wolno zbliżył się do kobiety. Potężny mężczyzna o dziwnym chodzie, najpierw dotykający ziemi zewnętrznymi stronami stóp.

Kobieta rzuciła mu się w ramiona.

George dał sygnał załodze, silniki zawyły i kuter odbił od nabrzeża. Kiedy dopływał do wyjścia z portu, poszedł do sterówki, najpierw obejrząwszy się na trwającą w uścisku parę. Potem podniósł wzrok na ciemne, ciche, tajemnicze wzgórza Gozo.

KONIEC